



zwierciadło

# OSTATNIA CHOWA KLUCZ

AŁBENA GRABOWSKA

zwierciadło

# OSTATNIA CHOWA KLUCZ

Ałbena Grabowska

## ROZDZIAŁ I

Los rzucił mi wyzwanie. Gdzieś w zakamarkach mojej podświadomości latami rodziło się pragnienie, żeby zrobić to znowu. Bo czyż pragnienia, zwłaszcza te złe, nie dojrzewają w nas niczym rzadkie rośliny, wypuszczające kwiaty raz na wiele lat? Cóż z tego, że to kwiaty zła? Próbowałem zdusić je w sobie albo zagłuszyć innym, podobnie silnym uczuciem, ale ono dawało o sobie znać co dzień, coraz silniejsze i wyraźniejsze. Z jednej strony przerażało mnie to, z drugiej wprawiało w ekstazę. Na pozór zwyczajny, skryty pod maską nieszkodliwego dziwaka, osłonięty przed światem, knułem podstępny plan, który już niedługo miał się ziścić. Czyżby demon zrodził się, kiedy mój rozum spał? Nic bardziej mylnego, mój demon korzystał z rozumu i nim się karmił. Dzięki temu tak dobrze wszystko zaplanowałem. Dzięki temu osiągnę wreszcie to, czego pragnę najbardziej na świecie. A wy będziecie na to patrzeć. I nic, ale to nic na to nie poradzicie...

Jeśli idziesz prostą drogą, możesz trafić do własnego piekła. Jeszcze w przedszkolu zaczęłam zapamiętywać różne mądre zdania, nawet jeśli niewiele z nich rozumiałam. Mogłam je wykorzystać w czasie rodzinnych uroczystości, podczas których od najmłodszych lat ciężko pracowałam na miano nadziei rodziny Popielewiczów. Mogłam też zakopać je głęboko w umyśle i z czasem dostrzec iskrzącą się w nich mądrość. Jeśli oczywiście tam była. Wtedy jednak przynajmniej mogłam nauczyć się to rozpoznawać.

Światło żarówki na korytarzu zamigotało. Zgaśnie, nie zgaśnie? Ogarnął mnie niepokój. Zawsze bałam się ciemności, nawet jeśli ktoś mi towarzyszył w domu. Błąd – kiedy zapadała ciemność, byłam najbardziej samotną dziewczynką na świecie, choćby koło mnie stali rodzice, koleżanki czy przypadkowi ludzie. Ojciec kupił mi małą lampkę, która świeciła przez całą noc, nawet gdy pogrążałam się w głębokim śnie. Z powodu tej dziwnej przypadłości nie jeździłam na szkolne wycieczki. Tam gaszono światło, a ja wpadałam w histerię, czego nie potrafili zrozumieć ani moi nauczyciele, ani tym bardziej koledzy.

Żarówka migotała jeszcze chwilę, dając złudną nadzieję, że przełamie impas i zabłyśnie, ale zamiast tego wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby rżenie, i zgasła. Natychmiast oblała mnie fala paniki.

– O rany... – usłyszałam głos Justyny i szelest, z jakim czyjś rękaw otarł się o kieszeń bluzy. – Nic nie widać.

Oddychałam głęboko, robiło mi się niedobrze. Obym tylko nie wymiotowała pod własne nogi albo, co gorsza, na którąś z dziewczyn. Nagle zabłyśnięcie światła latarki, a ja odetchnęłam z ulgą. Naprawdę nie potrzebowałam wiele. Wystarczyło światło ulicznej latarni, ciepłe migotanie w głębi korytarza,

nawet księżyc, jeśli jasno świecił. Przerazały mnie jedynie całkowite ciemności.

– Marzena ledwie dycha ze strachu – zachichotała Kaśka. Zobaczyłam w wyobraźni, jak wskazuje na moje wilgotne czoło brudnym od długopisu palcem. Paznokcie miała zawsze obgryzione do krwi, teraz zapewne jej palec wskazujący był wycelowany w moje szesnastoletnie, trzęsące się ze strachu jestestwo.

Dziewczyny nie wiedziały o mojej przypadłości, bo się nią nie chwaliłam. Może zresztą czegoś się domyślały, po tym jak w zeszłym roku nie pojechałam na wycieczkę klasową do Krakowa, ale raczej nie potrafiłyby wyobrazić sobie tego paraliżującego lęku, macek strachu ściskających pierś i wnikaających do mózgu. Justyna machała nonszalancko latarką, światło zakreślało kręgi po ścianach klatki schodowej, a ja modliłam się, by bateria się nie wyczerpała. Rozejrzałam się wokoło. Panika sprawiła, że zapomniałam, gdzie się znalazłam.

– Na szczęście ciocia Justynka myśli za was wszystkie – mruknęła i dała znak ręką, a my znów zaczęłyśmy wspinaczkę na strych.

– Może dziś sobie odpuścimy? – zaryzykowałam pytanie. Za wszelką cenę chciałam znaleźć się na powietrzu, pośród blasku ulicznych latarni.

– Bo żarówka zgasła? – mruknęła ze zdumieniem. – Na strychu jest światło, nie bój się.

Justyna Krygier, najlepsza uczennica w klasie, była naszą przywódczynią. To ona wymyśliła tajne stowarzyszenie, ukradkowe spotkania i dyskusje o otaczającej nas rzeczywistości. Strych należał kiedyś do jej siostry. Razem z mężem i dzieckiem przez dwa lata zajmowała niewielki pokój z kuchnią i toaletą, wydarty spółdzielni mieszkaniowej i wyremontowany własnym sumptem. Wyprowadzili się, kiedy szwagier Justyny złapał wiatr w żagle i zajął się handlem bluzkami tureckimi z metalowej szczęki rozpiętej przy stacji kolejki podmiejskiej. Rodzice Justyny mieli kancelarię prawną i choć mieszkali w bloku, wstydzili się takiego zięcia oraz córki, która tuż po maturze urodziła dziecko, a potem wzięła pospieszny ślub w bluzce ze studniówki i plisowanej spódnicy z butik. Kiedy jednak po roku młoda rodzina nabyła bliźniak w willowej dzielnicy, wszyscy na powrót zaczęli pytać starych Krygierów: „Co tam słyszeć u Małgosi?”, a oni jednym głosem odpowiadali: „Wszystko bardzo dobrze, wnuczek śliczny i mądry, a Małgosia opływa w dostatki”. Mój ojciec skomentował wtedy ironicznie, że tym sposobem handel tureckimi ubraniami okazał się jednak nobilitujący. Strych, do którego właśnie zmierzałyśmy, pozostał pusty, gdyż spółdzielnia mieszkaniowa, nauczona doświadczeniem darmowego goszczenia półdzikich lokatorów, nikomu nie udostępniła „mieszkania”. Na szczęście dla nas, bo teraz właśnie stałyśmy przed odrapanymi drzwiami naszej kryjówki. Justyna sięgnęła po klucz sprytnie ukryty za cegłą i otworzyła drzwi.

Uwierzcie mi, nie chciałam tam być. Przynajmniej nie dziś. Miałam jeszcze do napisania wypracowanie na temat cech romantycznych Gustawa-Konrada

i potrzebowałam co najmniej trzech godzin, by zrobić to naprawdę dobrze. Zależało mi na ocenie z polskiego. Okłamałam rodzinę, że idę na zbiórkę harcerską, chociaż z harcerstwa wypisałam się zaraz po pierwszym spotkaniu. Nie złożyłam nawet przyrzeczenia. Mama była harcerką i uważała tę organizację i wszelkie idiotyzmy w stylu zbiórek, obozów, gdzie sypia się na gołej ziemi, i darmowych prac na rzecz innych za szczyt marzeń zakompleksionej szesnastolatki. Do dziś nie wiem, czemu w ogóle zgodziłam się pójść na pierwszą zbiórkę.

– No dobra, siadamy – zakomenderowała Justyna, po czym zajęła miejsce na pufie i oparła się o ścianę.

Strych był prawie pusty. Po meblach zostały jedynie zarysowania na gumoleum, tylko wściekle różowa pufa świadczyła o tym, że kiedyś znajdowało się tu coś więcej niż suszarnia bielizny. Ja, Kaśka i Julia usiadłyśmy naprzeciwko na zakurzonym kocu. Miałam na sobie krótką spódnice do połowy uda. Bardzo dobrze w niej wyglądałam, dlatego nosiłam ją prawie co dzień. Uszyłam ją z wykroju, a materiał dała mi jeszcze babcia. Do tego włożyłam sweter o skomplikowanym wzorze, który dziergałam przez całą zeszłą zimę z nadzieją, że komuś wreszcie się spodoba. Chciałam, by Paweł Bałak, najfajniejszy chłopak w klasie, chociaż raz na dłużej zawiesił na mnie wzrok. Niestety, nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, wodził oczami za Kaśką, czasem za Justyną. Dzięki swetrowi jednak podeszła do mnie na przerwie Justyna i spytała, czy chcę iść po szkole na pizzę. Bardzo chciałam. Towarzystwo Justyny było bezcenne. Najlepsza w klasie, prawie tak ładna jak Kaśka, a jej bardzo bogaci rodzice pozwalali na urządzenie imprez w domu i wychodzili sobie w tym czasie do kina, zamiast tkwić w sąsiednim pokoju i nasłuchiwać. Nie poszłyśmy wtedy na pizzę, tylko na strych, gdzie zostałam wtajemniczona i wprowadzona do paczki, w której oprócz mnie była jeszcze Kaśka – najładniejsza dziewczyna w klasie i najlepsza przyjaciółka Justyny, mimo tych nieszczęsnych paznokci. Teraz miała dołączyć do nas także Julia. Justyna tak zarządziła.

– Czemu ona? – spytałam, kiedy kilka dni temu oznajmiła mi to na dużej przerwie w stołówce, odsuwając z obrzydzeniem zupę pomidorową i rezygnując demonstracyjnie z drugiego dania.

– Bo tak – powiedziała z prostotą.

– A co ci się nie podoba? – spytała przekornie Kaśka.

Wzruszyłam ramionami. Julia była nikim. Nie błyszczała na lekcjach, no może z wyjątkiem WF-u, bo w podstawówce grała w koszykówkę w najlepszej drużynie w całym mieście. Z polskiego, biologii i historii miała trójki, z angielskiego zaliczała sprawdziany, ale mówiła źle, z dziwnym akcentem, wzbudzając śmiech politowania naszej Miss Saigon. Z matmy ledwie wyciągała trójkę, siedziała na lekcji niczym trusia, czym wzbudzała agresję Liczbaka, sadysty

z natury, przyjmującego wszelką słabość z błyskiem okrucieństwa w błękitnych oczach. Takie jak Julia prowokowały go i z mrocznych zakamarków jego wypełnionej liczbami duszy wyciągały coś więcej, niż jedynie chęć pognębienia słabej uczennicy. Liczbak znęcał się nad Julią jak kot nad myszą. Uderzał łapą, ale nie zabijał. Stawiał jej jedynekę z klasówki, a potem przyjmował na zajęcia wyrównawcze i doprowadzał do tego, że łapała ze dwie dwójki albo nawet trójki z minusem, a kiedy pełna nadziei zasiadała na lekcji, brał do odpowiedzi i zgniatał na miazgę. Julia z trudem to znosiła. Roztrzęsiona pochlipywała potem na przerwie, wraz ze łzami przełykając epitety Liczbaka w stylu „głupia” czy „tuman”. Nikt jej nie pocieszał ani nie okazywał wsparcia. Co więcej, nikt go nie potępiał, chociaż w dwutysięcznym roku takie praktyki i słowa „uwłaczające godności młodzieży” nie wróżyły nauczycielowi nic dobrego. Julia mogła liczyć jedynie na grzecznościowe gadki na przerwie z niektórymi, nie za bardzo popularnymi dziewczynami. Po jednej ze szczególnie obrzydliwych akcji Liczbaka chciałam nawet do niej podejść, ale wtedy zobaczyłam, jak Paweł szepcze jej do ucha, ściskając jej ramię, a ona spojrzała na niego z wdzięcznością i uśmiechnęła się. Zatrzymałam się w pół kroku oburzona na siebie, że w głowie zaświtał mi podobny pomysł. Już nigdy nie próbowałam okazać jej współczucia i nigdy też nie widziałam, by Justyna czy Kaśka zamieniły z nią chociaż słowo.

– Po prostu nie wiedziałam, że się z nią kumplujecie – powiedziałam wtedy Justynie, a ona się roześmiała, nie wyjaśniając mi niczego.

– Przyjmujemy ją do paczki i tyle. Jeśli nie chcesz, możesz nie przychodzić.

Mogłam zostać w domu i pisać to wypracowanie. To by wszystko zmieniło. Zawsze, gdy dzieje się coś złego, co narasta w powietrzu i podchodzi do gardła, człowiek chce się przed tym obronić, nawet jeśli nie umie tego nazwać, ale to i tak spada mu potem na głowę. Czułam, że coś jest nie tak. Mówił mi to błysk w oczach Justyny i chichot Kaśki w szkole, nawet to światło, które wtedy zgasło na korytarzu. Mówił mi to kurz na kocu i niechęć przed pobrudzeniem mojej najlepszej spódnicy. Idź stąd, Marzena, mówiło mi to coś, pewnie instynkt samozachowawczy, ale nie posłuchałam.

Ja naprawdę uważam, że los gra z nami *fair*, ostrzega, zagradza drogę, a my z uporem maniaka ignorujemy te sygnały, przeskakujemy nad przeszkodami, wyważamy zamknięte drzwi, rozbijając sobie głowę, a potem mamy pretensje, że nikt nie wysłał nam ostrzeżenia.

Siedziałam zatem zrezygnowana na zakurzonej kocu i patrzyłam na Justynę, która niczym mistrz ceremonii wstała, wyjęła z torebki świecę i zapaliła ją. My zawsze upychaliśmy pieniądze czy legitymację szkolną po kieszeniach, podczas gdy ona trzymała w konduktorze portfel, chusteczki higieniczne, legitymację, zapasowe gumki do włosów, spinki, wsuwki, a także – jak dziś się okazało – latarkę i świeczkę inicjacyjną. Słowem: była damą wśród nieopierzonych

gówniar, a przynajmniej za taką starała się uchodzić.

– Chcesz być w naszej paczce? – spytała przyjaznym tonem.

– Przecież przyszłam – Julia uśmiechnęła się nerwowo. – A ta wasza paczka co robi? Nie mówiłyście wcześniej...

Może zaniepokoiły ją nasze miny: uroczysta Justyny, moja niepewna i skrzywiona, ładna buzia Kaśki. Może, kiedy zobaczyła torebkę i tę nieszczęsną świeczkę, zamigotało w niej przekonanie, że ten wieczór nie będzie taki jak inne. Może nawet podobnie jak ja czuła, że już nic nie będzie takie samo.

– Nic nie robi – odpowiedziała jej Justyna. – Pomagamy sobie we wszystkim, jak ktoś nie ma kasy, to się zrzucamy, no wiesz... trzymamy się razem. Gadamy o różnych sprawach.

Pierwsze słyszę, by ktoś komuś pożyczał tu pieniądze. W zeszłym roku nie miałam kasy na prezenty pod choinkę dla rodziny. Mówiłam to dziewczynom, ale nie okazały nawet współczucia, nie mówiąc już o pożyczeniu pieniędzy. Wyraziły jedynie zdumienie, że kupuję prezenty na gwiazdkę. One tylko dostawały upominki, same ich nie dawały.

– Pożyczamy sobie ciuchy – dodała Kaśka. – To właściwie takie najważniejsze, co robimy.

Też pierwsze słyszę. Moi rodzice nie byli najzamożniejsi, nie chodziłam w bluzkach i zwiewnych, modnych kieckach z butiku. Czasem udało się wypatrzeć coś w lumpeksie albo w India Shopie. Najczęściej sama szylałam sobie rzeczy, pożyczalam koszule od ojca, albo przerabiałam je na bluzki i kamizelki. Nawet jeśli mi się podobały, to i tak nikt nie mówił, że wyglądam fajnie. Justyna i Kaśka nigdy mnie nie poprosiły o pożyczenie czegoś. Nic dziwnego, skoro na szkolne dyskoteki przychodziły zawsze odstrzelone w ciuchy z najfajniejszych sklepów albo przywiezione przez ciotki czy kuzynki z zagranicy.

– Ja nie mam żadnych fajnych ciuchów – zmartwiła się Julia.

Rzeczywiście, nie miała. Chodziła na okrągło w ciemnych, wąskich spodniach, podkreślających szczupłe, bardzo zgrabne nogi, których jej zazdrościłam, i takich sobie swetrach – ani ładnych, ani brzydkich, ani drogich. Pod szyję wkładała chusteczki ze sklepów indyjskich. Kupowała ich dużo, od bardzo kolorowych aż po stonowane i wkładała je w zależności od okazji, na przykład podczas uroczystości szkolnych nosiła biało-granatową. Dziś wyjątkowo nie miała nic pod szyją. Dziwne, wydawało mi się, że ona nic dla mnie nie znaczy, ledwie dostrzegam jej istnienie, a tak wnikliwie ją obserwowałam.

– Masz fajne apaszki – powiedziałam i pożałowałam tego, bo wyszło, jakbym chciała jedną od niej pożyczyć, a nie powiedzieć coś miłego.

– No, ale dziś nie włożyłam. – Popatrzyła na mnie z wdzięcznością, ale zaraz potem na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie. – Chyba pierwszy raz w życiu.

– Trudno. – Justyna wzięła się pod boki. – Następnym razem wymienimy się

jakimiś ciuchami, żeby podkreślić nasze braterstwo.

Co za bzdury, braterstwo, siostrzeństwo, pieprzenie o niczym, pomyślałam. Kaśka podeszła do Julii i dała jej bransoletkę z rzemyków, którą zdjęła z ręki.

– Weź – powiedziała. – Pasuje ci do tych spodni. – A gdy ta się zawahała, podsunęła jej bransoletkę prawie pod sam nos. – Weź – powtórzyła. – Nie musisz mi nic dawać. Ani teraz, ani w ogóle.

Julia wzięła bransoletkę z wahaniem. Justyna spojrzała na Kaśkę, jakby ta zrobiła coś, czego z nią nie ustalała, ale zaraz wyjęła z torebki ładną, jedwabną chusteczkę.

– Proszę.

Julia niepewnie wzięła chusteczkę, patrzyła chwilę z podziwem, zachwycając się delikatnym materiałem, i schowała do kieszeni. Potem okręciła rzemyk wokół prawego przegubu. Wszystkie oczy skierowały się teraz na mnie. Spodziewałam się tego i nie wiedziałam, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie miałam ani bransoletki, ani jedwabnych chusteczek do nosa. Włosy wiązałam kolorową gumką, ale to była zwyczajna, czerwona gumka ze sklepu, w dodatku znoszona. Nie wypadało jej dawać nikomu. Nie mówiąc już o tym, że wtedy wszyscy zobaczyliby moje rozpuszczone włosy, które powinnam wczoraj umyć. Myślałam co dwa dni, pierwszego nosiłam rozpuszczone, następnego upinałam w wysoki kucyk. Właśnie, dziś wieczorem muszę nie tylko napisać wypracowanie, ale jeszcze umyć i wysuszyć włosy. Bliska paniki, przypomniałam sobie nagle o cienkim, różowym paseczku, kupionym w pasmanterii. Nie miał dziurek, źle się trzymał i trzeba go było w kółko poprawiać, ale nic innego nie nadawało się na prezent. Zdjęłam go szybko i podałam Julii.

– Nie... – powiedziała. – Taki ładny... Nie mogę go wziąć.

– Weź – powtórzyłam stanowczo. Co ona sobie myślała? Wzięła chusteczkę i bransoletkę, a paska nie chciała?

Na mojej twarzy musiała się odbić przykrość, bo dziewczyna podwinęła sweter i włożyła pasek w szlufki spodni, uśmiechając się przy tym do mnie. Wyglądało to całkiem fajnie.

– Ja naprawdę nic przy sobie nie mam, chustkę na szyję mogę wam dać jutro – zapewniała z niepewną miną.

– Nie musisz, naprawdę – przerwałam jej. Przyszło mi do głowy, że te chustki to jej jedyna cenna rzecz i może nie chce ich rozdawać.

– Najfajniejsze to są majtki – zachichotała nagle rozluźniona. – Ciocia mi przywiozła z Niemiec. – Rozpięła szybko suwak od spodni i zsunęła je trochę. Majtki kończyły się nisko pod brzuchem, były intensywnie różowe z czarnym napisem *Monday*. Faktycznie, dziś był poniedziałek.

– Super – westchnęła z podziwem Kaśka.

– Dostałam siedem par, każda jest innego koloru na inny dzień tygodnia –



kontynuowała ożywiona.

– Dawaj – powiedziała Justyna, a ja spojrzałam na nią ze zdumieniem.

Nie wierzę, będzie nosiła czyjeś majtki, nawet bardzo fajne? Serio? Przecież Julia ich nie ściągnie. Co innego bransoletka, chustka czy pasek, co innego bielizna. Jednak ona nawet się nie zawahała. Jakby to było coś zupełnie zwyczajnego, ściągnęła szybko spodnie, a potem majtki. Przez sekundę, zanim zasłoniła się swetrem, zobaczyłam jej włosy łonowe, krótkie, jasne, spoczywały na skórze jeden obok drugiego w eleganckim porządku. Coś mi się przewróciło w brzuchu i zawstydziałam się tego nagłego podniecenia. Moje włosy przypominały raczej potarganą wiatrem kępę na wydmie, nienawidziłam ich i ukradkiem ścinałam nożyczkami, więc odrastały jeszcze bardziej twarde i brzydkie.

Z gołymi nogami, zupełnie odkryta, wydała mi się jeszcze ładniejsza. Podała majtki Justynie, słusznie rozumując, że to ona tu rządzi i ona właśnie zabierze do domu trofeum. Ta przechwyciła różowe cudo, zwinęła i włożyła do torebki. Minę miała nieodgadnioną. Tymczasem Julia zdążyła włożyć spodnie na goły tyłek.

– Trochę dziwnie – zachichotała.

– Coś ci się, Marzenko, nie podoba? – w tonie Justyny zabrzmiała groźba.

Musiałam kiepsko maskować moją reakcję na widok obnażonej Julii.

– Pewnie sama chciała te majtki – zaśmiała się Kaśka.

Przełknęłam ślinę. Wszystko było takie dziwne, chociaż obiektywnie nic takiego się nie stało. Każda z nas dała coś od siebie, nic takiego. Nic, co by mogło prowadzić do katastrofy, którą odczuwałam każdą komórką swojego ciała.

– Jutro mogę przynieść. – Julia z zadowoleniem głaskała bransoletkę z rzemyków.

– Nie trzeba – odpowiedziałam jej, ignorując zupełnie Justynę.

Nie mogłabym wytłumaczyć mamie, skąd mam taką bieliznę. Mama Justyny, elegancka pani mecenas, wyglądała mi na kogoś, kto przegląda garderobę swoich dzieci, zwłaszcza intymną. Może Justyna nie zamierza nosić tych majtek, tylko je sobie schowa i będzie oglądać od czasu do czasu? W sumie dość obrzydliwe.

– Pytałam, czy coś ci się nie podoba – powtórzyła, wpatrując się we mnie, a ja wzruszyłam ramionami.

– Skoro chciała wam TO oddać, to ja... mnie tam wszystko jedno – rzuciłam w przestrzeń. – Możemy już zacząć?

– Co zacząć? – zdumiała się Kaśka.

Miałam na myśli rozpoczęcie rozmowy, tego obgadywania, opowiadania, jak to Renata czy Grażyna beznadziejnie się ubierają, jakie noszą wsiowe szaliki, swetry, bluzki i czapki, o butach nie wspomnę. Z butami w ogóle jest najgorzej. O ile tamte rzeczy można wydzierać, uszyć, przerobić, wykombinować, o tyle z butami nic nie da się zrobić. Po butach widać, kto pochodzi ze zwyczajnej,

niezaradnej rodziny, w której nikt nie jeździ do Berlina po czółenka czy fajne botki. Takiej jak moja i najwyraźniej też Julii. Na nogach miała zwykle adidasy, choć spadł już pierwszy śnieg. Zdawała sobie sprawę z tego, że buty ją demaskują, więc włożyła do nich kolorowe sznurówki, by w ten prosty sposób ożywić swój nijaki strój i podkreślić osobowość.

– Nie zaczniemy, bo nie skończyłyśmy ceremonii inicjacji. – Justyna wbiła we mnie ciężkie spojrzenie.

Chwila, kiedy Julia była górą po oddaniu własnych majtek, minęła. Znowu spoglądała na nas niepewnie, bawiąc się bransoletką. My z Kaśką także wymieniliśmy spojrzenia. Minęła już godzina, robiło się późno. Powinnyśmy pogadać krótko, a potem iść do domu, do wypracowania.

– Podejdz tu, moja droga – powiedziała Justyna uroczyście, a kiedy ta wstała i podeszła do niej, uśmiechając się nerwowo, wskazała jej pufę: – Siadaj.

Dziewczyna odrzuciła do tyłu rozpuszczone blond włosy i usiadła. Jej ładna twarz zaśniła w blasku świecy.

– Przyjmujemy cię dziś do naszej organizacji – zaczęła mistrzyni ceremonii. – Będziesz jedną z nas. Chcesz tego czy nie?

Julia przełknęła ślinę i po chwili wahania odparła:

– Chcę.

Przez myśl przemknęło mi, że Kaśka wcale nie jest najładniejsza w klasie, na pewno nie ładniejsza od Julii ani nawet ode mnie. Nagle poczułam się bardziej pewna siebie i zaczęłam się przyglądać wszystkim trzem dziewczynom. Julia miała regularne rysy twarzy, pięknie wykrojone wargi i duże brązowe oczy, co przy blond włosach dawało bardzo ciekawy efekt. Kaśka wyglądała przy niej pospolicie, a gdyby z Justyny zdjąć dobre ciuchy i zmyć makijaż, byłaby zupełnie nijaka. Uśmiechnęłam się do tej myśli.

– Powtarzaj – zarządziła Justyna. – Będę zawsze lojalna wobec swoich siostr.

Julia powtórzyła nieco pewniejszym głosem. Zastanawiałam się, o co może chodzić. Kiedy ja po raz pierwszy trafiłam na strych, nie poddały mnie żadnej ceremonii. Szczerze mówiąc, było dość nudno. Dziewczyny obgadywały wtedy wszystkie koleżanki z klasy pod kątem wyglądu, pieniędzy, sposobu ubierania się i wysławiania. Potem stwierdziły, że przepiszą ode mnie polski, bo nie robiły notatek na lekcji, a przepisując, wspomniały o Pawle i dziewczynach, którym on się podoba, komentując, dlaczego żadna nie ma u niego szans. Doskonale wiedziałam, że zanim zostałam zaproszona na strych, rozmawiały w ten sposób i o mnie.

– Nigdy nie zdradzę tajemnic siostr, od dziś moich najlepszych przyjaciółek.

Julia ponownie powtórzyła słowa Justyny. Uśmiechnęła się nawet. Wyraźnie uznała, że nic jej nie grozi.

– Będę strzegła wszelkich tajemnic, nawet gdyby mnie bili, przypalali ogniem i wyrwali włosy. – Chociaż prowadząca ceremonię miała groźną minę, Julia uśmiechała się. Ja też rozluźniłam mięśnie. Przecież to była zabawa. – A teraz zostaniesz poddana próbie. Wyciągnij rękę.

Jak oniemiała patrzyłam na wyciągnięte ramię dziewczyny i zbliżającą się do jej białej skóry świecę.

– Co ty robisz?! – krzyknęła Kaśka, zrywając się z koca. Najwyraźniej nie ustaliły tego wcześniej.

Płomień dosięgnął przedramienia. Dotykał jej tylko chwilę, ale ona nie cofnęła ręki i nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Zaciśnęła zęby, a z oczu pociekły jej łzy. Nie mogłam się ruszyć, a serce podeszło mi do gardła. Dlaczego Justyna to zrobiła i, co ważniejsze, czemu Julia pozwoliła na coś takiego? Kim trzeba być, jak bardzo chcieć czyjejś sympatii, żeby pozwolić sobie wyrządzić krzywdę? Pulsował we mnie strach i wstyd. Co teraz? Mnie też zechcą poddać tej ceremonii? A jeśli tak, to co zrobię – sprzeciwię się czy dam oparzyć jak Julia?

– A teraz... – kontynuowała Justyna, jakby jej było mało tego, co zrobiła.

W rękę trzymała małe nożyczki, których używała na plastyce i niechętnie pożyczła, bo, jak się wyrażała, szczoteczki do zębów, chłopaka i nożyczek się nie pożyczca. Śmieszne, że sobie to przypominałam. Nadal nic nie mówiłam, sparaliżowana dziwną niemocą. Kaśka też nie, chociaż ona w przeciwieństwie do mnie odwróciła głowę, kiedy Justyna odcięła Julii kosmyk włosów. Ta ani drgnęła, przyjmując przykrości z zagadkowym uśmiechem. Już otarła łzy po bólu, jaki sprawił jej płomień świecy. Rzeczywiście, po tym obcięcie włosów to już właściwie nic takiego. Kosmyki sterczały brzydko przy jej twarzy, bo Justyna ścięła cienkie pasmo tuż przy uchu krzywo i byle jak. Zemdliło mnie ponownie, gdy poczułam rozchodzący się zapach spalenizny, kiedy wrzuciła kosmyk wprost do płomienia świecy. Po chwili oprócz swądu po włosach pozostały maleńkie czarne kropki pływające na stearynie. Chciałam powiedzieć, że przesadziła, wierzcie mi, miałam taki zamiar. Przecież tak się nie robi. To jest czynna napaść. To krzywdzenie innego człowieka i wykorzystywanie sytuacji. Argumenty przelatywały mi przez głowę. Tylko, usprawiedliwiałam się przed sobą, powiem jej to, kiedy Julii z nami nie będzie. Nie mogę zrobić tego przy niej. To byłoby niełojalne. Na twarzy Kaśki widziałam te same odczucia. Też nic nie mówiła, gryzła jedynie paznokcie, choć nie miała już ani skrawka do obgryzienia, i krzywiła się od czasu do czasu z bólu.

– I na koniec... – Justyna podeszła do Julii i uderzyła ją w twarz otwartą dłonią.

Tym razem zamknęłam oczy, a Kaśka jęknęła. Z jej paznokcia kapała krew. Musiała odgryźć sobie kawałek skórki.

– Podejdźcie i zróbcie to samo – zakomenderowała Justyna, wyraźnie

zadowolona z tego, że Julia nie tylko przyjmuje te tortury pogodnie, ale że my wszystkie patrzymy na nią z lękiem.

Teraz powinnyśmy wreszcie powiedzieć „nie” i stąd wyjść. JA powinnam powiedzieć „nie”, zabrać Julię i wyjść, zachowując twarz. Naprawdę tak nie można postępować. To jest coś niewyobrażalnego, na co nie można się zgodzić. Nie mogłam spojrzeć w oczy żadnej z nich. Nie czułam złości, tylko żal i wstyd. Myślałam tylko o tym, jak wiele bym dała, by cofnąć czas i powiedzieć im, że dzisiaj nie mogę przyjść, mama mnie nie puści, bo muszę zrobić coś innego, cokolwiek, iść na grób babci, zrobić zakupy, ugotować zupę albo sprzątać. Czekałam, aż Kaśka oznajmi, że tego nie robi, by dodać: „Właśnie, ja też nie”. Wtedy to się skończy. Wyjdziemy stąd i pewnie nigdy nie wrócimy, na przerwach nie będziemy już rozmawiać. Między nami zawisną pretensje i niedopowiedzenia, ale zachowamy się przyzwoicie. Nigdy nie jest za późno, by się przeciwstawić.

Kaśka podeszła szybko i pacnęła ją w drugi policzek. Julia oblała się rumieńcem, potem spojrzała na mnie. Może mi się wydawało, ale w jej wzroku nie zobaczyłam pretensji, tylko zaciekawienie. Może chciała się przekonać, do czego jesteśmy zdolne. Z jej oczu wyzierało nieme pytanie: „Czy na tym skończycie? A może mnie zamordujecie i poćwiartujecie zwłoki?”.

Na sztywnych nogach podeszłam i uderzyłam najlżej, jak tylko potrafiłam, właściwie dotknęłam policzka otwartą dłonią, nie patrząc jej w oczy, nienawidząc się coraz bardziej i marząc jedynie o wyjściu stąd. Przypomniałam sobie czerń korytarza czekającą na mnie za drzwiami i wydała mi się ona rajem w porównaniu z tym, co działo się tutaj. Chciałam uciec, ale nie wyobrażałam sobie, jak wrócę do domu i usiądę do wypracowania. Po prostu nie wyobrażałam sobie tego.

– Teraz jesteś jedną z nas. Od jutra siedzisz z Marzeną – ponownie rozległ się głos Justyny. – Pomagamy ci w lekcjach i takie tam. Możesz na nas liczyć we wszystkim. We wszystkim – dodała z naciskiem.

Rytuały najwyraźniej się skończyły albo zabrakło jej pomysłów na dręczenie Julii. Ta pokiwała głową. Na twarzy nie miała wypisanej ani ulgi, ani pretensji. Jakby było jej już wszystko jedno.

– Dzięki – rzuciła w moją stronę.

Nie rozumiałam, czy dziękuje mi za to, że nie uderzyłam jej mocno, czy też za to, że będę z nią dzielić ławkę. Z tym mógł być pewien kłopot. Siedziałam z Renatą od samego początku liceum i nie wiedziałam, jak poprosić, by się przesiadła, bo teraz usiądę z kimś innym. Justyna siedziała z Kaśką, a najwyższa z nas Julia sama na końcu klasy. Mogła co prawda dosiąść się do Pawła, ale z jakiegoś powodu zajęła osobną ławkę.

Renata mieszkała w sąsiedniej klatce, nasze matki chodziły razem do podstawówki i liceum, zupełnie tak jak my. Nie łączyła mnie z nią jakaś szczególna zażyłość, przyjaźń na śmierć i życie czy coś takiego, ale lubiłam ją. Była dobrą

koleżanką, spokojną, wyważoną i poukładaną. Nie obgadywała nikogo dla samego obgadywania. Nie dzieliła ludzi na lepszych i gorszych. Nie kpiła z tych, którzy nie mieli pieniędzy na zakupy w butikach. Potrafiła podpowiedzieć na polskim, matmie czy biologii, bez różnicy. Ani najładniejsza, ani najmądrzejsza, ani najfajniejsza – gdzieś pośrodku, dokładnie tak jak ja, ale mimo wszystko ciut niżej ode mnie. Niżej w hierarchii, skoro ja byłam tu, a ona zapewne pochylona nad wypracowaniem albo zadaniami z matmy.

– Ewakuacja – oznajmiła Justyna wielce z siebie zadowolona. Podeszła do Julii i objęła ją ramieniem. – Naprawdę się cieszę – dodała.

– Ja też – pospieszyła Kaśka. Krwawiący palec owinęła sobie chusteczką.

– Ja bardzo – powiedziałam idiotycznie, bo z przerażeniem myślałam wyłącznie o konsekwencjach, wypracowaniu, którego pewnie nie napiszę, oraz wzroku Renaty, kiedy oznajmię, że siedzę z Julią.

Ona milczała, ale patrzyła na nas spokojnie. W jej oczach nie widziałam pretensji. Właściwie to nic w nich nie było, prócz obojętności. Po łzach nie pozostał najmniejszy ślad. Wstała i zaczęła się ubierać, ostrożnie wkładając oparzone przedramię do rękawa kurtki.

– Ostatnia chowa klucz. Jak zwykle – rzuciła Justyna, po czym szybko wybiegła ze strychu, a ja nie zdążyłam krzyknąć za nią, żeby zostawiła mi latarkę.

Pięknie. Będzie ciemno, migotało mi w głowie, będę się bała, co ja teraz zrobię? Spojrzałam na Kaśkę. Ubierała się ze spuszczoną głową, zerkając na drzwi, jakby zastanawiała się, czy Justyna nie wróci. Zostałyśmy same z Julią. Mogłam spytać, czy nie ma pretensji albo przeprosić i wyjaśnić, że tak naprawdę ja tego nie chciałam i nie wiedziałam, że Justyna planuje takie... rzeczy. Majtek zwrócić nie mogłam, ale okazać wsparcie i poprosić o wybaczenie, owszem.

– Może pójdziemy razem? – spytała. – Mieszkam trochę dalej niż wy, ale...

Nie wiedziałam, gdzie mieszka. Nie chodziła z nami po szkole do domu, nie pamiętałam nawet, czy po wyjściu ze szkoły skręca w prawo, czy w lewo. Nic nie wiedziałam. Już chciałam z ulgą przytaknąć, tak, oczywiście, jasne! Wspólny powrót wiele mógł zmienić. Mogłyśmy pogadać jak dobre koleżanki, jak siostry.

– Spieszmy się – odpowiedziała szybko Kaśka. – Poza tym mieszkasz na innym osiedlu. Po co nadkładać drogi?

Znów się nie odezwałam. Co z tego, że mieszkała daleko od nas, może nawet po przeciwnej stronie miasta, skoro chciała iść z nami? Nadkładała drogi, ale to jej sprawa. Chciałam powiedzieć, by z nami poszła, ale stałam niczym kołek, unikając ich wzroku. Jesteś tchórzem, wyrzucałam sobie, cholernym tchórzem, Marzena. Wszystkiego się boisz, ciemności, Justyny, tego, co inni powiedzą albo czego nie powiedzą. Zasłużyłaś na to, by ktoś zamknął cię w ciemnej piwnicy.

Po Justynie nie było śladu. Musiała już wyjść z budynku, bo nie słyszałam kroków na niższych piętrach. Kaśka zamknęła drzwi i przekręciła klucz i w tym

momencie oblała mnie czerń. W jedną sekundę demony ciemności wróciły i schowały się w mojej głowie. Mokra od potu złapałam się poręczy.

– Daj mi rękę – odezwała się cicho Julia. Wydawało mi się, że ten głos jest nierzeczywisty. Dygotałam ze strachu, panika zacisnęła zimne lepkie palce na moim gardle. Jakim cudem wyczuła to Julia, skoro nie mogła mnie widzieć?

– Nie trzeba – wydusiłam z wysiłkiem. Jeszcze tylko tego brakowało, by mi pomagała, po tym, co jej zrobiłam. Chciałam ponieść karę adekwatną do winy.

– Widzę w ciemności – powiedziała lekko.

Wydawało mi się, że słyszę cichutki śmiech. Poczułam, jak jej dłoń delikatnie wsuwa się w moją i ścisną ją. Dotyk nie uspokoił mnie, raczej wywołał wyrzuty sumienia. Tą samą ręką, którą teraz ona trzymała, uderzyłam ją w twarz. Naprawdę nienawidziłam się za to, ona musiała nienawidzić mnie bardziej. Dlaczego zatem chciała mi pomóc? A może wcale nie chciała, tylko karmiła się moim strachem, czerpała radość z tego, że teraz to ja znalazłam się w sytuacji bez wyjścia.

– Jak to, widzisz w ciemności? – usłyszałam pozbawiony emocji głos Kaśki, odarty ze wszelkich wyrzutów sumienia, głos zupełnie zwyczajny, przechodzący do porządku dziennego nad tym, co stało się na strychu, jakbyśmy wraz z zamknięciem drzwi zamknęły też tamtą historię.

– Tata mówi, że mam wyjątkowe czucie wewnętrzne – powiedziała pogodnie Julia. Jej głos wręcz koił.

– Dlaczego? – zapytała Kaśka.

Odliczałam stopnie. Do parteru wciąż pozostawało pięć pięter. Każde piętro to dwadzieścia schodków w dwóch częściach po dziesięć. Jeden, dwa... liczyłam, nie skupiając się na paplaninie dziewczyn. Dotyk wreszcie zaczynał być miły i potrzebny. Ścisnęłam lekko jej rękę, a ona natychmiast oddała uścisk.

– Liczysz schodki? – spytała. – Już niedaleko.

Wyczuwała moje emocje. Może tam na strychu zrozumiała, że nie chcę jej uderzyć, nie chcę poniżyć. Jeśli tak, musiała też znać moje wcześniejsze wrażenia, tę niską i podłą myśl, że ona jest nikim. Modliłam się w duchu, by jej mniemanie o mnie całkowicie się zmieniło, tak jak moje o niej. Już stała się kimś, kogo bezmyślnie poniżyłyśmy, kto teraz trzymał moją dłoń w swojej ręce i koił irracjonalny strach. Gdyby wcześniej była przy mnie, za każdym razem, kiedy mama bezwzględnie gasiła światło, a ja przeżywałam dramat, bo mimo upływu lat spod łóżka wciąż wyłaziły potwory i oblepiały moje gardło swoimi mackami, nie bałabym się tak bardzo.

– Otwórz oczy, Marzena. – Kaśka szarpnęła mnie za ramię. – Przestań się wydurniać.

Stałyśmy na korytarzu. Przez szybkę w drzwiach prześwitywało światło ulicznych latarni. Zaczął prószyć śnieg.

– Boisz się ciemności, a zamykasz oczy. – Pokręciła głową. – Durna jesteś.

– A ty masz obgryzione palce, a nie przestajesz gryźć – ripostowałam.

Spokojny oddech wracał. Pot pozostawiał już tylko uczucie lepkości i zimna. Lęk ustępował. Twarz Julii błyszczała w mroku klatki schodowej.

– Dziękuję – powiedziałam do niej, a ona wzruszyła ramionami i nieprzyjemnie się wykrzywiła. Może zabolą ją oparzenie. Zranioną rękę trzymała nieco wyżej. Prawą sięgnęła do włosów, by schować odcięty kosmyk za ucho, ale okazał się za krótki i z uporem kładł się na jej twarzy. Znów była tamtą dziewczyną, którą napadłyśmy na strychu, obiecując przyjaźń.

– Odrośnie – zapewniłam, bo słowo „przepraszam” nie przechodziło mi przez gardło. Ponownie wzruszyła ramionami.

– Chodź, Marzena. – Pod nieobecność Justyny Kaśka postanowiła przejąć dowodzenie. – Musimy jeszcze napisać, wiesz co, polski.

Jakby Julia nie musiała napisać pracy na temat romantycznych cech Konrada. Stałam, dygocąc z zimna, na plecach czułam strużkę zimnego potu. Śnieg padał mi na twarz. Nie umiałam odejść.

– Chodź, kretynko. – Pociągnęła mnie za sobą.

– Cześć, do jutra. – Pomachałam Julii.

Pamiętam, że stała pod latarnią taka mała i drobna, a wiatr rozwiewał przyprószone śniegiem włosy. Krótka, szara kurtka, raczej jesienna niż zimowa, nie chroniła przed zimnem. Twarz jej się zaczerwieniła. Czemu nie wzięła czapki? Pewnie się przeziębi, przecież pod spodniami nie miała majtek ani rajstop. Po co Justyna to zrobiła?

Przeszliśmy w milczeniu nie więcej niż sto metrów, kiedy nagle Kaśka stanęła jak wryta.

– Ale ja jestem głupia! – Uderzyła się w czoło obleczone w rękawiczkę ręką.

– Zapomniałam tego... no... Idź, ja cię dogonię.

Nie wyjaśniła, czego zapomniała, ani nie zaproponowała, bym wróciła z nią. Może wzięła pod uwagę mój strach przed ciemnością i uważała, że odmówię powrotu na ciemne schody? Obejrzałam się. Już jej nie było. Zniknęła między blokami. Poczekałabym z Julią, ale jej też nie widziałam – miejsce, gdzie ją zostawiłyśmy, zasłaniały mi choinki rosnące przy drodze. Postąpiłam chwilę w świetle latarni wyczerpana tym popołudniem, najgorszym chyba w moim życiu.

– *Światło wiekuiste...* – ktoś wyśpiewał mi niemalże prosto do ucha.

Obejrzałam się gwałtownie.

– Przestraszył mnie pan – powiedziałam do Świętszego Pawła. – Czemu pan tak się skrada?

– *Nie skradam się* – zaprzeczył, śpiewając. – *Idę sobie i śpiewam. Patrzę, a tu panna nieroztropna wodzi wieczór na pokuszenie...*

Świętszy Paweł był kimś w rodzaju piewcy pogrzebowego. Całe miasto go

znało. Bywał na wszystkich pogrzebach, ludzi, których znał i których nie znał, starych i młodych. Odczuwał dziwny pociąg do zmarłych. Wyrastał spod ziemi tam, gdzie ktoś kończył swoje życie. Znajdował się w szpitalnych kostnicach, w domach pogrzebowych, w kościelnych kaplicach. I nie przestawał śpiewać. Ludzie wzdrygali się na jego widok. Jedni, ci przesądni, żegnali się nabożnie, inni omijali go zdenerwowani, bo nie wierzyli w to, że jest wysłannikiem kostuchy, albo zwracali mu uwagę, by przestał. Bo chyba nikt nie słyszał go mówiącego normalnym głosem. Świętszy Paweł pozostawał nieczuły na prośby i groźby, i nie przestawał śpiewać.

– *Jej dusza ulatujeeee* – zaintonował, nie ruszając się z miejsca i wpatrując we mnie wodnistymi oczkami.

Głos miał ładny, ale wzbudzał wstręt nie tylko ze względu na to, że ciągnął za sobą widmo śmierci. Jego wygląd odstraszał. Gdyby zamknąć oczy i tylko słuchać czystego niczym kryształ tenoru, można by odnieść wrażenie, że śpiewa ktoś bardzo młody i piękny. Świętszy Paweł natomiast, niski, chudy i zgarbiony, wodził oczkami po zgromadzonych wokół trumny ludziach, a kiedy otwierał usta, ukazywał zepsute zęby. Niektórzy się go bali, ja zupełnie nie. Mieszkał w pobliżu i widywałam go od dzieciństwa. Całe ranki spędzał w kościele na żałobnych mszach, a potem jechał z żałobnikami na cmentarz. Jeśli nie wpuszczano go do autobusu, nie nalegał, nie prosił, ale dziwnym trafem docierał na cmentarz w sam raz, aby zaintonować *Anielski orszak niech twą duszę przyjmie*, głuchy nawet na prośby księdza o zachowanie ciszy.

Według mnie pieśni przez niego intonowane były piękne i niezwykle oryginalne, ale najbardziej moją słabość do Świętszego Pawła uzasadniało to, że chciałam z niego uczynić postać mojej przyszłej powieści. Cóż bowiem bardziej literackiego od brzydkiego jak noc, śpiewającego dziwaka o anielskim głosie?

– *Zwiastuj jej śmierć, a potem życie... usłane różami anielskich łąk...*

– Dobrze, panie Pawle – powiedziałam. – Może wrócimy do domu?

Mogłabym pana doprowadzić?

Mieszkał w kawalerce w sąsiedniej klatce. Latem, kiedy nikogo nie żegnał, komponował swoje pieśni i wyśpiewywał je przy oknie, odwrócony w kierunku boiska szkolnego, obojętny na kamyki wrzucane mu do środka przez dzieciaki.

– *Ja odprowadzam ją na tamten świat. Świętszy świat, anielski świat, świętszy byt, pelen ognia...*

*Świętszy byt* to jego ulubiona pieśń i stąd wzięło się jego przezwisko. Babcia kiedyś powiedziała mi, że Paweł sam ją ułożył na okoliczność pogrzebu jego matki, która umarła przedwcześnie na jakąś zarazę. Potem tę pieśń śpiewał na pogrzebie babci, wprawiając w zakłopotanie naszą rodzinę z Wrocławia, gdyż ta najwidoczniej nie znała podobnego zjawiska.

Jego widok w ten zimowy wieczór tylko przez chwilę mnie przestraszył,



później uspokoił. Ponowiłam propozycję, aby wrócił ze mną do domu. Widzicie, znałam go dobrze i wiedziałam, że jeśli pójdzie na cmentarz, będzie siedział tam do późnej nocy, a potem dostanie zapalenia płuc, co kilkakrotnie zdarzyło się wcześniej. Nie chciałam mieć dziś na sumieniu kolejnego zaniedbania.

– *Świętszy byt, wieczorem blask opromienia postać twą* – nie ustępował, a na koniec posłał mi jedno ze swoich świdrujących spojrzeń, odwrócił się i poszedł, dalej pógłosem nucąc kolejne zwrotki.

Może spotka jedną z dziewczyn. Kaśka go znała, Julia – nie wiem. Lepiej, by jej nie dogonił, bo akurat ją mógłby przerazić.

Postałam jeszcze chwilę pod latarnią, chłonąc jej światło, zanim powlokłam się do domu. Pod blokiem jak zwykle uniosłam wzrok i szukałam Pikusia Don Kichota, upośledzonego chłopca, silnego jak tur, o umysłowości dziecka, który wiecznie stał w oknie i dniem i nocą obserwował otoczenie. Gdy wracałam wieczorem, wychodził na klatkę schodową i włączał światło. Nie wiem, kto powiedział mu o mojej fobii, może jego mama? W każdym razie pilnował, bym nawet przez chwilę nie musiała znosić ciemności. Teraz też na to liczyłam. Okno mieszkania Pikusia było jednak ciemne. Dziwne. Widział, jak wychodziłam, pomachał mi nawet, co w naszym prywatnym języku oznaczało, by czekał, aż wrócę. W dzień chadzał na zajęcia, gdzie pewnie uczył się być bardziej „normalnym”, ale wieczorami nie dało się go oderwać od okna. Zwłaszcza kiedy wiedział, że być może będę potrzebowała jego pomocy.

Co ja teraz zrobię? W oddali usłyszałam cichy gwizd. Ucieszyłam się. Jeden z moich sąsiadów, zwany przeze mnie Nosicielem, tak gwizdał na swojego psa. Postanowiłam poczekać, aż wróci do domu ze swoim brzydkim kundelkiem Gwizdkiem. Stałam kilka minut, skostniała z zimna, ale nie pojawił się. Może zresztą mi się wydawało. Z zimna i przerażenia miałam chyba omamy. Gdzieś między drzewami mignęła mi sylwetka kobiety. Liczyłam na Adamsową, sąsiadkę o co prawda innym nazwisku, ale za to bardzo podobną do Morticii Addams. Musiało mi się wydawać, bo kiedy znów tam spojrzałam, nikogo nie było. Nie mogłam dłużej stać. Nabrałam powietrza w płuca i ruszyłam w kierunku drzwi. Przeżyłam chwilę grozy na klatce schodowej, kiedy w połowie drogi zgasło światło. Na szczęście stałam akurat bardzo blisko włącznika i spanikowana od razu go nacisnęłam. Niechcący uruchomiłam też dzwonek do lokalu numer dziesięć. Dzwonek ostro zaterkotał. Westchnęłam. Wszystko dziś szło nie tak. Walczyłam z pokusą ucieczki do domu, ale gdyby Mimoza mnie zauważyła, byłoby głupio. Mimozy nie należało denerwować. Poczekałam, aż uchylą się drzwi, i wymamrotałam przeprosiny do bladego oblicza Marii Mizońskiej. Nazywałam ją Mimozą po kryjomu, żałując, że nie mogę powiedzieć głośno idealnie pasującego do niej przydomka. Maria wyglądała jak zwykle, czyli jak zjawa. Biała koszula nocna spływała po jej chudym ciele, siwe, kręcone włosy w nieładzie opadały jej

na ramiona, a szyję zasłaniały kościste dłonie o długich palcach.

– O co chodzi, o co chodzi? – spytała cicho. – Tak późno, tak późno...

Znów przeprosiłam. Mimoza powtarzała każde zdanie, może i ode mnie oczekiwała tego samego. Kiedyś ponoć była zupełnie normalna, nawet piękna, jak wyjaśnił mi ojciec, rumieniąc się przy tym. Niestety mąż pijak pięścią nadwyręzał jej urodę. Maria pracowała w bibliotece szkolnej i straszyla dzieciaki siniakami na twarzy. Mimo krzyków i codziennych awantur uparcie obwinała się o zbytnią niezdarność, a wszyscy przytakiwali i udawali, że wierzą, iż wpadła na szafkę lub spadła ze schodów, w rzekome zawroty głowy, przez które nagminnie się przewracała. Czasem nawet bezczelnie doradzali wizytę u specjalisty od tego typu zaburzeń, a najodważniejsi sugerowali to jej mężowi. Ten dziękował za rady i mówił, że musi „wziąć się” za żonę, bo ona o sobie nie dba i nie wie, co dla niej dobre. Mąż za to wiedział, czego Mimoza potrzebuje – podbitych oczu. Jego agresja przybierała najobrzydliwszą z form, bo kierował ją jedynie ku słabej żonie. Wobec innych zachowywał się grzecznie i ulegle. Jeździł jako kierowca w pogotowiu i ponoć był lubiany przez kolegów. Mój ojciec lubił ją i szanował, zawsze uprzejmie zamieniał kilka słów na korytarzu. Potem mamrotał coś o biednej Marii i jej trudnym życiu. Spytałam go kiedyś, czemu nie odeszła od męża. Nie patrząc na mnie, odparł, że miała nadzieję, iż on się zmieni, jakby cokolwiek wiedział o jej nadziejach. Może zresztą wiedział więcej, niż mi się wydawało. Płonna to musiała być nadzieja, bo pewnego razu pijany jak bela mąż Mimozy runął z balkonu i zginął na miejscu. Wydarzyło się to późnym wieczorem. Pamiętam wrzaski, jakie obudziły mnie ze snu, wyjąca karetkę pogotowia i policjantów tupiących na schodach po nocy. Według Mimozy to ona go zabiła, ale albo nikt w to nie uwierzył z racji jej wątlej postury, albo nie chciał uwierzyć, by ofiarować w ten sposób biedaczce nowe życie. Nie przyjęła jednak tego daru. Krzyczała, że powinni zabrać ją do więzienia i przykuć łańcuchami do ściany. Takie bzdury, jakby nasze więzienia przypominały te z XVIII wieku. Moim zdaniem przeniosła się w czasy swoich ulubionych bohaterów, galerników, więźniów, którzy trafili na katorgę za kradzież chleba dla umierających z głodu dzieci, i było jej z tym dobrze, ale mnie, dziesięciolatki, nikt nie pytał o zdanie. Nikt też nie zauważył, kiedy przekroczyła granicę między życiem w piekle a piekłem samym w sobie, czyli tym, co zostało w jej głowie. Zamiast odetchnąć, oddała się rozpacz, płacząc za oprawcą i pogrążając się w dziwnym niebycie. Przestała pracować w bibliotece, co wcześniej wydawało się sprawiać jej przyjemność. Siedziała głównie w domu albo chodziła na długie spacerunki bez celu po okolicznych osiedlach, czasem też koło naszej szkoły. Zagadywała wtedy do nas, sypała cytataami literackimi, tradycyjnie je powtarzając, lub po prostu mamrotała coś pod nosem. Udawałam, że jej nie znam, by dzieciaki nie śmiały się z niej jeszcze bardziej i nie zaczęły śmiać się ze mnie. Mimoza jednak nie

wydawała się tym urażona. Nikt nie wiedział, z czego żyła, listonosz nie przynosił jej żadnej renty, emerytura, jeśli taką miała, musiała być groszowa. Mimo to jej mieszkanie, do którego czasem wносиłam ciężkie zakupy, było zadbane i zupełnie ładnie urządzone. W dzieciństwie wyobrażałam sobie, że Mimoza nas śledzi i gdybym zrobiła coś złego, wydałaby mnie policji i przez nią trafiłabym do więzienia. To dziwne, że niechcący zadzwoniłam właśnie do jej drzwi.

– Nie szkodzi, nie szkodzi – powiedziała. – Nie spałam, nie spałam.

Wychodziłam, wychodziłam.

Mimożę też zamierzałam opisać w mojej przyszłej książce. Teraz jednak nie chciałam z nią rozmawiać, tylko odejść, ale ona złapała mnie za rękę.

– Nie wstyd ci, nie wstyd ci? – spytała.

Znieruchomiałam. Miała rację, było mi bardzo wstyd z powodu tego, co się stało, tylko ta nieszczęsnica nie mogła wiedzieć o tamtym zdarzeniu. Po prostu zaniepokoiłam ją dzwonkiem, i tyle.

– Bardzo, proszę pani, ale jak już tłumaczyłam, to niechcący. Przecież pani powiedziała, że nic nie szkodzi... Naprawdę przepraszam za wciśnięcie pani dzwonka.

– Pankracy chciał ją uratować, Pankracy chciał ją uratować...

Pankracy czyli Pikuś Don Kichot. Mimoza i on trzymali jakąś dziwną sztampę, jakby przyciągała ich własna nienormalność. Pikuś nie mówił, mamrotał jedynie albo co najwyżej wydawał z siebie: „uhhuu”. Wszystko jednak rozumiał, nawet skomplikowane komunikaty, sama porozumiewałam się z nim bez problemów.

– Przepraszam panią jeszcze raz, ale muszę już iść. Pankracego nie ma w domu.

– Poszedł ją ocalić, poszedł ją ocalić...

Kiedy nie widział mnie nikt z kolegów ani sąsiadów, zamieniałam z nią kilka słów i przyjmowałam zaproszenie na herbatę. Poświęcałam jej trochę czasu, podobnie jak Pikusiowi, jego próbom walki z wiatrakami niemocy słownej, od której wzięło się jego przezwisko. Dziś jednak nie miałam najmniejszej ochoty prowadzić studiów osobowościowych i zapamiętywać tego, co mogłabym kiedyś wykorzystać w książkach. Prawdę mówiąc, Mimoza denerwowała mnie dziwnymi tekstami, a brak Pikusia w oknie rozczarował. Nie chciałam się też zastanawiać, kogo to mieliby ocalić.

– Wszystko jest w porządku, pani Mario – rzuciłam stanowczo i poszłam na górę.

Od progu musiałam wysłuchać tyrady mamy na temat „znikania na cały wieczór, kiedy trzeba lekcje odrobić”. Nawet nie próbowałam dla niepoznaki kłamać, co druhna drużynowa powiedziała, i modliłam się, by mama nie zaczęła dociekać, czemu na zbiórkę harcerską nie włożyłam mundurka.

– A co ty taka cicha jesteś? – dopytywała się. – Może chora? Chodzisz bez czapki, a potem chorujesz i opuszczasz lekcje.

– Nie chodzę bez czapki – zaprotekowałam słabo. – Nie jestem chora.

Czułam się coraz gorzej. Ciepło domu zamiast dawać mi poczucie bezpieczeństwa, sprawiło ból. Suche, gorące powietrze wdzierało mi się do płuc i wysuszało wnętrzności na wiór.

– Najgorsze to, że w komunikacji miejskiej same prychające i kichające osoby – utyskiwała mama. – Nikt ust nie zasłania, kaszłą, rozsiewają te wirusy, bakterie i inne paskudztwa, a potem dzieci chorują.

– Nie korzystam z komunikacji miejskiej – przypomniałam jej.

Do szkoły chodziłam piechotą, do Warszawy nie jeździłam, chociaż pociąg dojeżdżał tam w czterdzieści minut. Nie miałam czego szukać. Może mówiła o sobie? Ona codziennie dojeżdżała pociągiem do stolicy, potem przesiadała się na autobus. Pracowała w redakcji kolorowych gazetek, od niedawna goszczących w kioskach – pełnych historii o kobietach, które odzyskały radość życia, schudły piętnaście kilo bądź wydały córki za milionerów albo mężczyzn, którzy łapali wielkie szczupaki, sadzili świerki w ogródkach czy na starość komponowali piosenki. Mama zajmowała się redagowaniem kolumn poradnikowych. Wcześniej pracowała jako korektorka w „Sztandarze Młodych”, teraz awansowała i na wielkich komputerach pisywała głupiutkie tekściki o tym, jak przytulanie się do pnia lipy może poprawić pracę nerek. Finansowo nam się jednak poprawiło, więc nie było co narzekać.

– Mogłaś się zarazić od kogoś ze szkoły. Matki posyłają chore dzieciaki na lekcje, żeby nie opuszczały, a potem wszyscy chorują – upierała się mama.

Rzeczywiście czułam się chora. Bolało mnie całe ciało. Najchętniej rzuciłabym w kąt Gustawa-Konrada i poszła spać. Powieki same mi się zamykały.

– Zmierz gorączkę. – Podała mi termometr.

Wsadziłam go posłusznie pod pachę, zaklinając, by wskazał jak najwyższą temperaturę. Mogłabym nie iść do szkoły, nie spoglądać w oczy Julii i darować sobie rozmowę z Renatą o tym, że nie będę z nią siedziała. No i nie musiałabym pisać wypracowania.

– Całe szczęście – mama odetchnęła z ulgą. – 36,6 stopnia. Na wszelki wypadek dam ci jednak lekarstwo.

– Muszę napisać jeszcze wypracowanie.

– Skoro musisz... – westchnęła. – Masz zjeść, słyszysz? Nie ucz się głodna.

Lubiłam o niej myśleć jako o pisarce, chociaż w jej pisaniu widziałam tylko żalony substytut, namiastkę tego, co ja chciałam pisać w przyszłości.

Wyobrażałam sobie jednak, że kiedy już stworzę opowiadanie albo najlepiej od razu powieść, to mama postawi przecinki, rzuci kilka zasadnych uwag, a mój tekst ze świetnego stanie się genialny. Cóż ona była winna, że w jej wieku chciało ją

tylko pismo publikujące artykuły o tym, iż wystarczy wlewać do kąpieli trzy krople olejku cytrynowego, by zmienić swoje życie na lepsze?

Zjadłam bez protestów dwie kanapki z serem, popiłam herbatą i łyknęłam rozpuszczoną aspirynę. Przynajmniej dostałam prawdziwe lekarstwo, a nie jakąś mieszankę czosnku z ziołem, którego nazwy nie umiałabym wymówić. Romantyczne cechy Gustawa-Konrada opisałam byle jak, nie dbając ani o inwencję, ani o dobry styl. Trudno. Mama nie zaproponowała poprawiania tekstu, a i ja o to nie prosiłam. Poza tym nie miałam czasu napisać tego na brudno. Robiło się coraz później, a ja czułam się senna. Chociaż zawsze tak bardzo się starałam, Pakuła stawiała mi tróję albo co najwyżej czwórkę z minusem. Chciałam iść na polonistykę i zostać powieściopisarką, a ona rzucała mi w twarz, że jestem przeciętna i nigdy niczego spektakularnego nie osiągnę. Im ciężiej pracowałam, tym gorzej mnie traktowała. Ani razu nie pochwaliła, choć czytałam nie tylko lektury szkolne i nie poprzestawałam na opracowaniach książek. Moja niechęć i wstyd wobec tego, co się stało, nagle znalazły ujście – to wszystko wina Pakuły! Justyna zaprosiła mnie do babskiego klubu, bo okazałam się lepsza od niej z polskiego. Nie było innego powodu. Gdybym nie starała się tak na lekcjach, nie pisała godzinami wypracowań, nie przepisywała ich kilka razy, nie poszłabym na strych, a teraz nie siedziałabym w domu z głową pełną myśli o Julii. Jak ja nienawidzę tej Pakuły, nakręcałam się, a cechy charakteru Konrada skakały mi przed oczami. Prawdę mówiąc, z chęcią napisałabym, że romantyczny bohater to kretyn, egoista pozbawiony wyobraźni, egzaltowany idiota niepotrafiący racjonalnie myśleć. Wyobrażałam sobie, jak Pakuła to czyta i łapie się za serce, ale nie może obniżyć mi oceny, bo przecież uzasadniłam każdą tezę. Wredna larwa, pokażę jej jeszcze. Napiszę książkę, którą kupi milion osób, i wyślę jej z autografem, jeśli oczywiście jeszcze będzie żyła, stara, wredna nietoperzyca.

– Marzenka, co się z tobą dzieje? – Mama potrząsnęła mnie za ramię.

Musiałam zasnąć. Stali obok z ojcem – ona z zatroskaną miną, on jak zwykle skrzywiony, niezadowolony ze mnie.

– Te zbiórki harcerskie – powiedział i pokręcił głową. – Jest zimno. Czy naprawdę musicie biegać po mieście i narażać się na przeziębienie?

Nie odpowiedziałam.

– Może ty jednak nie idź jutro do szkoły?

Mruknęłam coś. Mogła mi to wcześniej zaproponować, zamiast wygadywać o bakteriach w autobusach. Teraz, kiedy napisałam wypracowanie, to bez łaski, pomyślałam i poszłam spać, umywszy ledwie zęby i twarz.

*To znów się stało, a ja nic, ale to nic nie mogłam na to poradzić. Bezradnie patrzyłam, jak dawne lęki i pragnienia ponownie obejmują nad nim władzę. Nic nie powiedział, jednak w jego spojrzeniu już dawno wyczytałam, że chce to zrobić, co więcej, już wie, jak tego dokona. Już przeszedł na mroczną stronę. Zło wróci*

*i rozpanoszy się między nami, siejąc spustoszenie. Nie przyszedł, nie złożył głowy na moich kolanach, jak wtedy, i nie wyznał, że jest gotowy. Wiedziałam dlaczego. Wtedy mu nie pozwoliłam. Stałam między nim a demonem, który go dręczył, i przepędziłam. Tak po prostu. Nie był mi wdzięczny, choć uratowałam mu życie, ocaliłam go. Teraz miałam nic nie wiedzieć, a jednak nie mógł mnie oszukać. Wiedziałam, o czym myśli. Chciał zrealizować swój plan. Widziałam to w jego oczach za każdym razem, gdy uciekał przed moim wzrokiem, rzucał coś obojętnego, pozornie niezwiązanego z tą sprawą, próbował mnie unikać. To się zbliżało, a ja nie umiałam nic na to poradzić. Robisz dobrze, niemal słyszałam jego myśli, robisz dobrze. Dokończ swoje dzieło, a ja cię usprawiedliwię i obronię.*

*Będę go obserwowała, póki mi starczy czasu. Nie wolno mi spuścić go z oczu. Muszę za wszelką cenę chronić moich bliskich, chociaż tak bardzo się go boję. Nie wolno mi stracić czujności.*

## **ROZDZIAŁ II**

Stało się. Robię to samo co zwykle, żyję, udaję, że wszystko jest jak dawniej. Nic jednak nie będzie już takie samo. Moja nagroda za lata udawania jest dobrze schowana. Nie pozwolę jej sobie odebrać. Radość mnie rozpiera i wczoraj prawie się zdradziłem. Powinienem zrobić wszystko, aby to przed nią ukryć. Ona mnie sprowokowała, przez nią nieostrożnym spojrzeniem wyjawilem prawdę. Nic nie mogłem na to poradzić. Nie jest zbyt mądra, ale wie. Byle nie powiedziała tamtej. Na złodzieju czapka gore. Może się nie domyśli, nie domyśli się, nie doda dwa do dwóch, nie powie nikomu. Uspokajam się powoli. Teraz jest czas na spokój. Muszę przeczekać najgorszą burzę. Dopiero wtedy będę wolny. Nikt mnie nie podejrzewa, nie ma prawa myśleć, że to ja. Nie ma powiązań. Jedyne ona mogłaby to odkryć. Jest jednak na to za słaba, zależna ode mnie. Boi się. Mógłbym w końcu zrobić krzywdę komuś jeszcze, którejś z tamtych dziewczynek, przecież jestem do tego zdolny. Jest jeszcze ta druga, nieświadoma niczego, zbyt niedoświadczona i – nie waham się użyć tego słowa – niewinna. Tak, niewinna, choć zło jest tak blisko. To na nią muszę uważać, przed nią bronić mojego sekretu. Ona mnie zna. Ona może mnie zdradzić.

Jeśli nie nauczycie się, czym w istocie jest przeszłość, drzewo genealogiczne będziecie zaliczać do działu botaniki. Taką myśl przekazała nam kiedyś Grubanna, nasza wychowawczyni i jednocześnie nauczycielka biologii. We wtorki na pierwszej lekcji mieliśmy godzinę wychowawczą, potem dwie biologię z rzędu. Wtorki były dniami umoralniania na przemian z łajaniem najgorszych i poklepywaniem po plecach najlepszych. Grubanna brała na siebie rolę naszego przewodnika i przyjaciela, niczym zapaśnik odpierający ciosy przeciwnika. Robiła uniki na przemian z atakami. Usypiała naszą czujność mówiąc, że w zasadzie, z małymi wyjątkami jest dobrze, a za chwilę sprawę braku butów na zmianę czy brudzenia w sali rozdmuchiwała do rozmiarów afery międzynarodowej. Częstowała nas przy tym prząsnymi powiedzeniami, żalosnymi porzekadłami i złotymi myślami, które w jakiś sposób wiązały się z biologią. „Złamaną roślinę należy delikatnie podtrzymać, a wtedy ona sama w naturalny sposób się zrośnie” albo „Niepodlewany kwiat usycha, choćbyśmy nie wiadomo czym użyźniali glebę” i tym podobne. Pewnie sama je wymyślała.

– Patyka? – Grubanna podniosła wzrok znad biurka.

Julii nie było w szkole. Powitałam ten fakt, wstyd się przyznać, z ulgą i odsunęłam rozmowę z Renatą na inny dzień. Skoro Julia nie przyszła, to problem przesiadania się oddalił się w czasie na bezpieczną odległość. Grubanna już odczytywała kolejne osoby z listy. Nie ma uczennicy Julii Patyki, to normalne w grudniu. Pewne chora albo się spóźni, to zwyczajna rzecz u tych dzieciaków,

wciąż się spóźniają. Obejrzałam się na Kaśkę i Justynę. Ta pierwsza jak zwykle gryzła palce, a druga siedziała nieporuszona na krześle i obojętnie wpatrywała się w tablicę. Renata trąciła mnie w ramię.

– Marzena...

Uniosłam głowę.

– Marzenko. – Grubanna zmarszczyła brwi. Pod zwałami tłuszczu na policzkach nie było widać oczu. – Mówię do ciebie.

– Tak, pani profesor? – odpowiedziałam niepewnie. Przecież już odczytała moje nazwisko, a ja powiedziałam „jestem”. Czego jeszcze ode mnie chciała?

– Pytałam, czy znów zajmiesz się organizacją klasowej Wigilii. W naszej małej społeczności musimy pielęgnować tradycje. To bardzo ważne. Więzy, które powstają między wami w trakcie nauki w liceum, muszą mieć solidne korzenie.

Tak, pewnie trzeba je też podlewać barszczem wigilijnym oraz użyźniać piernikami, by rosły i rozgałęziały się na naszą wspólną przyszłość. W zeszłym roku byłam gospodynią klasy, dlatego zajmowałam się rozdzielaniem, kto ma co upiec czy kupić. W tym wybrali Justynę. Niech ona zajmuje się umacnianiem więzi. Czemu Grubanna pyta mnie?

– Oczywiście, pani profesor – bąknęłam.

– Świetnie – stwierdziła i zajęła się tłumaczeniem nam, jak należy chodzić oblodzonymi drogami, i przestrzegała przed przechodzeniem przez ulicę w niedozwolonych miejscach. Ponieważ pod lodem nie rosły żadne rośliny, Grubanna wyjątkowo porzuciła odniesienia biologiczne. Nie słuchałam, ale wpatrywałam się w jej pękatą sylwetkę ze skupieniem, co nawet Renacie wydawało się podejrzane. Na Justynie to, że ja odpowiadam za organizację poczęstunku, a nie ona, nie wywarło najmniejszego wrażenia. Szeptwała coś do Kaśki, a ta kiwała głową z palcami w ustach.

– Powinna sobie czymś smarować te palce – odezwała się Renata. – Ciągłe je gryzie. Obrzydliwe...

Zauważyła, jak odwracam się do dziewczyn, i pomyślała, że chodzi mi pewnie o ten okropny zwyczaj.

– Ale chłopakom się podoba – mruknęłam.

– Bo im daje – uśmiechnęła się złośliwie.

– Serio? – Zamurowało mnie. – Chłopakom? Kaśka?

– Przecież nie dziewczynom – wyszeptwała z politowaniem i znów udawała, że robi notatki.

Ciekawe, skąd miała takie wiadomości. Renata nie była złośliwa i na pewno nie plotkowała, przynajmniej nie bardziej niż inne dziewczyny. Przynajmniej nie tak jak sama Kaśka i Justyna. Jeśli mówiła coś takiego, to musiała słyszeć o tym z wiarygodnego źródła.

– A Pawłowi? – spytałam nieco zdławionym głosem.



– Co Pawłowi? – nie rozumiała.  
– Czy ona tego, no z Pawłem? – wyjaśniłam.  
– Nie wiem, czy akurat z nim. – Popatrzyła na mnie uważnie. Moje pytania musiały wydać się jej dziwne.

– To z kim? – nie wytrzymałam.  
– O co ci chodzi?  
– Dziewczynki! – głos Grubanny doprowadził nas do porządku. Nie odważyłam się zapytać o nic więcej, za to na przerwie podeszłam do Justyny i Kaśki.

– Zauważyłyście? – powiedziałam szybko.  
– Co? O co ci chodzi? – spytała Kaśka. One wszystkie uparły się, żeby zadawać mi to jedno pytanie. O co mi chodzi? Czy to nie oczywiste?

– Nie gryź. – Justyna uderzyła ją w dłoń. Klasnęło. Wzdrygnęłam się, bo przypomniałam sobie wczorajszy policzek wymierzony Julii.

– O Julię – odparłam. – Nie ma jej w szkole.  
– To normalne o tej porze roku – wzruszyła ramionami. – Napisałaś wypracowanie?

Pokiwałam głową.

– Napisałam, ale beznadziejnie.

– Dawaj – zdecydowała Kaśka i otworzyła swój zeszyt.

Mimo wszystko uznawano mnie za najlepszą osobę w klasie z języka polskiego. Justyna czasem miała lepsze stopnie, ale ja za to najbardziej stabilne. Zgłaszałam się też jako jedyna do odpowiedzi na ochotnika, nikt inny nie ważył się na coś takiego. Nie byłam tak odważna, jak im się wszystkim wydawało, ja tylko nie mogłam znieść napięcia związanego z oczekiwaniem, że w końcu padnie moje nazwisko, będąc musiała wstać i sklecić odpowiedź na niekoniecznie znany mi temat.

– Przecież zrobiłaś pracę domową – zaprotestowałam na widok trzech stron zapisanych maczkiem.

Polonistka umiała bezbłędnie wyłapać, jeśli ktoś spisywał wypracowanie z książki albo od koleżanki. Znała się na stylu jak mało kto. Nawet na braku stylu, byleby należał do konkretnej osoby.

– Patrzę tylko na to, co napisałaś – powiedziała, wodząc palcem po moim zeszycie. – Ja mam więcej. – Po czym bezceremonialnie oddała mi zeszyt.

– Myślicie, że ona jest chora? – spytałam.

– A niby co miało się z nią stać? – Justyna spojrzała na mnie zdumiona. – Porwali ją? Zamordowali? Nie przysła, bo jest chora.

– A co zrobiłaś z jej, no wiesz...

– Wyrzuciłam – odparła tonem, jakbym wygadywała niestworzone rzeczy. – Nie będę trzymała czyichś brudnych gaci.

– A gdzie wyrzuciłaś? – Nagle wydało mi się to bardzo ważne.

– A co to za różnica? – spytała tym samym obojętnym głosem.

– Duża różnica – mruknęłam. – Po co w ogóle to zrobiłaś?

Popatrzyła na mnie zarazem znudzona i zniecierpliwiona moimi pytaniami.

– Weź się odczep – powiedziała w końcu. – Wywaliłam do kosza po drodze.

Do kontenera na osiedlu między blokami. A co, miałam może oddać je Pawłowi?

– Dlaczego Pawłowi? – najeżyła się Kaśka.

– Właśnie, dlaczego Pawłowi? – natychmiast pożałowałam tego pytania.

Kaśka dawała do zrozumienia, że chodzi z Pawłem, ale nikt nie widział, by odprowadzał ją do domu czy chociażby spędzał z nią przerwy. Czasami rozmawiali i tyle. Kilka razy siedzieli przy tym samym stoliku w szkolnej stołówce. Paweł, typowy samotnik, rzadko z kimś rozmawiał, a jeśli już, to z Julią. Znali się chyba dobrze z sąsiedztwa albo drużyny koszykówki. Przyglądałam mu się, kiedy nikt akurat na mnie nie patrzył. W sekretnym domowym zeszycie pisałam o swojej miłości i podziwie dla niego. Bo Paweł był chłopakiem do podziwiania. Miał w sobie to coś, a ja bardzo chciałam, żeby stało się to moim udziałem.

– Przecież oni mają się ku sobie. – Justyna wbiła w Kaśkę kpiące spojrzenie.

– Przecież ona jest z Pawłem. – Wskazałam ją palcem nie bez satysfakcji.

Naprawdę bym się ucieszyła, gdyby to jednak okazało się nieprawdą – nawet gdyby Paweł chodził z Julią. To oznaczałoby, że nie korzystał z wdzięków Kaśki.

– Paweł z nią nie chodzi! – warknęła Kaśka.

– Z tobą też nie – zauważyła Justyna, a ta oblała się rumieńcem i spuściła wzrok.

– Nikomu nic do tego, co jest między nami – mruknęła. – A jak dasz mu jej majtki, to w życiu się do ciebie nie odezwę.

– Nie dam, bo wyrzuciłam.

Podeszła do nas Renata, więc jak na komendę umilkłyśmy, a po chwili zabrzmiał dzwonek na lekcję. W tej chwili obchodziło mnie już tylko to, by Pakuła nie kazała mi przeczytać wypracowania albo żeby nie oceniała wszystkich wypracowań, co dla mnie, nie miałam żadnych złudzeń, skończyłoby się słabą oceną oraz komentarzem, że nie myślę.

Julia nie pokazała się w szkole następnego dnia. Byłam już, o dziwo spokojniejsza. Naprawdę musiała być chora, skoro opuściła klasówkę z funkcji, co z przekazem skomentował Liczbak. Na dodatkowym zaliczeniu „dla tych, co ominęli sprawdzian” dawał zadania o wiele trudniejsze niż zazwyczaj. Tylko szalenciec albo nieprzytomny nie przychodził na klasówkę we właściwym terminie.

– Przekażcie koleżance, że będzie pisała sprawdzian na pierwszej lekcji, na której się pojawi. Musi zaliczyć przed wystawieniem proponowanych ocen.

Uparł się na nią, chociaż na sprawdzianie brakowało siedmiu osób, w tym Pawła. Czy on też się rozchorował, czy odwiedzał Julię i przy okazji uniknął

klasówki? Był dość dobry z matmy, ale nie na tyle, by lekkomyślnie opuścić sprawdzian. Powód musiał być zatem poważny. Dużo bym dała, by poznać przyczynę jego nieobecności, ale nie wiedziałam, jak to sprawdzić. Olśniło mnie na przedostatniej lekcji – przecież mogę pójść do Julii do domu z zeszytami, a przy okazji przekazać słowa Liczbaka. Radziłam sobie z matmą, mogłabym jej nawet pomóc. W końcu weszła do naszego klubu, a to do czegoś zobowiązywało. Tak, to świetne wyjście – pójdę do niej, pogadamy od serca, pośmiejemy się i może naprawdę zostaniemy przyjaciółkami. Moje wyrzuty sumienia nieco przycichły. Uświadomiłam sobie wprawdzie, że nie mam pojęcia, gdzie ona mieszka, ale mogłam przecież wziąć adres z dziennika. Ba, mogłam nawet o to zapytać Grubanny. Pani profesor, powiedziałabym, Julia Patyka jest chora, chciałabym pójść do niej i pomóc jej w lekcjach. Cóż bardziej naturalnego? Przy okazji postanowiłam zerknąć na adres Pawła. Nigdy bym do niego nie poszła, nie zniżyłabym się do spacerowania pod jego oknami, ale mogłabym sobie wyobrazić, że to on mnie odprowadza, a potem wraca do siebie tą czy inną ulicą, mijając znane mi miejsca, a w końcu wchodzi na swoją klatkę schodową. Tak, to był bardzo dobry pomysł. Myślałam o tym, kiedy do klasy weszła Grubanna w towarzystwie Anieli Pruszczy, dyrektorki naszej szkoły. Obie wyglądały na wyraźnie poruszone. Zmroziło mnie. Przeczesałam, że zaraz powiedzą coś, co wszystko zmieni, i nic już nie będzie takie samo. Po co wchodziłyby na lekcję Pakuły z tymi cierpięciznymi minami, kiedy od dzwonka dzieliło nas ledwie dziesięć minut?

– Bardzo przepraszam, pani profesor... – sapnęła Grubanna.

Pakuła przerwała wywody o Mickiewiczu i Polsce-Chryście Narodów i zawiesiła wzrok na dyrektorce i biolożce.

– Nie można poczekać do przerwy? – spytała cierpkim tonem. – O co chodzi?

Kiedyś uczyła je polskiego. Obie, nawet razem wzięte, mogły jej tylko podskoczyć. Obie także zachowywały się, jakby wciąż miała nad nimi władzę.

– Przepraszam, pani profesor. – Aniela przypomniała sobie, zapewne nie bez wysiłku, że już nie jest uczennicą Pakuły, tylko jej przełożoną. – Chciałam jedynie prosić uczniów, aby po lekcjach zostali w klasie. Jest tu... policja i ma kilka pytań.

Pakuła pokiwała głową i wróciła do Chrystusa Narodów bez mrugnięcia okiem, jakby policja przychodziła do naszego liceum codziennie. Zmartwiałam. W szkole jest policja i chce z nami porozmawiać. Spociłam się w jednej chwili. Na pewno chodzi o Julię! Ktoś ją zamordował! I my jesteśmy ostatnimi osobami, które widziały ją żywą. Ja jej nie zabiłam! krzyczało we mnie wszystko. Minuty do dzwonka ciągnęły się niczym godziny. Bałam się spojrzeć na Kaśkę czy Justynę. Przerwałam nawet robienie notatek, co było równoznaczne z samobójstwem polonistycznym. Renata słała mi zdumione spojrzenia znad swojego zeszytu i bezskutecznie trącała mnie w ramię, a przecież i tak nikt już nie zajmował się

Mickiewiczem, historykiem Konradem ani Polską. Wreszcie zabrzmiał dzwonek. Pakuła zadała nam jakąś pracę, nie zwróciłam na nią uwagi, i wyszła, mijając się w drzwiach z wysokim, przystojnym mężczyzną w skórzanej kurtce z futerkiem na kołnierzu, w ciężkich wojskowych butach. Razem z nim weszły Grubanna oraz dyrektorka.

– Dzień dobry – zaczął policjant, nie czekając na prezentację. – Nazywam się Andrzej Jaśkowiak. Jestem oficerem śledczym tutejszej komendy.

Wpatrywaliśmy się w niego w ciszy.

– Dwa dni temu rodzice waszej koleżanki, Julii Patyki, zgłosili jej zaginięcie.

W głowie zadzwoniła mi cisza, a potem słowa Justyny: „Porwali ją? Zamordowali? Nie przyszła, bo jest chora”. W klasie dało się słyszeć oddechy wszystkich obecnych.

– Po szkole wróciła do domu, zostawiła torbę, a potem gdzieś poszła. Już nie wróciła. Czy ktokolwiek z was wie, co mogło z nią się stać?

Odpowiedziała mu ta sama ciężka cisza. Skupiłam się na tym, by nie spojrzeć ani na Justynę, ani na Kaśkę. Jeśli mi się uda, to jesteśmy bezpieczne. Nigdy się nie wyda... Że co się nie wyda, kretynko? Przecież nic jej nie zrobiłaś. Nie zamordowałaś ani nie porwałaś. Uderzyłaś ją tylko w twarz i patrzyłaś, jak koleżanka rani ją płomieniem świecy.

– Czy ktoś z was wracał z nią ze szkoły?

Znów cisza, chociaż kilka osób pokręciło głowami. Ja też to zrobiłam. W końcu to była prawda. Poszła do domu zostawić torbę, a wieczorem spotkałyśmy się pod blokiem.

– A czy ktoś wie, dokąd mogła pójść potem?

Znów kręcenie głową i pilnowanie się, aby nie spojrzeć na Justynę. Powinnam unieść rękę i powiedzieć temu miłemu panu co i jak. Przecież nic nie zrobiłyśmy. Siedziałyśmy tylko na strychu i rozmawiałyśmy o ciuchach. Nawet nie muszę mówić o majtkach i płomieniu.

– A czy z kimś z was Julia Patyka się przyjaźniła?

Znów pokręciłam głową. Tym razem zrobili to wszyscy jak jeden mąż. Cała pieprzona klasa hipokrytów.

– Może nie tyle przyjaźniła, ile, jak to wy mówicie... kolegowiała? Kumpłowała? Chodzi mi o jakiegokolwiek informacje o niej.

Gdybyśmy byli tacy grzeczni na matmie czy nawet na polskim, nikt nie skarżyłby się na nas, a wiadomości chłonęlibyśmy jak gąbki.

– A jeśli spytam, czy ktoś z nią rozmawiał na przerwie w dniu zaginięcia?

Możesz sobie pytać, nikt ci nie odpowie. Z jakiegoś powodu pięć minut temu kontakty z Julią Patyką stały się zakazane. Uświadomiłam sobie, że nasza trójka może bać się policyjnego przesłuchania, czemu jednak cała reszta zachowywała się, jakby ta dziewczyna nie chodziła drugi rok do naszej klasy?

– No dobrze – westchnął oficer Andrzej Jaśkowiak. – Słuchajcie, nie ma się czego bać. Wyobraźcie sobie, co przeżywają jej rodzice. Chcemy tylko ustalić, dokąd mogła się udać.

Tym razem ciszę przeszło potężne kichnięcie.

– Przepraszam – wychrypiła Iwonka Bogut, kiedy już wyrzuciła z siebie wszystkie zarazki, a policjant pokiwał głową.

– Tu jest mój numer. – Zapisał na tablicy rząd cyfr. – Proszę, żeby wszyscy, podkreślam, wszyscy przepisali go sobie do zeszytów. Będę czekał na telefon, gdyby komukolwiek z was przypomniało się coś, co może mieć związek z zaginięciem. Możecie dzwonić o każdej porze. Nikt nie poniesie konsekwencji... Powtarzam, cokolwiek mogłoby pomóc. Czasami sprawy, które wam mogą wydawać się nieistotne, mają fundamentalne znaczenie dla śledztwa. Rozumiecie? I niczego się nie obawiajcie. Obowiązuje mnie tajemnica służbowa, a wszelkie informacje można przekazać anonimowo.

Wracałam do domu z Justyną, Kaśką i Renatą, która niczego nieświadoma, wstrząśnięta wiadomością o zaginięciu Julii, gadała bez przerwy.

– Słyszałyście? Nie wróciła do domu...

– Wróciła – sprostowałam. Szybkie spojrzenia dwóch par oczu przebiły mnie na wylot. – Tylko znów gdzieś wyszła i potem nie wróciła. Ten policjant tak mówił.

– No tak – zgodziła się Renata. – Właśnie. Ten policjant tak mówił. Co z nią mogło się stać, jak myślicie?

– Ktoś ją porwał – powiedziała Kaśka. W jej głosie dosłyszałam lęk.

– Po co ktoś miałby porywać Julię? – zdumiała się Renata.

No właśnie, po co? Po co ktoś miałby porywać licealistkę z małej, podwarszawskiej miejscowości?

– Może jakiś zboczeniec – zaryzykowała Justyna. – Zboczeńcy porywają...

Była zadziwiająco spokojna. Jak by to, co się stało, w żadnym stopniu jej nie dotyczyło. Jakbyśmy w ogóle nie spotkały się wtedy na strychu.

– Jaki zboczeniec? – denerwowała się Renata. – Nie ma tu żadnych zboczeńców.

– Wszędzie są zboczeńcy – powiedziała z przejęciem Kaśka. Miała rozbiegany wzrok, jakby śledziła mecz ping-ponga. – Czają się wszędzie. Brat mi mówił. Mogła wracać i jakiś gościu w bramie zawołał: „Dziewczynko, pomóż mi, proszę, bo jestem głodny albo upadłem i nie mogę wstać”. Ona podeszła, a ten ją, wiesz, złapał i zaciągnął. Oby jej tylko nie zamordował...

Justyna popukała się w czoło.

– Mógł udawać starego, niedołęznego faceta, oni biorą na współczucie – odezwała się Renata z przejęciem.

Uwielbiała czytać kryminały. W jej domu na regale w pokoju rodziców stały

w rzędku serie z myszką i kluczem oraz „Ewa wzywa 07”. Pożyczyła mi nawet kilka zupełnie fajnych opowiadań z komentarzem, że może będę pisała kryminały. To bardziej kasowe niż powieści, argumentowała, a na pewno łatwiej się przebić. Lubiła też filmy o takiej tematyce i męczyła mnie na przerwach, opowiadając drobiazgowo ich fabułę.

– Przestań – poprosiłam ją. Miałam dokładnie te same podejrzenia, ale słuchanie o tym przyprawiało mnie o mdłości.

– Bo jeśli tak jest, to wiesz, on może znów zaatakować – nie zwróciła uwagi na moje słowa. – Dziś Julia, jutro kto wie, może ja albo ty...

– Przestań! – prawie krzyknęłam, a ona popatrzyła na mnie zaskoczona.

– Ale co? – Rozłożyła ręce, kiedy się zatrzymałyśmy.

Szczęśliwa osoba, która bez wyrzutów sumienia może sobie gadać o tym, kto mógł porwać Julię.

– Po prostu mówisz o tym tak... Po prostu... gadasz jak potłuczona... – dukałam.

Za często mówiłam „po prostu”, chociaż nie było w tym nic prostego. Poza tym powtórzenia są niedobre. Muszę o tym pamiętać jako przyszła pisarka. Renata wciąż stała i wpatrywała się we mnie ze zdumieniem.

– Weź się uspokój – powiedziała do mnie Justyna, a potem zwróciła się do Kaśki: – A ty przestań gryźć te palce, bo rzygnę. Matka nie może ci dać jakichś psychotropów czy czegoś w tym stylu?

Jej mama była psychiatrą, a ojciec ginekologiem. Rzadko kiedy bywali w domu, ale Kaśka miała najdroższe ciuchy i najfajniejsze buty w całej klasie. Ponoć kupili jej też telefon komórkowy, rzadkość w szkole, nawet wśród nauczycieli. Kiedy dostała się do liceum, rodzice zabrali ją na wycieczkę do Hiszpanii.

– Odczep się – zaperzyła się, ale wypadło to żałośnie.

Musiała sobie zdawać sprawę ze swoich natręctw, najwidoczniej jednak nic nie mogła na to poradzić.

– Zniszczysz sobie macierz paznokcia, jeśli już nie zniszczyłaś. – Z jakiegoś powodu Justyna postanowiła właśnie teraz przekonać ją do tego, że obgryzanie paznokci to okropny i szkodliwy zwyczaj. Nie chciałam, by odbiegały od tematu.

– Nie gadajcie głupot! – przypominałam im o moim istnieniu. – To po prostu straszne, co się stało!

Justyna oderwała wzrok od Kaśki, a ta odjęła palec od ust.

– Słuchajcie – zdecydowała Renata, przechodząc do porządku dziennego nad moim wybuchem. – Musimy trzymać się razem, bo nie wiadomo, czy on jednak dalej nie grasuje. Może to seryjny morderca i Julia jest jego pierwszą ofiarą. Ofiar może być więcej. Jak na *Milczeniu owiec*...

– Tobie nic nie grozi – powiedziała Justyna pewnym tonem i teraz

spojrzałyśmy na nią wszystkie trzy. Skąd niby mogła to wiedzieć?

– Bo niby co? Brzydka jestem? – Renata poprawiła czapkę.

– O rany, ale wrażliwa... – Machnęła ręką. – Może on woli blondynki? To miałam na myśli. Taka Julia to dobry materiał na porwanie.

– A dlaczego? – spytałam. Coś mi się nie podobało w jej rozumowaniu. Była zbyt spokojna. Już na początku zwróciłam na to uwagę. Gdzie zniknęła w poniedziałek po wyjściu ze strychu? Naprawdę poszła do domu? Wybiegła, jakby ją kto gonił, i rozwiała się w wieczornej mgle. Mogłyśmy pójść razem, przecież miałyśmy po drodze.

– Bo się uparliście i gadacie bzdury. Jaki zboczeniec, jakie porwanie? Za chwilę zaczniecie opowiadać, że ją zamordowali i przerzucać się szczegółami. Zboczeńcy będą stali w każdej bramie. Zaczniecie ich mijać na klatkach schodowych i w sklepach. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to ona uciekła z domu – rzuciła w przestrzeń tym samym obojętnym tonem.

– Żeby nie pisać klasówki z matmy? – podsunęła Kaśka.

– Teraz ty gadasz bzdury – tym razem ja ripostowałam. – Kto ucieka z domu przez klasówkę z matmy i to nie taką decydującą? Przecież nawet nie była zagrożona. Poprawiała wszystkie sprawdziany. Ostatnio nawet całkiem dobrze sobie radziła.

– Mogła uciec tak na trochę, żeby ludzie litowali się nad nią... A potem zmyśliłaby historyjkę o porwaniu.

Kwestia porwania wracała jak bumerang.

– Policji nie oszukasz – mruknęła Renata, której przypomniało się, że w tych sprawach jest ekspertem. – Oni mają swoje sposoby. Tylko na filmach to głupki albo geniusze, a tak naprawdę to są bardzo inteligentni ludzie. Przeszli mnóstwo szkoleń i po prostu wiedzą. No, tego, wiedzą, jeśli ktoś coś ukrywa, bo się na tym znają...

– Na czym się znają? – w głosie Justyny zabrzmiała ironia.

Wuj Renaty pracował w policji, co prawda niewiele o nim mówiła, ale nawet jeśli tylko wlepił mandaty, mogła mieć informacje z pierwszej ręki.

– Spytaj wuja – powiedziałam szybko, a ona uniosła z godnością głowę.

– Zamierzam. Może mi jednak nic nie powie. Rozumiecie – tajemnica śledztwa.

Wpatrywałyśmy się w czubki swoich butów. Justyna i Kaśka na pewno analizowały właśnie nasze niezbyt dobre położenie. Czy Renata mogła nam pomóc, czy wręcz przeciwnie – zaszkodzić?

– To ja idę. – Odwróciła się szybko i pognęła w stronę naszego bloku. Pewnie chciała od razu zadzwonić do wuja. Nawet mi nie zaproponowała, że pójdziemy razem. Tym lepiej, bo musiałam pogadać z dziewczynami.

– Co robimy? – spytałam, kiedy tylko oddaliła się na bezpieczną odległość.

Patrzyły na mnie obie. Jedna niepewnie, druga obojętnie.

– A co niby mamy zrobić? – spytała Justyna. – Szukać jej?

– No właśnie. – Kaśka oderwała palec od ust. – Policja jest od tego.

Teraz ich spojrzenia stały się bardziej wyzywające.

– Dlaczego wyszłaś wtedy wcześniej? – zapytałam Justynę, a ona wzruszyła ramionami.

– Spieszyłam się.

– Naprawdę? – Nawet ja słyszałam ten zaczepny ton w moim głosie.

– Naprawdę...

Kaśka nerwowo dreptała wokoło własnej osi, wydeptując śnieg.

– A ty – złapałam ją za ramię, bo wpatrywała się we własne ślady, zamiast patrzeć na nas – dlaczego się wróciłaś?

Znieruchomiała i w następnej sekundzie popatrzyła niepewnie na Justynę. Powiedziała jej o tym czy nie?

– Nie zamknęłam drzwi – mruknęła niepewnie.

– Zamknęłaś – zaprzeczyłam, ale słabo. Wtedy na schodach zrobiło mi się niedobrze. Mogłam nie pamiętać takich szczegółów.

– Ale zgasło światło. Przekręciłam klucz w jedną i drugą stronę. Musiałam się upewnić, czy... zamknęłam.

Justyna wciąż w milczeniu patrzyła to na jedną, to na drugą. Pod jej nieprzeniknionym spojrzeniem Kaśka zrobiła się cała czerwona.

– Skoro wtedy było ciemno, to potem też musiało być – nie ustępowałam. – Nie mogłaś się upewnić...

– No, ale za tym drugim razem poszłam już sama. Panikowałam tak, że nie sprawdziłam dokładnie. Przez ciebie się wróciłam, jeśli chcesz wiedzieć.

– Akurat – skrzywiłam się. Nie mogłam jednak zarzucić jej kłamstwa. Może faktycznie tak to wyglądało.

– I co? Było zamknięte? – spytała Justyna z ciekawością w głosie.

– Tak – odetchnęła z ulgą. – Żarówkę ktoś zmienił i wszystko widziałam. Klucz też schowałam, spokojnie.

Czy to możliwe, żeby w ciągu tych kilku minut od naszego wyjścia do powrotu Kaśki ktoś z lokatorów zmienił żarówkę? Mało prawdopodobne, ale przecież nie mogłam tego wykluczyć.

– To może chodźmy tam i się przekonajmy – zaproponowałam, ale obie odpowiedziały jednocześnie:

– Ja nie mogę.

Patrzyłam na nie z ironią.

– Jutro jest sprawdzian z historii i muszę się nauczyć – dodała Justyna.

– Ja muszę pomóc matce – Kaśka weszła jej w słowo. – Wraca dziś wcześniej ze szpitala i prosiła mnie, prosiła... żebyśmy sprzątała z nią – dokończyła



niezręcznie.

No tak, nie mają czasu, chociaż zbyt gęsto się tłumaczą. Czują się winne albo nie chcą wracać na miejsce zbrodni.

– Nie wierzę ci – zaatakowałam. – U was sprząta Ukrainka. Wiem, bo moja mama pytała, czy nie posprzątałyby u nas przed świętami.

Kaśka przełknęła ślinę, a potem zaczęła bardzo szybko i głęboko oddychać. Nie wiedziałam, czemu to robi – ze strachu? A może z innych powodów.

– Umówiłam się do psychologa – powiedziała płaczliwie. – A jak komuś powiecie, to będziecie ostatnie świnie.

Można było się tego spodziewać. Kto wie, jakie miała problemy. Może obgryzanie paznokci to jedynie wierzchołek góry lodowej.

– Wróciłam się wtedy, bo kupiłam po drodze moje leki na receptę, a potem zostawiłam na strychu... Nie mogłam bez nich pojawić się w domu, bo co bym powiedziała mamie... Musiałam wrócić.

– Znalazłaś? – spytałam. Czuję się dziwnie, jakbym wyrwała jej tajemnicę z gardła.

Pokiwała głową, a potem szybko wytarła wierzchem dłoni łzy z oczu. Justyna wyjęła z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych. Kaśka głośno wysmarkała nos.

– To może jutro tam pójdziemy? – nie dawałam za wygraną.

Justyna uniosła wzrok.

– Po co chcesz tam iść? – spytała zimno. – Ślady chcesz zacierać? Patrzyć czy zamknięte? Daj wreszcie spokój.

Faktycznie, co miałam niby sprzątać, kurz z podłogi? Ogarek świecy? No właśnie, co stało się z ogarkiem?, zastanawiałam się.

– A jak wróciłaś, spotkałaś tam... Julię?

To imię z trudnością przeszło mi przez gardło. Poczucie winy rosnęło. Gdybyśmy wtedy poszły razem, nikt by jej nie porwał, chociaż mieszkała daleko od nas, więc i tak wracałyby sama. Moja mama mówi, że jak co komu pisane, nie można tego uniknąć. W żadnym wypadku. To nie jest ładne zdanie, tylko jedno z tych brzydkich, ale prawdziwych.

– Nie – odparła krótko. – Nie było jej tam.

Znow ten rozbiegany wzrok. Czyli kłamała, bo nie chciała przyznać się do tego, że jako ostatnia widziała Julię.

– A kiedy zgłaszamy się na policję? – spytałam rozeźlona, bo denerwowało mnie ich podejsście. Jedna z nich zachowywała się, jakby nic się nie stało, a druga, jakby miała coś do ukrycia.

Justyna nagle zrzuciła z twarzy maskę obojętności. Jej wargi wykrzywiła wściekłość, kiedy wyciągnęła palec przed siebie i dźgnęła mnie w suwak kurtki na piersi.

– Tylko spróbuj cokolwiek powiedzieć, a zetnę cię w proch...  
– No właś... – zaczęła Kaśka, ale palec Justyny dosięgnął także jej.  
– Ty też siedź cicho, debilko – wysyczała. – Nikt nie może się dowiedzieć o tamtym spotkaniu, jasne? Czy to dla was jasne, idiotki?  
– Czemu nas wyzywasz? – cienko zapiszczała Kaśka.  
Nagle obie obrałyśmy wspólny front, ciekawe, bardzo ciekawe.  
– Bo jesteście kretyнки. Co chcesz powiedzieć policji? Że widziałyśmy się na strychu, a potem ona zniknęła? Może chcesz podrzucić jakieś szczegóły, co? Przyznać się do tego, że w klasie siedziałyśmy jak słupy, kiedy ten facet nas przepytował?

– Na pewno wyrzuciłaś te majtki? – Zęby szczękały mi ze strachu przed nią i policją oraz z niepokoju o Julię. Musiałam jednak pokazać Justynie, że nie może na nas zrzucić winy. Jeśli to my odpowiadałyśmy za to porwanie.

Przeniosła na mnie wzrok. Gdyby jej oczy mogły ciskać gromy, już bym nie żyła, przypomniałam sobie zdanie wyczytane w jednej z książek. Wtedy wydawało mi się banalne, ale teraz jej oczy właśnie to wyrażały – dziką furję.

– Na pewno – wysyczała. – I nigdy więcej o tym nie wspominaj, słyszysz? I ty. – Dźgała palcem to jedną, to drugą, a my stałyśmy na środku ulicy całkowicie pozbawione wolnej woli. – A jak usłyszę, że postanowiliście pomóc temu miłemu panu policjantowi, to też będę miała coś do powiedzenia. Jedziemy na jednym wózku, jasne?

Kaśka pokiwała głową. Ja jak zwykle nie umiałam się przeciwstawić i ograniczyłam się do braku zgody.

– A jeśli ona wróci i powie o tym? Policja zapyta, czemu tego nie zgłosiłyśmy – wypowiedziałam te dwa zdania, zbierając w sobie całą odwagę, która jeszcze się we mnie tliła.

Nie raczyła mi odpowiedzieć. Popatrzyła gdzieś wysoko, ponad drzewa. I ja uniosłam wzrok. Niebo pokrywały ołowiane chmury. Wrony, nagle czymś przestraszone, wzbily się w powietrze całą chmarą.

– Jeśli wróci – powiedziała w końcu. W jej słowach nie znalazłam ani ironii, ani groźby, ani obawy. Jedyne rzeczową obojętność. – Uważaj – dodała, gdy właśnie miałyśmy wdepnąć w psie odchody leżące na śniegu, na środku naszej drogi. Spojrzałyśmy pod nogi. Ja ominęłam gównem, a Kaśka dotknęła je czubkiem buta, po czym zaklęła i odskoczyła na bok.

– Cholerka! – Zanurzyła but w czystym śniegu, usiłując zmyć to, co mogło przykleić się do podeszwy.

– Uważam – bąknęłam, patrząc w bok. – Ty też uważaj.

Kłótnia mogła rozpocząć się na nowo. W moich słowach kryła się wyraźna groźba. Choć paraliżował mnie strach, nie chciałam dać się zastraszyć. Nie może mnie w ten sposób traktować. Najpierw urządziła przedstawienie na strychu, potem

poszła nie wiadomo gdzie, a teraz zachowywała się, jakby była z porywaczem w zmowie. Otwierałam już usta, kiedy Kaśka się rozsłochała. Ramiona jej drżały, a z oczu lały się strumienie łez. Daremnie usiłowała je osuszyć chusteczką od Justyny. Trudno powiedzieć, czy płakała z powodu zabrudzonych butów, czy też gróźb. Położyłam jej dłoń na ramieniu.

– To cześć, dziewczyny. – Nagle znieruchomiała i otarła szybko łzy, a potem strząsnęła moją rękę, po czym odwróciła się i pobiegła do domu. Plecak podskakiwał jej na plecach.

– Ja też idę – powiedziała grzecznie Justyna, jakby nigdy nic, a potem dodała: – Cześć, Marzena.

Odeszła dostojnym krokiem, a ja długo za nią patrzyłam, licząc, że odwróci się w moją stronę. Nie zrobiła tego. Poszłam dopiero wtedy, kiedy zniknęła za swoim blokiem.

Brak wiadomości to bardzo zła wiadomość, chociaż według mojej mamy jest dokładnie odwrotnie. Najbliższe dni nie przyniosły rozwiązania. Julii wciąż nie było. Burmistrz wyznaczył nagrodę za „jakiegokolwiek informacje, które mogą przyczynić się do wskazania pobytu”, a w telewizji lokalnej rodzice zwrócili się z dramatycznym apelem o pomoc w odnalezieniu córki. Wrażenie zrobiła zwłaszcza jej mama, delikatna, eteryczna kobieta z zapłakaną, ściętą strachem twarzą. Policjant przychodził do szkoły jeszcze dwa razy. Za pierwszym, powtórzył swój apel o to, aby powiadomić go nawet o tym, co według nas jest bez znaczenia. Wspomniał też o pewnych informacjach i dał nam szansę, żebyśmy je uzupełnili. Patrzył przy tym badawczo na całą klasę, prześlizgiwał się wzrokiem po wszystkich. Kiedy „przejechał” wzrokiem po mnie, nie mrugnęłam ani nie uciekłam spojrzeniem. Miałam nadzieję, że tak samo zachowała się Kaśka, bo co do obojętności Justyny, to byłam więcej niż pewna. Paweł wrócił na lekcje w czwartek i bez słowa napisał sprawdzian z matematyki. Liczbak już nie wygadywał nic na „koleżankę, która ośmieliła się zignorować pierwszy termin klasówki”. Właściwie to nie wspomniał o Julii nawet słowem. Sprawdził za to na przerwie kartkówkę Pawła i, o dziwo, powiedział mu, że napisał „całkiem dobrze”. Już samo sprawdzenie klasówki od ręki budziło wszelkie podejrzenia, nie wspominając już o tym, że w ogóle odezwał się do ucznia ludzkim głosem. Najdziwniejsza jednak w tym wszystkim okazała się ocena Pawła – cztery z minusem. Zaliczenie poprawki na trójkę graniczyło z cudem, a co dopiero na cztery z minusem. Najwyraźniej nagle obudził się w nim geniusz albo ktoś podmienił Liczbaka. Cała klasa żyła tym przez dwa dni, a ja po raz pierwszy zebrałam się na odwagę, podeszłam do Pawła i powiedziałam serdecznym tonem:

– Gratki, geniuszu matematyczny.

Uśmiechnął się, zawiesił wzrok na mnie dłużej niż na sekundę i odpowiedział „dzięki”, a ja miałam dobry dzień.

Renata już nie dzieliła się swoimi teoriami na temat zniknięcia Julii, robiła tylko tajemnicze miny, które mnie niepokoiły. Kiedy ją nieco przycisnęłam, spojrzała wymownie i powiedziała, że nie może rozmawiać o tym w szkole, ale jeśli wpadnę do niej do domu, powie coś, co może mnie zainteresować. Po szkole musiałam pomóc mamie, więc wyrwałam się dopiero wieczorem. Przyleciałam do Renaty i bez zbędnych wstępów kazałam sobie mówić „o wszystkim”.

– Coś ty taka ciekawa? – spytała zdziwiona, jakby chodziło o zaginięcie czyjegoś chomika albo kota.

– A ty nie jesteś? – odparowałam. – Niby codziennie ginie ktoś znajomy i nie ma w tym nic nadzwyczajnego? Sama mówiłaś, że coś wiesz...

– Nie – zmieszła się wyraźnie. – Tylko wydawało mi się... Zupełnie jej nie znałyśmy, nie sądzisz?

– I dlatego – uniosłam palec – nie potrafimy pomóc w jej odnalezieniu. I dlatego – podniosłam palec jeszcze wyżej – jak tylko wróci, powinniśmy ją poznać lepiej.

Stanowiło to wstęp do wyznania, że kiedy wróci, ja usiądę z nią w jednej ławce. Renata otworzyła zeszyt i zaczęła rysować w nim jakieś wzory i kółeczka, co zazwyczaj pomagało jej się skoncentrować albo podjąć decyzję. Zamazywała w ten sposób kilka osiemdziesięciokartkowych zeszytów rocznie. Czekałam cierpliwie.

– Jeśli ona wróci – powiedziała w końcu.

Przypomniały mi się słowa Justyny i zmroziło mnie. To niemożliwe. Julia musi się odnaleźć i nam przebaczyć. Po prostu musi.

– Musi wrócić! – powiedziałam nieco za głośno. – Na pewno uciekła z domu... Zmarznie i... wróci...

Przez chwilę nawet w to wierzyłam. Renata znów zaczęła smarować swoje kwadraty i kółka.

– Nic nie wskazuje na ucieczkę – wyszeptała, zerkając na drzwi. – Jej rodzice podobno zaprzeczają.

– Rodzice! – prychnęłam. – Co oni wiedzą? Może mi powiesz, że gdybyś nie wróciła do domu, to potrafiliby wyliczyć twoje koleżanki, podać, gdzie mieszkają, i z kim ostatnio gadałaś?

– No raczej! – Renata wydeła usta. – Od razu spytaliby ciebie. Jak zachowywałam się w szkole, czy nie mam kłopotów, czy wyszłyśmy razem, takie tam.... Od razu.

– I wymieniliby wszystkie twoje stopnie? – kontynuowałam z pasją. – Wiedzieliby, co ostatnio powiedziała ci Grubanna na biologii, a Justyna na przerwie? I który chłopak ci się podoba?

– Ponoć jej starzy naprawdę... – zamilkła i zrobiła zatroskaną minę. Taką, jakby to powiedzieć – dorosłą.

– Co naprawdę?

Zawsze tak robiła, zawieszając głos albo resztę zdania dopowiadała sobie w myślach, czym doprowadzała mnie do szału. Było coś jeszcze. Nie umiała analizować. Miała w rękach wszystkie fakty i nie potrafiła wyciągnąć właściwych wniosków.

– Nie wiedzą, gdzie ona jest – dokończyła. – Mówią tylko, że na pewno nie uciekła. Nie zrobiłaby tego.

– Starzy zawsze tak mówią. Nie chcą spojrzeć prawdzie w oczy – upierałam się. Chciałam, by Julia uciekła. To lepsza opcja niż porwanie i tortury.

– Jakiej prawdzie?

Renata jednak była tępą. Rozzłościłam się na nią, ale zaraz zdusiłam złość i zaczęłam tłumaczyć:

– Gdy dziecko ucieka, starzy w to nie wierzą, według nich to nie może być prawda. Przecież ich dobra, spokojna córka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Jak się przydarzy wpadka i przychodzi do nich taka z brzuchem, to matka też mówi, że to niemożliwe, bo córka jest dziewicą.

Gapiała się na mnie z szeroko otwartymi oczami.

– Julia zaszła w ciążę? – wykrztusiła, a mi opadły ręce.

– Boże, nie... To tylko przykład. Ty jesteś jakaś... ciemna.

– Nie jestem ciemna, to ty gadasz jak potłuczona. – Na szczęście wcale nie zamierzała się obrażać. – Mówiłaś tak, jakby ona była w ciąży. Słuchaj – uciszyła mnie, zanim otworzyłam usta – jej mama miała iść za kilka dni na operację, a Julia w tym czasie opiekować się dwójką młodszych braci, zupełnie małych, takich naprawdę małych, wiesz... zupełnie...

– Rozumiem! – krzyknęłam, czym znów wprowadziłam ją w stan zdumienia. Chętnie sama bym ją zamordowała. – Powiedz mi po prostu, czego się dowiedziałaś.

– Z tą mamą to coś chyba poważnego, bo Julia bardzo się tym przejmowała. Nie uciekłyby z domu w takiej chwili – podsumowała.

To mogło mieć sens. A więc jednak została porwana. Boże, co my teraz zrobimy?

– I to wszystko? – spytałam już spokojniejszym tonem.

Wzruszyła ramionami.

– Są zdziwieni, że nie przyjaźniła się z nikim w szkole. W podstawówce wszyscy bardzo ją lubili.

Ja nie dziwiłabym się tak bardzo. Przyszła do nas sama, ludzie przeważnie trzymali się razem z tymi, których znali wcześniej, jak ja z Renatą albo Justyną z Kaśką. Tak było łatwiej. Nasza klasa wcale nie należała do tych zgranych. Większości nie znałam dobrze, nie rozmawialiśmy na przerwach, nie umawialiśmy się po lekcjach. Koledzy zlewali się w szarą masę podobnych do siebie ludzi.

I pewnie tak samo postrzegali mnie. Nie robiłoby to na mnie żadnego wrażenia, gdyby tylko Paweł myślał inaczej.

– Udało się ustalić, co robiła tego dnia? – spytałam z lekkim drżeniem w głosie, ale Renata pokręciła przecząco głową.

– Nie zapisała tego w pamiętniku, nie wiedzą.

Zrobiło mi się gorąco. W jakim pamiętniku?

– Pisała pamiętnik. To też ponoć przemawia przeciwko ucieczce. Gdyby uciekała, nie zostawiałaby przecież pamiętnika, w którym zapisywała wszystkie ważne rzeczy, nie?

– Pewnie tak... – Serce mi waliło.

– Nic nie wiedzą. Rozmawiali od nas z klasy tylko z jedną osobą. Z Pawłem, z tym Pawłem Bałakiem, z tym... no wiesz...

– Wiem. I co?

Wtedy drzwi do pokoju otworzyły się i weszła jej mama. W ręku trzymała tacę, a na niej dwa kubki herbaty oraz talerzyk rogalików z dżemem.

– No, co tam, dziewczynki? – spytała wesołym głosem.

– Uczymy się – burknęła Renata.

Uśmiechnęłam się szeroko, lubiłam jej mamę.

– Ależ po co tyle kłopotu? – powiedziałam teatralnie, wstając, aby wziąć od niej tacę. Sama Renata nie ruszyła się z fotela.

– Co tam słyhać u ciebie, Marzenko? – spytała, obrzucając córkę pełnym urazy wzrokiem.

Zapewniłam, że wszystko dobrze, a moi rodzice serdecznie pozdrawiają. W podziękowaniu otrzymałam serię pełnych sympatii uśmiechów. Imponowała mi, a najbardziej wygłaszany mi jakby mimochodem mądrościami. Starłam się je zapamiętać i często podczas wizyt u Renaty wymykałam się do łazienki, gdzie szybko spisywałam taką myśl w notesiku, przywłaszczając ją sobie na użytek przyszłej kariery pisarskiej. Jej mama mówiła na przykład: „Mężczyźni są jak fortepiany, każdy gra i robi wrażenie, ale mało jest instrumentów naprawdę mistrzowskich. A poza tym nawet najlepszy zajmuje za dużo miejsca”. Renata zdaje się nie lubiła specjalnie ani tych aforyzmów, ani swojej mamy. Kiedy okazywałam jej sympatię, krzywiła się i wtrącała coś o ojcu, który wprawdzie rzadko bywał w domu, bo dużo pracował w terenie, ale kiedy już wracał, to był bardzo, jak to się wyrażała, „fajny”. Może chodziło o to, że jej mama nie pracowała i siedziała zawsze w domu, a ojciec wywoływał tęsknotę? A może tylko przed koleżankami stawiała się miłą, dowcipną i ujmującą, a kiedy drzwi zamykały się za nami, zamieniała się w zupełnie inną osobę? Trudno powiedzieć. Teraz Renata miała minę, jakby pani Gruszkowska bardzo nam przeszkadzała.

– To ucztujcie się, dziewczynki, tylko nie zasypiajcie gruszek w popiele – westchnęła.

Roześmiałyśmy się obie, może odrobinę za głośno. Stary żart, nawiązujący do naszych nazwisk, od dawna nas nie śmieszył. Kiedy tylko zamknęła drzwi, Renata wzięła rogalik i z pełnymi ustami powiedziała:

– Podobno tylko Paweł umiał udzielić jakichkolwiek informacji. Przyjaźnił się z nią. Mieszka gdzieś niedaleko i tego... znają się dobrze od dawna.

– Chodzą ze sobą? – Zaszło mi w gardle.

– Kaśka mówi, że Paweł chodzi z nią.

– E tam – burknęłam. – Chciałaby...

Renata zjadła cztery rogaliki, mnie zostawiła dwa. Wzięłam szybko jednego i rozgryzłam. Były jeszcze ciepłe.

– Każda by chciała. – Popatrzyła w bok. – Sama bym chciała. Jest bardzo... fajny.

Zamilkłyśmy. Drugiego rogalika zjadłam już wolniej, delektując się smakiem i przetrawiając uzyskane informacje.

– Ty byś nie chciała? – spytała cicho. – Czasami widzę, jak mu się przyglądasz.

Mogłam zaprzeczyć, zacząć sobie kpić, ale w ten sposób tylko potwierdziłabym jej przypuszczenia.

– Jest naprawdę... świetny pod każdym względem – odpowiedziałam. – Nie wiem, z kim chodzi, może z nikim. A może z Kaśką. – Zrobiło mi się głupio, gdy westchnęła. Znałyśmy się tak dobrze, a nawet nie wiedziałam, że się zakochała. Postanowiłam nagrodzić ją wyznaniem. W końcu postarała się zdobyć jakiegokolwiek informacje związane ze śledztwem.

– Chciałabym, pewnie...

Na chwilę stałyśmy się siostrami w nieszczęściu, zakochanymi w tym samym chłopaku, bez szans na zdobycie jego serca. Po tym wyznaniu Renata już nie wróciła do rozmowy o śledztwie, tylko cały czas mówiła o Pawle. Czułam się, jakby zabierała mi go z każdym słowem, odzierała z aury tajemniczości i romantyzmu, sprowadzając obiekt moich marzeń do oczu, ust, nosa, gry w koszykówkę i ogólnej „fajności”. „Fajny” odmieniała przez wszystkie przypadki. Pewnie dlatego do domu powlokłam się w dziwnym nastroju, zupełnie zrezygnowana. Powtórzyłam polski i napisałam byle jaką notatkę z lekcji, a potem długo przewracałam się w łóżku, zastanawiając się, co mogło stać się z Julią. Jeśli naprawdę ktoś ją porwał, przetrzymuje ją teraz w jakimś miejscu albo... Nie chciałam dokończyć tej myśli, wolałam skupić się na tym, kto mógł to zrobić. Przypomniałam sobie jeden z kryminałów od Renaty, opowieść samego mordercy o jego zbrodniach i uczuciach, jakie w nim wywoływały. Długo spierałyśmy się o tę powieść – jej bardzo się podobała, a mi wydała się okropna. Teraz jednak myślałam o niej coraz bardziej intensywnie. Co mogło kierować porywaczem Julii? Dlaczego to zrobił? Może ktoś go namówił, pomógł mu albo próbował go od tego

odwieść, tylko nie zdążył? Bezwiednie sięgnęłam po zeszyt, w którym opisywałam dotąd to, co czułam do Pawła. Znalazłam czystą stronę.

*Ta dziewczynka zaginęła, a ja od razu wiedziałam, kto za tym stoi. Najprościej było pójść na policję i wszystko opowiedzieć. Nie miałam jednak cienia dowodu poza wspomnieniem tamtego dnia, gdy w chwili słabości wyznał, że to jego najskrytsze pragnienie. To wyznanie wstrząsnęło mną tak bardzo, że musiałam się napić. Wcześniej prawie nie piłam alkoholu. Grzeczne dziewczynki z dobrego domu nie piją i nie zakochują się w niewłaściwych chłopcach. No cóż, nie pochodziłam z dobrego domu, dlatego wysłuchiwałam ciężkich grzechów innych ludzi. Tak bywa.*

*Nie zdradzał się z niczym. Długo uważałam go za kogoś zupełnie innego. Długo sądziłam, że nie znosi zła, nie znosi krzywdy ludzkiej. Tak pięknie to udowadniał. Myliłam się. Nienawidził, kiedy krzywdzili inni. Było zupełnie inaczej, kiedy krzywdził on sam.*

*Widziałam go wtedy. Opuścił mieszkanie chwilę za późno. Być może napawał się widokiem rozpląszonego pod oknem dręczyciela. Może nie umiał opuścić miejsca zbrodni, zanim nie nasycił się widokiem krwi rozlewającej się po płytach chodnikowych. Szary pasuje do czerwieni, czerwień go ożywia. Wtedy nic nie wypiął. Musiałam być trzeźwa, wziąć wszystko na swoje barki, a i tak nieomal wszystko zepsułam. Rzuciłam mu w twarz, że go widziałam, a on nie posunął się do tanich usprawiedliwień, ale zaczął uważać. Od tamtej pory bardzo uważał. Uważałam i ja.*



### **ROZDZIAŁ III**

Czcilem tę istotę. Nie uczyniłem jej najmniejszej krzywdy. Mali ludzie powiedzą, że krzywdą było samo jej uwięzienie, trzymanie w zamknięciu, z workiem na głowie, przywiązana do łóżka. To tylko konieczne środki, aby się nie uwolniła, nie pobiegła obwieścić światu, iż nieszkodliwy, jak się wydawało, człowiek w istocie jest potworem.

Musicie mi uwierzyć, nie tknąłem jej nawet palcem. Moja miłość, czułość, delikatność, jaką w sobie odnalazłem, przekształcała tę moją potworność w coś bardziej wysublimowanego, szlachetnego. Czułem się niczym filozof uwielbiający tę zwykłą, wulgarną dziewczynę, miłością przemieniając poczwarkę w najpiękniejszego motyla.

Odwiedzałem ją codziennie. Pozwalałem skorzystać z toalety, przynosiłem wodę i jedzenie. Nic nie mówiłem. Nie miałem dalekosiężnych planów, ale powoli kiełkowała we mnie myśl, by zatrzymać ją na zawsze. Mógłbym wtedy do niej przemawiać, uczyć ją sztuki kochania, recytować wiersze i czytać najpiękniejsze frazy o miłości. Dostojewski, on wiedziałby, o czym mówię. Nabokov, on by mnie zrozumiał.

Chciałbym pokazać jej moją twarz. Mogłaby zobaczyć we mnie to, co ja ujrzałem w niej. Mogłaby pokochać mnie takiego, jaki w istocie jestem, odrażający z zewnątrz, ale w środku niewymownie piękny. Potem złożyłbym u jej stóp największy dar – wieczny spokój. Odeszłaby szczęśliwa. Tak byłoby najlepiej dla niej, ale ja nie byłem na to gotowy. Przyjdzie czas na podjęcie decyzji. Jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Zmiany prowadzą tylko do kolejnych zmian. Po kilku dniach coś w naszej klasie się zmieniło. Zamiast zwykłego marazmu i zrezygnowania podszytego strachem przed nieoczekiwaną kartkówką albo wyrwaniem do odpowiedzi, dało się zauważyć wyraźne ożywienie. W naszej sali rozchodził się szmer niezależnie od tego, czy mieliśmy zajęcia z łagodną Miss Saigon, okropną Pakułą czy mściwym Liczbakiem. Co więcej, oni sami także byli rozkojarzeni. Pakuła posunęła się nawet do tego, że zamiast przykładowie zapytać ze dwie osoby i ukarać je jedykami, westchnęła i powiedziała:

– Uspokójcie się. Co w was dziś wstąpiło?

Liczbak zamiast z lubością wymawiać co rusz wyraz „liczba”, omawiał długo i dokładnie funkcje i pytał, czy aby wszystko rozumiemy. Wprawiało nas to w radosne zdumienie. Grubanna wyjaśniła sprawę.

– Jest przełom w śledztwie i pan z policji znów tu przyjdzie. Na ostatniej lekcji będziecie wzywani do gabinetu pani dyrektor i... chyba będą jakieś pytania.

Ostatnia była fizyka. Czyżbyśmy śnili?

– Czy można przyjść ze swoim adwokatem? – spytał Przemek, okularnik-filozof, dobry z matematyki, ale kompletna noga z polskiego.

Cała klasa spojrzała na niego i wszyscy ryknęli śmiechem, tylko nauczycielka zachowała dziwną powagę.

– Jeśli masz coś na sumieniu, to tak – rzuciła krótko. – Jeszcze jakieś pytania?

– Czy mogę wejść pierwsza, bo spieszę się na lekcję w szkole muzycznej? – spytała Ewa, cicha brunetka, która prawie nie odzywała się na zajęciach.

Przypomniałam sobie, że mieszka na tym samym osiedlu, co Julia. Chyba kilka razy widziałam, jak wchodziły razem do szkoły.

– Tak sądzę. – Skinęła jej głową Grubanna.

– Ja idę na trening – mruknął Karol, chociaż, o ile wiedziałam, nie uprawiał żadnego sportu, był gruby i pryszczaty.

– A ja chodzę do psychologa – wyrwał się z kolei Tomek, chłopak prawie tak przystojny jak Paweł, ale zabawny i bardziej towarzyski. Nie trzymał się z boku jak on. Gdy nauczycielka spojrzała na niego uważnie, rozłożył ręce. – Stres szkolny – dodał z zabawną miną. – Nie daję sobie rady. Jak nie pójdę na seans, to... tego... źle będzie...

Grubanna postanowiła położyć temu kres.

– Dosyć tego! – podniosła głos. – Kpiny sobie urządzać?! Będziecie wchodzić według listy! I lepiej, bym nie usłyszała, że jesteście bandą chamów i nie umiecie się wysłowić!

Ja na pewno nie byłam chamska, raczej nieśmiała. Każdy z nas siedział tam po kilka minut. Obserwowałam uważnie wychodzących z gabinetu dyrektorki. Jedni z ulgą wypisaną na twarzy, inni znów skrzywieni, jakby dostali do powąchania coś śmierdzącego. Kaśka wyglądała jak zwykle, czoło zmarszczone, palce w ustach. Z każdym dniem traciła w moich oczach na urodzie. To niemożliwe, by chodziła z Pawłem – ani teraz, ani w przeszłości. Taki chłopak w życiu nie zainteresowałby się obgryzającą paznokcie dziewczyną, nawet ładną, która chodziła do psychologa, trzymała się kurczowo koleżanki i nie miała własnego zdania. Paweł wszedł jako drugi, po Edycie Andruszkiewicz, naszej gwiazdzie. Chciała zostać aktorką, występowała w każdym szkolnym przedstawieniu i grywała nawet epizody w filmach. Nie była jakoś wyjątkowo ładna, ale ciekawie recytowała i śpiewała naprawdę dobrze. Kilka razy widziałam ją w telewizji i raz w kinie. Na ekranie wyglądała zupełnie inaczej. Skoro zamieniała się pod okiem kamery w motyla, to mogła mieć szansę na karierę filmową. Czasami swoje umiejętności aktorskie wykorzystywała na polskim, deklamując wiersze, co Pakuła przyjmowała życzliwie. Raz zemdlała na matematyce i nawet Liczbak stracił rezon. Zrobiło się wtedy zamieszanie z cuceniem jej, oblewaniem wodą. Wszyscy krzyczeli coś o pogotowiu, lekarzu

i robili jeszcze większy rwetes. Ominęła nas wtedy kartkówka i odpytywanie. Nie wiem, czy naprawdę zemdlała, ale wydawało mi się, że obserwuje nas uważnie spod półprzymkniętych powiek, kiedy „dochodziła do siebie”. Ciekawe, czy coś „zagrała” na spotkaniu z policjantami.

Paweł siedział tam rekordowo długo, aż dwanaście minut, podczas których zdążyłam się spocić ze dwa razy. Pocieszałam się, że w końcu jako jedyny z naszej klasy przyznał się do znajomości z Julią. Może przypomniał sobie jakieś nowe fakty? Dopadłam go, kiedy tylko opuścił gabinet dyrektorski zamieniony w pokój przesłuchań.

– I co? – spytałam. – Naprawdę wiedzą coś więcej?

Wzruszył ramionami. Nie patrzył na mnie.

– Moim zdaniem jej nie znajdują – powiedział w końcu. Na jego twarzy odbiło się cierpienie, a może tylko tak mi się zdawało.

– Ale dlaczego tak mówisz? O co pytali? – męczyłam go, zanim Justyna odciągnęła mnie na bok i przywołała do porządku lodowatym spojrzeniem.

– Przecież nic nie powiem – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Nie ma obawy.

Po wyjściu z gabinetu straciła swoją obojętną minę, wyglądała na wyczerpaną. Przestraszyłam się, że coś powiedziała, ale spojrzała na mnie, potem na Kaśkę i ledwie dostrzegalnie pokręciła głową. Zrozumiałam. Musimy iść w zaparte, a nic nikomu się nie stanie. Odpędziłam po raz kolejny natrętą myśl, że jeśli Julia się znajdzie i powie o spotkaniu, znajdziemy się w bardzo niedobrym położeniu. Nie umiałam rozstrzygnąć, czemu Justyna się tym nie przejmuje. Albo była głupia jak Kaśka, albo wiedziała coś, czego nie wiedzieliśmy my. Weszłam prawie ostatnia.

– Jak się nazywasz? – spytał policjant.

Podaliśmy imię i nazwisko. Podobno w takich sytuacjach to zupełnie normalne, gdy człowiek się denerwuje – gdzieś o tym czytałam. Zbyt duży luz może być podejrzany, za to nerwowe zginanie palców i zaciskanie dłoni w pięści budzi więcej zrozumienia niż ostentacyjne ziewanie.

– Denerwujesz się?

Pytanie padło nieco z tyłu. Odwróciłam się zaskoczona. W kącie pokoju siedział drugi policjant w cywilnym ubraniu.

– Nie, dlaczego? – spytałam i przełknęłam ślinę.

– Jak dobrze znałaś Julię Patykę? – Jaśkowiak przyglądał mi się życzliwie.

– Prawie wcale – odparłam szybko.

– W porządku. – Nie spuszczał ze mnie wzroku, uśmiechał się.

– Jak to możliwe? Przecież chodziliście do jednej klasy – odezwał się zaczepnie ten z tyłu. – Chcesz mi powiedzieć pewnie, że prawie nigdy z nią nie rozmawiałaś?

Już wiedziałam, co się dzieje. Ten pierwszy odgrywał rolę dobrego policjanta, drugi złego. Siedzenie za moimi plecami i rzucanie ostrych uwag miało mnie z pewnością sprowokować do odsłonięcia się. Widziałam to na filmach.

– Bo tak było. – Przełknęłam ślinę. To tylko prowokacja, powtarzałam w myślach.

– A my mamy inne informacje. – W jego głosie kryła się lekka groźba. Nie daj się sprowokować, nakazałam sobie.

– Ale ja naprawdę... – przerwałam i odwróciłam się do niego. – Kto panu powiedział coś innego? Niech tu przyjdzie i powie to mnie. Prosto w oczy – zaatakowałam i jak wywnioskowałam z miny Jaśkowiaka, zrobiłam odpowiednie wrażenie.

– Powiedz mi coś o Julii – odezwał się.

– Jasne włosy...

– Nie chodzi o wygląd – szybko mi przerwał. – Mamy jej zdjęcia. Co ty o niej sądziłaś? Sądzisz – poprawił się.

Wyprostowałam się nieco.

– Już panu mówiłam, nie znałam jej za dobrze. Czasem było mi jej szkoda, bo Li... profesor Miłoszewski wziął się na nią. To znaczy, ona jest słaba z matematyki, ale mimo wszystko bardzo się stara i on nie powinien jej tak traktować...

– Co dokładnie masz na myśli? – głos tego z tyłu stał się nieco życzliwszy, więc opowiedziałam o metodach Liczbaka, o tym, jak tylko czekał, aż Julii powinie się noga. – A nie chciałaś jej pomóc w nauce? – zaatakował po chwili.

Znów mnie zaskoczył, ale nie dałam się sprowokować.

– Profesor Miłoszewski jest dokładnie taki jak pan – powiedziałam spokojnie, choć głos lekko mi drżał. – Pozwala poprawić ocenę, nawet chwali, żeby po chwili odebrać człowiekowi całą radość i godność. Pan siedzi z tyłu i łapie mnie za słówka.

Najwyraźniej go zamurowało. Cisza zadzwoniła w gabinecie. Jaśkowiak skrzywił się i odwrócił do nas bokiem. Najwyraźniej chciało mu się śmiać. Ja nie odczuwałam satysfakcji. Obawiałam się, że teraz mnie zapamiętają.

– Dziękujemy ci bardzo – powiedział sucho ten drugi policjant. – Możesz iść.

Za drzwiami czekała tylko Dominika Żelazko. Nie było ani Justyny, ani Kaśki. Nie było też Pawła.

Następnego dnia zelektryzowała mnie wiadomość, że na tamtym strychu wybuchł pożar. Dowiedziałam się o tym zupełnie przypadkowo, w osiedlowym sklepie. Ekspedientka opowiadała o tym Adamsowej, która nie słuchała zbyt uważnie jej wywodów, zajęta ukrywaniem przede mną „małpki”. Drżącymi rękoma usiłowała przykryć buteleczkę cytrynowki paczką białego sera. Próżny trud,

wiedziała, że Adamsowa ma problem z alkoholem. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt jej nie szanował, chociaż mój ojciec skrzyczał mnie kiedyś, gdy nie powiedziałam „dzień dobry” na schodach. Nikt nie mówił, bo przemykała zawsze z lekko pochyloną i zwróconą w bok głową, jakby chciała się schować przed innymi ludźmi. Ogólnie mówiąc, nie zależało jej na kontaktach ze światem zewnętrznym. Adamsowie tworzyli dziwaczną rodzinę. Ona, podobnie jak Morticia, chodziła w czerni, mocno malowała oczy i kołysała się na boki, a on mówił do siebie, kiedy szedł ulicą. Czasem zdarzało mu się nawet zaśmiać. Ich dzieci były też jak nie z tego świata. Wszyscy ich unikali.

Zdziwiłam się, kiedy usłyszałam, że ekspedientka opowiada o pożarze właśnie jej. Rozmowa typu: „popatrz pani” nie zainteresowałaby mnie w najmniejszym nawet stopniu, ale padła nazwa ulicy – Kopernika.

– Tam mieszkali moi znajomi – perorowała ekspedientka z dziwnym błyskiem w okolonym czarnym tuszem oku. Na użytek mojej przyszłej powieści obyczajowej nazwałam ją Czarną Mańką, bo wyglądała jak powojenna handlarka papierosami z warszawskiego Powiśla. – Pani przecież też tam mieszkała, zanim sprowadziła się tu z rodziną.

– Dawno temu – wymamrotała Adamsowa, rzucając na boki przestraszone spojrzenia. – Chcemy tylko spokoju...

Zastanowił mnie dziwny, złośliwy uśmiech Czarnej Mańki, ale moją uwagę odwróciło co innego. Strych spłonął dwa dni temu, powtarzałam sobie. Ta informacja wprawiła mnie najpierw w osłupienie, potem przeraziła. Działo się coś, co mnie przerastało. Pożar nie mógł oznaczać niczego dobrego. A jeśli wszystko się wyda? Oczywiście to mógł być przypadek, ale czy takie przypadki istnieją? Resztki logiki, której nie sparaliżował mój strach, podpowiadały, że nie ma takich przypadków. Kto mógł podpalić strych i przede wszystkim – dlaczego? Przeczytałam już trochę kryminałów, nie tyle, niestety co Renata, ale nie przypominałam sobie podobnej zagadki.

Adamsowa uciekła ze sklepu tak szybko, jak tylko mogła, rzucając na mnie pełne niepokoju spojrzenie. Kobieto, mam swoje zmartwienia, chciałam powiedzieć, nic mnie nie obchodzi twoja porąbana rodzina ani wóda.

– Co dla ciebie? – spytała Czarna Mańka. Z jej twarzy nie schodził uśmiech. Chciałam ją spytać o pożar, ale to mogło wydać się podejrzanym, a nie wiedziałam, jak zagadnąć. Na szczęście sama mnie wyręczyła, gdy wyrecytowałam jej listę zakupów od mamy.

– Tu ludzie pamiętają – burknęła, wydając resztę.

– O czym?

Dośłownie wychodziła z siebie, żeby podzielić się tą informacją.

– Wyprowadziła się z tamtego domu, bo był pożar. Dziecko wtedy zostawili w domu bez opieki i zaczął biedactwo. Niby nie ich wina, ale tacy rodzice,

tfu... Jedna to tyle by dała za dzieciątko, gdy innej Pan Bóg błogosławi. A potem ona marnuje taki dar! – Mańka nagle przerwała, a ja stałam jak wryta, analizując ten dziwny wybuch. Kobieta zasłoniła sobie usta dłonią i spojrzała na mnie, jakbym wyciągnęła z niej te słowa przemocą.

Grzecznie powiedziałam „do widzenia”, a potem wlokąc się noga za nogą do domu, zastanawiałam się, czy Justyna albo Kaśka mogły podpalić strych. Tę drugą od razu wykluczyłam. Brakowało jej odwagi, aby zrobić coś takiego. Za to Justyna, o tak, ona mogła wpaść na taki pomysł, ona by się nie bała. Była doskonale obojętna i wystarczająco konsekwentna, aby pójść na strych i podłożyć ogień. Nie potrafiłam sobie jednak odpowiedzieć na pytanie, co by tym zyskała. Myślała o zacieraniu śladów? Tylko po co? Przecież często tam przychodziliśmy i na pewno zostawiłyśmy mnóstwo odcisków palców czy włosów. Julia była tam pierwszy raz, jej włosy mogły stanowić dowód, to prawda. Ale dowód czego? Poza tym ten, kto podpalił strych, ryzykował, że zrobi sobie krzywdę albo nie zapanuje nad pożarem i ucierpi ktoś niewinny. Zatem albo to ktoś bezmyślny, albo bardzo odważny i popchnęło go do tego coś, o czym nie wiedziałam. Justyna mogła być na tyle odważna, ale nie głupia. Jeśli Julia się odnajdzie, wróc, **KIEDY** Julia się odnajdzie, może powiedzieć, gdzie spędziła tamten wieczór. Nazwą nas wtedy kłamczuchami i oskarżą o utrudnianie śledztwa, ale raczej nikt nie będzie nas posądzał o to, że pomogłyśmy jej zniknąć. Podsumowując – palenie strychu nie miało sensu. No i nie było miejscem zbrodni.

Zbrodnia... To słowo oblepiło mnie jak lepki celofan. A jeśli to **BYŁO** miejsce zbrodni? Wtedy wszystko wyglądałoby inaczej. W ułamku sekundy ujrzałam scenę, w której Kaśka wraca z Julią na strych i tam ją morduje. Ciało pozostawia zwinięte w koc. Po dziesięciu dniach wraca, by spalić zwłoki i usunąć wszelkie ślady. Czy to miało sens? A może raczej to Justyna ją zabiła? Zaczaiła się za blokiem, czekając, aż opuścimy strych, a potem namówiła ją do powrotu na górę. Pod jakim pretekstem? Może chciała oddać majtki? Wtedy Julia poszłaby z nią, a na strychu mogły się pokłócić. Zgodnie z tym scenariuszem Justyna zabiła ją latarką, pozostawiła zwłoki, a potem spaliła strych, by ukryć dowody. Wtedy jednak kobiety w sklepie mówiłyby o znalezieniu ciała. Nie umiałam odpowiedzieć sobie na pytanie, czy można tak doszczętnie spopielić zwłoki, żeby nic z nich nie zostało. Gdyby Grubanna nie uczyła nas bzdur o rozmnażaniu się nago- i okrytonasiennych, tylko bardziej przydatnych wiadomości, pewnie wiedziałabym teraz, czy da się spalić czyjeś ciało i nie pozostawić śladu. Muszę to sprawdzić, w końcu jako przyszła pisarka powinnam wiedzieć takie rzeczy.

– Odbiło ci? – Mały Adams stał z piłką pod pachą i patrzył na mnie. Wolną ręką kreślił kółka na czole.

Co on tu robił? Pewnie stary wysłał go, by pilnował matki. Adamsowa miała zwyczaj opróżniać butelkę już po drodze do domu. I mały zobaczył, jak stoję pod

blokiem i mamrocę do siebie, wzbudzając zdumione spojrzenia nielicznych na szczęście przechodniów. Pewnie oczekiwał takiego zachowania od własnej rodzicielki, a nie od kogoś, kto dotychczas wydawał się w miarę normalny.

– Tobie chyba odbiło, bo ganiasz z piłką po śniegu – zaatakowałam.

Mali Adamsowie byli tak dziwni jak ich rodzice. Wychodzili z piłką na śnieg, a latem jeździli na sztuczne lodowisko. Nie wiedzieć czemu, mieli indywidualne nauczanie i w godzinach porannych siedzieli w domu albo włączyli się bezproduktywnie po mieście. Adams junior wzruszył ramionami, wszedł na zaśnieżone boisko tuż koło klatki schodowej i zaczął kopać piłkę do pustej bramki, wrzeszcząc jak wariat, kiedy udało mu się trafić.

W domu mama załamała rękę.

– Ciebie to po śmierć posłać. Przecież ja czekam z obiadem na tę śmietanę.

Niestety, nie kupiłam śmietany. Zapomniałam o niej z chwilą, kiedy Czarna Mańka wspomniała o pożarze na strychu. Boże, co się ze mną dzieje? Mama jakby czytała w moich myślach:

– Co z tobą, dziecko, dzieje? Jesteś jakaś inna, mówisz do siebie...

Przez to nieznośne napięcie, strach o siebie i Julię oraz niepewność ostatnich dni nagle puściły mi wszystkie hamulce. Usiadłam na wycieraczce i rozplakałam się.

Tego dnia nie zjedliśmy zupy zabiłanej śmietaną. W ogóle nie zjedliśmy obiadu. Nikt z domowników nie myślał już o jedzeniu po tym, jak powiedziałam o zaginięciu koleżanki, którą pewnie ktoś zamordował. Rzecz jasna nie wspominałam ani słowem o moim udziale w całej sprawie, o pożarze ani o strachu przed karą. Wywrzeszczałam za to mamie, ojcu i dziadkowi, że nie wspierają mnie w tym trudnym czasie, nie pomagają zrozumieć, dlaczego na świecie dzieją się tak niesprawiedliwe rzeczy.

– Ależ Marzenko – odezwał się ojciec. – My nie wiedzieliśmy, że ta sprawa tak bardzo cię dotknęła.

Mama zgromiła go wzrokiem.

– Ależ Marcinku – powiedziała z naciskiem. – Jeśli nie masz nic mądrego do powiedzenia, lepiej się nie odzywaj.

Na chwilę przestałam płakać. Nigdy nie zwracała się do niego w ten sposób, na pewno nie przy mnie. Nawet dziadek uniósł brwi i zrobił zdumioną minę.

– Ja tylko chciałem powiedzieć... Przecież prawie nie znałaś tej dziewczynki – tłumaczył się ojciec, rozkładając rękę.

– Co nie znaczy, Marcinie, że nie może przeżywać jej zaginięcia – dziadek z wysiłkiem wypowiadał słowa.

Mieszkał z nami od roku. Po udarze mózgu rodzice zabrali go do nas, a jego mieszkanie wynajęli. Zachował sprawność, tylko prawa ręka stała się słabsza, ale chodził zupełnie normalnie. Za to z mówieniem miał wyraźny kłopot, jego głos

brzmiał chropowato, jakby w przełyku utkwiał mu kęs jedzenia. Czasem nie dało się zrozumieć, o czym mówi. Oczywiście zdarzały się lepsze i gorsze dni. Nie pamiętam jednak, kiedy ostatnio wypowiedział jakieś zdanie tak dźwięcznie, głośno i jasno. Relacje między nami były dość dziwne. Prawie się nie odzywał, jakbyśmy nie mieli sobie nic do powiedzenia. Teraz po raz pierwszy dostrzegł we mnie istotę ludzką i do tego z problemami. Wcześniej potrzebował wnuczki tylko do przynoszenia herbaty i odnoszenia do kuchni kubka z fusami. Zazwyczaj myślałam o nim jako kimś, kogo największym osiągnięciem życiowym jest stworzenie teorii, że czwartek to najlepszy dzień w tygodniu, śrubki trzeba dokręcać przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, a książki nie powinny mieć tytułów na grzbiecie – cokolwiek to było, w nikim nie wzbudzało ani zainteresowania, ani nawet zrozumienia. Czasem, kiedy przy obiedzie zaczynał coś mówić, wyłączałam się i moja myśl oddalała się od jego słów z szybkością samolotu. Stanowczo nie miałam z dziadkiem nic wspólnego, choć kilka razy podsuwał mi jakieś lektury, zwłaszcza kiedy usłyszał, że chcę zostać pisarką, co go nie wiedzieć czemu uradowało. Kiedyś pracował w domu kultury i zajmował się organizacją imprez dla dzieci. Z wdzięcznością przyjmowałam jego sugestie, co powinnam przeczytać, bo chciałam uczyć się warsztatu pisarskiego, a przynajmniej dostawać lepsze stopnie na polskim, jednak nie przebrnęłam ani przez *Ziele na kraterze* Wańkowicza, ani *Sklepy cynamonowe* Schulza, ani *Dziewczęta z Nowolipek* Gojawiczyńskiej. Naprawdę próbowałam, ale zasypiałam przy dziesiątym zdaniu, czytałam, albo myślałam zupełnie o czym innym niż trzymane w ręku dzieło, nie rozumiałam nic z tego, co autor miał na myśli, i czułam się przy tym jak kretynka. Powiedziałam to dziadkowi z nadzieją, że podsunie mi coś łatwiejszego, ale on machnął ręką i przestał się mną interesować. A teraz wziął mnie w obronę.

– Wybacz, kochanie, że cię nie wspieraliśmy. – Mama wyjęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła ocierać mi łzy oraz ciekący nos.

– No, ja... – Ojciec najwyraźniej nie wiedział, jak z honorem wybrnąć z tych oskarżeń. – Nie pomyślałem... To znaczy... Przepraszam cię, skarbie.

Mój przepraszający ojciec to też było coś nowego. Wydmuchałam nos w chusteczkę i wstałam z wycieraczki. Mama objęła mnie ramieniem.

– Przepraszamy cię, Marzenko, za to, że nie okazaliśmy ci wsparcia. Chcemy naprawić ten błąd.

Podobno babcia była zimną, obojętną na wszystko kobietą. Nie rozumiała mojej mamy, która całe życie miała do niej o to żal. Dziadek usprawiedliwiał babcię, zwalając wszystko na czasy, w jakich żyła, i traumę wojny, jakby to miało wytłumaczyć, dlaczego nigdy nie chciała mieć dzieci albo nie potrafiła ich pokochać. Dziadka też dotknęła trauma wojny, może dlatego uważał, że powinnam czytać dziwacznych, dawno zapomnianych pisarzy. Widocznie okazał się jednak



lepszym rodzicem niż babcia. Pewnie też lepszym ojcem niż dziadkiem.

Mama miała obsesję na punkcie bycia dobrą, pełną zrozumienia matką. Obiektywnie nie dało jej się niczego zarzucić. Powiedziała mi, skąd biorą się dzieci, chociaż zabrakło w tym tłumaczeniu części o zabezpieczaniu się przed zajściem w ciążę. Przeprowadziła kilka pogadań na temat „czego chcą chłopcy”, raczej jednak nieudanych, chociaż pełnych pasji i dobrych chęci. Znała moje koleżanki z podstawówki, niektóre z liceum, nazwiska nauczycieli. Wiedziała, co lubię jeść i jaki kolor jest moim ulubionym. Wykazywała więcej zainteresowania niż inni rodzice. Mimo to, nie przyszłoby mi do głowy, by wyznać jej prawdę o Julii. Gdyby dowiedziała się, co robiłam tamtego wieczoru, kiedy kłamałam o zbiorce harcerskiej, kazałaby mi iść na policję, a przez kolejnych kilka miesięcy słuchałabym o tym, że gdyby ona okłamała rodziców, dostałaby od matki w tyłek tak, że przez tydzień by nie usiadła.

Teraz jednak jej potrzebowałam. Potrzebowałam wyrzucić z siebie lęk, choć – wstyd się przyznać – wciąż drżałam ze strachu o siebie, a nie o Julię.

– Ja po prostu się boję, że ktoś, kogo znałam, znam – poprawiłam się – jest w rękach jakiegoś oprawcy...

Rodzice milczeli, wymieniając się spojrzeniami od czasu do czasu.

– Może ją bije i gwałci... Nie mogę przestać o tym myśleć! Wszyscy zachowują się, jakby się nic nie stało. Jemy, śpimy... a ona może już nie żyje!

Ojciec przełknął ślinę.

– Nie ma na to żadnych dowodów – powiedział wyraźnie wstrząśnięty.

– Bo nie ma żadnych śladów ani dowodów! Nic nie ma. Do szkoły przychodzi policjant i rozpytuje, Julii nie ma już tyle dni...

– Muszę pójść do szkoły – stwierdziła mama. – Przecież policja nie może dręczyć dzieci.

– Nie o to chodzi! – wrzasnęłam. – Niech ją po prostu znajdą! Jak pójdziesz do szkoły i powiesz coś takiego, to jak myślisz, za kogo oni będą mnie uważali?!

– Zapewniam cię skarbie, że mam prawo zwrócić się do dyrekcji szkoły, by policja przestała... Nie mogą was męczyć i...

– Ale ja nie mówię o policji! – wrzeszczałam coraz głośniejszym głosem. – Dziewczyny i chłopaki będą mnie uważali za jakiegoś... matoła! Przecież policja chce ją znaleźć. Czy ty tego nie rozumiesz?

– Nie mów tak do mamy – powiedział słabym głosem ojciec.

– Nic nie szkodzi – odparła szybko. Była bardzo czuła na słowa, że nie rozumie czegoś, co mnie dotyczy, i w imię tego potrafiła wiele wybaczyć. Teraz najwyraźniej została skonfrontowana z czymś większym – z jej córką działało się coś niedobrego, a ona o tym nie wiedziała. – Jak możemy ci pomóc? Zrobię wszystko, by cię ochronić – dodała bezradnie, a ojciec spojrzał na swoją poślubioną siedemnaście lat wcześniej żonę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Nawet

dziadek zmarszczył brwi.

– Ja mam wam powiedzieć, w jaki sposób możecie mi pomóc? – nie przestawałam atakować, chociaż zaczynało to przypominać kopanie leżącego. Nie musiałam udawać goryczy, moje pytanie dosłownie nią ociekało. Pierwszy odzyskał rezon ojciec.

– Marzenko, twoja koleżanka na pewno się znajdzie. Zobaczysz, jeszcze będziemy się z tego śmiali.

– Nigdy nie będziemy śmiali się z czegoś takiego, nawet kiedy ona się znajdzie. – Pokręciłam głową z niedowierzaniem, że coś tak głupiego mogło wyjść z ust człowieka, który pracował w wydawnictwie i zajmował się książkami.

– Tatusiowi chodziło o to, że twoja koleżanka nie została porwana, tylko może uciekła z domu – pospieszyła z wyjaśnieniem mama.

– Nawet wtedy to nie będzie śmieszne. Zresztą nie uciekła.

Gdy zapadła chwila ciszy, dziadek zaczął coś nagle opowiadać o hrabim Monte Christo. Tę historię akurat znałam.

– A co zdradziecko wtrącony do więzienia Edmund Dantes ma do tej dziewczynki? – spytał ojciec, patrząc z politowaniem na swojego teścia.

Nigdy go nie lubił, a z tego, co pamiętam, nie cierpiał też babci. Zgodził się, by dziadek się do nas przeprowadził, bo potrzebowaliśmy pieniędzy z wynajmu mieszkania. Poza tym mama postawiła go przed faktem dokonanym. Dziadkowie ze strony taty już nie żyli, podobno wcześniej został sam.

– Edmund najpierw się uwolnił, a potem wrócił, żeby sprawiedliwości stało się zadość – wychrypiął dziadek.

To było pocieszające, choć wcale mnie nie uspokoiło.

– Dziękuję – powiedziałam mimo to.

– Tak. – Dziadek wyglądał na zadowolonego z własnej przemowy.

Edmund Dantes zemścił się. Na niej też... Na Mercedes, dawnej ukochanej. Przecież sądził, że ona też odpowiada za wtrącenie go do więzienia.

Kolejne dni także mnie nie uspokoiły. Rodzina chodziła na palcach, jakbym była chora. W szkole panowało nieznośne napięcie i marzyłam o chwili, kiedy lekcje się skończą i wyjdę wreszcie na świeże powietrze. Tyle że gdy wychodziłam, nie robiło mi się wcale lepiej. Prawie nie rozmawiałam z Justyną, Kaśką ani z Renatą. Prawdę mówiąc, nie mogłam na nie patrzeć. Na szczęście dwie pierwsze ignorowały mnie w równym stopniu, a Renata rzuciła się w wir poprawiania ocen. Bez przerwy mówiła tylko o referatach do napisania, sprawdzianach do zaliczenia i tym podobnych. Dzieliłam się z nią uwagami na temat nauczycieli czy tematów lekcyjnych, pozornie wszystko było takie samo. Na semestr, o dziwo, miałam bardzo dobrą średnią, chociaż od tamtego wieczoru nie przykładałam się do nauki. Pisałam wypracowania machinalnie, nie trując się ani na ciekawe rozwinięcie tematu, ani nawet na zawarcie wszystkich argumentów.

Nauczyciele mnie chwalili, a Pakuła postawiła dwukrotnie czwórkę, co u niej oznaczało niemal nominację do nagrody literackiej. Gdybym jej tak nie nienawidziła, spytałabym, skąd ta zmiana. Wszystko mi przeszkadzało. Brak rozmów o Julii denerwował, bo jak można w taki sposób zapomnieć o koleżance? Ale gdy tylko ktoś zaczynał o niej wspominać, odsuwałam się na bok zdenerwowana, z poczuciem, że gadaniem niczego nie zmienimy. Pewną ulgę przynosiło mi pisanie, chociaż nie przybliżało mnie ani na krok do rozwikłania tej zagadki.

Po trzech tygodniach od zaginięcia Julii zmieniłam nieco front. Przerażenie i poczucie winy zaczynało nieco ustępować, coraz bardziej wczuwałam się w postać detektywa i zastanawiałam się, kto mógł ją uprowadzić oraz podpalić strych. I dlaczego? Moje zapiski zaczęłam traktować jako swego rodzaju wprawkę kryminalno-literacką. Do tego natchnął mnie nieoczekiwanie dziadek.

– Byłem dziś w sklepie – powiedział w czasie jednego ze swoich lepszych dni – i, wyobraźcie sobie, nie mogłem dosięgnąć kaszy, bo stała na górnej półce. Pomógł mi jeden młody człowiek. Mówię do niego: „Dziękuję, na szczęście dla mnie jest tu ktoś wyższy”, a on odpowiada – nie zgadniecie: „Nie, proszę pana, jestem tylko dłuższy”. Pytam go więc, czy wie, że zacytował Napoleona, a on potwierdza.

Kiedy babcia żyła, prawie się nie odzywał. Nie dziwię mu się zresztą, gdy próbował cokolwiek powiedzieć, natychmiast go uciszała i sama zaczynała mówić. Spojrzeliśmy na niego ze zdumieniem.

– Co w tym takiego dziwnego, dziadku? – spytałam przekornie. Wiedziałam, że ludzi poniżej dwudziestego roku życia uważa za idiotów. – Może trafiłeś na historyka, specjalistę od Napoleona na przykład?

– Może. – Popatrzył na mnie z dawną niechęcią. – Tylko ten młody człowiek miał ogoloną na łyso głowę, a na szyi tatuaż. Za moich czasów tak wyglądała subkultura więzienna.

Ja też mogę pójść do więzienia, jeśli Julia nie żyje, a moje milczenie uznają za utrudnianie śledztwa, pomyślałam.

– Chciałbym zwrócić uwagę, że tata kieruje się stereotypami. Nie każdy, kto wygląda na złodzieja, ukradnie portfel. I nie każdemu, kto nosi się niczym przedwojenny dandys, powierzysz klucze do swojego mieszkania. – Ojciec założył ręce na piersi i wpatrywał się w niego z przekornym uśmiechem.

Zgromiony dziadek wrócił do swoich szachów, nie udzielając mi żadnej odpowiedzi, a ja zaczęłam analizować. Kto nie wygląda na takiego, co maczał palce w porwaniu Julii, ale jednocześnie w jakiś sposób może być powiązany z jej osobą albo miejscem, z którego zniknęła? Jako pierwszy przyszedł mi do głowy Pikuś Don Kichot. Miałam słabe przesłanki ku temu, aby go podejrzewać. Nie zobaczyłam go za firanką tego dnia, kiedy wracałam ze spotkania, a Mimoza

powiedziała: „nie zdołał jej ocalić”. Wyobraziłam sobie jednak, jak Pikuś mnie śledzi, a potem czeka przyczajony pod blokiem. Może zauważył Julię i sądził, że potrzebuje pomocy? Słabe to było, wiem, ale co mi szkodziło puścić wodze fantazji. Widziałam kiedyś, jak atakuje Adamsową, kiedy ta wyrzucała kota z klatki schodowej. Siedział spokojnie na ławce przed blokiem, gdy sąsiadka z przekleństwami na ustach wypychała nogą parszywego burego kociaka, tak chudego i zabiedzonego, że nawet nie miał siły się bronić. Ja zastygłam na widok tego bezmyślnego okrucieństwa, a Pikuś jednym susem dopadł Adamsową i dosłownie przyparł do muru.

– Uuuuhhh – mruknął groźnie, aż obie się przeraziłyśmy.

– Pikuś, zostaw – powiedziałam wtedy, a on na szczęście natychmiast posłuchał.

Kobieta na chwiejnych ze strachu i od alkoholu nogach pomknęła do domu, kręcąc tyłkiem na schodach, a Pikuś podniósł delikatnie kociaka i obdarzywszy mnie pełnym wierności spojrzeniem, poszedł z nim do siebie. Jego mamy pewnie to nie uszczęśliwiło, ale zatrzymali kota, zawieźli do weterynarza i nazwali Mruczek. Widywałam go na parapecie okiennym, kiedy Pikuś czekał za firanką.

Może wtedy stał akurat gdzieś obok bloku na Kopernika? Kto wie? Może podobnie jak ten biedak z *Myszy i ludzi* przestraszył Julię, a potem starał się ją uciszyć i skończyło się tragicznie? Moja wyobraźnia nie była aż tak szalona. Pikuś nadawał się wyłącznie na zbrodniarza w afekcie. Nie potrafiłam uwierzyć, by mógł kogokolwiek uwięzić. Owszem, rzucił się z premedytacją na Adamsową, bo chciała skrzywdzić stworzenie, ale nie dałby rady porwać kogoś z zimną krwią. Pikuś nie krzywdził nikogo. Prędzej zrobiłby to mój drugi podejrzany – Świętsky Paweł. Ten mógł nie tylko przestraszyć Julię, ale zawlec ją do piwnicy. Świętsky był silny. Widziałam go, jak nosił trumny, a skoro trumnę mojej babci prawie zarzucił sobie na plecy, tym bardziej poradziłby sobie ze szczupłą nastolatką. Tylko po co? Tego jeszcze nie wiedziałam. Zaraz, zaraz, co on wtedy śpiewał? Nie mogłam sobie przypomnieć. Oczywiście pamiętałam *Świętsky byt*. Między wierszami jednak usłyszałam coś jeszcze, co umknęło mojej uwadze, bo za bardzo się zdenerwowałam. Ludzie gadali dziwne rzeczy o Świętym Pawle, chociaż większość z tego to wierutne bzdury, jak choćby to, że chodzi na cmentarz i wykopuje ciała z grobów, a potem tańczy z nimi w świetle księżyca. Podobno ktoś go widział. Kiedyś Adamsowa bełkotała o tym na ulicy, rzucając w przechodzącego obok Pawła żołędziami. On śpiewał akurat coś o niewinnej duszyczce, która idzie do nieba. To musiało dotyczyć tego dziecka z opowieści Czarnej Mańki. Głupia baba! Żadna kobieta nie chce, by jej córce czy synowi stało się coś złego, nawet taka Adamsowa. Pewnie zwariowała z rozpaczy po tym, jak w pożarze zginęło jej dziecko, biedaczka. Chociaż zaraz, a może to ona podpaliła strych? Skoro mieszkała kiedyś w tym samym bloku, mogła to zrobić. Czy jednak

rzeczywiście? Ogień musiał być dla niej torturą i przecież nie naraziłaby się dobrowolnie. Co takiego jeszcze mówili o Świętym? Że w swoim mieszkaniu ma mnóstwo zdjęć młodych kobiet. To też dziwne, bo raczej nikt u niego nie bywał. Wejścia do jego mieszkania strzegły trzy zamki, a drzwi miał specjalnie uszczelnione. Listonosz skarżył się nam kiedyś, bo próbował doręczyć mu list polecony i długo się dobijał. Może Paweł rzeczywiście chował coś za pancernymi zabezpieczeniami, ale jakoś nie wyobrażałam sobie, by ukrywał tam Julię. Jak miałby przywlec ją do bloku, w którym mieszka tylu ludzi? Nawet w nocy, nawet jeśli najpierw gdzieś ją ukrył, istniało ryzyko, że ktoś może go zobaczyć. Święty był dziwnym kandydatem, zbyt oczywistym, a jednak nieprawdopodobnym.

Zwykle zbrodni dokonuje najmniej podejrzany. Gdy tak rozglądałam się wkoło, wszyscy wydali mi się dziwnie powiązani ze zniknięciem Julii, łącznie z rodzicami Justyny i Kaśki oraz większością sąsiadów. Jak wśród nich miałam znaleźć najmniej podejrzanego, a przy tym najbardziej prawdopodobnego zabójcę? Taka Mimoza na przykład. Nie wyobrażałam sobie, aby kogoś krzywdziła, a jednak wypchnęła własnego męża z balkonu. Tamtego wieczoru sama przyznała się do wyjścia z domu. Mówiła też o Pikusiu i o tym, że poszedł kogoś ratować, ale nie udało mu się. Może myślała właśnie o Julii? To wszystko było dziwne. Postaci poruszające się na scenie nagle zaczęły mi przypominać te z uwielbianego przeze mnie serialu *Miasteczko Twin Peaks*. Lawirowałam między tymi dziwadłami niczym agent Cooper, który zbliżał się do prawdy, by zaraz potem się od niej oddalić. A może wmówiłam sobie, że ci wszyscy ludzie, spotkani tamtego popołudnia, w jakiś sposób związani są z tym zniknięciem? Znając siebie i swoją fantazję podsycaną strachem o przyszłość, mogłam sobie wyobrazić, jak Święty podąża na cmentarz, aby w podziemiach cmentarnej kaplicy ukryć dziewczynę. Porywa ją, kiedy Justyna daje mu znak latarką. Kaśka i ja w razie czego posłużymy za jej alibi. Mimoza jest świadkiem zbrodni. Wysyła Pikusia, aby ratował Julię, ale ten nie potrafi jej ocalić.

Nie, to śmieszne, zupełnie absurdalne. Pasowało idealnie do powieści, którą mogłabym napisać, ale do życia zupełnie nie. Mimoza musiałaby znać Julię, wiedzieć, że coś jej grozi ze strony na przykład takiego Świętego Pawła. Musiałaby zaalarmować Pikusia i wysłać go na odsiecz. Justyna w czarodziejski sposób musiałaby dowiedzieć się o nikczemnych planach Świętego i zostać współniczką zbrodni. To wszystko nie trzymało się kupy. Przecież żadne z nich nie znało Julii, a te wszystkie rozwiązania podpowiadała mi wyłącznie moja wyobraźnia. Pikuś pewnie dostrzegł na śmietniku kolejnego bezdomnego kota i poszedł po niego, ale nie zdołał go ochronić przed zimnem. Mimoza martwiła się o niego, a Święty jak zwykle szedł, aby rzucić okiem na cmentarz, może pomodlić się przy bezimiennym grobie. Tak to właśnie musiało wyglądać.

Tylko że Julia zniknęła naprawdę.

*Ludzie są podli. Potrafią zabrać człowiekowi ostatnią nadzieję. On też jest podły. Przez chwilę ludziłam się, iż tylko moja wyobraźnia podsuwa mi szalony pomysł, że to on za tym stoi. Na pewno nic się nie wydarzyło, to wszystko zrodziło się jedynie w mojej głowie, myślałam. Mijałam go jednak co dzień i w jego wzroku dostrzegałam ten szczególny triumf. Triumf, który mówił: „Nie jestem już zwykłym zjadaczem chleba, jestem zwycięzcą”. To obrzydliwe, pewnie to samo czuł Herostrates, podpalając bibliotekę aleksandryjską – tę moc, jaką daje niszczenie, bo dzięki temu ludzkość zapamięta go na wieki. Muszę zacząć działać. Chcę pokonać własny paraliż i uwolnić ją. Mogę to zrobić. Muszę to zrobić. On też wie. Dlatego zaczął mnie unikać. Muszę udawać, że pogodziłam się z tym. Kiedy straci czujność – zaatakuję. Zanim stanie się nieszczęście i oskarżą o zbrodnię kogoś innego, zanim dojdzie do zbrodni... Zrobił błąd, podpalając tamto mieszkanie. Chciał mnie ostrzec. Mówił w ten sposób: „Wiesz, ale nie możesz mi nic zrobić. Trzymaj się z daleka. Nie wchodźmy sobie w drogę”. Myli się. Znajdę w sobie odwagę. Paradoksalnie dał mi tym pożarem przyzwolenie, więcej – na tacy podsunął wskazówkę, dokąd ją zabrał. Wcześniej podejrzewałam, że trzyma tę dziewczynkę właśnie tam. Skoro jednak strych spłonął, ona może być tylko w jednym miejscu. Zrobię to, co powinnam, ochronię ich wszystkich. Dziewczynki, one są najważniejsze, a grozi im niebezpieczeństwo. On nie jest ważny. Ani tym bardziej ja sama.*

## **ROZDZIAŁ IV**

Przemówiła do mnie. Głosem najczystszy i najpiękniejszy z możliwych. Spytała, czego od niej chce, prosiła, bym ją wypuścił, a ona niczego nie powie, nigdy i nikomu, pod żadnym pozorem. Wspominała coś o matce, która na nią czeka, tacie, którego kocha, braciach, którymi musi się opiekować. Omal nie powiedziałem, że to bzdury. Doczesne sprawy są takie nieważne. Doświadczamy wspólnie absoliu, a ona mówi o najbardziej trywialnych problemach codzienności. Skupiłem się na tym, o czym myślałem wcześniej, zanim wypowiedziała te proste, byle jakie słowa. Była jednak odważna. To mi zaimponowało. Nie płakała, nie błagała jak na początku. Przemówiła drżącym głosem, ale odważnie. Cóż, w końcu to tylko nastolatka, mała dziewczynka, którą ukształtuję niczym Pigmalion Galateę. Gdybym mógł coś powiedzieć, wytłumaczyłbym jej, że nikt inny tu nie trafi, że to miejsce jest tylko dla niej. To jej misja, przeznaczenie. Powinna się z tego cieszyć. Zamiast tego dotknąłem jej. Delikatnie zakreśliłem kilka kółek i kwadratów na drżącym przedramieniu. To było cudowne. Jej skóra, mój dotyk i figury od zawsze pozwalające mi się skupić. Tego wieczoru poczułem się autentycznie szczęśliwy. I niczego nie żałowałem.

Bóg daje nam tyle, ile możemy wytrzymać. Co za bzdury! Tylu ludzi nie wytrzymało tego, co im zesłał, zaś ci którzy wytrzymali, zostali bezpowrotnie złamani, zniszczeni, a pamięć o nich uniósł wicher historii.

Julia znalazła się dokładnie cztery tygodnie po zaginięciu. Pojawiła się tak samo nagle jak zniknęła, na ulicy Kopernika, jakieś sto metrów od bloku ze strychem. Była bez butów i kurtki. Była się w stanie szoku. Usiadła na ławce, nie zważając na lód i bosą stopą zagarniała śnieg. Pewnie dlatego ktoś ją zauważył i zawiadomił policję oraz pogotowie ratunkowe. Niemal natychmiast radosna wieść obiegła całe miasto. Ludzie podzielili się na trzy kategorie. Ci dobrzy i mili, albo z własnymi dziećmi, cieszyli się, że znalazła się cała i zdrowa. Ci zapracowani i bardziej zainteresowani tym, co do garnka włożyć, wzruszali jedynie ramionami i twierdzili, że na świecie są większe problemy. Według nich dostała to, na co zasłużyła – w końcu nie ma dymu bez ognia. Tacy znajdują się zawsze, w każdym społeczeństwie. Będą zazdrościli nawet porażki. Trzecia kategoria to ci, którzy zmartwili się na wieść o jej odnalezieniu. Do tej kategorii zaliczałam między innymi porywacza, niestety i siebie, ponieważ umierałam ze strachu – za chwilę miało wyjść na jaw nasze spotkanie. Nieoczekiwanie do tych niezadowolonych musiałam zaliczyć także Czarną Mańkę, bo wpadłam na nią w sklepie, gdy sprzedała mojej sąsiadce informację w stylu „smarkata pewnie uciekła z domu, a kiedy wydała wszystkie pieniądze, postanowiła wrócić i udawać porwaną”. Nosicielka tradycyjnie dźwigała na rękach jedno ze swoich dzieci. Właśnie dlatego

nadałam jej takie przezwisko. Nigdy nie widziałam ich stąpających po ziemi, zawsze dźwigali je rodzice, a one zwisały im z bioder i pleców niczym małpy. Nie wiem, czyje dzieci były gorsze – Adamsów czy Nosicieli. Mnie odpychała cała czwórka.

– Tak, rozumiem – odparła Nosicielka, usiłując wysupłać pieniądze z torebki, co udałoby się bez problemu, gdyby postawiła córkę na podłodze. – Poproszę jeszcze paczkę drożdży. Zrobimy bułeczki dla tatusia, prawda skarbie? – spytała Nosicielatko, a ono pokiwało głową.

– Pani ją postawi – Mańka zwerbalizowała to, o czym i ja myślałam. Niemal nagrodziłam ją oklaskami.

– Ona nie lubi stać. – Kobieta uśmiechnęła się przepraszająco.

– Pani i mąż robicie z tych dzieciaków kaleki – burknęła sprzedawczyni i rzuciła drożdże na ladę. – Potem urośnie taka kaleka, ani be ani me, jak ta dziewczyna, co to ją niby porwali.

– Jak to „niby”? – spytałam, chociaż rozsądniej byłoby siedzieć cicho.

Mańka obrzuciła mnie złym spojrzeniem.

– Widziałam wiele razy, jak ta lafirynda latała za chłopakami, zamiast się uczyć. Za moim też. Powiedziałam, że jeszcze coś się stanie i wykrakałam. Zniknęła. Teraz ponoć znalazła się cała i zdrowa. Taa... już ona tam wie, co robiła i z kim. Na szczęście nie z moim synem.

Nosicielka posadziła dziewczynkę na ladzie przed sobą i wyjęła portfel. Zapłaciła, wzięła zakupy i dziecko, po czym powiedziała wysokim głosem:

– Coś się pani nie cieszy, że ta biedna dziewczyna się odnalazła. Pewnie chętniej przeczytałby pani w gazecie lokalnej o jej okaleczonych zwłokach. Za dużo pani czyta kryminałów i zajmuje się życiem innych zamiast swoim. – Wskazała palcem na rozłożoną obok książkę o wdzięcznym tytule: *Morderstwo w zaułku* Agathy Christie i wyszła ze sklepu.

– Niech pani pilnuje własnego nosa! – zdążyła jeszcze krzyknąć Mańka, a kiedy drzwi zamknęły się za moją sąsiadką, spytała jakby nigdy nic: – Co dla ciebie?

Zupełnie nie dbała o klientów, przecież oburzona Nosicielka mogła już więcej do niej nie zawitać.

– Sól jodowaną i kilo cukru – powiedziałam szybko.

Kiedy już zapłaciłam i wyszłam, przypomniałam sobie jeszcze o śmietanie. Na szczęście i u mnie w domu odnalezienie Julii było tematem numer jeden, przynajmniej dla mamy. Machnęła ręką i podała niezabielaną zupę.

– Kiedy ją znaleźli, śpiewała religijne piosenki – mówiła do ojca czytającego gazetę.

Zadziwiła mnie to, jak mało interesuje go sprawa Julii. Na litość boską, tato, przecież to mogłam być ja!



- W kościele, tak?– spytał nieuważnie.
- Nie w kościele – wycedziła mama. – Śpiewała religijne piosenki.

Naprawdę to cię nie obchodzi?

Dowiedziałam się już wcześniej, u Renaty. Julia jest w szpitalu, w szpitalu, powtarzałam sobie, ale nic jej nie grozi. Nic nie zagraża jej życiu. Nie umiałam jednak nazwać swoich uczuć. Z jednej strony naprawdę mi ulżyło, bo żyła, z drugiej potwornie się bałam, że powie wszystko, a wtedy my, ja – będę miała kłopoty.

– Obchodzi – zaprzeczył ojciec i zwinął gazetę. Dostrzegłam zakładkę „Oferty pracy”.

Słyszałam już, jak opowiadał mamie o problemach w wydawnictwie. Odpowiadał za kwalifikowanie nowych książek do druku czy coś podobnego. Przyjął powieść, która wydawała mu się genialna, ale jego przełożeni nie podzielali tego entuzjazmu. Chyba uznali ją za zbyt nowatorską i brutalną, nie wiem czemu. Ojciec jednak uparł się, by dać szansę młodemu twórcy, ale, jak się potem okazało, nie miał racji. Książka nie sprzedawała się dobrze. Nie czytałam jej. Szczerze mówiąc, książki przez niego wydawane były jeszcze gorsze, niż te podsuwane przez dziadka.

– Jakie ma obrażenia? – spytał pod wpływem pełnego urazy milczenia mamy, a mi serce stanęło w gardle i zupa ściekła po brodzie na bluzkę.

Renata wspominała tylko o poranionych stopach, ale ponoć tego nie zrobił porywacz, tylko Julia sama się tak urządziła, idąc bosą po śniegu. Renata dowiedziała by się więcej, jednak jej mama w trakcie rozmowy z wujkiem zamknęła drzwi od pokoju. Wujek ponoć powiedział tylko, że nie można jej teraz wypytywać ani denerwować. Nawet policja postanowiła przesłuchać ją „później” i w obecności psychiatry.

– A skąd ja to mam wiedzieć? – mama nie kryła zdumienia. – Dowiedziałam się przypadkiem, w sklepie. Marzenko, co ty robisz? Takie plamy są bardzo trudne do wywabienia. Idź, natychmiast zdejmij bluzkę, a ja wrzucę ją do prania. Uważaj, dziecko... Ależ kłopot!

Czarna Mańka powinna zatrudnić się w policji jako informatorka. Skąd ma te wszystkie informacje, skoro cały dzień siedzi w sklepie? Skąd bierze wiadomości i kim jest jej syn, za którym to niby latała Julia? Dygotałam ze strachu. Teraz wszystko się wyda. W sklepie tego nie zauważyłam, ale we wzroku Czarnej Mańki kryło się coś demaskatorskiego. Czyżby ona jakimś cudem wiedziała? Nagle zaczęło mi się wydawać, że słyszę kroki policjantów na schodach. Za chwilę zapukają do drzwi i wywloką mnie z mieszkania w kajdankach. Mama spali się ze wstydu, ojciec pewnie też. Rodzice Kaśki mają pieniądze, wynajmą jej najlepszego adwokata, rodzina Justyny to prawnicy. Aresztują wszystkie trzy, to pewne, tylko kogo Julia wskaże jako prowodyrkę? Oby Justynę, w końcu to ona wszystko

zaczęła. Ja uderzyłam najslabiej, ja najbardziej się oburzyłam, gdy Justyna podeszła do niej z ogniem. Ja jedyna próbowałam się temu przeciwstawić, Julia, pamiętaj o tym!

– Marzenko – powiedziała mama, kiedy wróciłam do stołu. Naprawdę starałam się zjeść tę zupę. – Dzwoniłam do Gruszczyńskich i usłyszałam, że już o tym wiecie. W przeciwnym wypadku nigdy nie poruszyłabym przy tobie tego tematu.

Jakby „ten temat” nie dotyczył wcale Julii i jej porwania, przetrzymywania nie wiadomo gdzie i po co! Mama jakoś uważała za stosowne zagadnąć o to ojca, zamiast przyjść do mnie, chociaż jego niewiele to obchodziło. Co z nią było nie tak?

– Mówili nam w szkole – bąknęłam.

Miałam już za sobą pierwszy szok i nerwowe konsultacje na korytarzu z Justyną oraz Kaśką. Mój nastrój przypominał sinusoidę. Raz ogarniała mnie radość z powodu odnalezienia Julii, a po chwili zwijałam się ze strachu, że wszystko się wyda, a to, co zrobiliśmy w dniu porwania, zmieni nas na oczach miasta w potwory. Matki będą broniły przed nami swoje córki, sąsiedzi poddadzą nas ostracyzmowi, a nauczyciele wyrzucą ze szkoły. Dziewczyny też się bały. Kaśka chciała wszystko omówić z psychologiem. Przez chwilę jej pozazdrościłam. Ile ja bym dała, by móc porozmawiać z kimś, kto mnie uspokoi i pocieszy. Niestety, nie miałam z kim podzielić się ani strachem, który wykiełkował po zniknięciu Julii, ani tym, który pojawił się po jej odnalezieniu. Ten drugi był dużo, ale to dużo gorszy. Justyna ze zwiniętymi w pięści dłońmi ponownie uświadomiła Kaśce, tym razem nieco mniej zimnym tonem, że nie może nawet zasugerować psycholożce naszego udziału w tej sprawie.

– Ją obowiązuje tajemnica lekarska – pisnęła Kaśka, ale zaraz schowała głowę w ramiona. – Dobrze o tym wiesz, lekarz nie może...

– To nie jest lekarka, więc ani pary. Możesz powiedzieć, że się denerwujesz, ale tylko tyle.

– Jasne, teraz będę omawiać z tobą, co mnie denerwuje i co mogę powiedzieć – burknęła w odpowiedzi, patrząc w bok, ale zaraz grzecznie pokiwała głową.

Nagle zdałam sobie sprawę z czegoś, o czym w ogóle nie rozmawiałam z Justyną, chociaż powinnam.

– Słyszałaś o strychu? Spłonął – odezwałam się, a ona zmierzyła mnie zimnym wzrokiem.

– Słyszałam – wycedziła. – Policja nas nachodziła. A ty skąd o tym wiesz?

Powiedziałam, co słyszałam w sklepie, ale nie wydawała się przekonana co do prawdziwości moich słów. Patrzyła na mnie podejrzliwie.

– Czy to ty podpaliłaś? – spytałam.

– Chyba chora jesteś! – parsknęła śmiechem, jednak wyglądała, jakby chciała mnie zamordować gołymi rękoma. – Jeśli będziesz dalej rozpowiadać takie rzeczy, naślę na ciebie moich rodziców.

A więc ktoś rzucił takim oskarżeniem. Co więcej, ktoś miał podstawy, aby posądzać ją albo jej siostrę czy nawet rodziców o podpalenie. Niechcący trafiłam w dziesiątkę.

– Niczego takiego nie rozpowiadam – powiedziałam stanowczo. – Trzymam się naszych ustaleń. Nigdy POTEM tam nie byłam, a już na pewno nie wtedy. Będę to powtarzała do śmierci, nawet wtedy, kiedy... – urwałam.

– Kiedy co? – nie wytrzymała Kaśka.

Ona jednak jest głupia jak but, pomyślałam i dokończyłam gorzko:

– Kiedy Julia powie o wieczorze na strychu, kretynko. Myślałyście, co wtedy zrobimy?

– Ona nic takiego nie powie – stwierdziła Justyna z taką pewnością siebie, jakby już z nią rozmawiała. Potem odwróciła się na pięcie i pociągnęła Kaśkę ze sobą, a ja wróciłam do klasy, starając się nie patrzeć Renacie w oczy. Wiedziała, że coś jest ze mną nie tak, ale była zbyt pocziwa, by wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Julia niczego nie pamiętała. Renata powiedziała o tym następnego dnia, a ja poczułam tak niewysłowioną ulgę, że Liczbak, który zrobił nam nieoczekiwaną kartkówkę, wydał mi się najodpowiedniejszym kandydatem na nauczyciela roku.

– Jesteś pewna? – spytałam, a gdy pokiwała głową, powtórzyłam: – Na pewno?

– No tak, a co? – spytała, patrząc na mnie uważnie, a potem dodała: – Słuchaj, czemu tak się o nią dopytujesz?

– Jak to czemu? – syknęłam. – Najpierw zaginęła, teraz się odnalazła. To nasza koleżanka, pamiętasz? Spotkało ją coś tragicznego i... – Przerwałam w pół słowa, bo Renata położyła dłoń na moim ramieniu. Nie spodziewałam się takiego gestu, nie wiedziałam, co mógł oznaczać.

– Ja to wszystko wiem, ale... to dziwne. Pytasz w taki sposób, jakby ta cała historia dotyczyła ciebie bardziej, niż chciałabyś przyznać.

– Ja? – Patrzyłam na nią niepewnie, jednak na całe szczęście na jej pocziwej twarzy widziałam jedynie troskę.

– Moi rodzice też zwariowali – dodała. – Nie znali jej w ogóle, chyba nawet nigdy nie widzieli, a przez ostatni miesiąc rozmawiali tylko o niej. Czy się znajdzie, gdzie może być... A jak się znalazła, to kompletnie powariowali. Mama wydzwania do wujka i bez przerwy pyta, co ona powiedziała, a tata... sama nie wiem...

– Czego nie wiesz? – zapytałam po chwili milczenia. Rzeczywiście to było bardzo dziwne. Moi rodzice właściwie też zachowywali się nietypowo. – Co zrobił

twój tata?

Spuściła głowę.

– Poszedł podobno do jej rodziców i zaproponował pomoc w uzyskaniu odszkodowania – wymamrotała, ale zanim przetrzymałam tę odpowiedź, zabrzmiał dzwonek na lekcję.

Renata wyraźnie żałowała tamtego wyznania. Próbowałam później dopytać się o szczegóły, ale zaciskała wargi i zmieniała temat. Spytałam nawet, czy mogę przyjść do niej, by ustalić sprawy związane z wigilią klasową, ale wykręciła się sianem. Odwołałam się do jej poczucia koleżeństwa, poprosiłam o pomoc, ale pozostała nieugięta.

– Doskonale wiem, o co ci chodzi – powiedziała z nietypową dla niej złością.  
– Będziesz mnie wypytywała o sprawy dotyczące śledztwa. A ja nie mogę... nie chcę o tym rozmawiać.

To oczywiste, że śledztwo nabrało nowego wymiaru. Julię na pewno przesłuchiowano, badano. Może ktoś wpadł na trop tego zwyrodnialca. Oby! Teraz, kiedy dowiedziałam się o jej amnezji, czułam się o wiele lepiej. Stałam się silniejsza, bardziej pewna siebie. Lodowata gruda w piersi, zlepek wyrzutów sumienia, wstydu i strachu przed karą, stopiła się. Wciąż jednak nie umiałam nazwać tego, co czułam i w tym tkwił cały problem. Próbowałam dorosnąć i nie mogłam. Zwykle o bohaterach takich wydarzeń jak sprawa Julii mówi się: „musieli przedwcześnie dorosnąć”. Ja nie dojrzywałam, nie zmieniałam się, chociaż tak usilnie tego chciałam. Dlaczego? Biłam głową o mur, przeklinając swoją tępotę, ograniczenia, które płynęły głównie z młodego wieku i braku doświadczenia. Chciałam rozwiązać zagadkę i zadośćuczynić temu, co w moim mniemaniu spotkało przez nas Julię. Chciałam się do niej zbliżyć. Na litość boską, nie wymagajcie ode mnie, żebym była jeszcze bardziej precyzyjna! Miałam wtedy tylko szesnaście lat i pragnienie napisania książki o tamtym czasie jedynie we mnie kiełkowało, bo trudno inaczej nazwać te moje zapiski. Czasem wyrzucałam z siebie jakieś dialogi, wkładałam w usta Justyny albo Kaśki coś, co mogłyby powiedzieć w tych czy innych okolicznościach, a potem z tego rezygnowałam, darłam zapisane kartki i zaczynałam od nowa, trzymając się faktów. Te również wydawały mi się banalne i zupełnie nieciekawe, niszczyłam więc i tę wersję. Może szło by mi znacznie lepiej, gdyby sprawy nie stały w miejscu, a opowieść ze wszystkimi jej konsekwencjami toczyła się w jakimś wybranym kierunku. Myśl, by opisać tę historię, przyszła mi do głowy już kilka dni po zniknięciu Julii. Zagłuszona początkowo przez strach i szok, kiełkowała sobie powolutku, podsycana przez niczego nieświadomych Świętszego Pawła, Mimozę czy Adamsów. Takie postacie, już to dawno zauważyłam, składały się na moje własne, prywatne miasteczko Twin Peaks, gdzie nic nie jest takie, jak się wydaje, a każdy, włącznie z nastolatkami, a przede wszystkim z ofiarą, skrywa mroczne tajemnice. Ale to nie wszystko.

Czułam też podświadomie, że prawda jest gdzieś bardzo blisko mnie i tylko ja mogę ją wydobyć na światło dzienne. Co mógł wiedzieć ten miły policjant? Nawet dysponując arsenalem środków typu odciski palców, analiza próbek śliny czy włókien ze sznura, którym związane Julię, nie przybliżał się ani na krok do prawdy. Nie słyszał, o czym tamtego wieczoru śpiewał Świętszy Paweł, nie widział miny Mimozy, kiedy otworzyła mi drzwi, wreszcie – nie wiedział nic o rytuale przyjęcia ani o tym, czemu spłonął strych. To wiedziałam tylko ja i moim obowiązkiem było wywlec to na światło dzienne, postawić kropkę nad „i” w swojej historii i zostać sławną. Chyba nie macie mi za złe, że chciałam być sławną?

Postaci tego szczególnego dramatu krążyły na razie bezładnie, ale niebawem miał nadejść dzień, gdy każde z nich podejmie swoją rolę, stanie na wyznaczonym przeze mnie miejscu na scenie i przemówi jasnym i czystym głosem. Rzecz jasna poza Świętszym, który na tę okoliczność zaśpiewa.

Tego dnia, kiedy wiadomość o odnalezieniu Julii obiegła całe miasto, wybrałam się po lekcjach do kościoła, by chwilę porozmawiać ze Świętszym Pawłem. Znalazłam go szczęśliwie tuż przed rozpoczęciem mszy pogrzebowej. W kościele znajdowała się tylko rodzina zmarłego siedząca koło trumny postawionej na katafalku. Świętszy, nietypowo jak na niego, schował się w jednym z bocznych ołtarzy.

– Panie Pawle – wyszeptałam.

Spojrzał na mnie przelotnie. W jego spojrzeniu krył się strach, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– *Anielski orszak wniesie duszę mą do nieba* – zaśpiewał cicho, ale wypadło to fałszywie i nieprzekonująco.

– Panie Pawle, nie teraz – przerwałam mu. – Pogrzeb jeszcze się nie zaczął.

– *Przemów głosem z za grobu panienko, wskaż na oprawców. Mściciele przybędą, kajdany...*

– Panie Pawle! – Gdybym mogła, tobym go udusiła. Jego śpiewy wyjątkowo działały mi na nerwy. – Słyszał pan o mojej koleżance, tej, co zaginęła w tamten wieczór, kiedy się spotkaliśmy?

– *Anioł odparł, że zagłady nie będzie* – zaśpiewał ostrożnie. Wiedział, o czym mówię, już słyszał wielką nowinę. Poznałam to po jego minie, nie umiałam tylko wywnioskować, czy się nią cieszy, czy przeciwnie – martwi.

– No właśnie – potwierdziłam. – Nie będzie zagłady. Na szczęście nic się jej nie stało. To znaczy z tego, co wiem.

Świętszy Paweł milczał, ale nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Panie Pawle – wypaliłam, bo nie wiedziałam, jak zagaić. – Wtedy, kiedy pana spotkałam... Tamtego wieczoru... Policja z panem rozmawiała? Dokąd pan wtedy szedł?

Opuścił głowę i nucił coś bez słów. Czekałam z napiętymi mięśniami, aż

rozboleły mnie ramiona. Wtedy zadzwonił dzwonek na mszę świętą i obejrzałam się. W kościele siedziało jedynie kilkanaście osób. Zmarły musiał być starszym człowiekiem i jedynie najbliżsi krewni przyszli go pożegnać, pewnie tylko z przyzwoitości. Spojrzałam znów na Świętszego. Wycofywał się, jakby chciał uciec.

– Panie Pawle. – Przytrzymałam go stanowczo za ramię. – Nie ruszę się stąd, póki mi pan nie odpowie. Jak będzie trzeba, stanę za panem na mszy i... i...

Co mogłam mu zrobić? Nic. Zaraz odwróci się i pobiegnie pod trumnę śpiewać te swoje pieśni. Przy odrobinie szczęścia pozwolą mu ją nawet podnieść.

– Widziałem – powiedział nagle. – Pilnuj się, dziewczynko. Takie zabawy są bardzo niebezpieczne.

Ksiądz śpiewał już w najlepsze, a Świętszy stał ze mną skryty za figurą świętego Antoniego i MÓWIŁ.

– Ale...

– Nie chcesz wiedzieć, kogo tam widziałem – przerwał mi. – Bardzo nie chcesz. Zostaw to, zostaw, zanim będziesz tego żałowała do końca życia.

Potem pobiegł pędem na skos przez kościół i stanął w przeciwległej nawie, dołączając do chóru śpiewających starszych pań, kiwając się na boki i wzbogacając swój osobliwy taniec o rozkładanie rąk i wznoszenie ich ku sklepieniu. Kiedy wychodziłam stamtąd na miękkich nogach, nie wiedziałam, czy Świętszy bardziej zszokował mnie tym, że mówił, czy tym, że widział kogoś tamtego wieczoru. Najwyraźniej przez tego kogoś zniknęła Julia. I najwyraźniej dobrze go znałam.

Tamtego popołudnia wstąpiłam jeszcze do Pikusia Don Kichota i Mimozy. Pikuś na szczęście siedział sam w domu, zrobił mi soku malinowego i odkroił wielki kawał drożdżowego ciasta. Miał przy tym rozanieloną minę, może to nie jest najszcześniejsze porównanie, ale z jego głupkowatej twarzy naprawdę wyzierało autentyczne szczęście.

– Pikusiu – zaczęłam bez wstępów, bo sprawę zniknięcia Julii wałkowano na okrągło na osiedlu i w telewizji lokalnej. Pikuś nie musiał udawać, że nie wie, o co chodzi. – Znalazła się, wiesz?

Rozjaśnił się w uśmiechach, kilka razy pokiwał głową i ukroiwszy jeszcze jeden wielki kawał ciasta, wpakował go sobie do ust. Czyli on też już wiedział.

– Mama w pracy? – spytałam, a on ponownie pokiwał głową. Mruczek otarł się o moje nogi. – Pikusiu, czemu nie było ciebie wtedy w domu?

Spuścił gwałtownie głowę. Radosny uśmiech znikł z jego twarzy, jakby starty gąbką. Zastąpił go autentyczny smutek. Chłopiec odłożył ostrożnie napoczęty kawałek ciasta.

– Pikusiu, dałam sobie wtedy radę – pocieszyłam go. – Pani Maria zapaliła mi światło, nie bałam się. Nie o to chodzi... – Ale on wciąż się nie uśmiechał. Nie wolno go dręczyć, pomyślałam. Muszę dotrzeć do niego inaczej, powoli

i z rozważą. – Sam zrobiłeś ciasto? – spytałam znów.

Tym razem lekko się uśmiechnęła. Pikuś słynął z pieczenia ciast.

– Przyniosę ci składniki. Nie upiekłbyś blachy tego pysznego drożdżowca dla mojej klasy? – Kiedy skinął głową, dodałam: – Może Julia już wróci do szkoły. Powiem jej, że to ty piekęś. – Uścisnęłam krzepiąco jego dłoń. – Skąd się znacie?

Błąd. Pikuś nie umiał odpowiedzieć na tak postawione pytanie. W dodatku przestraszył się i umknął wzrokiem.

– Znałeś ją dobrze, prawda? – starałam się mówić cicho. – Skąd? Chodziła na terapię tam, gdzie ty?

Nie trafiłam.

– Przyprawiała tam brata?

Błysk w oku. A więc jednak. Musiał tam zwrócić uwagę na śliczną i miłą dziewczynę. Na pewno z nim rozmawiała, była uprzejma albo po prostu... BYŁA. Ktoś taki jak ona mógł stanowić obiekt fantazji kogoś takiego jak Pikuś. Tylko czy zupełnie niewinnych fantazji?

– Czy zauważyłeś, że ktoś za nią chodzi?

Skierował spojrzenie w bok. Znów trafiłam.

– Kto, Pikusiu?

Spojrzał groźnie.

– Ktoś, kogo znamy? Może wcale nie chciał jej skrzywdzić? Był tam przypadkiem? – dopytywałam, gdy nagle zamek szczęknął i do mieszkania weszła pani Janina.

– Marzenko! – ucieszyła się na mój widok. – Co cię do nas sprowadza?

– Przyszłam powiedzieć o mojej koleżance, tej, co zaginęła. Odnalazła się już – powiedziałam dziarskim tonem, z trudem kryjąc rozczarowanie, że przerwała mi przesłuchiwanie syna.

– Wiem, wiem – powiedziała, zdejmując płaszcz i beret. – Jak ja się cieszę, nie masz pojęcia... – Spojrzenie, jakie posłała w kierunku syna, wyrażało ulgę i wdzięczność.

Czyżby martwiła się o Pikusia w związku ze zniknięciem Julii? Mógł być świadkiem, wiedzieć, że coś jej grozi, ale przecież nie mógłby nikogo skrzywdzić. Doskonale o tym wiedziałam. Tylko dlaczego tak bardzo się zdenerwował, kiedy pytałam, czy to ktoś znajomy? „Nie chcesz wiedzieć”, powiedział Świętszy Paweł.

– Już idziesz? – spytała Janina z żalem.

– Tak, tak. Przyszłam tylko powiedzieć Pankracemu o odnalezieniu Julii. I chciałam poprosić, by upiekł dla nas ciasto na wigilię klasową.

– Jak dla Julii, to Pankracek upiecze ci trzy ciasta i tort czekoladowy – roześmiała się. – Wszystko by dla niej zrobił, podobnie jak dla ciebie. A ja nawet nie wiedziałam, że wy razem chodzicie do klasy. Dopiero Małgosia Krygier mi powiedziała...

Małgosia Krygier, czyli siostra Justyny. Pankracy zrobił się czerwony jak burak, ale już nie patrzył tak smutno. Teraz jego twarz stała się rozmarzona i pełna nadziei.

– Uhhhhuuu – zabrzmiało to ostrzegawczo, jakby nie chciał, żeby jego mama powiedziała mi, jak dobrze znał Julię.

– Uwielbiasz Julię, prawda, Pankracku? – Kobieta pogłaskała go po napiętej nagle twarzy. – To taka miła dziewczyna. Przychodzi na terapię ze swoim najmłodszym braciszkiem. I jej mama taka śliczna, ciężkie życie ma kobieta – paplała, a ja nie spuszczałam wzroku z Pikusia, który na przemian się rozaniała, to znów napinał, jakby bał się, że matka powie za dużo. – Chora, ten mały TAKI, a potem Julia zniknęła. Modliliśmy się za nią codziennie, by ten mężczyzna jej nie skrzywdził i...

– Uuuuhhhh! – zawył Pikuś.

Janina przerwała w połowie zdania i popatrzyła na niego ze zdumieniem. Chłopiec trzymał się za brzuch, jakby coś mu zaszkodziło.

– Co ci, synku? – Dopadła do niego jednym susem. – Tyle ciasta zjadłeś! Przecież ja ci, skarbie, nie żałuję, ale to ci przecież szkodzi, sam wiesz...

Pożegnałam się czym prędzej, przekonana, że niemoc Pikusia nie wynika w najmniejszym nawet stopniu z nadmiaru ciasta drożdżowego. Kogo widział tamtego wieczoru? I czemu nie chciał, bym się o tym dowiedziała? Zadawałam sobie te pytania, stojąc na wycieraczce przed drzwiami Mimozy. Zapukałam.

– Widziałam cię, widziałam... – powiedziała, zapraszając mnie do środka.

Oprócz powtarzania każdego zdania, Mimoza miała zwyczaj malowania na ścianach. Nie wieszala na nich obrazów, tylko rysowała ramy, a następnie wypełniała je treścią. Temat zwykle wynikał z jej nastroju. Zaczęła po śmierci męża. Nie bardzo to pamiętam, ale kiedyś rozmawiałam na ten temat z rodzicami. Ojciec powiedział, że w żałobie zdjęła ze ścian wszystkie akwarele, które tam wisały, podarła i wyrzuciła do śmieci. Kilka lat żyła wśród pustych ścian, potem zaczęła pokrywać je malowidłami. Byłam świadkiem powstania pierwszego z nich. Już nie pamiętam, dlaczego znalazłam się u niej w domu. Spytałam o godzinę, ale nie miała ściennego zegara, a jej mały zegarek na rękę stanął. Poprosiła o pożyczenie farby, więc poszliśmy razem do mnie do domu, zabrałyśmy plakatówki, a Mimoza wymalowała w salonie „zegar ścienny”.

– Z kukułką! – Klaskałam z uciechy w dłoń. – Z kukułką.

Naprawdę miała talent. Z czasem kupiła odpowiednie farby i ściany pokryły się imitacjami landszaftów i widoczkami gór, morza. Zdarzały się nawet konie w galopie oraz jelenie na rykowisku. Lubiłam zwłaszcza te ostatnie. Na obrazach Mimozy samce klóciły się z samicami.

– Pani Mario – wydusiłam na widok ozdobionego świeżymi malunkami korytarza. – To jest... piękne...



– Motyle, motyle – powiedziała z czułością.

Ściany pokrywały setki motyli. Małe, duże, czerwone, zielone, fioletowe, niebieskie „frwały” po mlecznych ścianach. Wyglądały przepięknie, pełne radości i szczęścia. Mimoza musiała być w wyjątkowym nastroju, kiedy tworzyła te frujące kwiaty.

– Przyszłam spytać, czy czegoś pani nie potrzebuje.

– Nie potrzeba, nie potrzeba. – Wciąż wpatrywała się we własne dzieło.

Lubiłam to szczęście, które z niej promieniowało. Czyniło ją, starszą, pokiereszowaną przez życie kobietą, po prostu piękną. Miała odwagę wykrzesać z siebie szczęście, pozwolić mu ulecieć w kierunku innych ludzi. Nie znosiłam, gdy nie doceniali jego znaczenia, deprecjonowali je. Ja sama uważałam dążenie do szczęścia za najwyższą wartość, a ludzi obdarzonych tym szczególnym darem i dzielących się nim głęboko podziwiałam.

– Już pani wie, prawda? – spytałam cicho.

W przedpokoju pociemniało, motyle znieruchomiały. To była jednak tylko chwila, krótsza niż sekunda, tak ulotna, że mogła mi się tylko wydawać.

– Zły jej nie skrzywdził. Zły jej...

– Skąd pani wie, że to mężczyzna? – popatrzyłam na nią uważnie. – Czy Pankracy mówił pani, kogo wtedy widział?

– On nie mówi – odparła. – On przecież nie mówi.

– Ale można się z nim porozumieć – zaprotestowałam. – Jego mama opowiadała mi o tym, jak on lubi Julię i...

– Wiem – przerwała mi. – Wiem.

– Co pani jeszcze wie? – spytałam cicho.

Mimoza milczała uparcie, wpatrując się w zielonego motyla z błękitnymi plamkami na skrzydełkach. Był śliczny, ale tuż obok „frwał” inny, naprawdę piękny, a przy tym budzący grozę. Czarny, z delikatnymi czerwonymi kreskami, ułożonymi w skomplikowane esy-floresy.

– Czy ten człowiek – przełknęłam ślinę – ten, który skrzywdził Julię... Czy on komuś zagraża?

– Nie, nie.

– Zna go pani? Skąd ta pewność?

Przeniosła wzrok na kolejnego motyla.

– Trzeba się bać – powiedziała wreszcie z namysłem. – Strach jest dobry. Pozwala się opamiętać, zanim stanie się coś strasznego.

Nie czekałam, aż powtórzy te słowa.

– Czy ja mam się bać?

– Nie rozumiesz – odparła ze smutkiem. – On bał się samego siebie i dlatego pozwolił jej odejść. – Nagle wyciągnęła pędzel i machnęła nim po ścianie.

Z mojego ulubionego motyla zostały jedynie brzegi skrzydełek.

– Dlaczego? – Nagle zebrało mi się na płacz z żalu za zniszczonym malowidłem.

– Łatwo zniszczyć piękno. Można spróbować je odzyskać, odbudować, ale to już nie będzie to samo. Oczywiście jest możliwość, że to drugie będzie mocniejsze, piękniejsze, barwniejsze. Albo nie.

Nie powtarzała już niczego, ale zorientowałam się dopiero w domu, kiedy podczas kolacji dziadek spytał, co robiłam tyle czasu u Mimozy, a ojciec zażartował, że u niej spędza się dwa razy tyle czasu, bo wszystko powtarza.

Wbrew moim wyobrażeniom Julia nie przyszła do szkoły zaraz po swoim cudownym odnalezieniu. Kiedy spytałam o to Grubannę, powiedziała wymijająco, że „jest w kontakcie z lekarzami” i na razie „nie jest to możliwe”. Akurat lekarze mieliby czas na tłumaczenie nauczycielce co i jak. Pewnie chciała wyglądać na kogoś, kto trzyma rękę na pulsie łodygi, ale nie za bardzo jej to wychodziło. Wyglądała raczej, jakby – używając jej terminologii – chciała dać komuś „z liścia”. W tej sytuacji nasze klasowe spotkanie wigilijne przeszło bez większego echa. Nawet baba drożdżowa i blacha piernika nie zostały specjalnie zauważone. Rozzłościłoby mnie to, gdyby nie nieoczekiwana sprawa, która wtedy wynikła, a która całkowicie zmieniła moje zwyczajne życie. Właściwie to byłam wdzięczna Grubannie, że zmusiła mnie do organizacji Wigilii, choć przydzwigałam to wszystko samodzielnie. Te ciasta naprawdę zmieniły moje życie.

Miałam do szkoły spory kawałek i kiedy objuczona torbami, wchodziłam przez bramę, nie czułam już rąk.

– Marzena, poczekaj! – usłyszałam.

Obejrzałam się i ze zdumieniem zobaczyłam, kto mnie woła. Paweł. Blachy zelzały w moich rękach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Widziałem cię z daleka, wołałem, ale dopiero teraz usłyszałaś?

On mnie wołał? Paweł wołał mnie?

– A co? – spytałam niezbyt mądrze, starając się sprawiać wrażenie, że dźwiganie tych ciast nie sprawia mi trudności. Chciałam poprawić czapkę i odgarnąć włosy z czoła, bo zasłaniały mi oczy, ale ręce miałam przecież zajęte. On tymczasem nie czekając na odpowiedź, wziął ode mnie ciasta i spojrzał karcąco.

– Czemu sama to dźwigasz? Dlaczego nikt ci nie pomógł?

Nawet do głowy mi nie przyszło kogoś prosić. Pikusia? Przecież upiekł ciasta, to chyba wystarczy? W sumie mogłabym spróbować, bo chętnie pomagał w takich sprawach. Nie pomyślałam też o ojcu, on zresztą nie zaproponował pomocy, chociaż pytał o to, kto upiekł drożdżówkę i w jakim celu. Strasznie go to interesowało, nie wiedzieć czemu. Może mama kazała mu się zainteresować moimi problemami. Słyszałam, jak wczoraj się kłócili, chociaż ich gniewne szepty były dla mnie zupełnie niezrozumiałe.

– A kto miałby mi pomóc? – spytałam.

– Chociażby Renata, mieszka przecież w sąsiedniej klatce – odpowiedział szybko. – Albo Justyna czy Kaśka. Karol i Tomek też mieszkają blisko ciebie. Ja... mieszkam blisko ciebie.

– Nie wiedziałam – bąknęłam niezbyt mądrze. Chciałam zatrzymać tę chwilę na zawsze. Zrobić z niej zdjęcie i oglądać do końca świata.

– Jak to nie wiedziałaś? – Na pięknej twarzy rysowało się autentyczne zdumienie. – Często cię widuję, kiedy wychodzisz po południu, do sklepu na przykład... Idę za tobą do szkoły.

Dobry Boże... Marzę o nim od roku, nie mam pojęcia, gdzie mieszka, a on mnie obserwuje z okna albo po drodze do liceum.

– No nie. – Staliśmy na podwórzu, mijani przez mrowie ludzi idących na lekcje. – Nie wiedziałam, gdzie mieszkasz. Myślałam, że gdzieś koło Julii. – Wypadło to idiotycznie, ale nagle poczułam się szczęśliwa, piękna, mądra i lekka jak piórko.

– Można i tak to ująć – uśmiechnął się. – Ona mieszka trochę dalej, ale nasi rodzice się przyjaźnią. Mi właściwie najbliżej Kaśki, często z nią wracałem... Kiedyś. Ciotka mnie prosiła, to znaczy jej mama, bym pomógł – plątał się.

Anglicy rozmawiają o pogodzie, bo tak wypada. My rozmawialiśmy o tym, które z nas gdzie mieszka. Gdyby to nic nie miało znaczyć, pewnie narzekalibyśmy na Grubannę lub Pakułę, względnie Liczbaka, ale znaczyło. Paweł wiedział, gdzie mieszkam. Odprowadzał Kaśkę tylko dlatego, że prosiła go o to jej mama, a jego ciotka. To było jak medal na zawodach, jak minięcie mety przed wszystkimi, jak pokazanie się w telewizji albo wygranie wycieczki na egzotyczną wyspę.

– Po lekcjach odprowadzę cię i odniosę ci te blachy – skwitował, ale zaraz dodał: – Jeśli można. – I uśmiechnął się, a we mnie zatrzepotały wszystkie motyle świata.

Wigilia okazała się strasznie nudna. Grubanna jak zwykle opowiadała coś o kolejnym wspólnym roku, użyźnianiu gleby i uschniętych roślinach, które pod wpływem wielu starań wracają do życia. Chciała chyba w ten sposób nawiązać do sprawy Julii, ale nikt tego nie rozumiał. Chłopaki wyżerali wszystko ze stołu, nie troszcząc się o to, by starczyło dla każdego. Dziewczyny trzymały się z daleka, jakby bały się przytyć od widoku tłustych śledzi i sałatki jarzynowej z majonezem. W innych okolicznościach denerwowałoby mnie jedzenie ciasta wprost z blachy i rozgniecione okruchy. Ostatecznie Pikuś był mistrzem w fachu cukierniczym i jego praca zasługiwała na szacunek. Tego dnia myślałam wyłącznie o tym, jak będziemy wracać do domu, o czym będziemy rozmawiali i tak dalej. Zresztą trzymaliśmy się razem, rozmawialiśmy sobie nad sałatką, a ja starałam się ze wszech sił nie mieć wypisanego szczęścia na twarzy. Od czasu do czasu łapałam wzrok Renaty, która podobnie jak inni zorientowała się, że coś się między nami

dzieje i nie mogła powstrzymać smutku malującego brzydkie bruzdy wokół jej ust. Kaśka i Justyna też zerkały na nas niespokojnie. Ta pierwsza siłą powstrzymywała się od płaczu, a druga zrzuciła choć na chwilę tę swoją obojętną maskę i coś klarowała Kaśce wprost do ucha, a na mnie zerkała od czasu do czasu z dezaprobatą. Zresztą nie one jedyne patrzyły z niechęcią. Edyta Andruszkiewicz weszła dosłownie między nas podczas Wigilii i zaczęła mizdrzyć się do Pawła i pytać o jakieś głupstwa. Bałam się, że mi go odbierze, ale nie – odpowiadał jej grzecznie, a potem z powrotem patrzył na mnie. Dominika Żelazko spytała, czy pożyczę jej *Cierpienia młodego Wertera*, naszą następną lekturę, ale sama jeszcze nie zaczęłam czytać. Udała, że nie widzi ironii w moim spojrzeniu. Właśnie teraz musiała spytać o książkę, doprawdy... Ewa także podeszła i zadeklarowała pomoc przy sprzątnięciu, ale potem jak zwykle przypominała sobie o zajęciach w szkole muzycznej. Wypadło to idiotycznie.

– No tak – powiedziała w końcu. – Głupio to wyszło. Przecież muszę się rozegrać i dlatego nie mogę zostać, zapomniałam o tym. A może wpadniesz w sobotę? Mam koncert. Wiesz gdzie. Gram na pianinie, to znaczy nie tylko ja. Jeszcze dużo ludzi gra.

Paweł coś grzecznie odpowiedział, ja tylko się uśmiechnęłam. Zrobiła z siebie kretynekę, nie zamierzałam jej pomagać wybrnąć z tej sytuacji. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że mnie nie zaprosiła, i chyba poczuła się jeszcze bardziej głupio, bo odwróciła się i po prostu uciekła. One wszystkie nagle zachowywały się jak idiotki, a ja zostałam królową dnia. Mogłam sobie pozwolić na to, by udawać, że nie zauważam tych zabiegów o najprzystojniejszego chłopaka w klasie – byłam ponad to.

– Pójdiesz na ten koncert? – spytałam, kiedy wreszcie lekcje się skończyły i szliśmy wolnym krokiem do domu.

Pokręcił przecząco głową.

– A czemu ona w ogóle...?

Teraz, kiedy doznałam najwyższego szczęścia i szłam razem z chłopakiem, o którym marzyłam, nie wiedziałam, o czym mam z nim rozmawiać. Nagle zaczęłam bać się ciszy między nami, zupełnie jakby mogła przeciąć tę dopiero co utkaną, cienką nitkę porozumienia. Nie chciałam też zniszczyć magii tej chwili jakimś nieostrożnym słowem, głupim zdaniem czy pytaniem nie na miejscu. Mój głos wydał mi się piskliwy i zbyt ostry, by mógł spodobać się Pawłowi. Z ekstazy wpadłam w czarną dziurę beznadziei.

– Wcześniej przychodziłem na te koncerty. Mój młodszy brat gra na akordeonie.

– Tak? A ty jesteś muzykalny? – Udusiłabym siebie samą za te idiotyzmy!

– Podobno – uśmiechnął się i znów pokazał rząd olśniewających zębów. – Też grałem na akordeonie, ale zacząłem trenować koszykówkę i musiałem coś

wybrać.

– Czemu nie wybrałeś akordeonu? – spytałam już śmieiej.

– Woląłem grać w kosza trzy godziny, niż przez godzinę ćwiczyć gamy.

Proste. – Wzruszył ramionami.

– Przyszłabym na jakiś mecz, jeśli mnie zaprosisz.

– Przyjdź. – Pokiwał gorliwie głową. – Gramy w sobotę. Dlatego nie mogę pójść na ten koncert. Młody bardzo lubi, gdy jestem, ale nie zawsze mogę.

Nie znosiłam, kiedy ktoś mówił „młody” o młodszym bracie albo synu.

Adams tak nazywał swoje dzieci: „młoda” i „młody”. O obojgu mówił „moje młode”, jak o zwierzętach. Teraz mi to nie przeszkadzało. Mój punkt widzenia zogniskował się na oczach Pawła. Miał brązowe, piękne oczy. Cały był piękny. Wcześniej taki niedostępny, teraz szedł ze mną i rozmawialiśmy jak ludzie, którzy się sobie podobają.

– Julia też odprowadzała braciszka do szkoły muzycznej. On gra na skrzypcach. W ogóle – przełknął ślinę – jest bardzo zżyta z braćmi.

W jakiś sposób mu na niej zależało, to na pewno, tylko jak bardzo?

– To twoja dziewczyna? – spytałam cicho.

Jeśli tak, chciałam przeciąć ten wrzód jednym cięciem. Będzie bolało, ale przynajmniej potem nie będę rozczarowana. No, może mniej. Smutek oblał mnie nagle od stóp do głów. Koniec, teraz mi powie, że są kimś więcej niż kolegami z klasy, a ja umrę z tęsknoty za tym, co mogło być, a nigdy nie będzie.

– Nie. Znam ją od urodzenia i bardzo lubię. Jest po prostu... dobra. Gdyby była moją dziewczyną, nie wytrzymałbym tego. Tego, że zniknęła.

Popatrzył przed siebie i gdy chciałam coś powiedzieć, dogonił nas jakiś chłopak, jego znajomy z drużyny i zatrzymaliśmy się na chwilę. Teraz pewnie pójdzie z nami i już nie porozmawiamy, pomyślałam ze strachem, ale na szczęście miał do Pawła tylko jakąś sprawę. Porozmawiali chwilę, nastąpiła szybka prezentacja i tamten oddalił się szybkim krokiem.

– Nie wytrzymałbym tej świadomości, że ten drań ją więzi i robi z nią nie wiadomo co, a ja nic nie mogę na to poradzić.

– Ja też to bardzo przeżyłam, chociaż... chociaż nie znałam jej tak jak ty – wyznałam, a potem dodałam: – Jak myślisz, kto jej to zrobił?

– Nie wiem – powiedział bezradnie. – Ale gdybym go dorwał, to urwałbym mu jaja. Sorry...

Poczułam ukłucie zazdrości. Czy on podświadomie chciał ją pomścić, czy zawsze był taki rycerski?

– Podobno nic się jej nie stało – zauważyłam.

– Bzdura! – prychnął.

– Naprawdę, dowiedziałam się tego. Nic jej nie zrobił – przekonywałam, a on nagle stanął i popatrzył na mnie, ale nie z dezaprobatą, tylko smutkiem.

– Marzena – zaczął. Mógłby powtarzać moje imię bez końca. W jego ustach to brzmiało jak marzenie, pragnienie, jak coś pięknego. – Marzena, jakiś kutas ją porwał i więził. Wyobraź sobie, co ona tam czuła, jak walczyła, by się uwolnić, jak musiała się bać...

Odpędzałam tę myśl od siebie. Przez cały czas, kiedy jej nie było, starałam się nie myśleć, co „teraz” się z nią dzieje, gdzie jest, co z nią robią i co czuje. Za bardzo zajmowały mnie wyrzuty sumienia.

– Wiem – odezwałam się niepewnie – ale byłoby gorzej, gdyby ją zranił albo... – słowo uwięzło mi w gardle – ...zgwałcił.

Staliśmy już pod moim domem. Miałam ochotę uciec do siebie, bo czułam, że zmarnowałam ten czas przeznaczony na spacer. Serce waliło mi niczym młotem.

– Ja... – przełknęłam ślinę. – To już tutaj.

– Wiem.

Pochylił się szybko i pocałował mnie. Poczulałam na wargach coś mokrego i zimnego. Chwilę wcześniej jego oddech zmieszał się z moim. Zamknęłam oczy. Lęk podchodził mi do gardła. Powiedz coś, krzyczało we mnie wszystko, nie stój tak głupio. Nic jednak nie mogłam wykrztusić. On złapał mnie za obie ręce, pożałowałam, że włożyłam rękawiczki. Gdybym je zdjęła, mogłabym poczuć jego dłonie. Powinnam zacząć poznawać go od dłoni, nie od warg. Pocałunek powinien być na końcu, taka niekonsekwencja, zburzenie reguł może odbić się na całym naszym związku. Chciałam, by znów mnie pocałował i kiedy to zrobił, przytrzymałam jego wargi między swoimi i dotknęłam językiem jego języka. Coś się stało z moim ciałem, wstrząsnął nim dreszcz. Jaki wstyd, co on sobie pomyśli?

– Ja...

Chciałam zdjąć rękawiczki, idiotyczną czapkę, którą miałam na głowie przez całą drogę. Nikt nie wygląda dobrze w czapce, chociaż bez niej, sinoczerwona wyglądałabym jeszcze gorzej, ale nie mogłam się ruszyć.

– Ja też – powiedział i znów poczułam jego usta na moich.

Staliśmy pod klatką schodową, zupełnie odsłonięci. Prędzej czy później ktoś znajomy będzie tędy przechodził. Gdybym się odważyła, spojrzałabym w górę. Mogłam się założyć o co tylko chciałam, że Pikuś Don Kichot stoi za firanką i łypie na nas, głaskając Mruczka wielką łapą. Być może Mimoza również na nas patrzy i myśli, co by tu namalować na tę okoliczność. Ona zna się na ludziach. Jeśli zobaczą na jej ścianie kwiat, motyla albo ważkę, to będzie jak pasowanie na rycerza, akceptacja i przyzwolenie. Jeśli namaluje powój albo co gorsza ciernie, nasz związek nie zakończy się dobrze. Brałam pod uwagę coś jeszcze: równie dobrze to, że ja – nie taka znowu fajna dziewczyna – całowałam się z najfajniejszym chłopakiem pod słońcem, tu, pod moją klatką, nikogo nie interesowało. Nie wiedziałam, co tak naprawdę sprawiłoby mi większą radość – rysunki Mimozy czy pierwszy pocałunek, który jest tylko nasz, bo nie dzielimy się

nim z nikim.

– No no no – usłyszeliśmy czyjś cichy głos i odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni.

– Dzień dobry, panie profesorze – Paweł uśmiechnął się do stojącego nieopodal Adamsa.

Adams miał wyjątkowo normalną minę, dobrotliwą wręcz. Pierwszy raz go takim widziałam. Zwykle szedł pochylony, burczał swoje „dzień dobry” grobowym głosem i nigdy się nie uśmiechał.

– Dzień dobry – przywitałam się, oblewając się rumieńcem. Na pewno byłam już cała czerwona. Zastanawiałam się, czy powie o tym moim rodzicom i chociaż raczej nie groziły mi wymówki, to nie chciałam, by w ten sposób się dowiedzieli o moim chłopaku. Zwłaszcza mama, której nigdy nie podobały się moje koleżanki umawiające się na randki. Uważała, że na to jest zbyt wcześnie.

– Co tam słyhać, Paweł? – spytał Adams.

– Dziękuję. Teraz już wszystko będzie dobrze. Bo pan słyszał, prawda?

– O Julii? Oczywiście, wiem. Modliliśmy się z żoną, by się odnalazła.

Pozdrów Julię od nas, kiedy ją zobaczysz.

– Oczywiście. – Paweł pokiwał gorliwie głową, a ja poczułam ukłucie w sercu. Zupełnie, jakby stała przy nas i dawała nam przyzwolenie na całowanie. Czy wszystkie rozmowy musiały prędzej czy później sprowadzać się do niej?

– No to miłego dnia! – Adams ponownie się uśmiechnął i poczłapał w stronę klatki schodowej. W rękę trzymał przezroczystą siatkę, a w niej kilka kefirów, biały ser oraz puszkę piwa. Adamsowa pewnie znów miała ciężki dzień i potrzebowała czegoś na kaca. Zrobiło mi się smutno. Nieoczekiwanie mój sąsiad objawił inne oblicze, człowieka złamanego nałogiem żony, cierpiącego po stracie dziecka, ojca dwóch pozostałych przy życiu zdziwaczałych synów, którzy pewnego dnia zmuszą go do wypicia wody z odkamieniaczem, poderzną mu gardło albo w lepszej wersji wyjadą bez słowa za granicę, oddawszy go najpierw do domu opieki.

– Skąd go znasz? – spytałam.

– Chodziliśmy do niego z Justyną na angielski – odpowiedział z prostotą, a ja potrzebowałam chwili, by przetrwać tę informację.

– Jak to? Z Justyną?

– Normalnie. – Przybliżył twarz do mojej.

Miałam ochotę zamknąć oczy i znów pozwolić się całować, ale najpierw chciałam się więcej dowiedzieć.

– Do domu?

– Tak – potwierdził, odsuwając się trochę ode mnie. – Michalscy mieszkali kiedyś na Kopernika. On siedział wiele lat w Stanach, tam pracował. Pani Maja wychowywała dzieci i dawała korki z francuskiego. Ona pięknie mówi po

francusku, śpiewa piosenki Edith Piaf i Breła... Julia chodziła do niej na francuski, bo wołała ten język. Ale przydarzyło im się nieszczęście i wszystko szlag trafił.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Stał już dość daleko ode mnie i nie wyglądał na kogoś, kto myśli o całowaniu.

– A co się takiego stało? – spytałam, bo chciałam skonfrontować to, co wiedziałam od Czarnej Mańki z prawdą, którą niewątpliwie znał Paweł.

– Wybuchł pożar u nich w mieszkaniu i... Dzieci spały. Ona wyszła na balkon i wołała o pomoc. Zanim przyjechało pogotowie... Starszym nic się nie stało, najmłodsza dziewczynka umarła. Pani Maja przestała śpiewać i uczyć francuskiego. Dostała też jakiejś obsesji na punkcie ognia i tego, że dzieciom może się coś stać.

– Ona pije, a dzieci nie chodzą do szkoły – rzuciłam i po chwili zganiłam się w myślach za tę obcesowość, bo Paweł spojrział na mnie ze zdumieniem. Gdybym mogła, cofnęłabym to. – Tu wszyscy mają ich za dziwaków – chciałam trochę złagodzić swoje słowa. – Ja nie – dodałam szybko. – Bardzo ich lubię.

Przysunął się do mnie, ale tylko na kilka centymetrów.

– Nie pozwól innym dzieciom dokuczać chłopcom – odezwał się bardzo poważnie i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, sam przedmiot rozmowy wrzasnął za naszymi plecami:

– Zakochana para!

Paweł uśmiechnął się szeroko i pomachał do młodszego Adamsa.

– Cześć, Kacper! Co słyszać? Co tam u Tytusa?

Chciałabym mieć czarodziejską różdżkę i sprawić, by mały zniknął. On jednak podbiegł do nas i przybił z nim piątkę.

– Dooobrze. Tata powiedział, że tu jesteś – mówiąc, podskakiwał na obu nogach. – Idziesz na piłkę?

Jeszcze tego brakowało. Na szczęście Paweł roześmiał się i pokręcił przecząco głową.

– Nie gram w piłkę w zimie i tobie też odradzam.

Dzieciak wygiął usta w podkówkę. Wyglądał prawie sympatycznie. Po chwili otrząsnął się i za odmowę postanowił odegrać się na mnie.

– Ona stoi i gada do siebie. Jest nie tego. – Przyłożył palec do czoła i zakreślił kilka kółek.

Zatrzęsłam się z oburzenia.

– Ona – powiedział z naciskiem Paweł – ma imię. Marzena. I jest najbardziej „tego” pod słońcem. – Po czym objął mnie i szepnął do ucha coś, czego nie dosłyszałam i roześmiał się głośno. Było w tym śmiechu szczęście i ulga. Gdybym tylko wiedziała, czy to z mojego powodu, czy też zobaczył Julię na horyzoncie wspomnień Adamsa. Znów miałam wrażenie, że wszystkie jego uczucia należały do niej. Podał dzieciakowi blachy. – Kacper, pomóż Marzenie zanieść te rzeczy do



domu, dobra?

– Chyba do Pankracego – mały wykrzywił się. – On to wszystko upiekł. Jego mama nam mówiła.

Przynajmniej nie przyszło mi do głowy przypisywać sobie autorstwa ciast, bo inaczej zapadłabym się teraz pod ziemię.

– Marzena ci powie, dokąd je zanieść.

– Sam wiem! – burknął Kacper.

Uniosłam głowę. Pankracy tkwił przy oknie i szczyrzył zęby. Pomachałam mu zgrabiałą z zimna ręką.

– Czekaj – powiedziałam do Pawła i zatrzymał się. Zdjęłam rękawiczkę i dotknęłam jego twarzy. Nie chciałam go całować przy małym, ale w ten gest włożyłam dużo czułości, by wiedział, jak bardzo mi na nim zależy. – Czy mógłbyś powtórzyć to, co powiedziałeś mi na ucho, bo nie słyszałam – wyszeptalam, oblewając się rumieńcem wstydu. Czemu byłam taka beznadziejna?

Znów zbliżył wargi do mojego ucha.

– Będę po ciebie przychodził rano i razem będziemy szli do szkoły. Dobrze? Pokiwałam głową. Tak wyglądała najpiękniejsza chwila mojego życia.

*To ja ją uwolniłam. Zebrałam całą swoją odwagę, by to zrobić. Włożyłam stare buty, takie, które już dawno chciałam wyrzucić, i szarą pikowaną kurtkę. Nałożyłam na głowę czapkę zakrywającą twarz. Śledziłam go, tak, śledziłam. Wysiadł z pociągu. Tak jak podejrzewałam, tego dnia gdzieś pojechał, nawet nie usiłował kłamać, że ma jakieś zajęcie. Szłam za nim niczym szpieg, jak na tych wszystkich filmach rekompensujących mi brak prawdziwego życia. Nie obejrzał się ani razu, nie zwolnił i nie przyspieszył, aż zniknął w głębi klatki schodowej. A więc trzymał ją tak blisko. Marzłam na mrozie, drepcząc w tę i we w tę. Gdybym chociaż miała psa, mogłabym udawać, że wyszłam z nim na spacer. Na szczęście osłaniał mnie mrok. Niech on tylko wyjdzie, a uwolnię tę dziewczynę, już wiem, gdzie ją schował. W kanciapie na półpiętrze. Korzystali z nich robotnicy, gdy budowali te bloki. Musiał o tym wiedzieć. Wielu ludzi wiedziało. Trzyma ją w niewielkim pomieszczeniu z toaletą ukrytą za dyktą. Kiedyś wspominał o kluczu. Muszę ją uwolnić, a potem sama ucieknę. Ona nigdy się nie dowie.*

*Jeśli on był na tyle szalony, by pokazać swoją twarz, trudno. Poniesie karę. Ja muszę ją uwolnić, dla siebie, dla niej, dla wszystkich dziewczynek, które mogłyby uwięzić. A potem poczekam na to, jak ukarze nas los.*

## ROZDZIAŁ V

Jedni uważają, że kiedyś byli inni, drudzy, że kiedyś chcieli być inni, ale im się nie udało. Według mnie ludzie się nie zmieniają. Rodzą się z pewnymi predyspozycjami i hodują je w sobie niczym rzadkie kwiaty lub pozwalają rosnąć jak chwastom. Im lepsze cechy dostaliśmy przy urodzeniu, tym trudniej je pielęgnować. Im gorsze, tym bardziej się plenią, wypuszczają coraz więcej pędów i rozrastają w gęsty żywopłot. Ja należałem do tego drugiego gatunku. Urodziłem się ze skazą i uważałem, że kiedyś będę kimś innym, lepszym niż ten osobnik uwięziony w moim ciele. Moi rodzice byli miłymi ludźmi. Kiedy dowiedziałem się, że mnie adoptowali, nie poczułem nic, żadnego żalu czy buntu. Nie zadawałem wielu pytań o biologicznego ojca. Co do matki – sami mi powiedzieli. To ich chora na nowotwór kuzynka. Umarła, kiedy miałem dwa lata. Nie pamiętam jej. Nazwiska ojca nie chciała podać. Prawdopodobnie był to ktoś bardzo młody, kolega ze szkoły czy ktoś w tym stylu. Tak przynajmniej mówili rodzice, ja jednak czułem, że poczułem się z gwałtu. Po prostu przyjąłem to do wiadomości i przestałem czekać, aż stanę się inny. Moi rodzice zachowali się przyzwoicie. Sami nie mieli dzieci, więc przyjęli osieroconego chłopczyka i starali się wychować go na przyzwoitego człowieka. Nie całkiem się udało. Nigdy mnie nie bili, a bez końca tłumaczyli, jak należy postępować – może to dlatego? Doprowadzało mnie to jedynie do fantazjowania, w jaki sposób pomógłbym im opuścić ten świat. Tak po prostu. Bo ich nienawidziłem. Nie obawiajcie się. Nic im nie zrobiłem. Kiedy ojciec skończył pięćdziesiąt lat, dostał wylewu krwi do mózgu. Matka odeszła rok po nim na zawał serca. Przyjechałem na pogrzeb, opłaciłem wszystko, pochowałem ich w jednym grobie, który potem odwiedzałem regularnie każdego 1. listopada, nie troszcząc się o gnijące chryzantemy w donicach ani o przepalone świece. Na pewno było im dobrze pod ziemią.

Kto zмага się z samym sobą, zмага się z całym światem.

Julia wróciła do klasy już w nowym roku. Przez ten czas bardzo wiele się działo w moim życiu. Przed wszystkim zostaliśmy z Pawłem parą. „Oni chodzą ze sobą”, szeptało z zazdrością. Byliśmy nierozłączni, przynajmniej na tyle, ile mogliśmy. Spędzaliśmy ze sobą każdą minutę przerwy, każde popołudnie, soboty, podczas których kibicowałam mu na meczach koszykówki, niedziele, podczas których ledwie wytrzymałam poranek i rodzinny obiad, czekając, aż o szesnastej on zapuka do drzwi i będziemy siedzieć przytuleni w moim pokoju, całując się i rozmawiając o wszystkim i niczym. Rodzice przyjęli mój nowy status ze stonowanym zrozumieniem przemieszonym z dyskretną pruderią. Ojciec i dziadek mówili o Pawle „ten miły kolega”, mama określała go mianem „przyjaciela”, chociaż uśmiechała się przy tym nerwowo. Czasem tylko łapałam ją na tym, jak

obserwuje nas z niepokojem. Jakby się bała, że zrobię coś głupiego albo odwrócę się od niej. Prawda jest taka, że Paweł był dla mnie całym światem. Nie potrzebowałam już nikogo więcej, nawet mamy. Renata stała się dla mnie jedynie kimś, z kim siedziałam w szkolnej ławce. Ledwie słuchałam tego, co mówiła. Nawet kiedy opowiadała o tym, czego dowiedział się jej wujek, słuchałam prawie obojętnie. Podobno śledztwo postępowało i na jaw wychodziły ciekawe szczegóły, ale policjanci zawsze tak odpowiadają na pytania dotyczące ich dochodzenia. Nie podają nic do wiadomości publicznej niby dla „dobra śledztwa”. Czyli miałam rację – albo ja odkryję, kto za tym stoi, albo policjanci nie znajdą nic. Problem w tym, że wtedy interesowało mnie odkrywanie jedynie Pawła. Popołudniami opowiadałam mu o sobie i ciągle pytałam o wszystko, co dotyczy jego: o ulubiony kolor, piosenki i o to, z kim przyjaźnił się w podstawówce. Nie zniosłabym, gdyby uznał mnie za egoistkę, która myśli tylko o sobie. Chciałam być dla niego wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju i robiłam wszystko, by taką być. Dbałam o siebie wręcz obsesyjnie. Codziennie myłam włosy i czesałam je „na szcztokę”. Malowałam rzęsy tuszem i wargi błyszczkiem. W domu nie zabraniano mi tego, ale na wszelki wypadek ścierałam błyszczyk, kiedy tylko słyszałam w drzwiach chrobot klucza ojca albo mamy. Pryszcz na twarzy doprowadzał mnie do rozpacz. Hektolitrami piłam ziółka oczyszczające i odchudzające, żeby tylko wyglądać ładniej. Uszyłam sobie dwie kolejne spódnice z cieniutkiej wełny, jedną czerwoną, a drugą w szaro-czarne pasy, a mama pod choinkę kupiła mi piękny delikatny sweter w kolorze szarobłękitnym, podkreślającym barwę moich oczu. To było coś, na czym już mogłam budować związek. Paweł nie wydawał się specjalnie wymagający. Zadowalało go spędzanie ze mną czasu, całowanie i wsuwanie mi rąk pod bluzkę. Nie próbował robić nic więcej, podczas gdy wszystko we mnie płonęło, moje ciało zaczynało żyć własnym życiem, a umysł śnił wariacje na temat tego, co moglibyśmy zrobić, gdyby dziadek nie siedział w sąsiednim pokoju. Dziadek stanowił problem. Chociaż nigdy nie wszedł do mojego królestwa, to jednak cały czas był obok. Wiedziałam, że kiedy jestem w szkole, odwiedza Mimosę i rozmawiają sobie przy herbatce i ciasteczkach. Nie umiałam mu jednak powiedzieć, by chodził do niej trochę później, kiedy ja chciałabym zobaczyć Pawła bez koszuli, zamiast oglądać jego tors tylko przy pomocy rąk i wyobraźni. Paweł wprawdzie nie wydawał się liczyć na nic więcej, ja jednak chciałam pomóc hormonom, zanim mogłoby być za późno. Natura chłopaków jest zawsze niezmienna, także w nowym milenium.

Sylwestra spędziliśmy u Edyty Andruszkiewicz, która nieoczekiwanie urządziła imprezę. Miałam wątpliwości, czy rodzice mnie puszcza, ale po krótkiej rozmowie wyrazili zgodę. Mama jedynie napomknęła, że ojciec po mnie przyjdzie. Oczywiście chodziło jej o to, bym nie wracała sama w nocy, bo przecież jest ciemno. Poza tym bąknęła coś na temat „ostatnich wydarzeń” i o tym, że „nie

można dopuścić do powtórki tego potwornego czynu”. Ojciec nie wydawał się zachwycony. Na tym etapie związku moi rodzice nawet w sylwestra chodzili spać zaraz po północy, modląc się, by przestali wreszcie strzelać. Zapewne nie chciało mu się iść przez pół miasta o pierwszej tylko po to, aby odebrać córkę. Mimo to, kiedy wspomniałam o powrocie nad ranem z innymi, mama zjeżyła się i powiedziała, że ma być, jak zarządziła, albo zostaną w domu i będę im towarzyszyła przed telewizorem.

Powiem wam tylko tyle – świetnie się bawiłam. Edyta miała duży dom, a jej rodzice wyszli na całą noc do rodziny. Zrobiliśmy składkową imprezę, więc każdy przyniósł, co mógł. Przyszła prawie cała klasa, a Karol przyprowadził całkiem ładną i miłą „siostrę cioteczną”, która patrzyła na niego z sympatią mimo jego tuszy i pryszczki. Z obcych osób przyszła też kuzynka Edyty, starsza o dwa lata, studentka uniwersytetu. Nie była piękna, nawet nie ładna, ale naprawdę sympatyczna. Mało tańczyła, głównie rozmawiała. Okazała się bardzo przystępna. Dziewczyny zasypały ją pytaniami, jak jest na studiach, gdzie trudno się dostać, a ona opowiadała o życiu studenckim ze śmiechem i dystansem. Jej opowieść o tym, jak dziewczyny zapisują się na studia międzywydziałowe, by w końcu złapać męża, i jak w desperacji trzymają się uniwerku latami, doprowadziła nas wszystkich do łez. Ten wieczór sprawił, że zaczęłam patrzeć na moich kolegów zupełnie inaczej. Siedziałam wśród fajnych ludzi, którzy chcieli się pośmiać i zabawić, i niczego nie ukrywali. Dlaczego w szkole zachowywali się zupełnie inaczej? O Julii nie padło nawet jedno słowo i o dziwo, odpowiadało mi to.

Zabrakło tylko dwóch osób. Julia ponoć została zaproszona, ale nie przyszła ze zrozumiałych względów, a Kaśce nie pozwolili rodzice. Nie wyrazili zgody, by bawiła się na imprezie, o czym powiedziała mi we łzach ostatniego dnia przed feriami. Postanowiłam pójść do jej rodziców i wstawić się za nią – miałam już za sobą dwie mediacje, obie zakończone sukcesem i chciałam spróbować jeszcze raz. Przekonałam matkę i ojca Renaty, że impreza u koleżanki to naprawdę nic złego, poza tym będą tam wszyscy z naszej klasy.

– Nie będzie nikogo dorosłego. – Pani Gruszczyńska popatrzyła na męża, a ten zrobił surową minę. Komu jak komu, ale Renacie na pewno nie przyszłoby do głowy wykorzystać to, że przez kilka godzin nie będzie przy niej nikogo, kto strzegłby jej czci. Czy ludzie są naprawdę tacy ograniczeni? Gdybyśmy chciały stracić cnotę, nie upilnowaliby nas nawet przy pomocy agencji ochroniarskiej.

– Przeciwnie, będzie kuzynka Edyty. To studentka, już dorosła. Przychodzi specjalnie, nie będziemy bez opieki. Rodzice Edyty o to zadbali, ponieważ nie chcieli, by ktokolwiek miał obiekcje.

– Studentka? – spytał jej ojciec. – Co studiuje?

Nie wiedziałam, więc powiedziałam szybko, że na uniwersytecie i dodałam, że o pierwszej odprowadzi nas do domu mój ojciec. Rodzice Renaty po serii

różnych min wyrazili wreszcie zgodę, a ona spojrzała na mnie z wdzięcznością po raz pierwszy od dłuższego czasu. To prawda, ostatnio mało ze sobą rozmawiałyśmy i chciałam jakoś naprawić nasze stosunki. Niestety musiałam zapłacić za moją wspaniałomyślność całym popołudniem spędzonym u niej w domu i wysłuchać mnóstwa informacji na dziwne tematy, z których interesowały mnie dwa, a na nie akurat miała najmniej do powiedzenia. Napomknęła jedynie o naszej maturze, podobno „innej i trudnej” oraz o Julii – podobno czuła się już całkiem dobrze i niebawem wracała do szkoły. „Podobno” powtórzyła jeszcze kilka razy, nie znała innych szczegółów, chociaż próbowałam ją wypytywać na wszelkie możliwe sposoby. Ożywiłam się dopiero, gdy usłyszałam o „dziwnym znamieniu”.

– Niby palcem jej nie dotknął, a ma jakąś świeżą bliznę czy coś podobnego.

– Jaką bliznę?

Musiało chodzić o tamto oparzenie. Czy Julia to pamiętała? Wolałam nie myśleć, co by się działo, gdyby nagle stwierdziła: „Och to? Nie, to nie ma nic wspólnego z porwaniem i uwięzieniem. To zrobiły mi dziewczyny na strychu, kiedy przyjmowały mnie do swojej paczki. Oczywiście, że mogę powiedzieć kto. Zrobiła mi to osobiście Justyna, a Kaśka i Marzena patrzyły z aprobatą. Jaki strych? Mogę podać adres...”. Ile bym dała za pewność, że ona naprawdę straciła pamięć. Cały czas wydawało mi się to niemożliwe.

– Nie wiem, jaką bliznę. Nie mogę podsłuchiwać, a tata nie chciał mi powiedzieć.

– Czemu nie chciał? W sensie, czemu on się dowiedział? Twój wujek to przecież brat twojej mamy, nie taty?

Wzruszyła ramionami. W sumie nie było to szczególnie mądre pytanie. Może i mój ojciec nie zajmował się tym tematem, ale przecież inni się interesowali.

– Oni oboje go wypytyują – wyznała niechętnie. – W kółko siedzą na telefonie. Jakbym to ja zaginęła...

– Znali Julię? – spytałam. Czemu właściwie wcześniej nie zadałam jej tego pytania?

– Mama chodziła do szkoły z jej matką, a tata chyba jej nie zna. Bo skąd...?

Nie zna Julii, a wypytuje o śledztwo, biegnie do niej do domu, by dowiedzieć się, czy ona czegoś nie pamięta, wreszcie chce reprezentować tę rodzinę w walce o odszkodowanie. Dziwne, doprawdy. Ojciec Renaty był zwykłym człowiekiem, ani miłym, ani złym, ani przystojnym czy też brzydkim. Po prostu kimś, kogo się nie zauważa. Panem z teczką, pracownikiem korporacji ze służbowym samochodem, przedmiotem zazdrości sąsiadów. Tatą podwożącym nas czasem do domu, który mało się odzywa, bo nie wie, o czym z nami rozmawiać. Jak taki ktoś mógłby mieć cokolwiek wspólnego z porwaniem i przetrzymywaniem Julii?

Gdybym te wszystkie pytania stawiała jak kostki piramidy, przewyższyłyby

już nasz pięciopiętrowy blok.

– W każdym razie tak bardzo ci dziękuję za przekonanie moich starych... I nie miałam wcześniej okazji, ale naprawdę... – przełknęła ślinę – fajnie, że chodzicie ze sobą...

– Dzięki, Renata – odpowiedziałam wdzięczna za oba podziękowania.

Justyna, której rodziców także przekonałam podobnymi argumentami, nie okazała się już tak wylewna. Najpierw poprosiła mnie o wstawiennictwo, a potem zachowywała się tak, jakby robiła mi łaskę, pozwalając na rozmowę z arystokratyczną, bogatą rodziną.

– Zrozum, moja droga – powiedziała jej matka. – Będziecie tam bez opieki. Mało ci tego, co stało się z twoją koleżanką?

– Znalazła się – odparła cicho Justyna, nie patrząc na mnie. Wspomniałam o kuzynce Edyty, reprezentującej „dorosłych” i trzymającej nad nami pieczę, ale nie zwrócili uwagi na moje słowa.

– Owszem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale nadal nie wiadomo, kto...

– Proszę pani – przerwałam, chociaż może nie było to najszcześniejsze posunięcie. – Moi rodzice mieli identyczne obiekcje. Podobnie jak mama i tata Renaty. I mój ojciec...

Na dźwięk imienia „Renata” drgnęła, jakbym powiedziała coś niesmacznego. Nie chciała się zgodzić, widziałam to po jej minie. Jeśli ją przekonam, Justyna będzie mi wdzięczna, a dług wdzięczności u kogoś takiego, to nie byle co.

– I mój ojciec przyjdzie po nas o pierwszej i odprowadzi do domu Renatę i, jeśli się pani zgodzi, Justynę. Pod same drzwi – dokończyłam.

– Idzie cała wasza klasa? – spytała.

Pytanie kierowała do córki, ale uznałam za stosowne odpowiedzieć.

– Tak, cała. Jeszcze tylko rodzice Kasi nie wyrazili zgody. Gdyby pani mogła...

– Ja też jeszcze nie wyraziłam zgody – burknęła lodowatym tonem. – Porozmawiam z mężem i przekażę nasze stanowisko.

Co za koszmarna baba. Miałam nadzieję, że będziemy mogły wnieść apelację, gdyby jej „stanowisko” okazało się dla nas niekorzystne.

Nieoczekiwanie się zgodziła. Może mąż ją do tego przekonał, kto wie. Justyna powiedziała mi to na przerwie, nie wyrażając wdzięczności. Ucieszyłam się i nawet nie wytknęłam jej tego. Byłam ponad to. Mogłam sobie pozwolić na takie ekstrawagancje. W końcu ludzie zaczęli we mnie dostrzegać kogoś ważnego.

Niestety rodzice Kaśki poczęstowani tymi samymi argumentami, powiedzieli stanowczo „nie ma mowy”, „nasza córka nie musi być jak wszyscy”, „nie

zezwalamy, chociażby po nią przyszedł twój tata”, „mamy swoje powody, nie musimy wyjaśniać”. Przy tej uwadze o tacie, mogłabym przysiąc, że jej ojciec mruknął „zwłaszcza”.

Za jakie grzechy Kaśka miała siedzieć sama w domu? Nie przyszła tylko ona i Julia, a przecież mogły dobrze się bawić. I naprawdę nic się złego nie działo. Tańczyliśmy, piliśmy napoje bez procentów (przynajmniej dziewczyny, bo chłopaki dolewali sobie do coli wódki, którą przyniósł Tomek). I co najważniejsze – tańczyliśmy wolne tańce, tak zwane pościelowy. Spędziłam w objęciach Pawła prawie cały wieczór. Zamknęliśmy się nawet w pokoju na piętrze, gdzie przekroczyliśmy kolejny krąg intymnej znajomości, wkładając sobie ręce do majtek. To było jednocześnie cudowne, straszne i niezwykle doznanie. Prawie chciało mi się płakać, kiedy wybiła pierwsza i do drzwi domu zadzwonił dzwonek. Pożegnałam się z Pawłem, skinęłam na dziewczyny i wszystkie trzy wyszłyśmy.

– Jak zabawa? – spytał tata z zainteresowaniem.

– Szczęśliwego Nowego Roku, proszę pana – powiedziała grzecznie Justyna.

– Szczęśliwego Nowego Roku – zawtórowała Renata, wyraźnie zawstydzona, że nie umiała się zachować.

– To jest Justyna, tato. Szczęśliwego Nowego Roku.

– Wam też – uśmiechnął się mój ojciec. – Niech wam się spełnią marzenia.

– I pana też – rzuciła Justyna. – Niech się spełnią.

Myślałam, że będę wstydzona się za niego, ale nieoczekiwanie stał się zupełnie inny. Żartował z dziewczynami, opowiadał o prywatkach, które urządzano w „jego czasach” i o dziwo nie było to ani nudne, ani beznadziejne. Justyna z nim konwersowała, jakby znali się od lat. Nigdy jej takiej nie widziałam. Zupełnie jakby mój ojciec jej się podobał, oczywiście nie w takim sensie, to znaczy, chciałam wam powiedzieć, że oboje zachowywali się inaczej niż w rzeczywistości. Najpierw poszliśmy do Renaty, zapukaliśmy do drzwi, a kiedy za nimi zniknęła, tata zaproponował, bym ja też poszła do domu, a on odprowadzi Justynę. Nie chciałam się zgodzić, bo mogła mu coś o mnie powiedzieć, na przykład to, jak na imprezie zniknęłam z Pawłem na godzinę. Mogło jej się niby przypadkiem wymyślić. Takie jak ona nie lubiły mieć długów wdzięczności wobec takich jak ja. Wolałam jej pilnować. Mieszkała zaledwie jakieś pięćdziesiąt metrów od nas, więc po chwili dotarliśmy na miejsce. Życzenia szczęścia, powodzenia i wszystkiego, czego powinno się życzyć, zostały powtórzone. Na odchodnym Justyna powiedziała:

– Myślę, że to będzie bardzo dobry rok.

– Tego ci życzymy z Marzeną, prawda? – Ojciec przeniósł na mnie wzrok, a ja pokiwałam głową.

– Najważniejsze, żeby w nowym roku zobaczyć najpierw mężczyznę. Wtedy jest szczęście i powodzenie – stwierdziła, po czym zadzwoniła do swoich drzwi. –

A ja zobaczyłam właśnie pana.

Pod naszym blokiem spojrzałam na okna. Prawie wszystkie się świeciły. Świątujących było zatem więcej. Ci, którzy poszli spać, należeli do mniejszości. Zobaczyłam Pikusia Don Kichota, Mimozę, małych Adamsów i Nosicielkę. Każde z nich przyklejone do swoich szyb. Pomachałam im. Nikt nie odmachął, za to wszyscy oderwali się od okien, jakbym złapała ich na czymś niegodnym.

Samo pojawienie się Julii w klasie miało w sobie coś uroczystego, jakby los chciał zrekompensować jej fakt, że zniknęła niepostrzeżenie. Dyrektorka Aniela Pruszcza weszła z nią do klasy po pierwszej lekcji i z miną, jakby przyprowadziła królową angielską, stanęła obok biurka nauczycielskiego. Wcześniej Grubanna palnęła nam wykład o tym, co będzie się działo, kiedy Julia wróci, wyjątkowo nie wtrącając bzdur o wiązaniu gałązek oliwnych, sianiu ziarna, by zbierać plony, czy przerabianiu owoców na mus, by zimą nie paść z głodu. Może nic biologicznego nie przyszło jej do głowy. Muszę przyznać się wam do czegoś. Teraz, kiedy Julia wracała do klasy, postanowiłam z nią usiąść. Nie umiałam powiedzieć tego wprost Renacie, a nie chciałam, by miała do mnie żal. Dlatego poszłam z tym do Grubanny.

– Pani profesor – zaczęłam prosto z mostu. – Kiedy Julia Patyka wróci, chciałabym z nią usiąść w jednej ławce.

– Tak, nie powinna siedzieć sama, ale... – Grubanna nie zachwycił mój pomysł, poznałam to od razu. Pewnie typowała kogoś innego. Zgadnijmy kogo...

– Pewnie zamierzała pani posadzić ją koło najlepszej uczennicy, ja rozumiem. – Popatrzyłam na nią błagalnie.

– Właśnie o tym myślałam...

– Tylko, że Justyna pomaga Kasi i gdyby Kasia miała siedzieć sama, to... nie byłoby dobrze.

– Ty mogłabyś usiąść z Ka... – zaczęła, ale przerwałam jej. Nie mogłam powiedzieć, że to, kto ma z kim siedzieć, zostało już wcześniej ustalone, na tamtym strychu. Mogłam jednak walczyć metodami Grubanny.

– Jeśli pani przesadzi Kasię do mnie, a Julię posadzi z Justyną, to będzie tak, jakby pani przecięła gałąź, a potem próbowała ją posklejać z innymi... pędami, ale one się nie przyjmą. Z tego, co wiem, nie tak robi się szczepki drzewek owocowych.

Nauczycielka patrzyła na mnie z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Jakie pędy? Jakie drzewka owocowe? Co ty bredzisz, Marzena?

Najwyraźniej odcięłam pień nie tego drzewa, co chciałam. Jasny szlag!

– Chciałam tylko powiedzieć, że może pani unieszczęśliwić cztery osoby albo wszystkim zrobić dobrze.

„Zrobić dobrze” też się nie spodobało.

– Zastanowię się nad tym – powiedziała wymijająco Grubanna.



– Bardzo panią proszę, pani profesor. Jeśli mogę być szczerą, to planowałyśmy to z Julią, jeszcze zanim... zanim to się stało. Miałam jej pomóc w matematyce i...

Spojrzała nieco przychylniej.

– A Renata się na to zgodziła?

– Tak – skłamałam. – Ona mogłaby usiąść z Edytą Andruszkiewicz, Przemek przesiąść się do Pawła i w ten sposób nikt by nie siedział sam.

Zasepiła się na chwilę. Po jej minie widziałam, że łyka ten pomysł, tylko nie bardzo wie, jak się na to zgodzić, by nie stracić twarzy. Nauczyciele mają jeden problem – żaden dobry pomysł nie może pochodzić od nas, to oni muszą rozdawać wszystkie karty.

– Jak już mówiłam, zastanowię się nad tym. Na razie się nie przesiadajcie i nie mów o tym nikomu. Muszę jeszcze skonsultować tę kwestię z panią pedagog.

Na szczęście skonsultowała z kim trzeba, bo kiedy stanęła obok dyrektorki i Julii, od razu przeszła do rzeczy.

– Siadajcie moi drodzy – powiedziała, bo wstaliśmy nieoczekiwanie z ławek.

Spojrzałam szybko na Pawła. Uśmiechał się w stronę Julii uśmiechem do tej pory przeznaczonym tylko dla mnie. Zakłuło mnie to. Usiadłam razem z innymi. Pakuła, która przyszła na swoją lekcję, miała życzliwość wypisaną na wrednej twarzy. Oczywiście, ten jeden raz, kiedy wraca do nas cudem odnaleziona uczennica, można się powstrzymać od okazywania niechęci, ale to było naprawdę dziwne.

– Jak widzicie – zaczęła Grubanna – Julia do nas wróciła.

Ktoś zaklaskał. Natychmiast inni podchwycili i biliśmy brawo już wszyscy. Paweł i Tomek nawet gwizdali i machali rękoma.

– No już dobrze, dobrze – łagodziła wychowawczynie, zerkając na Pakułę, ale tej najwyraźniej gwizdy i oklaski na lekcji wcale nie przeszkadzały. – Julio – zwróciła się do niej.

Julia wyglądała krucho i delikatnie. Jak porcelanowa lalka, która za chwilę zostanie strącona i rozpadnie się na kawałki. Była blada, jeszcze chudsza niż zwykle. Wąskie czarne spodnie wisały na jej zbyt szczupłych nogach, stary sweter sięgał do połowy łydki. Na szyi miała jedną ze swoich chustek – absurdalnie kolorowa podkreślała nijakość stroju i niemal kredową biel twarzy. Mimo wszystko wydawała się taka jak dawniej. Jakby nikt jej nie więził i nie próbował skrzywdzić. Wyglądała, jakby wróciła po operacji wycięcia wyrostka robaczkowego. Dokładnie jak moja koleżanka Tatiana w szóstej klasie podstawówki.

– Cześć. Trochę mnie nie było, ale już jestem – wypowiadała te słowa z wysiłkiem.

– Nie musisz... – zapewniła Grubanna.

Wcześniej przez całą godzinę wychowawczą klarowała, że psycholog

szpitalny oraz szkolny, a także wszyscy lekarze począwszy od psychiatrów, skończywszy na dermatologu (czemu na akurat na nim, nie mogłam pojąć) prosili, by nie poruszać z Julią tematu porwania i przetrzymywania jej w zamknięciu.

– Jeśli ona sama zacznie, skierujcie rozmowę na inne tory – nudziła. – Nie wolno pod żadnym pozorem o nic wypytywać. Julia będzie cały czas pod opieką psychologów, oni jej pomogą wyzdrowieć. Jeśli jakimś nieostrożnym słowem poruszycie jej wspomnienia, kto wie, co się może stać.

– Na pewno może wrócić do szkoły? – spytał Karol, uprzedzając moje pytanie.

– Mnie nikt nie pytał o zdanie – nieoczekiwanie odparła wychowawczyni. – Uważam, że powinna wyjechać gdzieś do końca roku, do jakiegoś sanatorium, a potem wrócić, kiedy już całkiem wyzdrowieje i... zapomni. Jednak według psychiatrów ma wracać do zdrowia w bliskim jej środowisku.

Nie byliśmy jej bliscy, żadne z nas, a już to, co jej zrobiłyśmy z dziewczynami na strychu, na zawsze przekreśliło kwestie bliskości i szacunku.

– Czyli jak to będzie? – spytał Paweł.

Obejrzałam się. Kiedy mówił o niej, czułam ścisk w brzuchu. Coraz trudniej przychodziło mi ukrywanie zazdrości o Julię, choć wciąż powtarzałam sobie, że nie mam prawa tak się zachowywać, bo przecież przyjaźnili się wcześniej, lubili się i co najważniejsze, to ja z nim chodziłam. Mimo to zeszywniałam.

– Ma być naturalnie – powiedziała Grubanna. – Tak jak wcześniej.

– Nie może być tak jak wcześniej – usłyszałam głos Justyny. – Musi być inaczej.

Wszyscy odwróciliśmy głowy w jej kierunku. Odezwała się pierwszy raz. Wcześniej nie pisnęła ani słowa, życzliwego czy złośliwego, jakby temat nie istniał.

– Co masz na myśli? – zjeżyła się wychowawczyni.

– Tylko to, że przedtem prawie jej nie zauważaliśmy. Siedziała sama, Bóg jeden wie, co robiła po lekcjach, nikt nie chodził do niej do domu. Teraz nie możemy się zachowywać tak samo.

Grubanna spojrzała na nią z podziwem, po czym mruknęła:

– Nie wiedziałam.

Poczułam się jeszcze bardziej winna. Chciałam tylko, by pozwoliła mi z nią siedzieć, nic więcej. Zamierzałam zachowywać się wobec Julii zupełnie inaczej, ale na pewno nie mówić o tym ani Grubannie, ani Justynie, ani nawet Pawłowi.

– Czego możemy się spodziewać? – odezwała się wtedy Dominika Żelazko, ratując sytuację. – I co robić?

Pytanie było sensowne, jednak wychowawczyni nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

– Przerwijcie dyskusję od razu i udajcie się do gabinetu pani pedagog –

powiedziała wymijająco.

– Nawet na lekcji? – spytał Karol. Nie zabrzmiało to jak kpina. Chyba naprawdę chcieliśmy pomóc.

– Nawet na lekcji – jej głos zabrzmiał już znacznie bardziej pewnie.

Stojąc przed nami tamtego dnia, Julia sama dryfowała w niebezpiecznym kierunku i to bez psychologa u boku.

– Nie musisz... – powtórzyła Grubanna błagalnym tonem.

– Wiem o tym – uśmiechnęła się lekko. – Rozmawiałam jednak z... kim trzeba i zgodził się, żebym wygłosiła takie... oświadczenie.

Siedzieliśmy wszyscy w milczeniu. Ze zdenerwowania nie mogłam nabrać powietrza i zaczynałam się dusić.

– Słyszałam, że policja was przesłuchiwała – zaczęła Julia. – Niektórych pewnie to przstraszyło, a innych obraziło. Wiem, jacy są... – Przełknęła ślinę. – Przepraszam za to. To nie moja wina, ale stało się to przeze mnie.

– No nie, nie – w klasie rozległy się głosy protestu. Sama dołączyłam. Już co jak co, ale to naprawdę nie jej wina.

– Nie chciałabym, byście mnie unikali czy bali się – rozpoczęła znowu. – Pewnie nie uda się, żeby było tak jak wcześniej...

Julia, właśnie o to chodzi! Wcześniej wszyscy cię ignorowali, nawet Paweł, choć tak świetnie się znaliście, nie okazywał ci wiele względów. Justyna miała rację. Naprawdę coś powinno się zmienić. Nikt nie wie, jak to zrobić, ale musimy spróbować. Wszyscy tego chcemy.

– Chciałabym powiedzieć... – Przerwała na chwilę i w tym momencie obudziły się Grubanna z Pakułą. Próbowwały nie dopuścić do tego, by Julia dokończyła przemowę. Czemu tak się zachowywały, skoro psychiatra pozwolił jej powiedzieć kilka zdań? Dla wszystkich byłoby tak lepiej. Czemu i ona, i my mielibyśmy udawać, że nic się nie stało, brnąć w niedomówienia i zastanawiać się nad każdym wypowiedzanym przy niej słowem? Jak będzie wyglądało, kiedy ktoś powie przy niej „piwnica” i od razu pobiegnie po psychologa?

Julia zignorowała je obie:

– Kilka tygodni temu ktoś uderzył mnie w głowę i porwał. Prawie nic nie pamiętam. Jakies przebliski z piwnicy czy jakiegoś pomieszczenia bez okna. Tylko tyle.

Grubanna trzymała się za serce. Pakuła zamarła. My siedzieliśmy przerażeni. Mnie odechciało się komentarzy, które wcześniej generowałam w głowie.

– Ktoś mnie uwolnił, nie pamiętam kto. Podobno mózg w ten sposób broni się przed takimi przeżyciami. Fizycznie nic wielkiego się nie stało. Jestem tylko trochę odwodniona i niedożywiona. Nie karmił mnie najlepiej. Nic więcej mi nie zrobił.

Im bardziej mówiła o NIM, tym bardziej stawał się realny. Wcześniej

wydawał się nam jedynie plamą, wielkim złem, duchem fruującym po naszym mieście. Teraz zaczął przybierać realne kształty. On – ten, kto uderzył Julię i zawlókł do piwnicy, a potem przetrzymywał ją tam, kiepsko karmił, aż wreszcie uwolnił. Diabeł wcielony w porywacza. Czy mieszkał gdzieś obok nas?

Jej głos przebił się przez śmiertelną ciszę:

– Jak to mówią, najgorsze będą następstwa psychiczne tego... czegoś. Wczesne i późne. Najgorsze będą te późne. Nie wiem, czy mi nie odpali albo czy kiedyś wyjdę sama na ulicę. Może dopiero, kiedy go złapią, a może nigdy. Tymczasem mam żyć normalnie, w miarę normalnie. I tyle.

Pakule uciekała lekcja, ale dziwnym trafem nic z tym nie robiła. Nie wydawała się nawet zniecierpliwiona.

– To tyle, dziękuję wam bardzo – powiedziała Julia z prostotą i zaczęła iść w kierunku swojego dawnego miejsca na końcu sali.

– Julio – Grubanna ją zatrzymała. – Bardzo proszę, byś usiadła z Marzeną. Renatka się przesiądzie... Niech wszyscy zmieniają miejsca tak, jak wcześniej ustalaliśmy.

Julia zatrzymała się w pół kroku i popatrzyła na mnie. Nie wytrzymałam jej wzroku i spuściłam głowę. Renata natomiast wbiła w wychowawczynię zaskoczone spojrzenie, ale posłusznie wstała. Jasny szlag, powinniśmy to zrobić wcześniej, nie teraz, nie przy niej. Dlaczego nikt o tym nie pomyślał? A może to bez znaczenia, przecież nikt się nie sprzeciwi. Nie w takich okolicznościach. Roszady następowały sprawnie, bo wszyscy wiedzieli o przesiadkach, jedna Renata nie miała o tym pojęcia. Po prostu jej o tym nie powiedziałam.

Kiedy Julia usiadła koło mnie, poczułam ulgę. Jakby to, co się stało, nie miało aż takiego znaczenia. Uśmiechnęła się do mnie.

– Tak się cieszę, że wróciłaś – powiedziałam cicho. – I że siedzimy razem. I to było naprawdę szczere.

Między mną a Pawłem z pozoru wszystko układało się jak dawniej. Chociaż dręczyłam się za każdym razem, kiedy podchodził do Julii i pytał o cokolwiek, starałam się ze wszech miar tego nie okazać. Po jej powrocie dotarło do mnie, że powinnam postawić się w jej położeniu i chociaż trochę ją zrozumieć. Kiedy jednak zaczynałam sobie wyobrażać, jak ktoś mnie zamyka w ciemnej piwnicy, zaczynałam się trząść, jakby rzeczywiście gasło światło. Ja na pewno nie przetrwałabym ciemności i nie podźwignęła się po takim przeżyciu. Pewnego dnia zakiełkowałam we mnie dość wstrętne myśli, że NIKT by czegoś takiego nie wytrzymał. Może zatem wyglądało to inaczej, niż mówiła Julia. Może, jak twierdziła Czarna Mańka, do żadnego porwania nie doszło. Myśl była niska i wstrętne, ale kiełkowałam we mnie niczym zielony pęd fasoli, który Grubanna kazała nam hodować na gazie umoczonej w wodzie. Na początku suche ziarno nie miało w sobie życia, ale po kilku dniach pękło, zielony listek odważnie wyjrzał na

świat i konsekwentnie rósł. Tak jak moje podejrzania. Nie odważyłabym się powiedzieć o nich Julii. Po pierwsze to tylko podejrzania, po drugie to by było podłe. Miałam tego świadomość. Zostawiłam więc sprawy swojemu biegowi. I na tym chyba polegał mój zasadniczy błąd.

Ojciec szukał pracy, choć jeszcze chodził do swojego wydawnictwa, ale już tylko czekał na wymówienie. Przy kolacji opowiadał o jakimś spotkaniu w sprawie pracy. Mama kiwała głową coraz bardziej zdenerwowana. Od czasu do czasu wtrącała, że popyta o etat dla taty swoje dawne koleżanki. Ponoć niejedna z nich założyła własną oficynę wydawniczą i szukała dobrych pracowników. Biznesy różnej maści kwitły w tym kraju niczym grzyby po deszczu. Zakładali je ludzie, którzy często nie mieli pojęcia o prowadzeniu interesu. Ta koleżanka mamy, co to najpierw stworzyła firmę, a potem szukała dobrych pracowników, była tego najlepszym przykładem. Ojciec spojrzał na mamę z zainteresowaniem, a potem zaczęli dyskutować na temat szczegółów. Ojciec pytał o profil wydawniczy i czy naprawdę ta znajoma kogoś szuka. Przez kilkanaście minut napięcie między nimi zelżało i zachowywali się jak zupełnie normalni ludzie, a pomyślałam, że kiedyś do jednego z tych prywatnych wydawnictw będę mogła posłać swoją książkę. Znow zaczęłam pisać, naturalnie w tajemnicy. Tym razem bardziej interesował mnie wątek uczuciowy niż kryminalny, bo każdemu bohaterowi dawałam cechy Pawła. Chłopcy w moim zeszycie mieli jego oczy, śmiali się tak jak on, rozgrywali mecze i wystawiali pod moimi oknami, to znaczy oknami bohaterek. Wprowadzicie więcej darłam i wyrzucałam, niż zachowywałam, ale początki zawsze są trudne. Nie czułam się specjalnie winna, że nie interesuję się pracą ojca. On nie interesował się moim życiem, a ja jego – przyjęliśmy w domu takie niepisane reguły. Inaczej było z mamą. Bardzo się przejmowała sytuacją ojca, mogliśmy w końcu pomrzeć z głodu. Nocami snuła się po domu, wyglądała przez okno i wchodziła do mojego pokoju. Budziła mnie, potem przeproszała, wreszcie siadała na moim łóżku, jakby chciała porozmawiać. Mówiła, że nie jest w stanie poświęcić mi tyle uwagi, na ile zasługuję. Wreszcie stało się to zbyt uciążliwe i poprosiłam ją, by nie przeprowadzała ze mną rozmów w nocy, bo rano nie mogę się skupić na lekcjach. Zaległości rodzinne można odrabiać w dzień. Miałam wyrzuty sumienia, bo te rozmowy kończyły się często jej płaczem i narzekaniem, że tak bardzo się o mnie boi, a całymi dniami pracuje, więc nie ma czasu. Dzieci nie należy obciążać problemami małżeńskimi, zawsze tak uważałam, a jakież inne mogło być tło tych nocnych wizyt? Cóż, sama byłam tak szczęśliwa, że nie potrafiłam jej zrozumieć. Nawet gdyby moi rodzice się rozstali, obeszło by mnie to tyle co nic. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Pewnego dnia wyjątkowo zostaliśmy u mnie z Pawłem sami. Mama z tatą wyszli, a dziadek poszedł do Mimozy na herbatkę. Mogliśmy się całować spokojnie i do woli, nawet błądzić ustami po górnych partiach naszych ciał, co

bardzo mnie ekscytowało. Z chęcią spędzałabym wieczność w jego ramionach, tylko i wyłącznie dotykając się i całując, ale musiałam zrobić coś więcej, by go przy sobie zatrzymać. Nastawiłam koncert fortepianowy Beethovena, żeby Paweł uznał mnie za kogoś wyjątkowego, kto nie słucha muzyki takiej jak wszyscy, a jest bardziej wysublimowany.

– Przy Bachu trudno mi się całować – wyznał, robiąc tę swoją śmieszoną minę.

– To Beethoven – sprostowałam. – Jak na kogoś, kto skończył szkołę muzyczną, powinieneś być bardziej... klasyczny.

– Przecież jej nie skończyłem. I szczerze mówiąc, nienawidziłem tego grania.

– Julia lubi muzykę klasyczną? – spytałam nagle.

Zamyślił się.

– Nie wiem, chyba lubi. Zawsze cieszyła się z koncertów braciszka. Chociaż te występy dziecięce to takie rzępolenie. Uszy bołą. Czemu jej o to nie zapytasz? Chyba z nią siedzisz i chodzisz do niej do domu?

Pomagaliśmy Julii nadrobić zaległości, a przy tym chroniliśmy, jak mogliśmy. Przynajmniej ja czułam, że jestem jej to winna. Codziennie ktoś odprowadzał ją do domu, we wtorki i czwartki ja, w poniedziałki i środy przyjeżdżał po nią ojciec i zawoził do psychologa, a w piątki Paweł brał na siebie ten miły obowiązek. Mogłam oczywiście mu w tym towarzyszyć, bo w końcu chodził z nami w moje dni. Chciałabym powiedzieć, że mi to nie przeszkadzało. Gdyby nie rosnące stopniowo napięcie i zazdrość, byłoby to przyjemne. Przemiła, łagodna i szlachetna w swoim cierpieniu Julia, wcześniej zupełnie nam obojętna, teraz budziła życzliwość. Paweł okazywał jej dużo sympatii i co tu dużo mówić – czułości. Zazdrościłam jej tego, chociaż to mnie całował na pożegnanie, kiedy zostawiał nas pod jej domem.

– Przecież wiesz, że chodzę. Zawsze z nami idziesz.

Oderwał wargi od mojego policzka.

– Przeszkadza ci to? Chciałem być miły...

– Jesteś, jeśli robisz to dla mnie, a nie dla niej.

Odsunął się ode mnie i spojrzał ostro. Natychmiast pożałowałam moich słów. Przyciągnęłam go do siebie, ale stał sztywno, naprawdę wyglądał na urażonego. Może zresztą wcale go nie uraziłam, tylko w duchu przyznał mi rację, że jest bardziej z nią niż ze mną.

– Nie wątp we mnie – powiedział chłodno. – Jeśli coś zmieni się w moich uczuciach, powiem ci o tym.

Przestraszyłam się.

– Chodzi o to, że jesteś dla mnie... – Chciałam powiedzieć „taki ważny” albo „wszystkim”, ale wtedy nagle zgasło światło. Nie mówiłam mu wcześniej o swoim

strachu, po prostu nie było okazji. Nagle problemem stała się tylko ciemność. Jak wtedy po wizycie na strychu, kiedy nie liczyło się to, co zrobiłam, ale czerń, która mnie ogarniała. Teraz już nie zastanawiałam się nad tym, co powiedziałam, ani czego nie zdążyłam powiedzieć, czy go uraziłam. Nic się nie liczyło. Obląłam się lepkiem potem, zaczęłam dygotać. Trzymałam Pawła zaciśniętymi palcami za ramiona. Oddychałam szybko.

– Marzena? – usłyszałam jego zaskoczony głos. – Puść mnie...

– Nie, nie! – Chciałam błagać, by mnie teraz nie zostawiał. Zaraz umrę. Czy elektrownia musi wyłączać światło w najmniej odpowiednich momentach?

Przecież za oknem nie szalała burza śnieżna ani nic takiego.

– Co się stało? – spytał coraz bardziej zdumiony.

– Boję się – ledwo z siebie wydusiłam – ciemno... ści...

Parsknął śmiechem, ale zaraz przestał. Chyba zrozumiał, że mówię całkiem serio.

– O Boże, przepraszam. Gdzie są zapalki? Świece?

Próbował się ode mnie uwolnić, ale trzymałam go mocno. Jeśli mnie zostawi choćby na chwilę, zacznę krzyczeć.

– W kuchni – wykrztusiłam wreszcie. – Ale nie odchodź, nie zostawiaj mnie.

Zawahał się, a potem objął mnie mocniej i powiedział łagodnie:

– Zapalę zapalkę. Kto wie, kiedy elektrownia znów włączy światło. Będzie lepiej.

Zaczęłam tłumaczyć, gdzie znajdzie zapalki, ale ciężko to szło. Naprawdę nie chciałam, by mnie zostawił, bo wtedy zawładnęłaby mną ta straszna czerń. Co mogłam zrobić dla siebie i dla niego w takim momencie? Czemu wcześniej nie powiedziałam mu o swoim strachu?

– Kocham cię – szepnęłam tak żałośnie, że zaczęłam płakać, co było jeszcze gorsze.

– Puść mnie... Kochanie, znajdę zapalki i będę je palił do czasu, aż włączą światło, dobrze?

Powinien również wyznać mi miłość, a nie gotowość znalezienia zapalek. Coś mi przyszło do głowy, ale myśl uleciała tak szybko, że nie pozostał po niej nawet cień. Rozbłysk światła pojawił się tak nagle jak ciemność, która przed chwilą nastąpiła. Paweł popatrzył na mnie z przerażeniem.

– Boże, Marzena, jak ty wyglądasz...

Popędziłam do łazienki. Przedstawiałam sobą straszny widok. Rozmazał mi się tusz i na policzkach widniały teraz brzydkie, czarne strugi. Nos miałam zasmarkany, a włosy rozczochrane. Umyłam się zimną wodą i uspokoiłam. Pooddychałam chwilę płytko i szybko, jak uczył jeden z zajmujących się mną kiedyś, bez powodzenia zresztą, psychologów i wróciłam do Pawła. Siedział na tapczanie z miną wyrażającą zaniepokojenie.

– Przepraszam cię – powiedziałam, włączając z powrotem Beethovena. – Boję się ciemności. Panicznie. Tylko takiej całkowitej. Może być wieczór, noc, byleby cokolwiek się paliło, świeca, lampka, latarnia... – Wyrzucałam z siebie informacje jednym tchem. – Przepraszam, że ci nie powiedziałam.

Wstał i objął mnie, a potem łagodnie kołysał w ramionach.

– Nie wiedziałem... Chciałem coś zapalić, cokolwiek... Marzenka, skoro tak się boisz, powinnaś mieć zawsze przy sobie zapalki, świecę. Najlepiej latarkę.

To było to. Właśnie ta myśl przemknęła wtedy jak cień. Latarka.

– Wszystko w porządku, dziecko? – To dziadek wrócił od Mimosy. Nie słyszałam, jak wchodził. Patrzył na nas zaniepokojony i po chwili powiedział do Pawła: – Moja wnuczka boi się ciemności.

Wiedział. Nie spodziewałam się tego. Chyba nigdy przy nim o tym nie rozmawialiśmy. Może domyślił się, bo przecież spałam przy zapalonym świetle.

– Nie miałem pojęcia. – Paweł wstał. Wyraźnie chciał już pójść do domu. – Mówiłem jej, że powinna zawsze mieć przy sobie coś, co daje światło. Świeczkę, latarkę, choćby zapalki.

– Też to mówiłem i nawet sugerowałem kupienie latarki pod choinkę, ale jej rodzice uznali to za... niestosowny prezent.

Moi rodzice nie znali takiego pojęcia.

– Kupię sobie latarkę i baterie. Dziękuję. – Pocałowałam Pawła na pożegnanie w policzek przy dziadku. Nie był specjalnie zbulwersowany.

Chciałam, by poszedł, a jednocześnie desperacko pragnęłam, by ze mną został, najlepiej na zawsze. W miłości jest ogromnie dużo niekonsekwencji i desperacji, prawda?

Następnego dnia od razu, na pierwszej przerwie podeszłam do Justyny.

– Czemu wtedy miałaś przy sobie latarkę? – nie zadałam sobie trudu, żeby zrobić jakikolwiek wstęp.

– Co? – oderwała się od rozmowy z Kaśką. – Co ty mówisz?

Kaśka spojrzała na nią, a następnie uniosła palec wskazujący do ust. Skrzywiła się, wyjęła go i zajęła się szukaniem chusteczki higienicznej, by zatamować krew.

– Gdy szłyśmy na strych, miałaś przy sobie latarkę – cedziłam, patrząc na nią uważnie. Na Kaśkę nie zwracałam najmniejszej uwagi. – Na strychu jest światło, nie musiałaś jej zabierać. Chyba że wybierałaś się gdzieś, gdzie było ciemno. Dokąd wtedy poszłaś, Justyna?

Zacisnęła usta i patrzyła na mnie z nienawiścią. Kaśka z kolei otworzyła je i wlepiła zdumione spojrzenie w swoją najlepszą przyjaciółkę, która najwyraźniej nie wiedziała, co odpowiedzieć. Krew z rozdartej skórki kapnęła na podłogę.

Wiadomość o aresztowaniu Pikusia Don Kichota zelektryzowała naszą dzielnicę niczym wieść o wybuchu bomby atomowej. Osiedlowy głupek został



zatrzymany rano przez cały oddział policji i wyprowadzony w kajdankach w obecności wielu idących do pracy, szkół albo do kościoła na poranną mszę. Wył przy tym niemiłosiernie i rzucał się niczym dzikie zwierzę, prowadzone na rzeź. Kilku policjantów bezskutecznie usiłowało wepchnąć go do samochodu.

– Proszę go zostawić! – wydzierała się za tym groteskowym kordonem jego matka. – On sam pójdzie, tylko proszę go zostawić w spokoju, bo się boi krzyku!

Biedna Janina Węglarczyk, przerażona aresztowaniem syna, wrzeszczała na pół osiedla, co nie zmieniło ani na jotę postępowania policji, a spowodowało napływ żądnych sensacji sąsiadów. Chwilę wcześniej wyszłam do szkoły. Minęłam drzwi Pikusia, kiedy dosłyszałam krzyk i tupot oraz charakterystyczne wycie biedaka. Poczekalam, aż go wyprowadzą, a potem stałam i przyglądałam się wraz z całym zbiegowiskiem tej absurdalnej scenie. Wielki Pikuś przewyższał wzrostem prowadzących go funkcjonariuszy. Jego ogromny brzuch wystawał zza paska spodni. Miał na sobie jedynie koszulę i krótką, robioną na drutach kamizelkę, choć był luty i temperatura powietrza wynosiła minus dwa stopnie. Kamizelka wyglądała jakby należała do jego młodszego brata, żałośnie krótka, w czerwone, zielone i fioletowe esy-floresy. Białe i miękkie kapcie, puchate, z czarnymi „oczkami” i wesołym uśmiechem, budziły grozę.

– Uhhuuu – buczał Pikuś, oglądając się na matkę.

– Nic się nie bój synku, idź z panami – przekonywała go najpierw matka i zaraz znów zaczynała krzyczeć: – Zostawcie w spokoju mojego syna! On nic nie zrobił!

– Zostawcie go! Zostawcie go! – gdzieś z góry rozległ się pisk.

Uniosłam głowę. Z okna wystawała Mimoza i machała rękoma. Wiatr rozwiewał jej siwe loki.

– Nic nie zrobił! Nic nie zrobił!

Policjanci ponownie zaczęli wpychać Pikusia do samochodu. Z trudem to znosiłam – wielki i gruby Pankracy był także silny jak tur. O ile jeszcze kilku dorosłych chłopów dało radę zawlec go do auta, o tyle zgięcie go wpół i zmuszenie, by schylił kark, okazało się zadaniem nie do wykonania. Wyglądało na to, że bez przemocy się nie obejdzie.

– Niech pan wsiądzie do środka – spróbował jeden z konwojentów. – Najlepiej po dobroci.

Policjanci nie wyglądali na dobrych, a Pikuś zrozumiał z tej gadki tylko tyle, że jeśli będzie dostatecznie długo wykazywał opór, być może wróci do domu i znów zajmie stanowisko obserwacyjne za firanką. Rozprostował się niczym King Kong i znów zawył.

– Wsiadaj! – krzyknął ten sam policjant, który najwyraźniej postanowił odgrywać złego i dobrego jednocześnie.

– Nie! Nie! – piszczala Mimoza, przechylając się do przodu coraz bardziej.

– Niech go pan zostawi, on sam wsiądzie! – wtórowała jej pani Janina, ale zaraz potem krzyknęła: – Nie zabierajcie go!

– Ty draniu! Ty draniu! – sopran Mimozy miał w sobie coś strasznego i śmiesznego jednocześnie. Gdyby nie poważna sytuacja, całe to widowisko warte byłoby opisanie w gazecie albo co najmniej zrelacjonowania w szkole.

Mimoza wisiała za oknem wychylona do pasa. Za chwilę ciężar jej ciała spowoduje, że wypadnie i zabije się, podobnie jak kiedyś jej mąż. Komu z gapiących pomiesza się wtedy w głowie? Tłum niczym na meczu ping ponga kierował wzrok od Mimozy do Pikusia. Nie mogłam już patrzeć na tę przykrą i poniżającą scenę.

– Pani Mario! – krzyknęłam z dołu. – Niech pani się nie wychyla, bo pani wypadnie! Tylko tego teraz trzeba! Nie pomaga pani w ten sposób!

Uzyskałam tylko tyle, że teraz wszyscy, łącznie z policją gapili się na trzecie piętro. Janina Węglarczyk zadarła głowę, ale po chwili powróciła do uspokajania Pikusia, na przemian z urąganiem i grożeniem policjantom. Spojrzałam na zegarek – powinnam natychmiast iść do szkoły! Jeśli teraz nie ruszę, ba, nie przyspieszę kroku, nie dotrę na czas na polski, a spóźnienie się mogło mieć tragiczne konsekwencje. Pakuła nie uznawała nawet klęsk żywiołowych ani złamanej nogi jako usprawiedliwienia dla spóźniającej się osoby. Coś trzymało mnie jednak przy klatce schodowej i nie pozwalało odejść. Nie była to ciekawość, naprawdę nie. Raczej poczucie, że powinnam coś zrobić, sprzeciwić się temu, co się dzieje, zanim będzie za późno.

Maria Mizońska wisiała w oknie, powtarzając „nie, nie”, Janina stała między Pikusiem a otwartymi drzwiami radiowozu. Pikuś szarpał się, tłum gapiów powiększał i policjanci postanowili w końcu rozprawić się z tymi stojącymi najbliżej.

– Proszę się rozejść! – zakomenderował ten sam policjant. Najwyraźniej tylko on jeden z nich wszystkich potrafił mówić.

– Może wyjaśnią nam, panowie, czemu mamy się rozejść? – spytał Nosiciel.

Aż podskoczyłam. Zapomniałam o ich istnieniu. Nosiciel wyjątkowo w rękach dzierżył reklamówkę z mlekiem, chlebem i masłem, a nie córkę. Pewnie odprowadził ją już do przedszkola. Zresztą to nie jedyna przyczyna, dla której tak go nazwałam. Kaśka w największej tajemnicy powiedziała mi kiedyś, co mówiła o nim jej mama: że jest nosicielem wirusa HIV. Nie była do końca tego pewna, właściwie słyszała tylko o nosicielstwie, a resztę dopowiedziała już sobie sama. Nie wiedziałam, czy w to wierzyć, Zenon-Nosiciel wyglądał całkiem zwyczajnie, nie przypominał jedynego znanego mi zmarłego na AIDS Freddiego Mercury’ego. Na wszelki wypadek, kiedy mijałam go na schodach, nabierałam powietrza i zatrzymywałam je w płucach, aby nie oddychać tym samym, co on. Przecież mógł wypuszczać je z własnej tchawicy. Starłam się także trzymać po przeciwnej

stronie schodów. Teraz zachowywał się niczym bojownik o większą sprawę. Postawił na ziemi siatkę z zakupami i zbliżył się pewnym krokiem do policjantów. To dodało i mnie odwagi. Już raz pozwoliłam, by sprawy wymknęły się spod kontroli i od tamtej pory odczuwałam tragiczne konsekwencje. Nie zamierzałam dłużej być bierna.

– Co się tu dzieje? – spytał.

– Właśnie – odezwałam się odważnie i postąpiłam krok naprzód.

Policjant chyba tracił cierpliwość. Tak zadane pytanie nie tylko niczego nie wyjaśniało, ale także sprawiało, że napięcie i trudności wokół aresztowania biedaka zamiast maleć – rosły.

– Proszę nie utrudniać – mruknął w końcu, jakby uszło z niego całe powietrze, i korzystając z chwilowego rozluźnienia Pikusia, zgiął mu głowę i wepchnął częściowo do samochodu. Teraz pozostawało im jedynie wcisnąć tam jego nogi, zatrzaskać drzwi i odjechać.

Pani Janina zaczęła głośno płakać, a Mimoza wrzeszczała z okna.

– Proszę pozwolić matce jechać z wami! – krzyczał Nosiciel. – To absolutna zbrodnia traktować tak chore dziecko!

– Chory! Chory! – pisnęła Maria.

Na szczęście cofnęła się nieco do wnętrza mieszkania. Pikuś nie dawał za wygraną i wciąż próbował wyjść z samochodu. Ja biłam się z własnymi myślami, aż wreszcie podjęłam decyzję. Miałam siedemnaście lat, chodziłam do liceum, byłam zwykłą, przezroczystą nastolatką, ekscytującą się tym, co przyniesie nadchodzący nowy wiek, a moje jedyne dziwactwo polegało na nadawaniu sąsiadom i znajomym przezwisk. Podeszłam bliżej, wyciągnęłam rękę do przodu i powiedziałam:

– Pikusiu, nie bój się. – Patrzyłam przy tym prosto w jego pocziwe, niewiele rozumiejące oczy.

Pikuś znieruchomiał. Janina na chwilę opuściła ręce, przestała szarpać policjantów i krzyczeć, tylko cicho płakała.

– Uhhuuu, uhhuuu – mruknął żałośnie chłopiec.

Ośmielona, nie zwracając uwagi na funkcjonariuszy, a nawet na płaczącą matkę, pochyliłam się w jego stronę. Ty mi pomogłeś przebrnąć przez ciemność, więc i ja ci pomogę, postanowiłam.

– Ci panowie muszą cię zawieźć na komisariat – mówiłam tylko do niego. – Mama zaraz przyjedzie i wyjaśni, o co chodzi. To na pewno jakaś pomyłka. – Potem zwróciłam się do policjanta łypiącego na mnie surowym okiem. Pozwalał mi jednak na tę przemowę. – Czy na pewno panowie muszą go zabierać? On nie mówi i nie odpowie na żadne pytanie. A na dodatek się boi.

Byłam zdumiona własną śmiałością, oni najwyraźniej też. Żaden z nich nie odpowiedział na moje pytanie. Nie miałam pojęcia, czemu aresztowali Pikusia, ale

wiedziała, że na pewno nic złego nie zrobił. Nie umiałby nikogo skrzywdzić. Nie Pikuś, który znosił do domu wszystkie koty z piwnicy i regularnie wybijał okienko, by zimą mogły wejść i się schronić. Nie wszyscy go za to lubili. Na przykład Nosiciele kilkakrotnie złapali go na niecnym procederze ratowania kotów i chcieli donieść na policję. Zaraz, zaraz... Pewnie chodziło o coś takiego. Może Pikuś zniszczył coś więcej niż piwniczne okno, bo zobaczył uwięzionego kociaka albo bezdomnego psa w potrzebie. Może nawet to sami Nosiciele na niego donieśli, a teraz Zenon stoi tutaj i udaje sympatię.

Policjanci wciąż stali, Janina płakała cicho, Pikuś mruczał, a tłum gromadził się wokoło.

– No, słuchamy. – Sąsiad najwyraźniej nie umiał oddać mi pola. – Chcielibyśmy usłyszeć, czemu wywlekacie tego biedaka prawie gołego z domu i zakuwacie w kajdanki?

– Proszę pozwolić mi pojechać z wami, błagam panów. – Janina stanęła koło mnie.

Pikuś tymczasem powtarzał swoje „uhhuu” cicho i spokojnie i spoglądał na mnie z wdzięcznością. Policjant po nieskończonej dłużej sekundach milczenia westchnął głęboko.

– Wsiadaj – rzucił w moją stronę.

– Ja? – zdumiałam się. – Ja muszę do szkoły...

– Uhhhuuuu. – Pikuś złapał moją rękę i zacisnął mocno, a potem zaczął wciągać do samochodu.

Na odchodnym usłyszałam jeszcze: *Kiedy żegnam cię, umieram sam.* Złość zaślepiła mi wzrok. Co przygnało tu Świętszego Pawła? I dlaczego przyszedł? A może jednak inni mieli rację i Świętszy zwiastował nieszczęście. Tylko komu tym razem przyszedł bić w dzwon? Pikusiowi, Mimosie? A może mnie?

*Jak mam ratować tego nieszczęśnika? Jest tylko jedno wyjście. Pójdę i opowiem, co wiem. Pokażę im pomieszczenie, gdzie ją trzymał. Wtedy przyjdą po niego, a temu biedakowi pozwolą wrócić do domu. Zasłużył, żeby wywlekli go z domu tak, jak tego biednego chłopca, i zamknęli dla jego dobra i dobra tych dziewcząt, które mógłby skrzywdzić. To wstrząśnie naszym miastem, wszystkimi moimi i jego bliskimi. Czy zdołam to przetrzymać? W dzieciństwie nawet dostałam gorączki, kiedy umarł mój chomik. Tyle czasu prosiłam rodziców o to, żeby pozwolili mi opiekować się jakimś zwierzęciem. Znosiłam do domu żaby, koniki polne, raz nawet mysz, ale to na szczęście uciekła, zanim matka z ojcem wrócili do domu, a kot czmychnął po tym, jak go wykapałam i nakarmiłam. Dzięki zwierzęta nigdy nie chciały zostać na stałe. Ogrzewały się przy moim boku, a potem szły w świat, pozostawiając mnie samotną i nieszczęśliwą. Matka wyrzuciła żabę. Znalazła też koniki polne i ze złością je rozdeptała. Podnosiłam krzyk, a ona wyrzucała z pokoju. „Nie patrz!”, mówiła i robiła, co musiała. A ja nie umiałam*

*nie patrzeć. Nie mogłam odwrócić wzroku. Teraz też taka jestem. Patrzę na to, co się dzieje, i nie robię nic, a potem cierpienie mnie pokonuje.*

*Ojciec nie zgadzał się na psa. W dzieciństwie jeden dotkliwie go pokąsał i cała rodzina przeżyła gehennę, czekając na pierwsze objawy wścieklizny. W każdym widział tamtego wilczura, który go zaatakował. Prosiłam. Na nic. Musisz zrozumieć, mówiła matka, a potem zaciskała usta i odwracała się do mnie plecami. Zawsze tak robiła. Odwracała się od moich potrzeb, mojej miłości. Zgodziła się jednak na chomika. Pojechałyśmy do sklepu, długo wybierałam. Potem ułożyłam go troskliwie w akwarium podarowanym przez sąsiadkę. Żył dwa lata. Podobno to normalne, podobno te zwierzęta takie są. Nie chciałam mieć dzieci. Gdyby umarło przede mną, oszalałabym z rozpacz. Robiłam wszystko, by nie przyszło na świat. Potem chciałam tylko, żeby nie przysporzyło mi cierpienia.*

## **ROZDZIAŁ VI**

Tak bardzo za nią tęskniłem. Kto mnie zdradził? Kto ją uwolnił? To mogła być tylko tamta. Miałem ją na oku, obserwowałem wnikliwie, przekonany że prędzej czy później się zdradzi. Skąd wiedziała, gdzie szukać mojej Galatei? Co jeszcze wiedziała? Jestem jak zwierzę, któremu zabrano upolowane mięso i zagnano do klatki. Rozszalały z głodu, wciąż czuję krew. Śmiertelnie niebezpieczny, nie mogę się zatrzymać. Moje uczucia biegną w labiryncie, nie mogę znaleźć wyjścia. Miałem ją na własność, a teraz utraciłem, i myśl o tym jest nieznośna. Nie sądziłem, bym zdołał zrobić to drugi raz. To nie było łatwe, chociaż śledziłem ją od dawna. Dla przyjemności. Dla chwili, gdy będę szedł za nią, patrząc na to, jak lekko się porusza. Dla marzenia, że odwraca się i omiata mnie spojrzeniem. Dla jej uśmiechu. Nie jestem przecież straszny, nie w ten sposób. Te chwile nigdy nie nadeszły. Zamiast tego uderzyłem, złapałem ją, kiedy upadała, a potem ukryłem.

Muszę się pilnować. Depczą mi po piętach. Te oczy obserwujące mnie uważnie gdziekolwiek się pojawię. Oskarżycielskie spojrzenie. Ona wie, kim jestem. Była wtedy na miejscu. Widziała. Kto jeszcze wie? Co trzyma w zanadrzu, skoro nie bała się powiedzieć mi o tym? Wybrałem już jej następczynię. Choć tym razem lepiej zabezpieczyłem kryjówkę, nie mogę ryzykować. Demony kuszą. Nikt jej nie znajdzie, powtarzają. W końcu zmuszą mnie do tego, bym znów to zrobił. Tyle lat je powstrzymywałem. Teraz nie mogę ich opanować. Wiem jedno. Tym razem nie będę czekał, aż ktoś mi ją zabierze. Czy okaże się godna, aby zastąpić tamtą, bezpowrotnie utraconą? Nie wywołuje we mnie czułości ani pragnienia opiekowania się. Raczej chciałbym ją uciszyć. Jeszcze nie wiem, co zrobię. To zależy tylko od chwili i od podszeptów, których muszę słuchać.

Podobno jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana. No cóż, chyba was nie zdziwi, kiedy powiem, że zmiany, z jakimi się zmagalam, nie przebiegały do końca po mojej myśli. Tamten dzień w komisariacie przypominał zły sen. Wcale nie chodziło o wybite okno w piwnicy ani nic równie banalnego, jak początkowo sądziłam. Owszem, w grę wchodziła piwnica, ale ta, w której zamknięto Julię. Pikusia oskarżono o współudział w porwaniu i przetrzymywaniu dziewczyny. Policjanci bez końca zadawali pytania, a on nie odpowiadał. Sprowadzili lekarza, psychologa, pozwolili mnie i jego matce być przy nim przez cały czas. Zdołaliśmy go jedynie uspokoić. Sprawić, że siedział odrętwiały, zupełnie zagubiony i zrezygnowany, a nie rzucał się po celi, robiąc sobie krzywdę. Przecież żadne z nas nie wyciągnęłoby z niego zeznań.

– On nic nie wie – Janina powtarzała to niczym mantrę, a ja kiwałam głową, bo co miałam zrobić.

Początkowo Pikuś starał się współpracować i intonował swoje „uhhuu”, a oni patrzyli pytająco na matkę i na mnie, jakbyśmy umiały przetłumaczyć jego pomruki na ludzki język. Zresztą tylko ze mnie był jakiś pożytek, bo Janina, kiedy usłyszała, za co go zatrzymali, zemdląca, a docucona odmówiła wyjazdu do szpitala. Potem już tylko siedziała, kiwając się do przodu i do tyłu, i mruzczyła trochę jak jej syn. Od czasu do czasu budziła się i zaczynała płakać albo zapewniać, że Pankracy jest dobry, niewinny i nic nie wie na temat Julii i porwania. Ja nie zabierałam głosu. Moje zapewnienia nic by nie pomogły.

– To nie ma sensu – powiedziałam wreszcie koło czternastej.

Za chwilę kończyły się lekcje i powinnam wracać do domu. Czułam się, jakbym przewaliła tonę węgla. Wcześniej bez końca tłumaczyłam, jaki jest Pikuś. Mówiłam o tym, jak pomagał mi w walce z ciemnością na klatce schodowej, jak dobrze rozumiał innych. Tylko pogorszyłam sprawę, bo policjanci zaczęli myśleć, że on udaje niemotę. Opowiadałam o kotach, którym pomagał, wpuszczał do piwnicy, brał do domu i kupował jedzenie z własnej renty. Słowo „piwnica” nie wywoływało u nich jednak takiego efektu, jak oczekiwałam. Wręcz przeciwnie, zaczęli pytać, do jakiej piwnicy chodził i co na ten temat wiem. Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, gdzie znaleźli Julię, ale tego nie chcieli powiedzieć. Ja ze swojej strony ukryłam informację, że Pikusia nie było w domu tego południa, kiedy uprowadzono Julię. Co by im dała taka wiedza? Przecież mógł być gdziekolwiek, na przykład w ośrodku terapeutycznym, na spacerze czy w piwnicy, gdzie karmił koty.

– Czy widziałaś swojego sąsiada tego dnia? – spytał policjant znany mi już z przesłuchań w szkole. – Albo poprzedniego? Następnego?

– Nie wiem – powiedziałam z tak głębokim zdumieniem na twarzy, że musieli mi uwierzyć. – Nie pamiętam, czy go widziałam, czy nie... Nie pamiętam nawet, co sama wtedy robiłam.

– Zastanów się dobrze. – Znów to srogie spojrzenie. – To jest dla niego bardzo ważne. Musisz pamiętać ten dzień.

Psycholog i lekarz mieli chyba jakieś zastrzeżenia co do całego procesu przesłuchania i obecności tylu osób w komisariacie. Bez końca szeptali między sobą, aż wreszcie młody psycholog o życzliwym wyrazie twarzy odezwał się do policjanta:

– Przesłuchuje pan podejrzanego bez odpowiedniego wsparcia, a teraz zaczyna zadawać pytania nieletniej, która jest tu bez opieki osoby dorosłej. – Po czym dodał: – Tak tylko chciałem panu o tym przypomnieć.

Zawahałam się. Jeśli teraz powiem prawdę, nie pomogę Pikusiowi, a mogę zaszkodzić sobie i Kaśce oraz Justynie.

– Po szkole odrabiałam w domu lekcje – powiedziałam, ignorując psychologa. Niech wiedzą, że nie mam nic do ukrycia. – Wróciłam około

szesnastej i po drodze nie spotkałam chyba nikogo z sąsiadów... Może ktoś inny go widział. A co mówi jego mama?

Nie przyszłoby im do głowy wypytywać Świętszego Pawła ani Mimozy.

– To nie powinno cię interesować – mruknął policjant. – Możesz iść.

Psycholog z ulgą pokiwał głową.

– A Pankracy? – spytałam. – To też nie powinno mnie interesować? Muszę coś powiedzieć pani Janinie.

– Zostaje do wyjaśnienia – rzucił tylko oficer, a psycholog wstał, by mnie odprowadzić. Nagle bardzo chciał, żebym sobie poszła.

– Wypuście go – powiedziałam. – On wam niczego nie wyjaśni. Przecież nie mówi i prawie nic nie rozumie.

– Tak, moja droga. Powinnaś pójść do domu.

– Da mi pan jakąś kartkę? Muszę pokazać coś jutro w szkole. – W porę sobie przypomniałam.

Po pierwsze był wtorek, a we wtorki chodziłam do Julii i pomagałam jej uzupełnić lekcje. Paweł, który zawsze po mnie przychodził, tego właśnie dnia miał jakieś badania i mieliśmy spotkać się dopiero w szkole. Nikt zatem nie wiedział, co mnie zatrzymało. Dopiero teraz pomyślałam, ile komplikacji spowoduje moja nieobecność w szkole. Po drugie – odwieziono mnie spod bloku policyjnym samochodem, co widziało co najmniej dwadzieścia osób. Przecież ktoś musiał zadzwonić do rodziców albo przynajmniej powiedzieć dziadkowi, co się stało. Mimoza... Ona na pewno go zawiadomiła, a ten jak nic zadzwonił do ojca i mamy.

– Zawiadomiłem twoją szkołę, że jesteś na przesłuchaniu i nie pojawisz się tam dzisiaj – burknął.

– A rodzice? – spytałam lekko przerażona. – Czy oni tu przyszli? Po mnie?

Pokręcił przecząco głową i ze źle ukrytą ironią zapytał:

– Dla nich też chcesz kartkę?

Mogłabym wam powiedzieć, że nie wyglądał na zadowolonego, ale tak naprawdę nic nie potrafiłam odgadnąć z wyrazu jego twarzy. Za to z mojej dało się pewnie wyczytać jak z otwartej księgi, iż korzystając z błogosławieństw niepamięci Julii, przyczyniłam się do zamknięcia Pikusia w areszcie. Nie pozwolili mi już pożegnać się z nim, chociaż przecież mogłam go uspokoić, a przynajmniej spróbować. Najwyraźniej tamten oficer miał mnie dosyć i bał się psychologa, który z oburzeniem komentował moją obecność przy przesłuchaniu i zadawane mi pytania.

– Ten kompletny brak profesjonalizmu może nas drogo kosztować – usłyszałam jego głos, kiedy już wychodziłam na korytarz.

Pani Janina siedziała przy odrapanym stole nad papierowym kubkiem z nietkniętą herbatą. Wydawała się zupełnie nieobecna duchem.

– Pani Janko, podobno Pankracy zostaje, a my... powinniśmy pójść.



Siedziała i patrzyła w przestrzeń.

– Jak ja go tu zostawię? – Spojrzała na mnie nieprzytomnie. – On nigdy sam nie został. Ani za małości, ani teraz.

– Nie wiem – powiedziałam bezradnie.

Lekcje już dawno się skończyły. Zapewne Paweł w szlachetności swojej odprowadził Julię do domu. Może nawet z nią został i tłumaczył jej matematykę. Szlag by to trafił!

– A może z kimś porozmawiać? – Jej bezradność była straszna.

Z kim miałybyśmy rozmawiać? Rozmawialiśmy już prawie osiem godzin i niczego to nie zmieniało.

– Z jakimś kierownikiem?

Nigdy nie widziałam w czyichś oczach tak bezbrzeżnego smutku. Gdyby nieszczęście zabijało, Janina umarłaby natychmiast, a ja rozchorowałabym się bardzo ciężko.

– Nie wiem – powtórzyłam. – Raczej z adwokatem. Na filmach amerykańskich dzwoni się po adwokata i... on... załatwia sprawę.

Janina zmieniła się nagle na twarzy. W jej spojrzeniu pojawiła się nadzieja.

– Właśnie, adwokat go z tego wyciągnie. Tak... Tak! Moja droga, czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy? – Wstała, złapała mnie za rękę z siłą, o jakiej jej nie podejrzewałam, i pociągnęła w stronę domu.

– Czy pani zna kogoś takiego? – pytałam po drodze, starając się przypomnieć, czy gdzieś w pobliżu znajduje się kancelaria prawnicza.

– Znam, dziecko, ale ty już idź do domu. Idź, idź. – Zatrzymała się pod domem Justyny i popchnęła mnie w stronę mojego bloku. – Ja tu się z kimś spotkam. Dziękuję ci za pomoc, naprawdę jesteś nieoceniona.

Właśnie, przecież mama Justyny jest prawnikiem, że też sama na to nie wpadłam. Obróciłam się jeszcze i popatrzyłam chwilę na Janinę. Siedziałam z nią i Pikusiem pół dnia w komisariacie, trzymałam za rękę, broniłam własną pierś, a ona teraz pozbywa się mnie jak niepotrzebnej rzeczy. Co za niewdzięczność.

Następnego dnia prawie nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Spodziewałam się szeptów za moimi plecami, pytań, co robiłam na policji. Może nie wiedzieli, a może nikogo to nie obchodziło. Ja raczej stawiam na to drugie. Na szczęście Paweł spytał o szczegóły.

– Chyba Julia się nie dowiedziała? – wyraziłam nadzieję. – Chociaż może gdyby wiedziała, to...

– Absolutnie nie – powiedział stanowczo, aż mnie odrzuciło. – Nie można jej denerwować.

– Ale gdyby powiedziała, że to nie Pankracy ją więził, wtedy...

– Straciła pamięć – rzucił sucho. – Nie słyszałaś?

– Słyszałam – powiedziałam powoli, bezskutecznie próbując spojrzeć mu

w oczy. – Ale przecież nie Pankracy ją więził, to chyba pamięta...

– Jeśli ktoś stracił pamięć, to stracił – w jego głosie zabrzmiała ostra nuta. – Nie można stracić pamięci w jednej sprawie, a w innej nie.

Nie chciałam się kłócić, ale według mnie Paweł nie miał racji. Widziałam na filmach. Ludzie tracili pamięć, ale w ich głowach coś tam zostawało, pojedyncze wspomnienia, okruchy wrażeń. Pytałam właśnie o coś takiego.

– Nikomu nie wolno z nią o tym rozmawiać, rozumiesz?

Czemu był taki zdenerwowany? Co się stało wczoraj, kiedy odprowadził ją do domu?

– Nie zamierzam z nią rozmawiać – uspokoiłam go, chociaż sama czułam się z tym bardzo źle. – Nie denerwuj się na mnie. Żebyś wiedział, co ja wczoraj przesłałam...

Nie podjął tematu, a ja posmutniałam jeszcze bardziej. Wystarczyłoby jedno słowo Julii, a Pikusia by zwolniono. Zerkalam na nią z ukosa. Stała z Renatą i Edytą i rozmawiały o czymś, gestykulując. Wtedy nagle przyszło mi do głowy coś innego, o czym ku mojemu zdumieniu wcześniej nie pomyślałam. Może to Julia wskazała Pikusia jako winnego? Dlaczego nagle ktoś miałby go powiązać z tamtą piwnicą tyle dni po porwaniu? Musiała coś powiedzieć, coś, co skłoniło policję do uwięzienia Pankracego. To całkiem logiczne. A ja uważałam, że ona może go uratować...

– Pewnie wczoraj odprowadziłeś ją do domu? – spytałam na pozór obojętnie. Pokiwał głową z roztargnieniem.

– Uznałem to za oczywiste w tych okolicznościach. Jak się trzymasz?

Zmienił ton i wreszcie spytał o moje przeżycia. To miłe. Mojego nieszczęścia było w całej sprawie najmniej, a jednak on je dostrzegł. Tego właśnie potrzebowałam. Natychmiast poprawił mi się nastrój. Wzięłam go za rękę i pociągnęłam w głąb korytarza.

– Bardzo mi żal pani Janiny – zaczęłam. – Ona wiele przeszła. Sama go wychowywała. Kiedy Pankracy urodził się... taki, jego ojciec szybko odszedł i założył nową rodzinę. Pikuś jest taki łagodny, mówię ci. Nie mógłby nigdy...

Paweł popatrzył na mnie czujnie.

– A gdzie jest teraz jego ojciec?

Pokręciłam przecząco głową. Czułam, że za chwilę się rozplaczę. Cóż za nedorzeczne pytanie.

– A skąd ja mogę o tym wiedzieć?

– Może mógłby pomóc...

W czym miałby pomóc? Z tego, co wiedziałam, przeniósł się naprawdę gdzieś daleko, na drugi koniec kraju. Przecież nie pojawiłby się nagle w naszym mieście z zamiarem porwania dziewczynek.

– I co to ma do rzeczy? – spytałam, a potem dodałam zdławionym głosem,

z najwyższym wysiłkiem próbując nadać mu obojętny ton. – Co robiliście z Julią? Matematykę? Biologię?

Podeszła do nas cicho. Zobaczyłam jedynie ostrzegawcze spojrzenie Pawła, ale i tak za późno – słyszała, co powiedziałam.

– Najpierw matematykę, potem biologię. Jutro zaliczam historię, więc także...

– Przepraszam – rzuciłam ze skruchą. – Nie chciałam, by to zabrzmiało...

– Nie zabrzmiało – uśmiechnęła się. – Chronicie mnie wszyscy, wiem.

Dziękuję wam za to. Czujesz się już lepiej? Myślałam, że nie będzie cię kilka dni, skoro to grypa.

Ciekawe, jak długo będą ją okłamywać we wszystkich kwestiach.

– Tak, już czuję się całkiem dobrze.

Spojrzałam na Pawła, ale on patrzył na nią, nie na mnie. Mogła mi to powiedzieć przed lekcją, przecież siedzimy ze sobą.

– Kasi też nie ma. I Justyny. Podobno są chore. – Popatrzyła na pustą ławkę.

– Dziwna ta grypa, przecież mamy już marzec...

Więcej nie chodziłam do komisariatu. Co miałabym tam robić? Sprawa aresztowania natychmiast rozniosła się po osiedlu lotem błyskawicy. Ludzie podzielili się na dwa obozy. Jedni widzieli w Pikusiu kozła ofiarnego, według innych za jego zatrzymaniem kryło się coś bardzo poważnego. Zwolennicy pierwszej tezy rekrutowali się przede wszystkim z naszych sąsiadów, którzy dobrze go znali. Nosiciele zorganizowali nawet zbiórkę podpisów na rzecz jego uwolnienia, jakby chodziło o wybudowanie placu zabaw dla dzieci. Chodzili po mieszkaniach i prosili o nie, jakby Pikuś albo pani Janina byli ich najlepszymi przyjaciółmi. Nosicielka zaniósła te podpisy do komisariatu, ale na tym się skończyło. Śmieszna rodzina. Zdumiewała mnie ich naiwność. Przecież tak poważnej sprawy nie zdołała załatwić nawet matka Justyny. Pikuś miał pozostać w areszcie do czasu procesu, zarzucano mu pomoc w uprowadzeniu i przetrzymywaniu Julii. Moi rodzice szeptali o tym wieczorem, a dziadek, dobry znajomy pani Janiny, aż kaszał z oburzenia. Co więcej, nikt nie mógł odwiedzać Pankracego. Czego się bali? Że wyjdzie i ukryje dowody? Że spotka się z Julią i nakłoni ją do zmiany zeznań? Ciekawe, co z nim zrobią podczas procesu? Będą trzymać go jak psa w klatce i przemawiać w sali sądowej, nie patrząc mu w oczy? Biedak musiał przechodzić piekło, a jego matka odchodzić od zmysłów. Nie odwiedzałam jej, nie mogłam. Minęłam ją jedynie raz na schodach, a ona złapała mnie za rękę i wyszeptwała podziękowania. Rzeczywiście, pomogłam wtedy, ale głównie w tym, żeby Pankracego zawieźć na policję i zamknąć w celi. Miałam tego świadomość i te podziękowania ogromnie mnie zasmuciły.

Ta sprawa odbijała się także na moim związku z Pawłem. Julia wydawała się niczego nieświadoma. Ona w ogóle zachowywała się, jakby żyła w szklanym

kokonie, chroniącym przed wszelkimi przykrościami. Nie wiedziałam, czy przyczyniła się do zatrzymania Pankracego, czy w ogóle jeszcze pamiętała o jego istnieniu. Gdybym mogła spytać, co powiedziała policjantom, byłabym bliżej prawdy. Paweł najwyraźniej czuł, że chciałabym zadać jej kilka pytań, bo strzegł jej przede mną, pilnował, bym tego nie zrobiła. I to było najgorsze. Od aresztowania Pikusia znacznie rzadziej się spotykaliśmy, poza tym przestał być już taki czuły, jakby coś między nami pękło. Tak bardzo starałam się być miłą, przyjacielską, dobrą, cudowną... Mówiłam o Julii z podziwem: „taka wspaniała”, „dźwiga straszny ciężar, a mimo to jest pełna wiary w siebie”. Zrezygnowałam z muzyki klasycznej, teraz katowałam go Beatlesami, bo kiedyś mi powiedział, że ich lubi, a on wciąż sprawiał wrażenie, jakby nie był zadowolony. Wychodziłam z siebie, by zakochał się we mnie na nowo, a im bardziej mi na nim zależało, tym bardziej słabł zapal z jego strony. Namawiałam go na kurs tańca w naszej szkole, bez przerwy o tym mówiłam.

– Zrelaksujemy się, zobaczysz. Poza tym to podobno świetne dla sportowców. Koordynacja mięśni i tego, no, szkieletu. Takie ćwiczenie na równowagę i... w ogóle. Bardzo dobre zwłaszcza dla koszykarzy. Czytałam gdzieś o tym. Najnowsze badania naukowe to potwierdzają. No proszę cię...

Wykręcał się tak długo, aż w końcu odpuściłam. Czym miałam go zatrzymać? Pozostało mi tylko udawanie kogoś podobnego do Julii, co było straszliwie żałosne. Nie powinnam tak się zachowywać, zapewniam was, że o tym wiedziałam. Paweł wymykał mi się z rąk i nic nie mogłam na to poradzić.

W końcu odpuściłam i przestałam tak angażować się w sprawę Pikusia. Nic się nie działo – on wciąż siedział w areszcie, a Julia wracała do siebie, nadrobiła zaległości i była już na bieżąco. Nadal ją odwiedzaliśmy i uczyliśmy się razem, ja bardziej z przyzwyczajenia, a Paweł chyba z silnego poczucia obowiązku, bo z wielką pasją podchodził do wspólnej nauki z Julią. Można powiedzieć, że zesłam nieco na ziemię i postanowiłam zająć się własnym żałosnym życiem i ludźmi dokoła mnie. Nie tylko między mną i Pawłem było pustawo. Stosunki z Renatą wyraźnie się pogorszyły. Od czasu, kiedy przestałam z nią siedzieć, nie odzywała się, zachowywała dystans wobec mnie. Dogadywała się za to z Edytą, spędzały ze sobą przerwy i wyraźnie trzymały wspólny front. Musiała być zadowolona ze zmiany towarzystwa w ławce, my dwie nigdy nie tworzyłyśmy aż tak zgranego zespołu. O co zatem chodziło? O Julię? Próbowałam kilka razy porozmawiać z Renatą, także na imprezie sylwestrowej, w końcu trafiła na nią dzięki mnie, ale zamieniłyśmy jedynie kilka zdań i złożyłyśmy sobie zdawkowe życzenia. Poza tym nie padło między nami ani jedno cieplejsze słowo. No cóż, nie można mieć wszystkiego. Kaśka i Justyna także mnie ignorowały, niemalże ostentacyjnie. Zwłaszcza kiedy rozmawiałam akurat z Julią, odwracały się i odchodziły na bok, po czym szeptały sobie do ucha, jakbyśmy wciąż były

w podstawówce. Ciągłe myślałam, jak zatrzymać Pawła. Niemal histerycznie starałam się okazywać mu moje uczucia, choć czułam, że jest nimi zmęczony. Miałam w zanadru jeszcze jeden pomysł, ale wołałam zostawić go na koniec. Chciałam mu się oddać, by ode mnie nie odszedł. Na wszelki wypadek nikomu o tym nie powiedziałam. Zresztą komu miałabym powiedzieć? To żałosne, wiem, ale przecież mogło znów rozpaść płomień między nami. Potępiacie mnie?

Przynajmniej w domu zrobiło się nieco weselej. Ojciec znalazł pracę w prywatnym wydawnictwie, tym samym, o którym mówiła mama, i zajmował się teraz czytaniem książek zupełnie nieznanymi pisarzy. Całkiem ciekawe. Jako przyszłą pisarkę żywo mnie to interesowało, więc zupełnie dobrowolnie uczestniczyłam w wieczornych dyskusjach toczących się wokół tego tematu. Atmosfera nieco zelżała, bywało nawet całkiem miło. Mama żartowała, a tata rozmawiał z dziadkiem o literaturze. Kiedyś takie rozmowy stanęły i moim udziałem. Tymczasem nie powiem ojcu za nic, że piszę książkę. Nie powiem nawet mamie, przynajmniej dopóki nie dokończę. Bo widzicie, napisałam prawdę o Julii. Opisałam wszystko, wieczór na strychu, porwanie, policję w szkole, wreszcie odnalezienie. Teraz przelewałam na papier to, co my wszyscy przeżywalismy w związku z aresztowaniem Pikusia i zmianą statusu Julii w klasie. To, muszę przyznać, bolało mnie tak bardzo, że nie umiałam napisać o tym bez złośliwości i jadu wylewającego się z każdym słowem. Staralam się nad tym zapanować, ale zwyczajnie nie potrafiłam. Dotknęło mnie to znacznie bardziej, niż sądziłam. I nie chodziło tylko o Pawła. Oczywiście, to, co przeszła Julia, nadawało jej rys bohaterski, musiałam się z tym zgodzić. Podobnie jak z faworyzowaniem jej przez nauczycieli. Pozostali wciąż nie mogli liczyć na taryfę ulgową, podczas gdy ją traktowano niczym jajko z delikatną skorupką, które może się stłuc pod wpływem najłżejszego stresu. Nauczycielka od historii i Miss Saigon od angielskiego (nazwałam ją tak, bo miała zawsze bałagan na biurku) zawsze odnosiły się do nas wszystkich życzliwie. Nie dziwiłam się zatem, kiedy podzieliły zaległy materiał na części i spytały, czy woli zaliczać pisemnie, czy też odpowiadać ustnie. To było jeszcze w porządku. Grubanna postanowiła załatwić sprawę inaczej. Kazała Julii wybrać sobie JEDEN temat i „porządnie się go nauczyć”, a potem pytała ją na przerwie, zadając tak proste pytania, że wprost nie mogłam uwierzyć. Zachęcała ją przy tym:

– Spokojniutko, nie denerwuj się...

Gdybym ja nie wiedziała tak podstawowych rzeczy na temat układu krwionośnego, pewnie usłyszałabym swoje, zanim nauczycielka wpisałaby tłustą niczym ona sama jedynekę przy moim nazwisku. Kiedy Julia odpowiadała, myśląc tętnice z żyłami i małe krążenie z dużym, Grubanna tylko uśmiechała się łagodnie, powtarzając swoje „spokojniutko”, i rzucała niespełnionymi prorocत्वami typu: „zaraz ci się przypomni”, a po zakończeniu tej męki postawiła jej czwórkę.

Czwórkę... To mi się nie mieściło w głowie. Można być życzliwym, rozumiejącym, tolerancyjnym, ale takie coś? Potem podeszła do mnie i powiedziała:

– Popracuj nad tym jeszcze.

Zatrzęsło mną z oburzenia. Nauczyłam Julię układu krwionośnego, powtarzałyśmy to wszystko godzinami. Nie moja wina, że nie mogła zapamiętać. Sama wybrała ten temat. Czy teraz ja miałam być odpowiedzialna za jej powrót do zdrowia, bezpieczeństwo, a nawet stopnie? Czy nie za wiele ode mnie wymagano?

Pakuła próbowała zachować dawną surowość i sporządziła listę tematów oraz lektur, które Julia powinna przyswoić. Były tam głównie wiersze Przerwy-Tetmajera, Staffa i Kasprowicza, trochę Słowackiego i kilka sonetów Mickiewicza, czyli sama przyjemność. *Dziady cz. III* dopiero zaczęliśmy, więc szczęśliwie nie przypadło mi w udziale tłumaczenie, co poeta miał na myśli. Mogłoby to się skończyć zabawą w głuchy polonistyczny telefon, ja-Pakuła, Pakuła-ja, ja-Julia. Kto wie, ile prawdy by z tego wszystkiego zostało na końcu, czyli w jej głowie. Mickiewicz przewróciłby się w grobie, a Pakuła pewnie by tam trafiła.

– Przeczytajcie te wiersze, dziewczynki – powiedziała polonistka. – Potem, Marzenko, spróbuj przeczytać koleżance notatki z lekcji. Porównajcie także wiadomości z podręcznika.

Nigdy wcześniej nie zwróciła się do mnie po imieniu. Nigdy też nie dała do zrozumienia, że na tyle skutecznie sama poradziłabym sobie z porównaniami i przenośniami wierszy Młodej Polski, by je wytłumaczyć innej osobie.

– Oczywiście – przytaknęłam gorliwie.

Ostatnio postawiła mi dwie czwórki z plusem, podczas kiedy reszta klasy wyraźnie pogubiła się w oksymoronach, dziwach, cudach i wiankach. Nawet Justyna, ku zaskoczeniu wszystkich, została źle oceniona na sprawdzianie i dostała dwójkę z odpowiedzi ustnej. Cóż, Młoda Polska nie jest taka prosta, jak się wszystkim wydaje.

– Jak już to wszystko zrobicie, moja droga – kontynuowała tym samym łagodnym tonem, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam – przyjdź do mnie, proszę, i umówimy się na podsumowanie wiadomości. Potem spróbujesz napisać pracę.

To nie działało się naprawdę. Miała spróbować napisać pracę? Spróbować? Kto z nas doświadczył wcześniej podobnego traktowania? Razem z Julią miała poprawiać Justyna. Chciałam wykorzystać sytuację na ocieplenie stosunków między nami, więc podeszłam do niej po lekcjach.

– Będziemy z Julią powtarzać Młodą Polskę. Może chciałabyś uczyć się z nami?

– Dlaczego? – najeżyła się.

– Bo razem łatwiej i przyjemniej się uczyć – odpowiedziałam przygotowana

na to pytanie.

Zawahała się, a potem odparła niepewnie:

– Spytaam rodziców, czy możecie do nas przyjść.

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie, nie... To ty musisz pójść do Julii. Jej nie wolno nikogo odwiedzać, zanim nie zgodzi się na to psycholog.

– Ach tak – mruknęła. – Rozumiem, że ty jej nie zaszkodzisz swoją osobą, a ja mogłabym...

– Nie wiem, co to ma wspólnego z taką czy inną osobą. – Popatrzyłam Justynie w oczy. – Chodzi o umowę. Po lekcjach idziemy do niej i tam się uczymy. Nie u mnie, nie u... nikogo innego. Tylko u niej.

– A uzyskałaś zgodę na zaproszenie mnie do tego dream teamu?

Nie uzyskałam i nawet o tym nie pomyślałam. Zawahałam się.

– A jeśli ona sobie wtedy przypomni? – zapytała nie tyle ze strachem, co z triumfem w głosie.

Pracowałam z Julią kilka tygodni i bardzo się pilnowałam, by nie zrobić najmniejszej aluzji na temat dnia przed jej porwaniem i potem samego uwięzienia. Przez ten czas nigdy nie napomknęła słowem na temat tego, co się stało na strychu. A wierzcie mi, na pewno bym to wychwyciła. Julia nie była nawet w połowie tak bystra jak ja.

– Nic nie wskazuje na to, żeby sobie przypomniwała. Poza tym ogląda cię codziennie w szkole. Gdybyś miała być czynnikiem spustowym, to już by...

– Czym? Jakim czynnikiem? – nie kryła oburzenia.

Najwyraźniej nie zrozumiała tego pojęcia i obraziła się na wszelki wypadek, co czyniło ją znacznie głupszą, niż myślałam. Zupełnie nieoczekiwanie mnie to rozśmieszyło.

– Chodzi mi o to, że na twój widok niczego sobie nie przypomniwała. Są zatem marne szanse na...

– Spytaam rodziców – przerwała mi, a potem dodała zjadliwym tonem: – Czy tobie naprawdę zależy na wspólnej nauce, czy też chciałabyś wiedzieć, co słyhać u twojego uroczego sąsiada, zamkniętego w areszcie?

Pani Janina zatrudniła mamę Justyny jako adwokatkę Pikusia. Ta chyba kiepsko sobie radziła, bo ciągle przebywał w areszcie. Nikt z sąsiadów nie miał pojęcia czemu i czy są jakieś szanse na obalenie zarzutów, zanim dojdzie do procesu. Pytałam o to pani Janiny, ale nawet przyciśnięta do muru, wyznała jedynie, że prawniczka zabroniła jej cokolwiek komukolwiek mówić, bo inaczej „wszystko na nic”. Upewniłam się u Mimozy. Nic nie wiedziała, ale bardzo się bała, skoro dorysowała motylom dodatkowe zielone nogi i czułki, które wyglądały jak rogi.

– Nie mogę wypytywać cię o pracę twojej mamy – powiedziałam

pojednawczo – i jak widzisz, nawet nie próbuję. Poza tym Julia nic nie wie o aresztowaniu Pankracego, a przy niej nie wolno przecież zrobić na ten temat najmniejszej aluzji.

– Naprawdę? – zdumiała się Justyna i zanim zdążyła się zastanowić, wypaliła: – Chociaż swoimi zeznaniami sama wpakowała go do aresztu?

Potem złapała się za usta i uciekła, a ja nie mogłam ruszyć się ze zdumienia. Moje podejrzenia potwierdziły się. Zapewne jakimś nieostrożnym słowem skierowała podejrzenia właśnie na niego. Czy to, co właśnie usłyszałam, znaczyło, że Julia wskazała Pikusia jako sprawcę? Osobę powiązaną z porwaniem?

– Co się jej stało? – drgnęłam, kiedy usłyszałam jej głos za plecami.

– Nic – westchnęłam. – Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy razem przygotować się do odpowiedzi z polskiego...

– Nie, proszę – powiedziała szybko, a ja natychmiast się wycofałam.

– Oczywiście. Przepraszam cię.

Stała sztywno i patrzyła na mnie ze strachem. Bordowa chustka w granatowe kwiaty, zamotana na jej szyi, podkreślała bladość twarzy i ładny wykrój ust. Znow pomyślałam o tym, jak bardzo Julia jest piękna i delikatna.

– Ale chyba nie pytałaś jej...

– Nie, nie, skąd!

Jeśli Justyna się zgodzi, będę musiała jakoś to odkręcić.

– Bo ja bym nie chciała – uśmiechnęła się przepraszająco. – Jest w niej coś takiego... Ona chyba mnie nie lubi. Myślałam o tym nawet wtedy, kiedy... wiesz... Nie wiem, czemu przychodziło mi to do głowy, ale...

Zgodnie z zaleceniami Grubanny powinnam natychmiast zakończyć tę rozmowę i pobiec po szkolnego psychologa.

– Proszę cię – powiedziałam szybko. – Nie możemy o tym rozmawiać. Nie wolno. – Złapałam ją za rękę. – Chodźmy do Miłoszewskiego. Masz zaliczyć funkcje, a ja poczekam. – I pociągnęłam ją w kierunku pracowni matematycznej.

– A Paweł? – spytała nieoczekiwanie, nie ruszając się z miejsca. – Dziś czwartek, czy on nie powinien...?

– Dziś z nami nie idzie, bo ma dodatkowy trening – wyjaśniłam szybko. – W sobotę jest ważny mecz.

Ostatnio Pawłowi daleko było do formy Magica Johnsona.

– Tak. – Dotknęła ręką czoła i szeroki rękaw jej swetra zsunął się na przedramię, odsłaniając zagojoną bliznę po oparzeniu. Wzdrygnęłam się. – Mówił mi coś o tym, ale zapomniałam. – Julia przyglądała mi się uważnie. – Idziesz na ten mecz? Bo ja bym też poszła, jeśli ty...

– Nie możesz jeszcze. Tylko szkoła-dom-terapia... Na razie nie powinnaś brać udziału w takich imprezach.

Westchnęła.



– Przykro mi – dodałam, chociaż wcale nie było mi przykro. Jeśli ona zacznie chodzić na mecze, będzie mogła pójść wszędzie i tylko patrzeć, kiedy ostatecznie stracę Pawła. – Chodźmy – ponagliłam ją.

Spóźniłyśmy się, ale czekał na nas w progu. Powtarzałyśmy te funkcje prawie dwa tygodnie. Jeśli tylko Julii nie zje trema i dawny strach przed nauczycielem, powinno być dobrze. Liczbak wpuścił ją do środka, a potem spojrzał na mnie.

– Ty możesz już iść – powiedział niezbyt grzecznie.

No, jeszcze czego! Nie będzie mi mówił, co mam robić.

– Muszę poczekać na Julię, bo potem odprowadzam ją do domu – powiedziałam z godnością, a on ze zdumieniem uniósł brwi.

– Ja mogę ją odwieźć – rzucił w końcu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Musiałam otworzyć usta ze zdumienia, bo nieco się opanował. – To żaden kłopot. Przyjechałem samochodem, zawiozę uczennicę pod sam dom. Mieszkam niedaleko, po drodze.

Nie było w tym nic dziwnego, przecież każdy teraz znał adres Julii.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie mogę pozwolić...

– Ależ możesz.

Wprost wyłaził ze skóry, by z nią pójść. Czemu?

– Nie – powiedziałam stanowczo. – Nie mogę się zgodzić. Proszę mnie nie namawiać, bo ja się stosuję do poleceń policji, psychologów i naszej wychowawczynie...

– Dobrze – odparł pojednawczo, chociaż jego oczy przypominały teraz dwa sztylety. – Uspokój się. Chciałem jedynie pomóc.

To był chyba jedyny wypadek w historii, kiedy uczeń zabronił czegoś nauczycielowi. Albo Julia za to zapłaci, albo ja, pomyślałam, wyciągając egzemplarz *Morderstwa w Orient Expressie* Agathy Christie, który pożyczyłam z biblioteki. Litery skakały mi przed oczami ze zdenerwowania.

Wyszli ponad godzinę później. Zamknęłam książkę i pożegnałam się grzecznie, nie patrząc na Liczbaka. Potem ruszyłyśmy w stronę jej mieszkania.

– I jak? – spytałam, kiedy mijałyśmy kolejną ulicę w milczeniu. – Powiedz coś. Jeśli nie zaliczyłaś, to naprawdę się nie przejmuj...

– Zaliczyłam. Powiedział mi nawet, powiedział... – urwała i spojrzała na mnie z niedowierzaniem, a ja wstrzymałam na chwilę oddech. Co takiego mógł jej powiedzieć, skoro aż tak wyprowadził ją z równowagi? – Powiedział, że jestem uzdolniona matematycznie i dam sobie radę z materiałem. I że... niepotrzebnie mnie tak kiedyś męczył. A potem mnie... przeprosił... za to, co było...

Oddałam się Pawłowi kilka dni później, w sobotę. Nie miał jednak meczu, bo drużyna się wycofała i oddała zwycięstwo walkowerem. Nie jestem pewna, czy gdyby mama o tym wiedziała, pojechałaby z ojcem i dziadkiem na pogrzeb. Raczej

nie, bo ostatnio przyglądała mi się badawczo, wypytując mimochodem o to, jak układa mi się z chłopakiem. Na szczęście z pomocą przyszła kuzynka, ciotka czy ktoś taki – nigdy jej nie widziałam, ale byłam wdzięczna, że umierając, ofiarowała mi cały dzień na spełnienie marzeń. Przygotowałam się do tego bardzo starannie. Zadbałam o wszystko: nastrój, jedzenie, świece. Trzęsłam się przy tym ze zdenerwowania prawie tak jak wtedy, kiedy gasło światło. A jeśli to będzie bólało? A jeśli zajdę w ciążę? Nie miałam odwagi kupić prezerwatyw, nawet w sklepie oddalonym od mojego bloku o kilka kilometrów. Sama myśl, iż ktoś mógłby to skomentować, a rodzice w jakiś magiczny sposób się dowiedzieć, paraliżowała mnie bardziej niż lęk przed ciążą. Bałam się, że Paweł się nie zgodzi, nie zechce związać się ze mną w ten sposób. Co innego dotykanie, co innego taka zupełna bliskość. Bałam się też, że sama zmienię zdanie, więc kiedy tylko przyszedł, przystąpiłam do działania.

– Nie – powiedział, kiedy zdjęłam sukienkę i zostałam jedynie w bieliźnie. – Marzena...

– Tak – odparłam szybko i położyłam jego dłoń na mojej piersi.

– A jeśli ktoś przyjdzie? – spytał i przełknął nerwowo ślinę. Drugą ręką objął mnie ostrożnie.

– Nie przyjdzie. – Zaczęłam go całować, nie bardzo wiedząc, co zrobić ze swoimi rękami, więc objęłam go mocno. – Wyjechali i będą najwcześniej wieczorem.

Wprawdzie pojechali osobno, bo rano ojciec musiał coś załatwić w wydawnictwie, ale nie przewidywał powrotu do domu, wyraźnie to powiedział. Na wszelki wypadek zamknęłam jednak drzwi na klucz i zostawiłam go w zamku.

– Jesteś pewna?

Nie wiedziałam, czy pyta o ewentualny powrót rodziców, czy o to, że to z nim chcę przeżyć swój pierwszy raz.

– Tak, jestem... Kocham cię, Paweł, zawsze będę cię kochać...

– Ja też cię kocham.

Drżały mu ręce. Nago wyglądał pięknie, piękniej, niż mogłam sobie wyobrazić. Tak bardzo go kochałam i niczego nie pragnęłam bardziej, niż pokazać mu, że jest dla mnie wszystkim. Pojawił się też ból, ale niewielki. Stłumiło go moje podniecenie, uczucie, te wszystkie doznania, które opisują, kiedy twoja skóra dotyka skóry ukochanego. Naprawdę czułam się wtedy szczęśliwa. I chociaż sam akt trwał tylko kilka minut, każda chwila była jak dar, jak obietnica czegoś najwspanialszego, najbardziej intymnego. Wiedziałam, że właśnie stało się coś, co nie pozwoli nam o sobie zapomnieć. Nigdy. Jakbyśmy przeszli na drugą stronę rzeki przez most, a potem go zburzyli, bo nie chcieliśmy wracać. Po wszystkim leżałam obok niego, wciąż naga, a on gładził mnie po brzuchu i pośladkach.

– Jesteś taka piękna – powtarzał. – Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś to dla

mnie.

– Zrobiłam to z tobą, nie dla ciebie...

– Nie wpadniemy? Jesteś pewna?

– Tak. – Nic nie usprawiedliwiało tej stanowczości w moim głosie. –

Niedawno miałam okres, a teraz są dni nieplodne.

– Zawsze byłaś dobra z biologii – uśmiechnął się nerwowo, a potem, ku mojemu żalowi, zaczął się ubierać. – Proszę, nie mówmy nikomu.

Komu miałabym zwierzyć się z ekstazy, którą przeżyłam? Nawet gdyby nie prosił, nie pisnęłabym słowa. To nasze wspólne przeżycie należało tylko i wyłącznie do mnie i do niego. Tylko do nas.

– Nie powiem i ciebie też proszę o to samo. Nigdy mi tego nie zabieraj. Nawet jeśli kiedyś przestaniesz mnie kochać...

Zmienił się na twarzy. Pocałował mnie szybko, a potem zaczął się spieszyć, nie chciał obiadu ani ciasta, choć robiłam je specjalnie dla niego. Wreszcie uciekł, nie patrząc prawie na mnie, jak złodziej, jakby nagle zaczął żałować tego, co zrobił.

– Proszę, zostań – wykrztusiłam, kiedy stał już w drzwiach. – Nie zostawiaj mnie w taki sposób, nie teraz...

– Przepraszam, przepraszam – powtarzał. – Niepotrzebnie to zrobiłem. Jedno z nas powinno mieć więcej rozumu. Będziesz żałowała, że cię wykorzystałem. Znienawidzisz mnie.

– Co ty mówisz? Ja sama przecież chciałam. Paweł, pragnę cię i kocham... – dukałam, trzymając go za ramię.

Nie patrzył na mnie, kiedy to mówiłam, chociaż znieruchomiał na jedną krótką chwilę. Co za farsa. Przed powiedział, że kocha, pewnie kochał mnie też w trakcie, ale po już nie. Było tak, jakby światło zgasło.

– Paweł, nie psuj tego, błagam cię...

– Już zepsułem – odparł krótko. – Nie jestem ciebie wart.

Zamknęłam za nim drzwi i doprowadziłam się do porządku, umyłam, sprzątnęłam wszystko i siadłam do lekcji. Gdyby rodzice nagle wrócili, zastaliby mnie pochyloną nad książkami od polskiego, pozornie spokojną. W mojej głowie szalała jednak burza. Tak szybko przeszłam od uniesień i szczęścia do kompletnej rozpacz. Znowu nic nie rozumiałam. Ostatnio niczego nie rozumiałam. Mogłam jedynie wypisywać te żalosne zdania w mojej beznadziejnej powieści. Przecież i tak nikt by jej nie przeczytał. Moje życie było żalosne, ja byłam żalosna, jeśli myślałam, że mam na cokolwiek wpływ. Mój pierwszy raz okazał się taki piękny, a potem on uciekł jak przestępca z miejsca wypadku. Dlaczego? Co ja takiego zrobiłam?

Rodzice wrócili późnym popołudniem i zajęli się rozmową o krewnych oraz analizowaniem pogrzebu. Z grzeczności wypiliśmy z nimi herbatę, starając się ich słuchać, a potem wróciłam do siebie. Mama przyglądała mi się uważnie i znów

zaczęła mówić o grypie. Podejrzewała mnie o gorączkę, ale nie miałam żadnej temperatury. To tylko rozpacz zawładnęła moim ciałem, takie patetyczne skojarzenie.

– Wychodziłaś gdzieś? – spytała. – Prosiłam, byś nie wychodziła niepotrzebnie.

Nie prosiła o nic takiego. Szczerze mówiąc, nikt nie uważał, by groziło nam niebezpieczeństwo. Jedynie Julię ochraniano, jakby porywacz dał znać, że zależało mu wyłącznie na niej.

– Nie, siedziałam w domu i uczyłam się.

– Wyglądasz tak jak wtedy... – rzuciła, patrząc na mnie uważnie.

– Mamo, proszę cię. – Zdjęłam jej dłoń z mojego czoła. – Chciałabym się położyć. Jutro jest niedziela, więc mnie nie budźcie. Wyśpię się i mi przejdzie, cokolwiek to jest...

Nie mieliśmy już aspiryny ani syropu na kaszel, więc ojciec postanowił pójść do dyżurującej w weekendy apteki. Spod kołdry usłyszałam jeszcze, jak obiecuje szybko wrócić, o ile nie będzie kolejek o tej porze, bo przecież zdradliwa jest ta wiosna, a potem chyba wspomniał coś o poprawionym maszynopisie powieści, którą zamierzał przy okazji oddać. Kiedy zasnęłam, przyśnił mi się Paweł. Znow się kochaliśmy, ale tym razem nie uciekł, tylko żyliśmy razem, mieszkaliśmy, jedliśmy i spaliśmy. We śnie byłam szczęśliwa, a rano przy śniadaniu dowiedziałam się o zaginięciu Justyny. W sobotę rano poszła uczyć się polskiego do Kaśki i nigdy nie dotarła do miejsca przeznaczenia. Jej rodzice, przekonani, iż dziewczyny się uczą, wszczęli alarm dopiero po kilku godzinach, podczas gdy Kaśka sądziła, że Justyna zmieniła zdanie. A ona wyszła z domu i miała przejść jedynie dwieście metrów. Jak człowiek może zginąć wśród bloków, gdzie przez okna patrzą niezliczone pary wścibskich oczu sąsiadów? Jak można nie dotrzeć do celu, kiedy ma się tylko kilka osiedlowych ulic do przejścia?

– Nie chciałam ci mówić, ale wołałabym, byś nie wychodziła z domu – powiedziała mama z drzeniem w głosie.

– Ale co może mi grozić? – spytałam. – Jeśli porwała ją ta sama osoba, to ja jestem bezpieczna.

Trzęsły mi się ręce. Justyna była sprytna. Mogła ukryć się gdzieś i obserwować otoczenie. Kto pierwszy wpadnie w panikę, ten berek. Niemalże widziałam jej pełną satysfakcji minę. Z drugiej strony, gdyby Kaśka zdradziła to, co wie, znalazłybyśmy się w trudnym położeniu. Czy Justyna tego chciała? A może uciekła? A może mama miała rację i wcale nie powinnam czuć się bezpiecznie?

– Nic mi nie grozi – burknęłam.

– Jak w leju po bombie – odezwał się dziadek.

– Boże jedyny! – Mama załamała ręce. – Biedni ludzie! Co oni teraz muszą przeżywać?

Według mnie na to miano zasługiwała raczej Justyna. Czy oni tego nie brali pod uwagę? Nie lubiłam jej, ale nie chciałam dla niej takiego losu. Czy ten człowiek będzie ją więził, a potem wypuści, jak Julię, czy też posunie się dalej? Kiedy Julia wróciła, wydawało się, że szaleństwo ustało. Wróg był tylko jeden, ten, który bezprawnie zatrzymał Pikusia. O jego aresztowaniu praktycznie nikt nie wiedział poza garstką sąsiadów. Pozostali woleli widzieć w sprawcy kogoś chorego, kto przyjechał do naszego miasta, porwał dziewczynkę i korzystając ze sprzyjających zbiegów okoliczności, zatrzymał ją na jakiś czas jak trofeum, a potem oddał. Tak naprawdę jednak nie mieliśmy pojęcia, co działo się ze śledztwem w sprawie Julii. Nikt nas nie informował o Pikusiu. Zacieśniał się jakiś krąg, ale środek wciąż pozostawał całkiem pusty. My wszyscy tkwiliśmy na zewnątrz, świadkowie, porywacz, skrzywdzeni i triumfujący, wszyscy razem – i nic nie rozumieliśmy. Wiedziałam jedno: to musiał być ktoś tutejszy, co więcej, ktoś, kto nas wszystkich dobrze znał. Zastanawiałam się gorączkowo, co powinnam zrobić. Jednak powiedzieć policji o tamtym wieczorze? Może to wskazówka? Najpierw porwał Julię i Justynę, a potem przyjdzie kolej na Kaśkę i wreszcie na mnie? Tak bardzo chciałam porozmawiać z Julią. Nawet jeśli przypomniaby sobie tamten koszmar, to przecież wystawiony rachunek był mniejszy niż potencjalna krzywda Justyny. Czy to przypadek, że zagięły dwie dziewczyny z mojej klasy? Przecież nic ich nie łączyło oprócz... Tak, to musiało być właśnie to – cztery uczestniczki tamtego wieczoru. Dziwna inicjacja... Cena, którą musiałyśmy zapłacić.

Znaleźli ją dwa dni później. Jakaś para szła na spacer z psem przez las. Kiedy pies przywłókł w pysku czapkę, nie zwrócili specjalnie na to uwagi. On próbował mu ją odebrać, ona (one są zawsze bardziej wrażliwe), zauważyła, że pies biegnie w stronę niewielkiego dołu ukrytego za trzema brzoza. On złościł się i kazał psu wracać. Ona (one są zawsze bardziej wrażliwe) wolała sprawdzić, co psa denerwuje. Potem ona krzyczała (one są zawsze bardziej wrażliwe), pies czekał, a on nie wiedział, co zrobić – biec po pomoc czy po policję. Żadne z nich nie miało wątpliwości, że leżąca twarzą w zbutwiałych liściach Justyna nie żyje.

Nie spodziewałam się tego, Bóg mi świadkiem. Nikt z nas się nie spodziewał. Nawet kiedy nie wróciła do domu, nawet kiedy psy gubiły trop przy rzeczce przepływającej w pobliżu naszego osiedla. Miało być tylko porwanie, tak się chyba umawialiśmy – porywa dziewczyny i przetrzymuje je, a potem wypuszcza.

Jedni modlili się w kościele i śpiewali „Niewinna dusza, chroń ją Panie...”, inni przemałowali ściany swoich mieszkań na czarno. Jeszcze inni upijali się w swoich domach i wrzeszczeli przez okno: „Ogień! Nasze dziecko umarło!” albo wyjeżdżali pospiesznie z dziećmi na rękach, zostawiając klucze i prosząc o podlewanie kwiatów, gdyż bali się, że ich młode będą następne na liście. Znalazł

się i ktoś, kto paradoksalnie odzyskał nadzieję, bo jego dziecko nagle zostało wypuszczone z aresztu, ot tak, jest pan niewinny, proszę przyjechać po syna, teraz już wiadomo, to nie on, w żadnym razie, trudno o lepszy dowód.

Mama płakała i tuliła mnie do siebie. Nie poszła do pracy, powiadomiła szefa, że jest chora, chociaż to ja byłam chora. Miałam bardzo wysoką temperaturę i przeszywał mnie dreszcz, ilekroć kładła mi na czoło zimny kompres.

– Spada jej gorączka? – słyszałam jak przez mgłę pytanie ojca albo dziadka, nie mogłam odróżnić tego głosu. – Wezwijmy lekarza do domu...

– Nie – twierdziła z uporem mama i zanosila się na nowo płaczem. Jej łzy kapały mi na twarz i klatkę piersiową, a może tylko tak mi się zdawało.

Ten niebyt stał się dla mnie wybawieniem. Poznałam szczegóły później, dzięki temu przetrwałam. Policja ponoć przyjechała bardzo szybko. Zabrali Justynę gdzieś, gdzie pewnie pokrajali ją na kawałki i poniżyli, jakby nie wystarczyło to, co zrobił ten drań. Justyna, jak mogłaś do tego dopuścić? Jak mogłaś pozwolić, by uderzył cię w tył głowy tak nieumiejętnie, za mocno, pozbawiając cię nie tylko przytomności, ale życia? Według policji stał za tym ten sam człowiek. Mówili o „schemacie postępowania”. Za pierwszym razem wszystko przebiegło dla niego pomyślnie. Wciąż uważają, że Pikuś wtedy mu pomagał, ale nie mają żadnych dowodów. Julia uciekła, dlatego porywacz wybrał inną dziewczynę. Przy uprowadzaniu Justyny nie potrafił ocenić siły swojego ciosu, uderzył za mocno, a ona zginęła. Tyle nam powiedzieli. Gdzieś we własnej podświadomości pragnęłam w to wierzyć. Chciałam, by tak właśnie było. Policjanci wydawali się w to wierzyć, ale nie Świętszy Paweł, Mimoza, Nosiciele, Adamsowie... Wreszcie, nie ja. On wybrał Justynę, by ją zabić, bo wtedy spotkałyśmy się na strychu, gdzie skrzywdziła Julię. Dowiedział się o tym i postanowił nas ukarać. Zaczął od tej najbardziej winnej, a skończy na mnie. Wiedziałam, że albo przygotuję się na śmierć czyhającą w byle zaułku, albo podejmę wyzwanie – znajdę go i stanę z nim do walki, a Paweł zakocha się we mnie ponownie. Tak właśnie myślałam, a potem zaciskałam dłonie, modląc się w duchu: niech tylko przestanę się tak strasznie bać, że i mnie uderzy w głowę i ukarze za oparzenie Julii. Niech tylko nie będzie tak strasznie ciemno.

Kiedy gorączka spadła i mogłam wrócić do szkoły, zapamiętałam tę myśl zrodzoną w malignie. Strach pęczniał we mnie niczym w tamte dni, kiedy Julia zniknęła, a potem się znalazła. Wtedy bałam się, że wszystko się wyda, głupia główniara. Ten strach był inny. Teraz bałam się o moje życie.

– Kasia... – Podeszłam do niej na przerwie, chociaż próbowała uciec. – Porozmawiaj ze mną...

Rzykowałam. Przerazona równie dobrze mogła zacząć krzyczeć, że to przeze mnie. Myliłam się jednak. Rzuciła mi się na szyję.

– Tak się boję – wyszeptwała, szlochając. – Tak się boję... Ty się nie boisz?

– Ja też się boję – wykrztusiłam.

Może powinnam być bardziej twarda albo bardziej współczująca, a na pewno nie powinnam pokazywać jej własnego lęku.

– O czym chcesz rozmawiać? Nic nie powiem, nie bój się.

Przy Justynie zachowywała się zupełnie inaczej – głupiutka blondynka obgryzająca paznokcie. Teraz była smutna, zrezygnowana, ale podejmowała jakieś decyzje. Nawet nie miała plastrów na palcach.

– Nie jestem pewna, co powinnyśmy teraz zrobić – wyznałam.

Nagle odechciało mi się odgrywać domorosłą detektyw, wypytywać o cokolwiek. Stałyśmy się teraz siostrami w nieszczęściu, najbliższymi koleżankami.

– Zostań po lekcjach, może uda się chwilę porozmawiać – powiedziała, kiedy zadzwieczał dzwonek. Przychodzą po mnie rodzice, nie wolno mi nigdzie chodzić.

Pokiwałam głową i wróciłam do sali.

– Co ci jest? – spytała Julia zatroskanym głosem.

Mój Boże, zapomniałam o niej, a przecież to ona musiała bać się najbardziej. Bo naturalnie powiedziano jej o Justynie. W obecności psychiatry, psychologa, rodziców, ostrożnie..., ale powiedziano. Dużo bym dała, by zobaczyć jej reakcję. Musiała jednak całkiem dobrze przyjąć to do wiadomości, bo nie była przestraszona, tylko oświadczyła, że teraz jest silniejsza i powinna pomóc. Policja licząc na przełom, zaproponowała oprowadzenie z psami po mieście, dzięki czemu Julia mogłaby przypomnieć sobie coś ważnego. Niestety, zainterweniował psychiatra wraz z psychologiem i z pomocy nic nie wyszło. W oficjalnej wersji wciąż niczego nie pamiętała.

– Boję się – powiedziałam szczerze. – Nawet nie tego, że ktoś mnie porwie i zabije czy zgwałci. – Tylko tego, że nic nie rozumiem...

Niepotrzebnie wspomniałam przy niej o porwaniu, tylko właściwe jakie to miało teraz znaczenie? Nie wiem, co na to by powiedział jej psychiatra, ale moim zdaniem całą terapię powinna zacząć od początku.

– Ja też nie rozumiałam i nie rozumiem, jeśli to cię pocieszy.

– Dziewczynki! – Grubanna pukała palcem w swój stolik.

Miała jednak świadomość, że nie zapanuje nad naszą klasą, a może sama się nas bała, może nasze rozkwitające kwiaty były zatrute, czy jak to tam ująć.

– Nie pociesza mnie to w najmniejszym stopniu.

– Niczego sobie nie przypominałam – wyszeptwała. – Bardzo chciałam, ale nie potrafiłam...

Nauczycielka spojrzała na nas znad katedry, ale nic nie powiedziała. Ściszyłam głos, jak tylko mogłam najbardziej.

– Gdzie cię trzymał?

Odpowiedziała mi bezradnym wzruszeniem ramion.

– Piwnica? Strych? – z trudem przeszło mi przez gardło, ale ona pokręciła przecząco głową.

– Ani jedno, ani drugie. Miałam zasłoniętą głowę workiem, ale to nie mogła być piwnica. I nie strych... Coś jakby niedokończone mieszkanie. Słyszałam przez ściany głosy, jakieś szумы w oddali. Próbowałam sobie przypomnieć coś więcej, i nic...

Nie powinnam jej męczyć, ale tylko ona mogła pomóc. Zresztą, dlaczego miałabym ją oszczędzać, skoro to przez nią uwięziono Pikusia i to ona zabierała mi Pawła? Udawała niewiniątko, była taka niewinna i pomocna, ale potrafiła zaszkodzić.

– Dlaczego aresztowali Pikusia? – spytałam, patrząc na Grubannę, która po raz kolejny skierowała na nas pełen pretensji wzrok. – Co im powiedziałaś?

Przełknęła ślinę.

– Nie masz pojęcia, jacy oni są. Łapią cię za słowa i...

– Co powiedziałaś? – powtórzyłam. – Powiedz mi dokładnie, co im powiedziałaś.

– Że to ktoś, kogo znam – wyszeptwała. – To musiał być ktoś znajomy, czułam to. Poza tym... nie mówił, nie odezwał się do mnie ani słowem i nagle, ni z tego ni z owego, uwolnił mnie. Jakby nie myślał racjonalnie. Spyтали, czy to mógł być Pankracy, a ja zaprzeczyłam. Dobrze go znam, zawsze był dla mnie dobry. Nie powiedzieli mi nawet o zatrzymaniu go... To Paweł, w tajemnicy.

Aż mnie zatrzęsło ze złości i zazdrości. Grubanna patrzyła na nas zupełnie jawnie. Nic mnie to obchodziło.

– Co jeszcze sobie przypomniałaś? – naciskałam, kiedy rozległ się dzwonek. Zaraz musiałam iść do Kaśki.

– Nic, właśnie o to chodzi – nic.

– Julia. – Przełknęłam ślinę. Spojrzałam jej prosto w oczy. – Jest ci ciężko, wiem o tym, ale powiedz mi, czy naprawdę nic nie pamiętasz? Nic a nic?

Nie uciekła wzrokiem. Patrzyła na mnie.

– Nie wiem, czemu uważasz, że kłamię. Nic nie pamiętam.

Dlaczego w to nie wierzyłam? Nie umiałam wyjaśnić. Coś ukrywała, tylko co i dlaczego? Przecież to niemożliwe, by kryła sprawcę czy tego, kto mu pomagał. Zebrała książki i poszła. Pewnie ojciec już na nią czekał. Dziś miała terapię.

Właśnie, terapia, Boże... Jakaż ja byłam głupia i ograniczona!

Grubanna zbliżyła się do mnie z miną wyrażającą dezaprobatę.

– Marzenko. – Patrzyła na mnie surowo. – Wszystkim nam jest ciężko, ale ty powinnaś...

Tak, wiem, powinnam zbierać listki na kompost i użyźniać glebę. Oczywiście. Cóż za kretynka! Siłą powstrzymałam się, by nie powiedzieć czegoś



złośliwego. Czego ode mnie chciała ta kobieta? Jeśli Kaśka mi ucieknie, być może stracę szansę na szczerą rozmowę i już nigdy nie odpowie mi na pytanie, które chciałam jej zadać.

– Pani profesor, ja nie mogę – rzuciłam szybko, ale zatrzymała mnie gestem ręki.

– Tylko chwila – powiedziała stanowczo, więc usiadłam na brzegu krzesła, patrząc na nią z rezygnacją. – Marzenko, bardzo angażujesz się w ostatnie sprawy. Ja rozumiem...

Jeśli pani rozumie, to proszę mi nie utrudniać ich wyjaśnienia. Tylko tak mogę się dowiedzieć, czy nic nam nie grozi.

– Czy mogę spytać cię dlaczego? – zakończyła.

– Boję się, że to nie koniec, a policja najwyraźniej błędzi we mgle – postawiłam na szczerłość.

Spojrzałam na nią. Gdyby nie ta tusza, mogła być ładną kobietą. Ile miała lat? Trzydzieści pięć? Trzydzieści osiem? Mogła urodzić jeszcze dziecko. A może urodziła? Właściwie czemu zakładałam, że jest sama. Tak naprawdę nic o niej nie wiedziałam. Nie był to jednak odpowiedni moment na bratanie się z nauczycielką.

– Do tej pory z policją miałam do czynienia jedynie raz – powiedziała cicho. – Za dużo mnie to kosztowało, za nic nie chciałabym tego powtórzyć. Muszę jednak współpracować z... nimi dla waszego dobra.

– Czy to miało jakiś związek ze sprawą Julii i Justyny? – spytałam, nie licząc na odpowiedź.

– Nie, to wydarzyło się wiele lat temu. Włamano się do willi moich rodziców, kiedy wybraliśmy się na wesele do kuzynki. W ostatniej chwili moja mama dostała gorączki i została w domu. Zaskoczyła złodziei i... straciła życie.

Milczałam wstrząśnięta.

– Bardzo mi przykro – dławił mnie wstyd. Nigdy nie pomyślałam, że Grubanna nosi w sobie bolesną tajemnicę. Dla mnie była „tylko” nauczycielką.

– Jak okazało się w toku śledztwa, na czele bandy stał starszy przyrodni brat mężczyzny, z którym... wiązałam swoją przyszłość. To on przekazał bratu, że dom będzie pusty. To miał być łatwy łup.

Boże drogi, nigdy bym nie przypuszczała.

– Łatwo ich znaleźli. Wszyscy poszli do więzienia. Mój narzeczony błagał, bym na niego poczekała, aż odsiedzi wyrok – uśmiechnęła się. – Według niego chyba nic wielkiego się nie stało.

– Zobaczyła się z nim pani? – Chyba mogłam zadać takie pytanie, skoro podzieliła się ze mną czymś tak trudnym.

– Pisał listy – powiedziała cicho. – Nie zobaczyłam się z nim. Wyjechałam z miasta i zaczęłam nowe życie. Mówię ci o tym, ponieważ... – westchnęła ciężko.

Patrzyłam na nią uważnie.

– ...ponieważ – kontynuowała z wysiłkiem – to mnie zniszczyło. Już na zawsze. Wydaje mi się, że wiesz o pewnych sprawach więcej niż policja i nie chcesz z nimi współpracować. To twoja sprawa, chociaż chciałabym, byś rozważyła... co innego.

Uciekłam spojrzeniem. Ona była jednak mądrzejsza, niż nam wszystkim się wydawało.

– Ale – brnęła dalej, a żołądek skręcał mi się w supeł z niepokoju – uważaj na siebie. Czasem lepiej nie wiedzieć. Przemawia przeze mnie gorzkie doświadczenie. Lepiej nie wiedzieć. Prawda może nas zniewolić.

Bąknęłam tylko „przepraszam”, a potem pobiegłam do Kaśki. Czekwała na mnie. Nie zostało nam wiele czasu na rozmowę, a w uszach wciąż dźwięczały mi słowa Grubanny.

– Kasia. – Złapałam ją za ramię i odciągnęłam na bok. Zaszłyśmy się w pustej sali chemicznej na pierwszym piętrze. – Julia chodzi na terapię do twojej mamy, prawda?

Dlatego Justyna wpadła na pomysł, by przyjąć ją do naszej paczki. Kaśka musiała coś usłyszeć, powiedzieć jej, a ona zobaczyła w tym korzyść dla siebie.

– Tak. – Pokiwała głową. – Ale od tamtego czasu.

– Jakiego czasu? – zaniepokoiłam się.

– Od momentu, kiedy się znalazła. Dopyrosili mamę na przesłuchanie Julii, bo leczyła już jej brata. Nie wiem dokładnie, co mu jest. Nigdy nie pytałam.

Wszystko zaczęło się układać.

– Jesteś pewna, że wcześniej twoja mama jej nie знаła? – upewniłam się.

– Nie znała, ale... – Kaśka popatrzyła na mnie jasnymi, smutnymi oczami. – Justyna była jej pacjentką.

*Wszystko jest po coś. Kolejna bzdura. Wszystko jest po nic. Jest dziwnym, przypadkowym zlepkiem tego, co ludzie myślą, robią i czują. Skrzydła motyla poruszają się w Australii, sprowadzając na Indie kataklizm? To bzdury! Wierzenia niedouczonech, którzy chcą obarczyć los winą za nasze błędy. Gdyby tak było, mogłabym wszystko zmienić. Przecież tyle o nim wiedziałam. Wystarczyło, żebym została wtedy w domu, a kałuża krwi nie wylałaby się z pękniętej głowy dręczyciela i on nie uwierzyłby, że może zostać katem kata. Na jednej z książek widziałam wielce wymowny rysunek: Robespierre osobiście gilotynuje kata, ponieważ nie ma już nikogo, kogo mógłby pozbawić go głowy. Rewolucja przecież zjada swoje dzieci. Czy zje też jego? Ta mała, prywatna rewolucja, która zachodzi od lat w jego głowie? A jeśli tak, to bałabym się tego czy pragnęła takiego końca?*

Słyszałam gdzieś, że kiedy spotyka się dwoje ludzi, powinni sobie opowiedzieć sobie coś najgorszego. Nie czekać, aż się poznają oni sami albo ich rodziny, tylko od razu wyrzucić z siebie bolesne fakty. Hej, molestowano mnie w dzieciństwie. Och, a ja spowodowałam wypadek i zginęła w nim moja kuzynka.

*Mógł powiedzieć mi o swoim pochodzeniu, zanim wszystko się zaczęło. Szkoda. Mogło być zupełnie inaczej. Żałuję, że nie powierzyłam mu mojej tajemnicy. Nie potrafiłam. Sama ledwie ją unosiłam, czasami dusiła mnie w nocy niczym siedzący na gardle zwierz. Moja siostra popełniła samobójstwo. Zażyła tabletki na serce mojej babci i już się nie obudziła. Miała szesnaście lat i porzucił ją chłopak. Do dziś nie wiem, czy naprawdę chciała umrzeć, czy tylko go ukarać. Najgorsze, że niewiele z tego wynikło. Ludzie nie mieli do niego pretensji. Przeciwnie, ciągle słyszał: to nie twoja wina. Naprawdę... Nie jego wina... Widuję go bardzo często, jest na wyciągnięcie ręki, tuż-tuż... Czyjeś złamane życie może przynieść satysfakcję. Poczekam jednak cierpliwie i złamię mu je do końca. Może jego rodzina będzie musiała przeżywać to samo, co moja, kiedy znajdą go martwego. Widzicie? Fantazjuję o śmierci. Uratowałam czyjeś życie, a teraz mogę je komuś odebrać albo zamienić w piekło. Ja też czuję w sobie moc. Mam ją od niego.*

## ROZDZIAŁ VII

Bąłem się. Naprawdę się bąłem. Gdzieś przeczytałem, że ktoś taki jak ja pragnie zostać złapany, pożąda związanego z tym rozgłosu. Może jestem nietypowym zwyrodnialcem, bo wcale tego nie pragnąłem. Zapytacie, czemu zatem zabiłem tę dziewczynę. Z kilku powodów. Po pierwsze, nie była tamtą. Tamtą jest aniołem, cudowną istotą, o której marzyłem latami. Dzień, gdy ją przygarnąłem i zamknąłem przed innymi, to najszcześniejszy dzień w moim życiu. A potem ktoś pomógł jej odejść i zaczął się koszmar. Jak miałbym zaakceptować kogoś innego na miejscu tej jedynej, ukochanej? Zwłaszcza jeśli mojego anioła chciała zastąpić wulgarna, zepsuta dziewczyna? Po drugie, znała mnie, widziała, a na dodatek powiedziała mi o tym. Trzeci powód jest bardziej złożony i wymaga podróży w przeszłość. Byłem drobnym, chudym chłopcem, często chorowałem. Nie miałem przyjaciół ani nawet kolegów. Inni chłopcy szybko zorientowali się, że można mnie bezkarnie uderzyć. Czekali po szkole całą bandą. Szybko biegałem, ale zawsze jeden z nich okazywał się szybszy. Wracąłem do domu z rozciętą wargą, matka krzywiła się na mój widok, a ojciec nazywał miączakiem. Sam poprosiłem, by zapisali mnie na zajęcia z boksu. Jeszcze długo wracałem do domu krwawiąc z nosa lub ust, ale wiedziałem, że któryś raz będzie tym ostatnim.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Najwyższy chłopak w klasie przewrócił mnie. Drugi pochylił się, by uderzyć. Zerwałem się i czystym prawym sierpowym trafiłem go w skroń. Zachwiał się i padł. Uderzył głową o kamień. Znieruchomiał. Chłopcy wpadli w panikę i uciekli. Ja nie. Usiadłem koło niego i patrzyłem. Miałem nadzieję, że go zabiłem. Nie myślałem o konsekwencjach, nie bąłem się. Pamiętam to wrażenie, kiedy się poruszył. Otworzył oczy i spróbował wstać, a ja poczułem głębokie rozczarowanie. Chłopak, który jeszcze poprzedniego dnia bezkarnie prał mnie na kwaśne jabłko, zaczął płakać i odszedł chwiejnym krokiem. Nadal nie miałem kolegów, ale już nikt nie próbował mnie uderzyć. Nawet kiedy przestałem trenować boks.

Tamto uczucie wróciło, kiedy uderzyłem ją w tył głowy. Złamałem jej kark. Wiedziałem, że się już nie poruszy, więc nie poczułem rozczarowania. A widok jej nieruchomego ciała sprawił mi ogromną satysfakcję.

Z dwojga zawsze jedno kocha bardziej. I niestety wygląda na to, że bylam to ja, na dodatek w proporcji jak jeden do stu. Na moją niekorzyść.

– Nie utrudniaj mi tego, Marzena – powiedział Paweł. Sportowym butem kreślił na śniegu ósemki. Nie wiem, czemu przypomniał mi się tamten dzień, kiedy Julia nie wróciła do domu po spotkaniu na strychu. Czułam się, jakby od tamtego czasu minęły *lata świetlne*. Zmieniłam się, stałam się już zupełnie inną osobą. Jakie buty nosił wtedy Paweł? Chciałam sobie przypomnieć, ale tamto wspomnienie

utonęło w rozpaczy, która mnie właśnie zalała.

– Dlaczego niby mam ci to ułatwiać, ty draniu!?! – wychrypiałam, odsłaniając się zupełnie. Dałam się złapać na ten najprostszy chwyt pod słońcem. Tyle razy słyszałam tę banalną kwestię w filmach, czytałam o niej w książkach, a teraz sama jej użyłam.

– Bo było nam dobrze razem? – spytał niepewnie. Zrobił przy tym minę, jakbym powiedziała coś niezrozumiałego.

Było nam razem, mówisz? Mnie było cudownie. Dotykałam nieba, doświadczałam absolutu. A tobie było tylko „dobrze”?

– Owszem, dobrze – powiedziałam już spokojniej. – Nie rozumiem więc, dlaczego... odchodzisz.

Nie rozumiem, dlaczego zrywasz ze mną na ulicy, nie wiem, czemu nie masz na tyle przyzwoitości, by dać mi jeszcze jeden wieczór wypełniony pieśczętami. Nie rozumiem, dlaczego wolisz ją. Nie rozumiem, czemu nagle jestem gorsza od niej. Nie rozumiem, jak możesz mnie odtrącać, zamiast być najszczęśliwszym chłopakiem pod słońcem u mojego boku. Nie rozumiem wreszcie, jak możesz odejść po tym, gdy pozwoliłam ci zobaczyć moje ciało, opanowałam strach i przyjęłam cię do siebie.

– Odchodzisz do niej?

Co za żalosna kwestia!

– Ona ma nadzieję, że nadal pozostaniecie przyjaciółkami. – Oderwał wreszcie spojrzenie od butów i spojrzał na mnie.

– Omawialiście to? Nie wstyd wam? – zapytałam z goryczą.

– To nie jej wina. Kazała mi załatwić tę sprawę z tobą.

„Ta sprawa” to było całe moje życie, wszystkie nadzieje i plany na przyszłość.

– A potem ona załatwi tę sprawę ze mną?

– Kazała się nie wtrącać. Tylko powiedzieć...

Powinłam pójść. Odwrócić się na pięcie i pójść. Mogłam trzasnąć go w twarz, obrazić, jeszcze raz nazwać draniem albo nawet skurwysynem. Zamiast tego stałam jak kołek i gapiłam się na niego, przedłużając rozmowę. Na co czekałam? Aż Paweł powie, że żartował, chciał sprawdzić, jak bardzo mi na nim zależy, ale już w porządku, przeprasza za taką głupotę, już wszystko dobrze...

– Ona ci „każe”, a ty wykonujesz? – nie ustępowałam.

– Nie chciała cię zranić.

Jaka szlachetna! Niestety samym swoim istnieniem sprawiała mi ból. Może nawet chciała coś na to poradzić, ale niewiele mogła zrobić. Chochlik podpowiadał mi, że mogła przynajmniej odrzucić Pawła, nie zgodzić się na idiotyczny pomysł kontynuowania wspólnej nauki, nawet gdy uzupełniła wszelkie zaległości.

Wreszcie mogła nie odwzajemniać jego uczuć. Tylko co, jeśli żyła taką nadzieją

jak ja, taką miłością? Czy ja bym się powstrzymała i w imię tej kruchej więzi, która nas łączyła, przekreśliła swoją przyszłość?

– Myśleliście, że mnie to nie zaboli, tak? Myliliście się.

Marzena, już dość. Nie pograżaj się. Idź do domu i zacznij czytać Leśmiana, Tuwima, nastaw sobie jakieś smutne piosenki, żeby zrobiło ci się jeszcze gorzej. Przepłacz całe popołudnie i idź wcześniej spać. Teraz po prostu idź. Już nic nie mów, bo będzie jeszcze gorzej.

– Przepraszam – niemal wyszeptał. – Naprawdę bardzo cię przepraszam.

– Mówiłeś, że mnie kochasz – przypomniałam sobie. – Mówiłeś, że mnie kochasz...

– Wtedy tak czułem. – Nie miał najmniejszych problemów z odparciem tego zarzutu. – Naprawdę cię kochałem. Nie zrobiłbym... tego, gdybym tak nie czuł.

Wtedy tak czuł, teraz czuje inaczej. To znaczy czuje to samo, ale do innej osoby, nie do mnie. Kocha Julię, moją niby przyjaciółkę.

– Zrozum, ona tyle wycierpiała... – znów odezwał się tym cichym głosem, za którym będę tęskniła miesiącami, a kto wie, może i do końca życia.

– Nie wiadomo, co tam się stało, nie możesz więc wyciągać żadnych wniosków. A na współczuciu nie da się zbudować związku.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. – Już nie miał tego aksamitu w głosie. Najwyraźniej dyskusja ze mną zaczynała go męczyć. – Zawsze tak pięknie się wyrażałaś. Umiesz mówić o budowaniu uczucia, o tym, co rośnie i na czym, recytujesz wiersze... – Zmienił ton czy teraz mówił po prostu szczerze? Zesztywniałam. – Ty, Marzena, pewnych spraw nigdy nie zrozumiesz. Czujesz się po prostu lepsza od innych.

– Nieprawda – wykrztusiłam.

Czemu wciąż tam stałam? Dlaczego nie odeszłam zaraz na początku rozmowy?

– Ależ prawda – w jego tonie było coraz więcej stanowczości. – Przynosiłaś mi wiersze, napomykałaś mimochodem, co powinienem przeczytać. Ta muzyka... Jakiś koszmar! Zamęczyłaś mnie tym Bachem i Mozartem, a jestem przekonany, że nawet tego nie lubisz, nie słuchasz tego badziewia. Zrobiłaś to tylko dlatego, by wyglądać na lepszą i mi zaimponować. – Wyrzucał z siebie słowa jak pociski karabinowe i trafiał za każdym razem w moje biedne serce, a ja stałam jak kołek. – Zanim to zrobiliśmy, sprawdzałaś w książkach, jak to będzie. Ty mi nawet mówiłaś, co mam do ciebie czuć!

Miał wtedy granatowe buty, na pewno. Kiedy Julia zaginęła, chodził w granatowych sportowych butach. Tak to jest z mózgiem, nie może znaleźć informacji, ale cały czas szuka. Jego szufladki otwierają się i zamykają, cierpliwymi archiwista przeszukuje zakamarki. Sądzimy, że o czymś zapomnieliśmy, ale nie, umysł pamięta. To swoją drogą ogromnie ciekawe.

– Nigdy ci nie mówiłam, co masz do mnie czuć. Mówiłam ci, co czuję ja... – było mi słabo z upokorzenia.

– Mówiłaś! – Kręcił głową. – A właśnie, że mówiłaś!

Na szczęście staliśmy za blokiem, w niszy, jaka powstała z rozszczepionego pnia wierzby, więc nikt inny nie słyszał jego krzyku.

– Ten twój dom, taki „inteligencki”. Kiedy przekraczałaś jego próg, robiłaś się pretensjonalna do bólu. Nie do zniesienia. Niby mimochodem napomykałaś nawet, jak jeść rybę. Brałaś książki do ręki i zachwycałaś się, że jest taka cudowna albo wartościowa... Tą koszmarną muzyką wręcz mnie gwałciłaś. Ty nie chciałaś mnie, tylko miśka do tresowania!

– To nieprawda. – Nagle zabrakło mi tych wszystkich okrągłych zdań zapisanych w notesie. Nie przychodził mi do głowy ani jeden cytat z książki. Zdania z Williama Whartona i Paulo Coelho zniknęły gdzieś, a ich miejsce zajęły informacje na temat tego, jakiego koloru Paweł miał buty, kiedy Julia zniknęła, i w jakiej koszuli przyszedł do szkoły, kiedy się odnalazła. Tysiące zdań, które zachwycały mnie swoją celnością, uleciało nagle w niebyt. Chciałam znaleźć się w pokoju Mimozy i wypić herbatę z filiżanki w kwiatki. Tak, tam byłoby teraz najlepiej. Miała nowe rysunki na ścianach. Tym razem w kuchni narysowała pastelami mnóstwo uskrzydłych kopert. Na kilku z nich widniały nawet adresy, w tym i mój. Uznałam to za bardzo zabawne. Bronić się, musiałam się bronić przed Pawłem, bo atakował mnie z coraz większą wściekłością.

– Bez przerwy mówisz! Buzia ci się nie zamyka. Analizujesz w kółko, co czujesz, co myślisz, co ci przyszło do głowy, co widzisz, co słyszysz... Bez przerwy!

– Mówiłaś, że to takie... inne.

– Mówiłem, ale zaczęło mnie to męczyć. Nie zastanawiałaś się nigdy nad tym, czemu rzadko się odzywam? Pewnie według ciebie nie miałem nic do powiedzenia? Albo to, co mógłbym powiedzieć, nawet w połowie nie okazałoby się tak interesujące jak twoje przemyślenia, prawda?

– Wcale nie...

Teraz nie mógł mi zarzucić, że dużo mówię. Przeciwnie, straciłam wszystkie słowa, choć kiedyś tak swobodnie nimi się posługiwałam.

– Właśnie tak – powiedział dobitnie. – Nie chciałem mówić ci tego wszystkiego. Miałem po prostu powiedzieć ci o innej dziewczynie, usłyszeć od ciebie, że jestem świnią, i tak by się to skończyło. Ale sprowokowałaś mnie...

Tak mówi się kobietom, które się bije. Tak mówił mąż Mimozy.

– ...więc powiem ci coś jeszcze – dokończył. – Ona jest jak przystań, a ty jak statek w czasie burzy. Coś w twoim stylu, nie? Dałaś mi te wiersze na urodziny. Jesteś jak pijany statek. Właśnie tak. Trzeba nieustannie uważać, bo można wypaść za burtę i się utopić.

– Rimbaud – mruknęłam.

Podarowanie mu tych wierszy wydawało mi się wspaniałym pomysłem. Kupiłam je w antykwariacie, co też uznałam za niezwykle oryginalne. Chciałam o nich rozmawiać, czy to źle? To było dla mnie ważne. Rozmawialiśmy przecież nie tylko o wierszach. Opowiadałam mu o moich planach na przyszłość, o tym, co mnie dręczy, nurtuje. Jemu jednemu powiedziałam o roli Pikusia w sprawie Julii. Przecież nie mówiłam tylko o sobie, Paweł, proszę cię, nie bądź niesprawiedliwy! Może popełniłam błąd, kiedy chciałam wydawać się kimś innym, niż jestem, ale to tylko dlatego, że uważam się za przeciętną, nieciekawą osobę. Tylko dlatego, kochany.

– A ona jest jak wschodzące słońce, bryza morska i cicha przystań, tak? – spytałam z wysiłkiem. Z oczu ciekły mi łzy, nie mogłam ich powstrzymać. Tusz na rzęsach pewnie się roztopił i wyglądałam nie tylko żałośnie, ale wręcz groteskowo. Przynajmniej tak się czułam.

– Właśnie tak. Przy niej jestem spokojny i nie muszę nikogo udawać. Nie muszę nawet przy niej mówić. To niesamowite, że można z kimś siedzieć w jednym pokoju i milczeć, a przy tym czuć taką jedność, błogość... Takie coś... dobrego...

Takie coś dobrego, co się przy kimś czuje, to jest właśnie miłość. Koniec, pogrzeb, Pawła już nie ma. Mogę sobie jedynie wspominać błogość, którą ja przy nim czułam.

– Przy niej czuję się normalnie, mam własne zdanie, przemyślenia... Przy tobie tak nie było, nic nie przeżywałem. Sprawiałaś, że w środku mnie wyczyściło. Nie wiem, czy rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Rozumiałam – nie zależało mu już na mnie, nigdy mnie nie kochał, zauroczył się jedynie, i to na początku. Kaśka denerwowała go brakiem osobowości, ja przytłoczyłam jej nadmiarem, a Julia stanowiła złoty środek. Jeśli dobrze to rozegra, może go mieć na zawsze. Ja muszę usunąć się w cień.

– Proszę, już nic nie mów, bo to jest... To jest... – Chciałam powiedzieć: „bo to mnie zabija”, ale pewnie dla niego zabrzmiałoby to jak sztuczna kwestia filmowa. Tylko konia z rzędem temu, kto w takiej chwili ma własne, sensowne przemyślenia. Ja byłam jedynie nastolatką, której złamano serce, banalnie i brutalnie.

– W takim razie niech ona będzie twoim szczęściem. Dokonałeś dobrego wyboru. Julia jest... wspaniała – wydusiłam z siebie i wreszcie odzyskałam władzę w nogach na tyle, by się odwrócić i odejść.

Renata zdumiała się, kiedy zobaczyła mnie w progu swojego mieszkania. Nie dziwcie się, ja po prostu musiałam z kimś porozmawiać. Najbardziej o Pawle, który zapewne poszedł do Julii, by zatonać w jej ramionach. Teraz, skoro już załatwił sprawę ze mną, mogą przestać udawać. A ja mogę przestać udawać, że



tego nie widzę. Gdyby jeszcze choć próbowali się kryć ze swoim uczuciem... Skąd, cieszyli się jak dzieci na widok całej furi prezentów pod choinką. Cóż, przynajmniej nie robili tego ostentacyjnie. Ukradkowe spojrzenia, uśmiechy pełne sympatii, troska... Ona siedziała ze mną i „nasza przyjaźń zacieśniała się coraz bardziej”, on odnosił się przyjacielsko, bo „przecież nic takiego się nie stało”. Robiłam dobrą minę do złej gry i ledwie to wytrzymałam, wieczorami płakałam w poduszkę aż do późnej nocy albo marzyłam, by więcej się nie obudzić. Wreszcie postawił kropkę nad „i” tą cholerną szczerością, która wylała się z niego na ulicy. Sama byłam sobie winna, po co żądałam wyjaśnień. Czy można wyjaśnić, czemu przestało się kogoś kochać?

– Mogę wejść? – spytałam.

Bez słowa wpuściła mnie do środka. Weszłam do jej pokoju i od razu usiadłam na kanapie, a po chwili zaczęłam płakać. Renata mogłaby teraz mnie poniżyć i przypomnieć, jak niedobrze okazałam się przyjaciółką i jak się odsunęłam od niej, kiedy chodziłam z Pawłem, ale jednak nie zrobiła tego. Usiadła obok mnie, wyjęła chustki do nosa i podała mi kilka, a potem objęła ramieniem.

– No nie płacz – powiedziała niezręcznie. – Chyba nie warto...

Nie warto? Warto! Płakałam za Pawłem, którego miałam na tyle długo, by teraz czuć tę wyrwę w sercu. Za Julią, której nigdy nie rozgryzę i nie zrozumiem. Za Justyną, której nie zdążyłam poznać, a która leży w grobie, chociaż czekało na nią całe życie.

– Warto. – Wydmuchałam nos, ale zaraz zaczęłam płakać na nowo. – Zwłaszcza za nim warto... Nawet nie wiesz, jak bardzo warto.

I nie zważając na to, że pewnych intymnych szczegółów nie należałoby ujawniać, opowiedziałam jej wszystko, co się wydarzyło, co czułam wtedy i co poczułam teraz.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparła, kiedy skończyłam. – Mnie to nigdy się nie zdarzy.

– Co ci się nie zdarzy? – spytałam. – Taka wielka miłość?

– Bycie z kimś tak atrakcyjnym, uczestniczenie w samym środku takiej historii jak ta z Julią... Nic mi się nie zdarzy, nic... Bo jestem nikim.

Nie taka miała być ta rozmowa. Nawet łzy przestały mi lecieć z oczu.

– Tacy jak ja się nie liczą – kontynuowała bardzo poważnie. – I nie zapewniamy ci, że tak nie jest, nie po to ci o tym mówię. Ty jesteś bystra, fajna, ładna, zgrabna, wyróżniasz się czymś, będziesz pisarką. Poza tym masz zupełnie normalnych rodziców, którzy nie powtarzają ci codziennie, byś zrobiła coś ze sobą... Ja tego nie mam. Nic nie mam.

Kapnęło mi z nosa. Otarłam go rękawem niczym pięciolatka.

– Nigdy bym...

– Daruj sobie – powiedziała miękko. – Nie potrzebuję ani zaprzeczeń, ani

pocieszeń.

Siedziałyśmy chwilę w milczeniu, a ja stopniowo się uspokajałam.

– Cieszę się, że przyszłaś, nawet jeśli chcesz tylko dowiedzieć się czegoś więcej o śledztwie.

Nie po to przyszłam. Nie obchodziło mnie, kto porwał Julię i zabił Justynę, nic a nic, nawet jeśli wujek Renaty odkrył winowajcę i zamierzał mnie o tym poinformować. Chciałam jej wsparcia. Człowiek wmawia sobie, że sam wszystko przetrzyma, ale ile można wziąć na siedemnastoletnie barki?

– Widzisz... – zaczęłam. – Ja naprawdę cię lubię...

– Nie musisz – przerwała mi.

– Nie – uparłam się. – Daj mi dokończyć. – Zaczerpnęłam powietrza. – Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że łączy nas przyjaźń. Byłaś obok mnie, a ja tego nie widziałam. Teraz potrzebuję ciebie, a nie Julii, bo to ty mnie rozumiesz. I naprawdę nie wiem, czemu to wszystko się pogmatwało. Jak mogłam stracić nad tym kontrolę?

Nie mogłam powiedzieć jej o strychu, ale postanowiłam chociaż wytłumaczyć, dlaczego usiadłam z Julią.

– Justyna tak ustaliła. Chciała, żebyśmy się przyjaźniły. Do dziś nie wiem czemu. Już nigdy jej o to nie zapytam.

Renata zamyśliła się.

– A Julia nie wie? Może o to poprosiła?

Zaprzeczyłam. Julię zaskoczyło to tak samo jak mnie czy Kaśkę. Justyna miała jakiś cel, tajemniczy plan, dla którego sprowadziła ją na strych. Nawet latarka odgrywała tu znaczącą rolę, tylko nie umiałam dostrzec powiązań między tym wszystkim.

– Ja też chciałam odkryć tajemnicę porwania Julii. Zwłaszcza, kiedy się znalazła. To było takie... pełne brawury – uśmiechnęła się smutno. – Jak na filmach. Ale teraz wołałabym nie wiedzieć, co stało się z Justyną. Za nic bym nie chciała. Ty myślisz zupełnie inaczej i podziwiam cię za to. Naprawdę. Ze wszystkich sił.

– Dlaczego tak nie lubisz swoich rodziców? – spytałam zniechęta.

Teraz mogłaby wstać i kazać mi się wynosić, jednak znów mnie zaskoczyła.

– To raczej oni nie lubią mnie. Czasami zachowują się tak, jakbym była adoptowana, a oni by żalowali, że nie wybrali lepszego egzemplarza...

– Daj spokój. – Wzięłam ją za rękę. – Rodzice tacy są. Różnice pokoleniowe... Przecież wtedy, kiedy rozmawiałyśmy o ewentualnej ucieczce Julii, to ty właśnie...

Pokręciła gwałtownie głową.

– Nie, nie, to co innego. Dawno temu mój tata podobno kogoś poznał... Inną kobietę.

Boże, nie chciałam jej sprowokować do takich wyznań, nie miałam prawa tak się wdzierać w jej świat. Chciałam przerwać, ale nie pozwoliła.

– Muszę to komuś powiedzieć, bo zwariuję. – Uniosła dłoń, a potem odwróciła wzrok. – Ostatnio ten temat wraca w ich rozmowach. Ojciec chciał do niej odejść, ale mama się dowiedziała. Nie wiem, co zrobiła, powiedziała tylko: „Ukróciłam to, ale na pewne sprawy było za późno”.

– Skąd o tym wiesz?

– Mówiła o tym twojej matce. Nie usłyszałam, o kogo chodziło, ale dodała jeszcze: „Dziewczynki spotykają się codziennie, chodzą do szkoły, a nie wiedzą, co zrobili ich rodzice”. Więcej nie słyszałam.

Jej matka powiedziała o takiej sprawie mojej. Czy przyjaźniły się aż tak bardzo, czy chodziło o coś innego? I o co?

– Twój ojciec popełnił błąd i miał romans z inną kobietą. To się zdarza, Renata. I nie jest to twoja wina.

– Nie rozumiesz. – Wstała gwałtownie i zaczęła krążyć po pokoju. – To jakaś kobieta z bliskiego otoczenia, matka Julii albo Justyny. Kiedy dostałam się do liceum, mama stanowczo zabroniła ojcu chodzić na zebrania. „Zostaw to mnie i nie waż się do niej zbliżyć”, powiedziała mu i jeszcze dodała: „Może i wolałbyś być z tamtą dziewczynką, ale masz nas. Przykro mi, pewnie nie tego chciałeś”.

Nie chciała, by mąż zbliżał się do kobiety, z którą ją zdradzał. Co w tym dziwnego? Ja na jej miejscu zrobiłabym tak samo.

– Ojciec nigdy nie był dla mnie miły ani serdeczny. Kiedyś podczas awantury, kiedy pyskowałam, zamierzył się na mnie, a matka podniosła krzyk, że on nie ma do mnie żadnego prawa po tym, co zrobił, i że może sobie bić kogoś innego... Wtedy nie wiedziałam, o co chodzi.

Współczułam jej, mój ojciec też nigdy nie okazywał mi zbyt wiele czułości czy miłości, ale w sumie nie miałam mu nic do zarzucenia.

– Dlaczego myślisz, że chodzi o matkę Justyny albo Julii?

– Bo do matki Julii wydzwaniał po kryjomu, kiedy mama wychodziła z domu.

– A co z matką Justyny? Chyba z obiema nie romansował?

– Kiedy zapytałam mamę, czy mogę pouczyć się u Justyny, zabroniła mi – wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, to może być mama Justyny, Julii, Edyty, z którą teraz siedzisz, kogokolwiek. Nie dojdiesz, tylko się zadręczysz. I nic to nie da, jeżeli będziesz się za to obwiniać.

Renata pokręciła przecząco głową i znów zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. Nie znałam jej takiej.

– To nie o to chodzi. Widzisz, kiedyś weszłam do domu, a oni się kłócili. Nie zauważyli mnie. Ojciec mówił, że gdyby nie ja, to by odszedł, bo matka zmieniła

mu życie w piekło, a tamta... nie, wykrzyczał wtedy: „one” – one były dobre... Wycofałam się cicho, zanim mnie zobaczyli. Ojciec wyszedł gdzieś, trzasnął drzwiami. Mama płakała, nie chciała mi potem powiedzieć dlaczego. Powtarzała tylko: „idź do siebie, idź do siebie”. To wydarzyło się wtedy, kiedy zniknęła Julia. Potem pytałam...

– Co?! – wykrzyknęłam. – Mówisz serio?

– No tak – przytaknęła ze zdziwieniem. – Wtedy. Krążył po ulicach, więc mógł kogoś zobaczyć. Poprosiłam go, by zgłosił się na policję, jeśli zauważył coś podejrzanego. Odburknął, że widział mnóstwo ludzi, ale nie potrafi powiedzieć kogo, bo był bardzo wzburzony, a potem przypomniał sobie, jak Pankracy kręcił się w pobliżu domu Julii. Ja też go widziałam, kiedy wracałam ze zbiórki. Już tam więcej nie pójdę, wypisałam się z harcerstwa, jakaś porażka...

– Co ty mówisz? – Nagle zrobiło mi się słabo. – Widziałaś wtedy Pankracego?

– Tak, ty nie poszłaś na zbiórkę i miałaś rację. Beznadziejna...

– Renata! – przerwałam jej, niemal krzyżąc. – Czy ty wtedy widziałaś Pankracego?! I namówiłaś ojca, by powiedział o tym policji?!

Gwałtownie pokręciła głową, w jej oczach błysnął strach.

– Ja im powiedziałam, Marzena. Ojciec nie chciał. No to ja im powiedziałam.

Udawałyśmy z Julią, że nic się nie stało, i nawet całkiem niezłe to nam wychodziło. Temat Pawła nie padał, uczyłyśmy się jak dawniej. Cóż... jak mawiała moja mama, kulturalni ludzie wiele potrafią znieść. Sama ani razu nie zapytała mnie o to, dlaczego przestał do nas przychodzić, za to co chwilę sprawdzała, jak się czuję. A jak miałam się czuć? Z trudem, ale jednak jakoś to znosiłam... Pewnie byłam bardzo kulturalna.

– Dlaczego tak bardzo boisz się ciemności? – spytała cicho Julia.

To pytanie zadawałam sobie od najwcześniejszego dzieciństwa. Siedziałyśmy nad matematyką, ale coś nam nie szło. Żadna z nas nie umiała się skupić. Ja z powodu tego, co mi wczoraj powiedziała Renata, ona, Bóg jeden wie czemu była taka rozkojarzona.

– Zawsze bałam się ciemności – odpowiedziałam suchym głosem. – Odkąd pamiętam. W domu w każdym pokoju, praktycznie wszędzie są świece. Rodzice się przyzwyczaili. Jeśli elektrownia wyłączy światło, możemy je szybko zapalić.

Pośliniła palec i przejechała nim po stole, jakby chciała zetrzeć niewidzialną plamkę.

– Mówiłaś, że wystarczy ci nawet odrobina światła. To dziwne. Osoby bojące się ciemności denerwują się nawet wieczorami...

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Czulałam się nieco nieswojo. Jak miałabym wyjaśnić, czemu nie przeraża mnie gęsty mrok, mgła nie robi na mnie wrażenia,

a ciemność paraliżuje? Najpierw ktoś musiałby wyjaśnić to mnie.

– Bo tak jest. Dlatego mogę normalnie funkcjonować wieczorami. Po prostu tak mam.

Znów oderwała wzrok od podręcznika do matematyki i odgarnęła włosy tym ruchem, który wzbudzał we mnie jakieś nieokreślone odczucia. Nie mogłam tego zrozumieć. Przed zaśnięciem fantazjowałam o Pawle, marzyłam, że mnie dotyka, całuje, bierze w ramiona. Miałam mokro między nogami i przeżywałam orgazmy. Kiedy byłam z nią, fascynowała mnie, wręcz hipnotyzowała swoim urokiem i niewinnością, mimo tej całej mrocznej historii. Wtedy przestawałam być sobą, a stawałam się nim i pragnęłam Julii. Nienormalne to, wiem.

– Pamiętasz, kiedy to się zaczęło? – spytała. – Bo wiesz, takie fobie mają swój początek...

Wiedziałam o tym. Czytałam różne pisemka i ukradkiem pożycztałam z biblioteki proste poradniki psychologiczne, próbując dowiedzieć się, czemu tak bardzo boję się ciemności. Niestety nie dostałam wystarczająco, nosem omen, jasnej odpowiedzi.

– Mama mi mówiła – zaczęłam niepewnie – że kiedy miałam ze trzy lata, zesłam za tatą do piwnicy. Nie wiem, czy mnie nie zauważył, trudno mi to teraz odtworzyć. Zagadał się z Adam... takim sąsiadem i zamknęli mnie. Podobno siedziałam tam pół dnia.

– Boże! – powiedziała i złapała mnie za rękę.

Wciąż nie wolno było poruszać z Julią tematu porwania i uwięzienia jej ani mówić niczego, co mogłoby przypomnieć tamten czas. Co jednak mogłam poradzić, przecież sama zaczęła o tym mówić. Wydawała się mniej przerażona ode mnie, a to jej „Boże” raczej nie dotyczyło jej wspomnienia, tylko mojego. W tamtej chwili zdałam sobie sprawę, że właśnie odkryłam, co może nas połączyć. Obie zostałyśmy uwięzione w piwnicy, obie tego nie pamiętałyśmy, nie chciałyśmy pamiętać. I coś jeszcze. Przecież ona widziała mój atak lęku tamtego wieczoru, którego rzekomo nie pamiętała.

– Skąd o tym wiesz? – spytałam.

– Paweł mi mówił – powiedziała szybko. Za szybko.

– Nie powinnam o tym z tobą rozmawiać. – Przełknęłam ślinę. – O tym, co się stało.

Julia pokręciła przecząco głową.

– Ile razy mam powtarzać wszystkim, że nic nie pamiętam.

Znów ta szybka reakcja. Podejrzanie szybka.

– Ja też nie – powiedziałam cicho, patrząc na nią uważnie. – Znam to z opowiadań. Czasami przypominam sobie, jak siedziałam w kucki w jakimś kącie albo pukałam do drzwi i płakałam, ale... Nie potrafię powiedzieć, czy to rzeczywiście moje wspomnienie, czy też wymyśliłam to sobie. Wspomnienia mogą

być przecież fałszywe.

Zamknęła zeszyt.

– Wiem – odparła. – Chyba sama zacznę takowe generować. Wszystko dlatego, że nie mogę o tym mówić, co mnie strasznie denerwuje. Zabraniają mi poruszać ten temat zupełnie bez sensu. Gdybym nie mogła rozmawiać o tym tylko w szkole, to rozumiem, bo to niezręczne, ale mnie nie wolno nawet powiedzieć psychologom...

Zdumiałam się. A niby jak odbywały się jej przesłuchania, skoro nie mogła o tym opowiadać? Czy oni na pewno wiedzieli, czego od niej chcą?

– Czekaj... – zaczęłam delikatnie. – Przecież powinnaś rozmawiać o tym z psychologiem, żeby wszystko sobie przypomnieć.

– Oni sami nie wiedzą, czego chcą. – Pokręciła głową. – Moja mama stara się o terapię w Warszawie, tylko tutaj nie musimy płacić, a tam...

No tak, pieniądze zawsze są problemem. U mnie w domu też się nie przelewa, chociaż ojciec ma nową pracę. Dlaczego właściwie...

– Powinno raczej udać się przenieść cię do Warszawy do jakiegoś państwowego ośrodka. Skoro tutaj ci nie pomagają... – Nie chciałam, by moja myśl krążyła wokół nie moich problemów.

– To nie takie proste. Doktor Kołodziejska stanowczo się temu sprzeciwia. Nie wiem, o co chodzi.

Doktor Kołodziejska, czyli mama Kaśki i jednocześnie lekarka Justyny. Skóra na plecach nieoczekiwanie mi ścierpła. To nie mógł być przypadek, co oni wszyscy robili Julii?

– Czy to właściwe, że leczy cię mama Kaśki? – zapytałam cicho.

– Rozumiem, co masz na myśli – odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy. – Nie powinna mnie leczyć osoba, którą znam.

– A znasz? – Sama nie mogłabym tak powiedzieć o mamie Kaśki.

Widywałam ją, owszem, rozmawiałam wtedy, kiedy prosiłam, by pozwoliła jej iść z nami na sylwestra, ale jej nie znałam.

– Znam. – Pokiwała głową. Znow otworzyła zeszyt i zaczęła rysować pionowe i poziome kreski, a potem zamazywać tworzące się w ten sposób figury. Zupełnie jak Renata. – Ona przyjmuje w tutejszym ośrodku rodzinnym, jest konsultantem. Kiedy mój braciszek miał problem, doktor Kołodziejska go konsultowała.

– Jaki problem? – Pomyślałam, że jeśli będzie więcej powiązań między nami czterema i naszymi rodzicami, to nigdy nie znajdę odpowiedzi na swoje pytania. Już teraz to wszystko robiło się zbyt zagmatwane.

– On jest autystyczny i bił dzieci. Uciekał nam i zaczajał się gdzieś w pobliżu przedszkola, a potem rzucał się na dzieciaki i dosłownie je masakrował. Tak zrobił z Tytusem Michalskim, synem pani Mai. Wiem, że to twoi sąsiedzi.

Paweł mi mówił – dodała, widząc moją minę. – Pobił go do krwi. Nie mogłam potem chodzić na francuski, bo Tytus na mój widok zaczynał krzyczeć. I z synkiem Małgosi Krygier. Miał rozcięty łuk brwiowy. Mama Justyny jest prawniczką... Nie chcesz wiedzieć, co się wtedy działo.

Pochyliła się nad zeszytem. Tym razem zaczęła pisać esy-floresy. Przeciwnie, bardzo chciałam wiedzieć.

– Powiedz mi, proszę.

Powinam już wracać. Nic nie powtórzyłyśmy z matematyki, a jutro Liczbak będzie ją sprawdzał. Stracone popołudnie. W dodatku wypytuję ją o sprawy, o które nie powinam pytać. Jeśli się dowiedzą, to koniec ze mną. Niby chcę jej pomóc, bo rzeczywiście podle ją traktują, ale jeśli to zrobię, ona dostanie się do lepszego psychologa. Co będzie, jeśli przypomni sobie tamten wieczór? To znaczy, jeśli przestanie udawać, że go nie pamięta?

– Mama Justyny zagroziła: albo zaczniemy Grzesia leczyć, albo ona każe umieścić go w specjalistycznym ośrodku i spowoduje nakaz leczenia. Moja mama z kolei uważała, że Grzesiowi nic nie jest, jest odrobinę bardziej wrażliwy niż inne dzieci, to wszystko. Jednak my, to znaczy ja i tata, podzielaliśmy zdanie doktor Kołodziejkiej – mały powinien pójść na terapię. Tłumaczyliśmy to mamie, ale upierała się przy swoim, przerażała ją wizja psychotropów i elektrowstrząsów. Nie dało się z nią rozmawiać. Wreszcie, kiedy Grzesio na jej oczach złamał rękę Irkowi...

– Wtedy się zgodziła?

– Tak, wtedy musiała się zgodzić. Doktor Kołodziejka wszystko załatwiła i Grzesio został objęty terapią. Od czterech lat chodzimy z nim do psychiatrii dziecięcej. Jest prawie zupełnie dobrze. Leki działają, co więcej, nie otumaniają go ani nie utrudniają nauki. Pani doktor miała wtedy absolutną rację.

– I dlatego to ona objęła cię opieką po tym, jak się... znalazłaś?

Pokiwała głową.

– Pewnie tak. Ale... doktor Kołodziejki mnie badał i to było... straszne, bo jego też przecież znam.

Przypomniałam sobie, że ojciec Kaśki jest ginekologiem. Dlaczego dopuścili ich do prowadzenia tak trudnej sprawy? I co ważniejsze, czemu, u licha, mieli zajmować się dziewczyną, którą dobrze znali? Zupełnie tego nie rozumiałam. Psycholog znający pacjentkę, to jeszcze ujdzie, ale czy ginekologiem badającym ofiarę uprowadzenia i przetrzymywania nie powinna być w tym wypadku kobieta? Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Ona mi wcale nie pomaga. – Julia znów na mnie nie patrzyła. Ścisnęła ołówki obiema dłońmi, aż wreszcie pękł na dwie nierówne części. Trzask rozległ się w pokoju niczym wystrzał z pistoletu. Podskoczyłam. – Ile razy chcę pogadać o tym, co sobie przypominam, natychmiast mi przerywa i mówi, że nie będziemy

o tym rozmawiać.

– Może tak trzeba? – zaryzykowałam pytanie. Nie zabrzmiało to w żaden sposób wiarygodnie.

Nie znałam się specjalnie na pracy psychologa, ale może w tej ochronie Julii, izolowaniu jej od wszystkiego, co mogło ją zranić, była głębsza myśl i tylko ja nie umiałam jej dostrzec, bo za mało wiedziałam. Może zamiast polonistyki powinnam studiować psychologię? Mogłabym zrozumieć pewne sprawy. Muszę to rozważyć.

– Nie wiem, czy tak trzeba. Po prostu strasznie mnie to męczy. Pewne rzeczy wydają mi się na wyciągnięcie ręki, a ona nie pozwala mi po to sięgnąć. Znasz to uczucie? Kiedy chcesz coś powiedzieć, masz to na końcu języka, a ktoś odwraca twoją uwagę i nagle już nie wiesz, o co ci chodziło...

Znałam takie uczucie. Nie tak dosłownie doświadczałam tych samych emocji, ale wiedziałam, o czym mówi. Ja zderzałam się ze ścianą, ile razy próbowałam zrozumieć, co stało się z nią, a potem z Justyną. Chyba nadszedł czas, by o tym porozmawiać. Nieważne, czy będę miała przez to kłopoty, czy nie.

– Jeśli chcesz coś wyrzucić z siebie, możesz powiedzieć to mnie. Teraz. Chyba chciała, bo nie zaprzeczyła, nie powiedziała, że to przemyśli albo spyta swojej terapeutki.

– Chciałabym, tylko...

Patrzyła na mnie z jakąś dziwną prośbą w oczach. Co ja bym dała, by odczytać jej intencje! Co zrobić, by mi zaufała?

– O co chodzi?

Może i nie byłam dość kompetentna, żeby o tym rozmawiać, ale chciałam to wszystko zrozumieć. Co więcej, jeśli odkryję, kto za tym stoi, będziemy z Kaśką bezpieczne. Kto wie, co grozi jeszcze Julii. A jeśli porywacz spróbuje jeszcze raz zrobić jej krzywdę? Właściwie dlaczego nie.

– Chodzi o... Pawła – powiedziała, patrząc w bok. – O ciebie i Pawła. Nie mogę rozmawiać z tobą, bo nie chciałabym... cię zranić. I nie wiem dokładnie, co wy...

Zesztywniałam. Jeśli spyta co zaszło między nami, powiem jej. Paweł wolałby pewnie, bym skłamała. Niedoczekanie jego.

– Dlaczego nie masz pretensji, że ci go... zabrałam?

Miałam pretensję i to wielką, ale raczej do Pawła, a nie do niej.

– Bo nie mam. Paweł odszedł ode mnie... – Łzy napłynęły mi do oczu. Tylko się nie rozplacz, błagałam siebie samą, jakby to mogło pomóc. To takie poniżające! Niepotrzebnie to powiedziałam. Nie powinnam była tak się odsłaniać. Mieć kogoś tak blisko, zakochać się, a potem zostać z pustymi rękoma, ale ryzykowałam. Zaufanie za zaufanie.

– Przepraszam – odezwała się.

Zalała mnie fala złości. Głupia, śmieszna kretyńko, myślałam, patrząc na nią



spokojnie, teraz naprawdę mnie wkurzyłaś! Szkoda, że tamten facet cię nie zamordował! Przynajmniej nie byłoby tego wszystkiego – nauczyciele nie trzęsiliby się nad tobą, ja nie musiałabym ci oddawać Pawła. Justyna nie musiałaby umierać...

– Nie masz za co przepraszać – nie mogłam wymówić poprawnie tych słów. Brzmiały chrapliwie, jak u mojego dziadka. – I tak nie zmusiałabym go, by ze mną został.

– Mogę ci go oddać – powiedziała nieoczekiwanie. – Bo jeśli wy... to ja nie mogę...

Poczułam się jeszcze gorzej. Chyba nikt jeszcze mnie tak nie poniżył. Jeśli pamiętała, co się stało na strychu, i mściła się za to, to zemsta była okrutniejsza, niż na to zasługiwałam.

– To nie jest przedmiot – zdołałam wykrztusić. – Nie możesz mi go „oddać”.

– Czy wy... byliście ze sobą?

Nie umiałam odgadnąć, czy zależy jej na Pawle, czy też nie. A może go chciała, ale tylko, jeśli go nie tknęłam.

Patrząc jej w oczy, pokiwałam powoli głową. Odwróciła wzrok.

– Nic nie będzie z tej nauki. – Odsunęła gwałtownie zeszyt i książkę, aż te spadły po drugiej stronie stołu. – Chyba zrobię to, co chce Miłoszewski, i pójdę zaliczyć do niego.

Powiedziała to złośliwym tonem. Zabrzmiało to nieładnie i tak jakoś... podle.

– Jak to? – spytałam.

– Wielokrotnie proponował, że sam będzie udzielał mi lekcji – rzuciła lekko.

– Nawet poszłam raz do niego... Zanim tamto się stało. Wiesz, że on mieszka z mamusią, która patrzy wilkiem na przychodzące na korepetycje uczennice?

Siedziałam z rozdziawionymi ustami. Przypomniało mi się to, co mówiła Czarna Mańka. Liczbak był bardzo podobny do swojej matki.

Pogrzeb Justyny był koszmarem. Długo nie mogłam o tym rozmawiać ani nawet wspominać. Jakbym wrzuciła tamto zdarzenie w najgłębszą szufladę pamięci i schowała klucz. Najgorzej zareagowałam na widok urny z prochami na katafalku. Nigdy nie widziałam wcześniej urny na pogrzebie, może niewiele pogrzebów pamiętałam. Oczywiście wiedziałam, że człowiek po śmierci nic nie czuje, ale na myśl o tym, jak wkładają ją do ognia, zaczynałam się trząść. Płakałam podczas pogrzebu prawie przez cały czas. Z boku patrząc, można by pomyśleć, że byłam jej najlepszą przyjaciółką. Zresztą wiele osób płakało. Tych z naszej klasy, jak i zupełnie mi obcych. Edyta szlochała głośno, Ewa wtedy, kiedy rozlegało się żałobne łkanie organów, Dominika Żelazko prawie całą mszę trzymała twarz w dłoniach, Iwonce Bogut łzy ciekły strugami po policzkach. Płakały nie tylko dziewczyny, chłopcy też. Tomek, największy dowcipniś z całej klasy, który podczas nieobecności Julii żartował na ten temat, teraz ocierał ukradkiem oczy.

Karol głośno siąkał nosem, a Paweł podobnie jak Edyta szlochał, tylko bezgłośnie.

Ksiądz wygłosił przemówienie, podkreślając, jak bardzo lubiliśmy Justynę. Nie miałam do niego pretensji, przecież zawsze podkreśla się zalety człowieka, a nie jego wady. Zresztą, co taki ksiądz mógł wiedzieć. Justyna świetnie się uczyła, nie sprawiała żadnych problemów. Na pewno nie wiedział o tym, że leczyła się psychiatrycznie, bo i skąd. Poza tym pogrzeby są dla rodziny, bo zmarłemu już nic nie pomoże. Zadrżałam na tę myśl. Wielokrotnie zastanawiałam się nad moim stosunkiem do Boga. Chodziłam do kościoła, na te wszystkie uroczystości, pasterkę, rezurekcję, starałam się zrozumieć, naprawdę, wierzcie mi. Ale nie rozumiałam. Wolna wola tam, gdzie komu wygodnie, błogosławieni, którzy nie widzieli a uwierzyli. Czy ja zaliczałam się do prawdziwych wiernych? Niestety nie. Świętszy Paweł pewnie się zaliczał. Jego śpiew na pogrzebie można by porównać do wycia zranionego łabędzia czy słowika przebijającego serce kolcem, by ładniej zaśpiewać, jak ten w bajce Wilde'a.

– *Anieli w szatach, rozdarci cierpieniem, niosą duszę Twą* – zawodził, chociaż potrafił zaśpiewać naprawdę pięknie. – *Cierpieli, kiedy lecieli przed oblicze Twe, Panie mój...*

Przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że pracą aniołów jest wyrywanie dusz z ziemi i latanie z nimi przed oblicze Najwyższego. Nie powinni zatem cierpieć, tylko się cieszyć. Przecież życie na ziemi jest gehenną, podczas kiedy niebo ma być rajem.

– *W bieli na zielonej łące, wśród bzów i róż...*

Niedobrze mi się robiło od jego śpiewu. Siostra organistka waliła z mocą w nowe organy, co też nie robiło dobrego wrażenia. I te słowa Świętszego Pawła, zielona łąka, bzy i róże. Koszmar zupełny. Żal mi było Justyny, że skazano ją na takie pożegnanie.

– Niech przestanie, niech przestanie – powiedziała Mimoza.

Nie zauważyłam, kiedy stanęła koło mnie. Jak zwykle nie wiedziałam, co ma dokładnie na myśli – śpiewanie czy to, co mi kołatało w głowie o Bogu i sprawach ostatecznych.

– Znała pani Justynę? – spytałam cicho.

Czemu przyszła na pogrzeb? Świętszy uwielbiał pogrzeby, sprawiała mu przyjemność, ale ona?

– Młode życie, młode życie... Taka wielka szkoda, taka straszna szkoda...

– Czemu wszystko pani powtarza? – znów spytałam, a ksiądz, który nagle zdematerializował się koło nas, syknął z oburzeniem. Miał rację, nie powinnyśmy rozmawiać, przynajmniej nie tutaj. Mimoza nagle wycofała się na sam koniec kościoła.

W naszym imieniu Justynę pożegnała Edyta Andruszkiewicz. Sama się zgłosiła, ku mojej uldze, bo obawiałam się, że Grubanna każe mi to robić. Nie

wytrzymałabym i wybuchłabym płaczem, a to przecież naszą koleżankę zamordowano, to ona była poszkodowana, a nie my. My tylko cierpieliśmy po jej stracie albo ze strachu przed zwyrodniałcem zadomowionym w naszym mieście.

– Odeszła jedna z nas – zaczęła Edyta – pograżając wszystkich nie tylko w żalu, ale i w tęsknocie. Nie uda nam się przepisać od niej lekcji, a zawsze miała zrobione, szczególnie matematykę. Zazdrościłam jej tego, jak łatwo przychodziła jej nauka, pewnie nie tylko ja... Nie usłyszymy jej ironicznych komentarzy. Niektórzy się ich bali, bo jak nikt umiała ocenić, trafić w punkt. Umiała wiele rzeczy. Wiele razy mi pomogła. Była nie tylko wspaniałą córką i siostrą, ale też najlepszą uczennicą, a według mnie też bardzo silną i odważną dziewczyną. Nie wyobrażam sobie, by dała się komuś złamać. Pewnie dlatego... odeszła. Bo się nie bała. Mam taką nadzieję, gdyż poczucie, że mogła być bezradna... przeszywa mnie na wylot.

Rozległ się stuk. Ciało matki Justyny bezwładnie osunęło się na kamienną posadzkę. Jej ojciec klęknął obok żony, następnie uniósł ją lekko niczym piórko i wyszedł z kościoła. Edyta nie przerwała swojej wypowiedzi. Rozumiałam ją. Niezależnie od tego, co by powiedziała, matka Justyny musiała rozpadać się z żalu za córką.

– Żegnamy cię, Justyno – dodała. – Mam nadzieję, że jest gdzieś lepszy świat i ty w nim jesteś...

Zeszła z ołtarza i stanęła koło nas. Kiedy mówiła, wyglądała tak spokojnie, a teraz cała się trzęsła. Podziwiałam ją. Mówiłam wam, nie poradziłabym sobie z tym. Przynajmniej przyszedł na mszę, w przeciwieństwie do Julii i Kaśki. Nieobecność tej ostatniej zaskoczyła mnie. I dlaczego nie przyszli też jej rodzice? Przecież Justyna była pacjentką doktor Kołodziejkiej. Naprawdę nie mogła zwolnić się z pracy i przyjść? A może bała się spojrzeć w oczy jej matce i ojcu? Chociaż Justyna nie popełniła samobójstwa, nie można obwiniać lekarza, że porwał ją świr i uderzył w głowę. Postanowiłam po pogrzebie pójść do Kaśki do domu i spytać, czemu nie przyszła. Nachyliłam się w stronę Renaty stojącej między mną a Edytą i ocierającej twarz zalaną łzami.

– Pójdziemy potem do Kaśki?

Pokiwała głową. Świątzy znów wyśpiewywał pieśni, które z trudem znosiłam. Obejrzałam się za siebie. Dostrzegłam w ławkach Adamsów siedzących ze spuszczonej głowami. Przyszli bez dzieci. W ostatniej ławce kiwał się Pikuś Don Kichot, głośno smarkał, a ramiona drgały mu jak w jakimś ataku. Jego mama zupełnie nie zwracała na to wszystko uwagi. Patrzyła tępo przed siebie, od czasu do czasu kręciła głowę w niemym przeczeniu. Dużo bym dała, by poznać myśli Pikusia. Na pewno nie miał nic wspólnego z porwaniem Julii i Justyny czy ze śmiercią tej ostatniej, ale jednak coś wiedział. Tylko co? Kiedy Świątzy wreszcie umilkł, z tyłu kościoła rozległ się hałas. To ojciec Justyny wprowadzał żonę

z powrotem na krzesło koło katafalku. Przez chwilę zdawało mi się, że widziałam rodziców Kaśki, ale nie, to byli inni, zupełnie nieznanymi mi ludźmi. Ksiądz kończył mszę. Obejrzałam się jeszcze raz, bo coś nie dawało mi spokoju. Wreszcie ich zauważyłam. Liczbaka i Czarną Mańkę stojących koło siebie. Czemu tu przyszła? On zjawił się wraz ze wszystkimi nauczycielami oraz dyrektorką Anielą Pruszczyk, ale całe grono pedagogów stało przy nas, a Liczbak koło mamusi. Ciekawe, co by powiedziała na temat morderstwa Justyny. O Julii mówiła same złe rzeczy, może o Justynie miała inne zdanie, bo ta raczej nie potrzebowała korepetycji Liczbaka ani jego łaski. Już chciałam się odwrócić, kiedy dostrzegłam Nosicieli z dziećmi na rękach. Stali ze zbolętymi, odpowiednimi na pogrzeb minami, a dzieci spoczywały im tradycyjnie na ramionach. A za nimi stali moi rodzice oraz dziadek. Zamurowało mnie. Ich obecność była zupełnie zrozumiała, znali i Justynę, i jej rodziców, okazali więc szacunek, tylko nie powiedzieli mi nic o tym, że się wybierają. Mogliśmy pójść razem. Kto wie, może po prostu nie chcieli ze mną pójść. Wcale bym się nie dziwiła.

Wracałam z Renatą, która nie przestawała płakać.

– Niepotrzebnie poszłam na cmentarz – powiedziała w końcu. – Myślałam, że nie dam tam rady.

Ja też tak myślałam. Kiedy włożyli pudełko z Justyną do ziemi, zrobiło mi się słabo. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, powiedział ksiądz, a moje łęki eksplodowały. Tak, zgadliście, bałam się śmierci. Jak każdy, kto ma małą wiarę i boi się tego, co jest po drugiej stronie – nicości. Żadnych kwiatnych łąk, kolejnego życia, nie można sobie fruwać nad ziemią i patrzeć, co tam u innych, tych na dole. Bałam się śmierci też i z innego powodu. Była ciemnością.

– Ja też – odparłam.

Chwilę szliśmy w milczeniu.

– Mam wrażenie, że policja nic nie robi – rzuciłam w końcu.

– Robi – zaprzeczyła nieuważnie. Ciągle płakała.

– To czemu nas nie przesłuchują? – spytałam. – Po zniknięciu Julii przychodzili do szkoły tyle razy, a po tym, jak znaleźli Justynę... Nic.

Potknęła się na jakiejś wystającej płycie chodnikowej i poleciała gwałtownie do przodu. Gdybym jej nie złapała, upadłaby na twarz. Zaczęła płakać jeszcze głośniejsze.

– Proszę cię, przestań – poprosiłam. – Bo ja też nie mogę sobie dać rady...

Stała koło brzozy rosnącej na ulicy. Objęła ją rękoma i przytuliła się do pnia. Oddychała głęboko. Przypomniałam sobie, co na ten temat mówiła Grubanna.

– Zaraz mi tu zasłabniesz, oddychaj normalnie...

Zamknęła oczy. Ja też stanęłam przy drzewie i objęłam je. Wcale nie zrobiło mi się lepiej, kora była twarda i mokra od niedawnego deszczu. Odsunęłam się.

– Co robi policja? – spytałam i ostrzegłam od razu. – Tylko proszę cię, nie

mów, że niby interesuje mnie tylko to, co ma do powiedzenia twój wujek...  
Zaczynam się bać i chcę wiedzieć, co jest grane.

– Też bym chciała. – Oderwała się od pnia i spojrzała na mnie. – Nic mi nie mówią i niewiele udaje się podsłuchać. Coś jednak słyszałam.

– Co?

– Po śmierci Justyny przeszukiwali jej pokój. Podobno znaleźli coś, co należało do Julii.

Serce zabiło mi mocniej.

– Co w tym dziwnego? Może coś jej pożyczyła?

Renata pokręciła przecząco głową.

– To coś bardzo osobistego, tyle wiem. Na pewno nie zeszyt czy książka.

I na dodatek to coś miała Julia, kiedy została uprowadzona. Nie umiem tego wyjaśnić ani połączyć.

Wiedziałam, co znaleźli. Dlaczego Justyna nie wyrzuciła tych majtek?  
Czemu je zatrzymała?

– Może Julia potrafi wyjaśnić tę sprawę? – zaryzykowałam pytanie.

– Nie wiem, nie jestem pewna. Mama pytała o to wuja, ale wtedy zauważyli mnie i zaczęli rozmawiać bardzo cicho. Podobno Julia twierdzi, że niczego nie pamięta.

Już dawno w to zwątpiłam. Jakim cudem nie pamiętała ani minuty z tamtego wieczoru, ani chwili po porwaniu i nie wiedziała, kto ją uwolnił? Jak to mogło być możliwe? Jak ktokolwiek, włączając policję, mógł w to uwierzyć?

– Mama Kaśki jest psychologiem, który pracuje z Julią, a jej ojciec badał ją po tym, jak się odnalazła.

Renata stanęła na środku chodnika i w tym momencie idąca za nami kobieta wpadła na nią, prawie ją przewracając.

– Przepraszam panią – rzuciła nieuważnie, a Renata odmruknęła przeprosiny, po czym, nie ruszając się z miejsca, powiedziała do mnie:

– Żartujesz chyba. Przecież to niezgodne z jakimś... prawem.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam szczerze. – Mnie wydaje się to niewłaściwe, ale może tak właśnie trzeba?

– Ależ to jest jakaś... paranoja! Oni mogą na nią wpływać.

Na początku pomyślałam dokładnie to samo. Pokiwałam głową.

– Chodźmy do niej. Była najlepszą przyjaciółką Justyny, pewnie jest załamana i dlatego nie przyszła na pogrzeb.

– Co jej powiemy? – Zacięty wyraz twarzy Renaty nie wróżył niczego dobrego.

– Nic, posiedzimy z nią – zdecydowałam. Wypytywanie Kaśki byłoby, delikatnie mówiąc, nie na miejscu, na pewno nie w tym dniu. – Okażemy jej po prostu trochę serca...

Jednak bezskutecznie dzwoniłyśmy do drzwi. Nikt nam nie otworzył. Może wszyscy wyszli z domu, a może siedzieli zamknięci w czterech ścianach i obmyślali, co z tym wszystkim dalej zrobić. Muszę się dostać do Kaśki, postanowiłam. Jesteśmy obie w niebezpieczeństwie i nie ma co udawać, że nie.

Wróciłam do siebie, ale nie od razu poszłam do domu. Zapukałam najpierw do drzwi Mimozy. Mogła być naturalnie na cmentarzu albo tułać się gdzieś po okolicy, względnie zaszyć się cichutko w kącie, niechętna wizytom gości, ale otworzyła od razu.

– Wejść proszę, wejść proszę.

Na ścianach przedpokoju miała mnóstwo czerwonych tulipanów na białym tle. Gdzieniedzie tylko pokazywały się żółte albo fioletowe.

– To bardzo ładne, chociaż podobały mi się te motyle.

– Nie pasowały już, nie pasowały już.

Weszłam do pokoju. Tam nie było żadnych nowych malunków. Zegar, który namalowała dla mnie lata temu, kilka „starych” obrazów, nic nowego.

– Herbata, herbata – oznajmiła, niosąc na tacy czajniczek i dwie filiżanki z delikatnej porcelany. Obok leżały serwetki. Najwyraźniej Mimoza kupiła takie zwyczajne białe i pomalowała je farbami w kolorowe ptaki, zamieniając je w dzieła sztuki. Jak wytrzeć wargi w coś tak pięknego? Postawiła tacę na stole i wyjęła z kredensu talerz z pierniczkami.

– Proszę, proszę.

– Dlaczego wszystko pani powtarza? – spytałam. – To jest męczące i niczemu nie służy...

Milczała, przypatrując mi się uważnie.

– Jak dobrze znała pani Justynę?

– Nie znałam jej. Widywałam ją z wami, to wszystko – powiedziała, ale nie patrzyła mi w oczy.

Z wdzięcznością przyjąłam to, że nie powtórzyła tych słów.

– Chodziłam z nią do szkoły...

– Wiem o tym. – Nalała herbatę do filiżanek. – Mówię wszystko dwa razy, bo chcę być uznawana za ekscentryczną. Tak jest łatwiej.

– Ludzi to męczy, więc o nic pani nie pytają, tak?

Uśmiechnęła się delikatnie. Na jej pięknej niegdyś twarzy pokazała się siateczka zmarszczek na policzkach i dołączyła do tej wokół ust i oczu.

– Julię lepiej pani znała?

– Zajmowałam się jej braćmi – powiedziała. – Po śmierci mojego męża było ze mną bardzo źle. Znam jej rodziców od wielu lat. Chcieli mi pomóc i tak zostałam nianią ich dzieci. Jako jedni z nielicznych wiedzieli, że nie jestem niebezpieczna.

– Jak to? – nie zrozumiałam.

– Gdyby twój mąż, który... nie jest dla ciebie zbyt miły, wypadł przez okno, a policja orzekłaby nieszczęśliwy wypadek, ludzie i tak nie przestaliby gadać. Zawsze w takich sytuacjach mówi się: „coś jest na rzeczy”, prawda?

Spojrzała na mnie ciepło. Przez chwilę czułam się nie jak siedemnastolatka, ale równorzędna partnerka w rozmowie z kimś bardzo mądrym i obdarzonym charyzmą. Wiedziałam, co ma na myśli. Ja sama uważałam, że wypchnęła drania przez balkon, ale nigdy bym jej za to nie potępiła. Pewnie sąd uznałby inaczej, jednak ja widziałam w niej bohaterkę, która – choć słabsza – wymierzyła sprawiedliwość. Właściwie to nigdy nie uważałam, że jej mąż wypadł przez przypadek albo popełnił samobójstwo, nie przyszło mi to nawet do głowy. Zawsze wyobrażałam sobie, jak drobna Mimoza się kuli, pozornie się poddaje, a potem zbiera wszystkie siły i wypycha drania przez barierkę.

– Nikt pani nie potępił...

Znów się uśmiechnęła.

– Z czasem stanowisko ludzi w pewnych kwestiach się zmienia. Ktoś sobie przypomniał, jakim był dobrym kolegą i świetnym pracownikiem, a o mnie mówił w samych superlatywach. Jak on ją kochał, zaczęli mówić, przecież nie mógł bić, to niemożliwe... Zabiła go, bo chciała przejąć majątek albo po prostu jest zła.

– Ale... – zaczęłam, a ona tylko pokręciła delikatnie głową.

W młodości musiała być prześliczną dziewczyną. Czy wiedziała, że życie potraktuje ją tak podle? Nagle zadrżałam. Co, jeśli mnie nie uda się być szczęśliwą? Jeśli utknę tutaj do końca życia między tymi wszystkimi dziwakami? A jeśli wyjadę, to czy dostanę gwarancję szczęścia?

– Proszę cię – powiedziała cicho. – Nie chcę o tym rozmawiać. To wydarzyło się wiele lat temu.

– Wtedy, kiedy zniknęła Julia, przypadkowo zadzwoniłam do pani drzwi, a pani... – nie wiedziałam, jak znaleźć właściwe słowa.

– A ja zachowywałam się, jakbym o tym wiedziała, tak?

Nie mogła ująć tego lepiej. Pokiwałam głową.

– Zdawało ci się – odrzekła stanowczym głosem. – Oglądałam serial w telewizji, a ty mi przeszkodziłaś. Zdenerwowałam się. Chciałam, byś sobie poszła.

Kłamała, ukrywała coś, byłam tego pewna, ale nie mogłam zrozumieć dlaczego.

– Czy pani się czegoś boi?

– Nie boję się, nie boję się. – Rzuciła mi wyzywające spojrzenie.

Wróciła do powtarzania, nucenia pod nosem oraz swojego repertuaru dobrotliwych uśmiechów. Potem wstała i niemal wyrwała mi z dłoni filiżankę z niedopitą herbatą.

– Jeśli mogę ci udzielić rady – odezwała się nieoczekiwanie. – Nie narażaj

się, nie prowokuj pytaniami, nie wysnuwaj żadnych wniosków. Mylisz się, cokolwiek myślisz. A teraz już idź. Jestem zmęczona i chcę się położyć.

Nie zamierzałam poddawać się tak łatwo.

– Gdyby potrzebowała pani zakupów albo wody oligoceńskiej, to proszę dać znak – mówiłam, kiedy niemal wypychała mnie do przedpokoju. – Nie powinna pani dźwigać – próbowałam jeszcze. – Chyba że ktoś inny pani pomaga? Kto?

– Twój dziadek czasem dotrzymuje mi towarzystwa, pewnie o to pytasz. To kulturalny człowiek i pomaga mi zrozumieć pewne problemy. – Z zaskakującą siłą wypchnęła mnie na korytarz i zamknęła drzwi. Usłyszałam trzask staroświeckiej zasuwki.

Ktoś schodził z góry. Poczekiałam chwilę. Na szczycie schodów drugiego piętra zobaczyłam Nosicielkę bez dziecka na ręku oraz Adamsową. Obie na mój widok odwróciły głowy.

– Dzień dobry paniom – powiedziałam nieco teatralnie.

Adamsowa szła pewnie do Czarnej Mańki po alkohol. Nosicielka musiała wybierać się do przedszkola po dzieci. Ciekawe, czy w umowie miała, że wychowawczynie będą je nosić podobnie jak robią to rodzice. Obie burknęły coś w odpowiedzi i poszły na dół. Postąpiłam jeszcze chwilę, a potem zadzwoniłam do drzwi Pikusia. Otworzył tak szybko, jakby stał po drugiej stronie i tylko czekał, aż ktoś zechce go odwiedzić. Nie ucieszył się jednak na mój widok.

– Cześć, Pikusiu.

Z kuchni unosił się zapach świeżo zrobionego ciasta. Weszłam do środka. Na kuchennym stole zobaczyłam dwie potężne blachy drożdżowego, trzy serniki oraz pięć keksów w wąskich foremkach. Pachniało obłędnie.

– Żenisz się? – spytałam, uśmiechając się.

– Ughhh...

Zabrzmiało jak: „czego chcesz?”

– Chciałam cię tylko odwiedzić, bo dawno nie... rozmawialiśmy. Co słyhać u ciebie?

Spojrzał na rozłożone ciasta.

– Pieczesz ciasta dla bliskich? Na jakąś uroczystość?

Pokręcił głową i pokazał coś przez okno. Wyjrzałam. Zobaczyłam niewielki budynek cukierni „Słodkości”.

– Pieczesz na ich zlecenie?

Pokiwał i uśmiechnął się samymi kącikami ust. Czy mi się wydawało, czy był zdenerwowany. A może ja tak na wszystkich wpływałam, że najchętniej pozbyliby się mnie z domu?

– Bardzo się cieszę, Pikusiu. Masz naprawdę wielki talent. Tam sprzedawali tylko beznadziejne drożdżówki, a teraz ludzie będą mogli kupić prawdziwe ciasta – paplałam, a on stał przede mną przestraszony. – Widziałam cię na pogrzebie –



zaatakowałaam znienacka. – Znałeś także Justynę?

Przerażenie na jego puciołowatej twarzy stało się jeszcze bardziej widoczne. Sapnął dziwnie, jakby się dusił.

– Pikusiu – tym razem odezwałam się łagodniejszym tonem. – Czy ty wiesz cokolwiek na temat Julii albo Justyny? Może jednak widziałeś kogoś?

Kręcił głową, krzyżując ręce na piersiach, jakby się przed czymś zasłaniał.

– Powiedz mi tylko, czy umiałbyś kogoś... pokazać, gdybyś go rozpoznał?

Znów to gwałtowne przeczenie i pełen strachu wzrok.

– Pikusiu, proszę cię, zastanów się. Nie złapali go, więc może znów porwać i zabić jedną z nas...

Płakał. Musiałam przestać go dręczyć.

– Tylko się nad tym zastanów – powiedziałam, wstając. – Bo Julia znów może zostać zaatakowana, a ty... nie chcesz powiedzieć, kto to zrobił. Niedobrze. – Podeszłam, by go objąć na pożegnanie. Chyba źle zinterpretował mój gest, bo zaczął krzyzczeć głośno. Odskoczyłam przerażona.

– Dobrze, już dobrze – próbowałam go uspokoić. – Już idę, nie denerwuj się. Proszę cię.

On też zatrzasnął za mną drzwi.

*Węszyła wszędzie, pytała, chodziła i sprawdzała swoje teorie. Ani na chwilę nie przybliżała się do prawdy, ale desperacko jej szukała. Mogła sprowadzić na siebie niebezpieczeństwo. Gdyby on zorientował się, że go szuka, niewątpliwie znalazłby ją pierwszy. Jak długo to jeszcze wytrzymam? Tylko nie ona, tylko nie ona... A jeśli wszyscy wokół wiedzą o mnie i o nim? Pewnie zastanawiają się, czemu go ochraniają. To prawda, nic nie może tego usprawiedliwić. Mam jednak powód. Boję się. Nie o siebie. Jeśli zrobię tylko krok w stronę policji, on natychmiast zniknie, zabierając ze sobą którąś z pozostałych dziewczynek. Wydaje mi się, że tylko na to czeka. Pilnowałam go, bo wiedziałam, co się w nim znowu obudzi. Oszukał mnie jednak i zdobył czas potrzebny na to, aby uprowadzić tę dziewczynkę. Z pierwszą postępował inaczej. Chciał ją zatrzymać. Drugą zabił od razu. Gdybym mogła zrozumieć, co go do tego popchnęło. Czy teraz przestanie? Jego bestia wystarczająco nasyciła się krwią? Tylko ona raczej nakazałaby mu to zrobić po jakimś czasie, a on zrobił to od razu. Czy jest jeszcze coś, o czym nie wiem?*

*Kiedy byłam mała, znalazłam gołębia z przetrąconym skrzydłem. Próbował odlecieć, ale tylko bezradnie machał tym drugim. Nie zdawał sobie sprawy ze swojego tragicznego położenia. Ja też nie. Złapałam go delikatnie, tak jak pokazywali na filmach przyrodniczych, i zaniosiłam do domu. Wyobrażałam sobie, jak mój ojciec sporządziłby łubki z zapalek, wystruga skomplikowaną konstrukcję i włożył w nią złamane skrzydełko. Będziemy trzymać ptaka na balkonie, karmić go dżdżownicami, które – przysięgałam sobie – ofiarnie będę wykopywała z ziemi.*

*Wreszcie skrzydło się zrośnie, a gołąb odleci. Zanim dotarłam do domu, nazwałam go Gabrielem. Dwadzieścia minut drogi do domu wystarczyło, bym uwierzyła, że znalazłam swojego anioła i teraz to ja ratuję mu życie. Ojciec spojrział na ptaka ze współczuciem. Wziął go ode mnie w swoje wielkie dłonie, a potem powiedział: „Nie patrz!”. Sądziłam, że chce nastawić złamane kostki, co sprawi Gabrielowi ból. Myliłam się. Ojciec ukręcił mojemu aniołowi łepkę. „Tylko się męczyl”, powtarzał mi, ale ja nie przestawałam płakać. Naprawdę uważałam, że zabił mojego anioła stróża i teraz nikt nie będzie mnie chronił. Właściwie już nigdy nie spojrzałam na ojca życzliwie.*

*Miałam rację. Mój anioł stróż odszedł, a w moim życiu zagościł chaos i strach. Krótkie chwile szczęścia, kiedy traciłam czujność, zamieniały się w żarty i chichoty przewrotnego losu. Wszystko było nie tak.*

## **ROZDZIAŁ VIII**

Julia... Pierwszy raz nazwałem ją po imieniu i od razu wróciła cała tęsknota, choć jakimś cudem tak głęboko ją ukryłem. Julia mówiła, że nie pamięta żadnych szczegółów z tamtego wieczoru, ale czy naprawdę nie pamiętała? Jak mogła nie pamiętać? Przecież te małe kreatury oparzyły ją, zadając niewyobrażalny ból? Miała też skazę przez jedną z nich, ale pozostałe były współwinnne. Ukaralem tylko tę jedną, zabiłem ją. To jeszcze nie wszystko. Pamięć... taki dziwny twór. Sądziłem, że Julia pamięta tamte wydarzenia. Nie odezwałem się, nie odsłoniłem się przed nią, nawet, gdybyśmy spotkali się twarzą w twarz, nie rozpoznałaby mnie. Na pewno nie miałyby dowodów i nie odważyła się oskarżyć. Czy jednak w trakcie takiej wizji lokalnej mogłoby stać się coś, co by mnie zdemaskowało? Czy powinienem do tego dopuścić?

Jeśli ktoś wątpi, oznacza to jedynie tyle, że bardzo wierzy. Zbliżaliśmy się do zakończenia roku szkolnego i rozpraszało nas mnóstwo różnych rzeczy. Najlepszy sposób na to, by zapomnieć o tragedii, to skupić się na tych nieistotnych zdarzeniach. Chociaż ja nie mogłam zapomnieć. Bez przerwy bałam się, że to samo spotka Kaśkę i mnie. Staralam się jednak czerpać z codzienności na tyle, na ile się dało. Życ meczami, chociaż patrzenie na Pawła zdobywającego kolejne rzuty za trzy punkty wciąż sprawiało mi ból. Iwonka Bogut wygrała wycieczkę na Wyspy Kanaryjskie. Wysłała rozwiązanie krzyżówki i wygrana trafiła do niej. Do tej pory nie wierzyłam, że oni te nagrody naprawdę ludziom dają. Wszyscy żyliśmy tym kilka dni, bo Iwonka naturalnie się pochwaliła. Nie było to specjalnie mądre, gdyż zaraz Aniela Pruszcza zaczęła marudzić – wycieczka w środku roku szkolnego wcale jej się nie podobała, ale po licznych i dramatycznych interwencjach rodziny i znajomych, nawet delegacji klasowej (tak, tak, zrobiliśmy to dla koleżanki) Iwonka pojechała, a potem przywiozła bardzo dobre cukierki, niedostępne w Polsce. Poszłam do szkoły muzycznej na koncert Ewy i do naszego domu kultury na przedstawienie. Edyta Andruszkiewicz grała w nim dziewczynę, która odkrywa, że została adoptowana, potem ucieka z domu, przechodzi przemianę i wreszcie wraca, kiedy dochodzi do wniosku, że ci, co ją wychowali, są jej prawdziwymi rodzicami. Biłam brawo z całych sił, zasługiwała na to. Życzyłam jej, by dostała się do szkoły aktorskiej i zrobiła karierę. Takie sprawy pozwalały zapomnieć o tym, co bolało. Były też inne incydenty. Tomek hodował gandzię na balkonie. Właściwie nie on, tylko jego mama, przekonana, że to praca domowa z biologii. Roślina nie miała co prawda szczególnych wymagań, ale i tak nie spodobała się mamie, która wolałaby pewnie hodowlę miłorzębu japońskiego albo aloesu, rośliny bardziej pożytecznej, leczniczej lub po prostu piękniejszej. „Toto”, jak nazwała marychę w pełnej emocji rozmowie z Grubaną, wyglądało brzydko

i niczemu nie służyło. Nauczycielka nieomalże dostała zawału. Sprawę jednak zatuszowano. Tomkowi obniżono stopień ze sprawowania, dalej miał zresztą gdzieś, za to z wyraźnym żalem przyjął decyzję o likwidacji hodowli. Policji nie zawiadomiono, pewnie zbyt często odwiedzali naszą szkołę.

Kaśka wciąż nie przychodziła na lekcje. Od pogrzebu minęły dwa tygodnie, Iwonka zdążyła zwiedzić Kanary, a Kaśka nie wracała. Mogłam pójść do niej do domu, naturalnie, ale coś mi mówiło, że ani ona sobie tego nie życzyła, ani tym bardziej jej rodzice. Już nie chodziłam pomagać Julii. Uzupełniła wszystkie zaległości. Dziwnym trafem dostawała całkiem przyzwoite stopnie z matematyki. Liczbak zmienił się wobec niej. Wiem, teraz nie wypadało jej dręczyć, ale ta całkowita zmiana wyglądała więcej niż dziwnie. Zresztą stał się miły nie tylko wobec niej, znacznie złagodził wymagania, nie czepiał się i ustalał z nami zakres materiału, który będzie na sprawdzianie. Nie praktykował już swojego ulubionego zwyczaju, czyli wpisywania wyłącznie złych ocen i ignorowania dobrych. Nadal był wymagający, ale przestał nas dręczyć. Wszyscy łączyli to ze śmiercią najlepszej uczennicy, jednak według mnie to chodząca do niego na korepetycje Julia miała tak korzystny wpływ. Nie chciałabym być niesprawiedliwa, ale może Liczbak czuł do niej to, co porywacz, Paweł i ja... Potwierdziłam swoje przypuszczenia u Czarnej Mańki, gdy ta wysyczała mi zza, że wszyscy wykorzystują jej syna, a poza tym nagroda w postaci udziału uczennicy w konkursie matematycznym i związane z tym laury dla nauczyciela przejdą mu koło nosa. Jak można być tak pozbawioną empatii? Justyna na pewno zajęłaby wysokie miejsce w konkursie, w końcu to bardzo, naprawdę bardzo zdolna dziewczyna, ale... nie żyła. Jak można jej śmierć sprowadzić do niezrealizowanych ambicji synka? Cóż za podłość!

Odwiedziłam Kaśkę w domu. Poszłam zaraz po lekcjach, by nie zastać jej matki w domu. Niestety, nie udało się. Doktor Kołodziejska na mój widok oznajmiła sucho:

- Córki nie ma w domu.
- Przepraszam bardzo – powiedziałam zdumiona. – Sądziłam, że jest chora i chciałam jej przynieść lekcje.
- Jest chora. – Przeskanowała mnie wzrokiem od stóp do głów. – Już ktoś przynosi lekcje.

Jak na psychiatrę była niesympatyczna. Taki lekarz powinien być ciepły, empatyczny, rozumiejący. Matka Kaśki była odpychająca, niemiła i oschła. Może przy pacjentach zachowywała się inaczej, a wobec narzucających się córce i namawiających do udziału w zabawie sylwestrowej jej koleżanek prezentowała prawdziwe oblicze?

- Kto? – Nie dałam się zbyć.

Stałam w progu i patrzyłam na nią hardo. W czym niby miałyby być lepsza

ode mnie? Jej córka obgryzała paznokcie do krwi, jadła psychotropę, ledwo radziła sobie w szkole, nie mówiąc już o problemach, a teraz jeszcze zachorowała nie wiadomo na co.

– Katarzyna jest w szpitalu – wyjaśniła po chwili zastanowienia. Widocznie zauważyła, że tak łatwo się nie odczepię. – Miała zapalenie wyrostka robaczkowego. Nie wolno jej odwiedzać. Na oddział przychodzi nauczyciel i odrabia z nią lekcje.

Zamurowało mnie. Czemu nikt nam tego nie powiedział? Owszem pech, operacja, niezbyt miła choroba i blizna w miejscu, które będzie widoczne, gdy włoży dwuczęściowy kostium kąpielowy, jednak to nie żadna tajemnica ani powód do wstydu. Chyba że to nie wyrostek, tylko co innego, o czym nie bardzo wypada mówić? Tak mi się coś wydawało. Nie kupowałam także oddziału dla siedemnastolatek, gdzie pracują nauczycielki ani takich, gdzie nie wolno kogoś odwiedzić. Pożegnałam się z matką Kaśki bardzo grzecznie i poszłam prosto na policję. Tam zażądałam widzenia z oficerem śledczym Andrzejem Jaśkowiakiem. Na szczęście nie tylko zastałam go w komendzie, ale i od razu mnie przyjął. Pewnie był ciekawy, co mam do powiedzenia. Zamierzałam go rozczarować. To ja chciałam dowiedzieć się czegoś od niego.

– W czym mogę ci pomóc? – spytał, kiedy już usiedliśmy w pokoju.

Czy nie powinien zaproponować herbaty albo soku pomarańczowego?

– Przyszłam spytać, czemu nas nie przesłuchujecie.

Oficer najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania.

– Mamy swoje powody. Czego chcesz? Chcesz coś powiedzieć czy nie? – rzucił.

– Gdyby pan sądził, że coś wiem, przyszedłby pan do szkoły i mnie przesłuchał – odparowałam.

Wyprostował się na krześle.

– A wiesz coś? – zapytał ostrożnie. – Powiedz.

– Najpierw pan – odparowałam twardo.

Moja siła brała się z bezsilności. To paradoks, wiem, ale tutaj wyjątkowo pasował. Oficer Jaśkowiak wstał, oparł się rękoma o biurko i powiedział ostrym tonem:

– Nie pogrywaj ze mną, dziewczyno. Jeśli chcesz coś powiedzieć, to mów, a jeśli nie, to zmiataj stąd.

Wstałam i ukloniłam się grzecznie:

– Do widzenia.

Zamurowało go chyba, bo ciężko opadł na krzesło.

– Siadaj – burknął.

Rozważałam, czy nie założyć nogi na nogę, ale wybrałam opcję „grzeczna uczennica”: kolanka razem, ręce na udach, mina poważna.

– Masz coś do powiedzenia czy nie?  
– Mam pytania, na które pan może sobie odpowiedzieć. Może to pomoże w śledztwie. Chyba że...

– Chyba że co?

– Że już wszystko wiecie, śledztwo skończone, mogę iść.

Oficer wyjął notes.

– Chcesz coś do picia? Kawy? Herbaty?

Kawy nie pijałam. Korciło mnie jednak, by o nią poprosić, a potem jej nie tknąć. Taki chwyt pokazujący, jaka jestem twarda. Nie odważyłam się jednak.

– Poproszę herbatę.

Zadzwoił i poprosił o dwie herbaty. Może on też nie pijał kawy.

Czekaliśmy w milczeniu.

– A wiesz – odezwał się wreszcie. – Zwróciłem na ciebie uwagę podczas przesłuchań w szkole. Jesteś bystra.

A podczas przesłuchiwania i przetrzymywania Pikusia to niby mnie nie zauważyłeś, co? Weszła kobieta z dwoma kubkami na tacy i spojrzała na mnie ze zdumieniem. Jeden postawiła przed Jaśkowiakiem, drugi przede mną.

– Dzięki, Ola – mruknął oficer. – To co mi powiesz? – spytał, kiedy poszła.

– Chciałam spytać o kilka rzeczy. Kiedy odnalazła się Julia, została zbadana przez lekarzy. To normalne. Czy to jednak właściwe, by badał ją ojciec naszej koleżanki Katarzyny Kołodziejkiej? On jest ginekologiem, a jego żona psychiatrą.

Nie wyglądał na zbyt zaskoczonego. Musiał o tym wiedzieć i nie uznał tego za dziwne.

– Tak się składa, że doktor Kołodziejka leczyła także Justynę – wytoczyłam pierwsze działo.

Tego nie wiedział. Aż opadły mu kąciki ust i wytrzeszczył na mnie oczy.

– Justyna Krygier miała problemy psychiczne? – spytał.

– Najwyraźniej, skoro chodziła do psychiatry. Widocznie najlepsze uczennice, osoby silne i pewne siebie także mają problemy...

Zapisał coś w notesie, a potem spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Sprawdzę to. Co dalej?

– Julia Patyka ponoć nie pamięta absolutnie niczego – kontynuowałam. – Ale czy jest pan tego pewien? Czy to jest możliwe, że tak to ujmę, „biologicznie”?

A może ktoś przeszkadza jej przypomnieć sobie o czymkolwiek. Psychiatra chyba raczej nie powinien powstrzymywać jej od rozmowy o tamtych wydarzeniach, nie uważa pan?

– Nie, jeśli Julia nie jest jeszcze gotowa, by się z tym zmierzyć. To zależy od tego, na jakim etapie terapii się znajduje – odparł, a po chwili mruknął jeszcze: – Poza tym coś sobie jednak przypominała.

– I na tej podstawie, jak się domyślam, aresztowaliście biednego Pikusia. –

Spojrzałam surowo, chociaż wiedziałam, że to Renata powiedziała o Pikusiu pod blokiem Julii tamtego wieczoru.

Najwidoczniej nie był specjalnie dumny z tamtego przesłuchania, które przypominało raczej dręczenie zwierzęcia, niż próbę wyjaśnienia pewnych faktów.

– Czy pani Janina, mama Pankracego, wniosła oskarżenie? Zajmowała się tym pani Krygier, mama Justyny – nie ustępowałam.

Teraz już kompletnie go замуrowało. Patrzył na mnie, jakby na czole wykwitła mi gałąź jabłoni.

– Nie – wykrztusił, zanim zdołał pomyśleć, że nie powinien odpowiadać na moje pytania.

– Aha – pozwoliłam sobie na komentarz.

– Coś jeszcze? – spytał wyraźnie wstrząśnięty.

– Tak. Moim zdaniem Justyna zginęła, bo wiedziała, kto porwał Julię.

– Skąd takie przypuszczenie? – zapytał, uważnie mi się przyglądając.

– Tak jak pan powiedział, to tylko przypuszczenie. Nie mam pewności.

Położył dłonie na stole, tuż obok notesu. I tak nie było co zapisywać.

– Ale co cię skłania do takich przypuszczeń?

Nabrałam powietrza i powoli je wypuściłam.

– Kiedy Julia się znalazła, Justyna twierdziła, że ona nic nie powie. Mama Kaśki leczyła je obie, więc pomyślałam, że może zdradziła się podczas wizyty. Nawet, jeśli to nieprofesjonalne. Pewnie się zdarza, nie? Ludzie są tylko ludźmi... Teraz myślę inaczej: ona po prostu wiedziała, kto to jest. Sprowokowała go czymś i to się stało. Była bardzo odważna i spokojna. Bardzo spokojna. Przez cały ten czas.

– Czemu aż tak to podkreślasz?

Zaczynałam tracić cierpliwość.

– Gdyby porwano policjanta z pana komendy i nie znalazłby pan żadnej przyczyny, to czy nie podejrzewałby pan jakiegoś świra o porywanie policjantów? Wszystkie tak wtedy myślałyśmy. Justyna nie. Bo wiedziała, o kogo chodziło. O Julię, wyłącznie o Julię.

Pokiwał głową kilka razy, ale nie wiem, czy oznaczało to milczącą zgodę.

– Notabene, teraz, kiedy jej nie ma, a nikt z was nie przychodzi do szkoły, nie ochrania się nas w żaden sposób... Boimy się. Zwłaszcza dziewczyny. Że będziemy następne.

– A ty się nie boisz, tak?

– Oczywiście, że się boję! – podniosłam ton. – Coś poszło nie tak. On może wpaść w panikę albo zacząć nas porywać i zabijać dla przyjemności. Nic z tym nie robicie. Nawet głównianego psychologa nam nie zaproponowaliście. Przyproceedził pan tego... kolegę i potraktowaliście nas jak złodziei i kłamców.

Uderzył dłońmi w blat biurka. Lekko, ale przestałam mówić. Podskoczyłam

na krześle.

– To było normalne przesłuchanie...

Ja też uderzyłam w blat.

– To nie było normalne. A teraz nas nie chronicie i nie szukacie zabójcy.

– Tego nie wiesz – odparował. – Wracaj do domu i zostaw śledztwo osobom, które się na tym znają.

Hej, panie śledczy, niech pan nie wdaje się w takie pogawędki z przypadkową dziewczyną.

– Czyli jestem bezpieczna, tak?

Pokiwał głową.

– Ostatnie pytanie. – Wstałam, by wiedział, że ma mnie z głowy. – I trochę prośba. Od pogrzebu Justyny Kasia Kołodziejska nie przychodzi do szkoły. Odwiedziłam ją dzisiaj. Podobno przeszła operację wyrostka robaczkowego, leży w szpitalu i na jej oddział nie wpuszczają odwiedzających.

– Dlaczego chcesz ją odwiedzić? – spytał.

– Chcę jej dać lekcje – powiedziałam. – Julii pomagałam przez kilka miesięcy po tym, jak wróciła. Teraz pan Miłoszewski udziela jej indywidualnych korepetycji w swoim mieszkaniu. Pewnie to wiecie, bo ona zawsze z kimś jest... Chcę odwiedzić Kasię na tym zamkniętym oddziale, na który to rzekomo przychodzi nauczyciel.

– Dobrze, tylko spytam lekarzy, czy to możliwe.

Zatrzymałam się jeszcze przy drzwiach i odwróciłam do niego.

– Niech pan spyta i lekarzy, i Kaśkę. Jak nie, to nie. Nie będę się narzucać.

Do widzenia.

– Słuchaj, Marzena... – zatrzymał mnie i wbił spojrzenie w pusty notes. – Bardzo ci dziękuję za pomoc.

Columbo się znalazł. Niech mi tylko umożliwi dojście do Kaśki.

– Przyjdź tu jutro po lekcjach. Będę wiedział, czy możesz odwiedzić koleżankę. A nie chciałabyś rozważyć pracy w policji? – dodał już lżejszym tonem.  
– Masz predyspozycje... Jako psycholog na przykład?

Pokręciłam głową.

– Ja chcę być pisarką – odpowiedziałam, a potem uśmiechnęłam się i wyszłam na zalaną słońcem ulicę Kraszewskiego.

Kaśka była chuda i blada. Prawie przezroczysta. Leżała na szpitalnym łóżku, w białej pościeli, podpięta do rurek. Na każdej z nich widniały napisy – do prawej ręki dostawała sól fizjologiczną, do lewej glukozę. Przyszła mi do głowy idiotyczna myśl, że teraz po prawej będzie słona, a po lewej słodka. Wiem, myślałam jak kretynka, ale w ten sposób radziłam sobie z widokiem koleżanki, która wyglądała jak zepsuta lalka.

– Nie siedź długo i nie męcz jej – powiedziała lekarka, zanim pozwoliła mi



wejść do sali. – Nie wpytuj, nie naciskaj i nie wspominaj o policji.

– Dlaczego miałabym wspominać o policji? – spytałam.

– Moja droga – odparła z poważną miną, ale dobrze patrzyło jej z oczu. – To policja prosiła, bym wpuściła cię do koleżanki. Nie wiem, czy odwiedziny dobrze jej zrobią, ale wydaje mi się, że jest tutaj nieco... odizolowana. Jestem przeciwna takiemu odsuwaniu pacjenta od życia, jeśli chcemy, by do niego wrócił.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

– Mimo wszystko nie wspominaj o śmierci jej przyjaciółki. Postaraj się ją trochę rozweselić. Jest wiosna, powiedz coś miłego. Dobrze?

Miała rację. Nie powinnam w żadnym razie męczyć Kaśki pytaniami.

– A co to za choroba? – odważyłam się.

– W skrócie rzecz ujmując, próbowała zagłodzić się na śmierć. Jak ją postawimy do pionu, pójdzie na psychiatrię.

To był dla mnie szok. Sądziłam, że próbowała się pociąć czy coś w tym stylu, albo zażyła leki. Taki rodzaj próby samobójczej bardziej by do niej pasował.

– Dziękuję, że mi pani powiedziała. Nie powiem tego nikomu, obiecuję.

– Mam nadzieję, bo trochę ryzykuję, wpuszczając cię do niej – powiedziała tym samym poważnym tonem.

Siedziałam teraz koło chudej i ledwie żywej Kaśki i głaskałam ją po przezroczystej ręce. Paznokci zostało jej może z pół centymetra. Obejrzałam przeguby. Nie zobaczyłam żadnych śladów cięć. No tak, ćwiczyłyśmy razem na WF-ie, rozbierałyśmy się, nie mogłaby tego ukryć.

Otworzyła oczy.

– Cześć – powiedziałam cicho, jakby pod wpływem głośniejszego powitania mogła rozpaść się na kawałki. – To ja, Marzena.

– Cześć. – Oblizła spierzchnięte wargi. – Fajnie, że przyszedłeś. –

Uśmiechnęła się nawet.

– Chcesz coś do picia?

Pokiwała lekko głową. Na stoliku stał kubek ze słomką. Uniosłam zagłówek i podałam jej sok. Piła łapczywie, nie wiedziałam, czy może tyle naraz wypić.

– Mówili ci, czemu tu jestem? – spytała, kiedy skończyła i opadła na poduszki.

– Podobno chciałaś zagłodzić się na śmierć – jeszcze bardziej zniżyłam głos. – Przecież jesteś szczupła.

– Jestem szczupła... Chciałam tylko skończyć ze sobą, a nie miałam jak inaczej tego zrobić. Zabrali mi tabletki i wydzielali po jednej, pilnowali, bym połykała. Nie pozwalali wychodzić z domu.

– Nie zauważyli, że nie jesz?

Pokręciła lekko głową.

– Zawsze mało jadłam, a teraz jeszcze wymiotowałam. Nie mogłam niczego

w sobie utrzymać. Nie piłam prawie w ogóle. Nie zauważyli. Dlatego jestem tu – spojrzała na drzwi pokoju – w szpitalu.

– Boże drogi... – Ścisnęłam jej dłoń. – Nie mogłaś powiedzieć, że chcesz pogadać, że potrzebujesz jakiejś pomocy?

Odwróciła głowę w moim kierunku.

– Komu miałam powiedzieć? Justyna przecież... umarła... – Zaczęła kaszleć, więc znów podniosłam nieco wyżej zagłówek.

– Kiedy wyjdiesz?

– Nie wiem. Przez to niepicie nerki przestały pracować. Podobno już zaczęły, ale trzeba jeszcze poczekać.

– Skoro zaczęły, to wszystko będzie dobrze – zapewniłam ją. Chyba tak trzeba z chorymi. Tak bardzo chciałam powiedzieć coś, od czego poczułaby się lepiej, tylko nie wiedziałam co. Wyglądała tak, jakby nigdy nie miała wyzdrowieć.

– Pewnie będzie dobrze – zgodziła się, ale raczej bez entuzjazmu. – Kiedy mnie stąd wypiszą, pójdę na oddział do czubków. Tam moja mama już znajdzie kogoś, kto mnie wyleczy tak, jak ona by tego chciała.

Nawet nie próbowałam zaprzeczać. Na pewno wiedziała, co mówi.

– Przykro mi, że rozstaliście się z Pawłem – powiedziała nagle. – I podziwiam cię za to, jak to przyjąłś.

To było jedyne, co mogłam zrobić. Udawać, że przyjąłam to z godnością.

– Dzięki – uśmiechnęłam się do niej. – Teraz Julia go ma... – Zaciśnęłam zęby i zaczęłam głęboko oddychać jak zawsze, kiedy nie chciałam się rozpłakać.

– Ja tylko gadałam, że z nim chodzę. Żalotne... – skrzywiła się, jakby coś ją zabolowało. – Nawet gdybym mu się podobała, to i tak by mnie nie chciał po tych bzdurach, które wygadywałam. Nieważne...

Do pokoju zajrzała lekarka.

– Kończcie te pogawędki dziewczynki, dobrze?

– Czy ona będzie mogła jeszcze mnie odwiedzić? – spytała Kaśka. – Od razu lepiej się czuję.

– Postaram się przekonać twoją mamę, że koleżanki powinny cię odwiedzać. Jeszcze kilka minut i koniec, dobrze?

– Dziękujemy. – Spojrzałam na nią z wdzięcznością. Wydawała się w porządku.

Kiedy wyszła, uśmiechnęłam się do Kaśki.

– Myślałam, że mnie nie lubisz – powiedziałam szczerze.

– Ja myślałam, że ty nie lubisz mnie – wzruszyła ramionami i zrobiło mi się przykro. Taka ładna, miła dziewczyna, a leży teraz w szpitalu i wtlaczają jej płyny do żył. Chociaż mogła skończyć jak Justyna z rozbitą głową, spopielona w piecu, oplakana przez żałobników, zakopana pod ziemią. – Słuchaj, wtedy na strychu...

– Nie mów o tym – przerwałam od razu. – Nie powinnaś się denerwować.

Nie przyszedłam tu po to, by cię wypytywać. Naprawdę chciałam odwiedzić...

– Proszę cię – odparła stanowczo. – Nie wiem, czy pozwolą mi to powiedzieć... Wtedy się wróciłam, bo Justyna powiedziała, że „ostatnia chowa klucz”. Zamknęłam i schowałam go za cegłą. Wcześniej leżał tam jeszcze jeden. Nie wiem do czego i po co. Po tym, co zrobiłyśmy Julii, byłam zbyt roztrzęsiona, by się nad tym zastanawiać. Zgasło światło, a ty zaczęłaś panikować...

– Dobrze, rozumiem. – Złapałam ją za rękę. – Po prostu powiedz, co mam zrobić. Tylko że strych spłonął.

– Wtedy nie znalazłam tego drugiego klucza. Ktoś musiał go zabrać.

– Widziałaś tam Julię?

– Nie – rzuciła szybko. – Musiał zabrać ją... w międzyczasie. Nikogo nie widziałam. Kluczyłam między blokami, bo nie mogłam wrócić do domu, a potem poszłam do Justyny. Nie zastałam jej...

Zastanowiłam się. To, co powiedziała, potwierdzało wszystkie moje przypuszczenia.

– Jak myślisz, co się wtedy stało?

– Justyna musiała specjalnie przyprować Julię. Była z nim w zмовie. Dała mu ten drugi klucz i pomogła ją zabrać. Dlatego wzięła latarkę. Powiedziała mi, że razem pójdziemy do domu, ty i ja, a Julii kazała odmówić, gdyby chciała iść z nami. Miałaś rację.

– Pytałaś ją o to? – zaryzykowałam. Rozumiałam teraz, dlaczego tak się zachowała. Była uzależniona od Justyny, robiła wszystko, co tamta jej kazała.

– Wypierała się i mówiła, że jestem, wiesz, świrnięta. Cały czas o tym myślę. On ją zlikwidował, bo pewnie zaczęła go szantażować czy coś w tym stylu. Zastanawiam się tylko nad jednym...

W tym momencie lekarka weszła do pokoju.

– Pożegnajcie się dziewczynki.

– Zastanawiasz się, dlaczego wtedy mnie zaprosiła? – zapytałam, wstając, a Kaśka pokiwała szybko głową

– Mówiła coś? – Przedłużałam wyjście z pokoju, choć lekarka patrzyła na mnie karcąco.

– Nie, ale myślę, że to ma znaczenie – szepnęła Kasia. – I to, że ostatnia z nas miała schować klucz.

Poszłam na tamten strych z duszą na ramieniu. Każdy krok, który przybliżał mnie do ulicy Kopernika, powodował duszności. Walczyłam ze sobą, by nie zawrócić. Wydawało mi się, że wszędzie widzę bohaterów tamtego wieczoru. Słyszałam śpiew Świętszego Pawła, za drzewem mignęła wiotka sylwetka Mimozy, a na widok matki z dzieckiem na ręku prawie uciekłam. Na szczęście nie była to Nosicielka, tylko ktoś inny. Jedyne, co się zgadzało, to brak Pikusia za firanką. To mnie jednak nie zdziwiło, bo teraz pracował niczym stachanowiec,

wytwarzając ciasta. Miał prawdziwy talent i wrócono mu wielką karierę. Pani Janina przebąkiwała coś o otwarciu własnej ciastkarni, wpatrując się w jedną z pustych bud na targu. Spotkałam ją tam kilka razy i wsparłam ten pomysł dobrym słowem.

Oddychaj, powtarzałam sobie, oddychaj spokojnie. Nic złego cię tam nie spotka, nie będzie ciemno, wspomnienia może wróca, ale przecież nie widziałas śmierci Justyny czy porwania Julii.

Odmalowano ściany klatki schodowej, nie było żadnego śladu po ogniu. Ktoś, kto najwyraźniej bał się powtórki pożaru, zabił drzwi dwiema solidnymi deskami. Poczułam ulgę. Nie chciałam wcale wchodzić do środka. Zresztą czego miałabym tam szukać po pożarze? Interesował mnie tylko klucz. Mimo grubej warstwy farby na drzwiach zobaczyłam wyraźne ślady wgniecenia. Zapewne kiedy odkryto ogień, ktoś sforsował je siłą, a potem nie zadał sobie trudu, by wstawić nowe, tylko odmalował. Cegła ruszała się tak jak wtedy. Wysunęłam ją ostrożnie i zajrzałam do skrytki. W środku znajdował się klucz. Wyjęłam go i wypróbowałam. Ktoś zmienił kłódkę, bo klucz nie pasował. Nic dziwnego, musiała uciepieć podczas pożaru. Kłódkę jest łatwiej wymienić niż drzwi, nawet na takie z taniej dykty. Przyglądałam się uważnie kluczowi. Bałam się wtedy, to prawda, ale wyglądał tak samo. Najpierw Justyna otworzyła drzwi, potem Kaśka je zamknęła. Czego to dowodziło? Moim zdaniem tylko tego, że Justyna podpaliła strych. Zaproszyła ogień, a potem zamknęła drzwi na klucz i ukryła go. Mogłam się oczywiście mylić, ktoś mógł przyjść z własnym kluczem, ale takie rozwiązanie wydawało mi się mało prawdopodobne. I chyba wiedziałam, czemu to zrobiła.

W domu czekał na mnie dziadek.

– Mama dzwoniła, że musi zostać dłużej w pracy – powiedział głosem bardziej chrapliwym niż normalnie. To był jeden z tych gorszych dni.

Biedna mama, ostatnio ciągle siedziała w pracy do wieczora. Robili numer specjalny tego jej pisma dla kobiet.

– Dobrze. Zaraz dziadkowi odgrzeję obiad.

Poszedł za mną do kuchni, usiadł przy stole i zaczął patrzeć mi na rękę. Wyjęłam mielone z lodówki i odgrzałam je na patelni razem z ziemniakami. Otworzyłam do tego słoik ogórków konserwowych.

– Ty nie zjesz? – spytał.

– Zjem – odparłam po namyśle. Nie byłam głodna, ale nie chciałam zostawiać go tak samego. A skoro miałam już siedzieć, to wolałam zjeść od razu.

– Ojciec pojechał na spotkanie z jakimś pisarzem. – Jadł tak samo wolno, jak mówił, z trudem połykał, krzywiąc się. Wyglądało to trochę tak, jakby mięśnie gardła przestawały współpracować.

– Czemu dziadek miał udar? – spytałam niezbyt mądrze.

– Podobno od ciśnienia, które mi skacze, i miłości do smalcu – próbował się

uśmiechnąć, ale rozdrobnienie kotleta na jak najmniejsze kawałki wymagało od niego wiele wysiłku. Biedny człowiek.

– Rozumiem.

Niepotrzebnie go o to spytałam. To nie było delikatne.

– Osobiście uważam, że to kwestia losu, jak wszystko...

Zastanowiłam się nad tym, co powiedział. Wszyscy jak jeden mąż powtarzali o Julii, że znalazła się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. No cóż, jak dobrze wiecie, sama tak sądziłam. A jeśli znalazła się w najwłaściwszym miejscu i w dogodnym dla kogoś czasie? Przecież to wszystko stanowiło część większego planu. Poza udziałem Justyny nie potrafiłam jednak nikogo wskazać. A ona niewiele już pomoże.

– Czyli los determinuje wszystko? – zapytałam dziadka.

– Nie jestem pewien. – Znów przełknął. – Kiedyś tak uważałem. Czasami dzieje się coś, co okazuje się splotem wielu trudnych do połączenia wątków. Trudno wtedy nie myśleć, że ktoś pociąga za sznurki. Ile razy jednak jest odwrotnie. Zdarza się coś, na co pracowaliśmy, co sobie wychodziliśmy i nie myślimy wtedy o tym, że los nam dopomógł.

– Czyli dziadek nie wie, jak to jest? – podsumowałam.

– Nie wiem. Nie mam monopolu na prawdę.

Ja też nie miałam. W jego słowach znalazłam jednak coś interesującego, ale powiązanie znów umknęło mojemu rozumowi.

– Niech dziadek się nie męczy, nie mówi za dużo...

Pokiwał głową. Żał mi go było. Starość jest taka smutna. W dodatku nic specjalnego nie osiągnął, rodzice chyba nie za bardzo go lubili, ojciec na pewno, mama też, chociaż odnosiła się z szacunkiem i cierpliwością. Pewnie tylko Mimoza go rozumiała.

– Pani Maria jest bardzo miła – zagadnęłam niezręcznie po tym, jak sama mu zaproponowałam, by nie mówił. Ale ze mnie kretyńka. Wbiłam wzrok w pusty talerz.

– Tak – uśmiechnął się. – Stary człowiek czasem potrzebuje z kimś porozmawiać o pięknie w starości.

Zagadkowe. Piękno w starości.

– Pani Maria pięknie maluje – uznałam to za bardzo dobre nawiązanie do piękna.

– Zgadzam się, chociaż nie wszystkie jej prace mi się podobają.

– Naprawdę? – spytałam zdumiona. – Co dziadkowi się nie podobało?

Motyle?

Pokręcił przecząco głową i odchrząknął.

– To, czego nie pokazuje innym. Na papierze...

Co mogła namalować na papierze poza własnym mężem wypadającym

z balkonu? Może właśnie to dziadek miał na myśli. Wtedy na korytarzu usłyszeliśmy wrzask. Poderwał nas na równe nogi. Pierwsza znalazłam się na korytarzu. Gryzący dym sączył się zza drzwi Pikusia, a na wycieraczce ni to klęczała, ni to siedziała Adamsowa i krzyczała, ile tchu w płucach.

– Boże! – ktoś krzyknął za mną.

– Wszyscy wyjść! – dziadek swoim chrapliwym głosem próbował zarządzić ludźmi, którzy gromadzili się na korytarzu.

– Musimy wyjść z budynku! – krzyknęłam. – Trzeba zadzwonić po straż pożarną!

Nie bardzo wiedziałam, w jakiej kolejności to zrobić, ale wtedy koło mnie zmaterializował się Nosiciel.

– Niech się pani odsunie – powiedział do Adamsowej, ale ta ani drgnęła. Nie przestała też krzyczeć. Nic do niej nie docierało. Jeśli chciała uratować Pikusia, to wybrała najgorszy możliwy sposób. Tarasowała drzwi, blokując dostęp do klamki i dzwonka.

Tłum z tyłu napierał, jakby jeszcze chciał utrudnić sytuację. Zaczęłam się bać. Dym robił się coraz gęstszy. Adamsowa wrzeszczała i opierała się próbującym odciągnąć ją sąsiadom. Ludzie zamiast wychodzić z mieszkań na dwór, tłoczyli się na ciasnym piętrze. Ktoś, chyba Nosiciel, zdołał w końcu dotknąć klamki i natychmiast cofnął poparzoną dłoń.

– Tam jest ogień, nie dotykać!

Boże drogi, Pikusiu otwórz, modliłam się. Ściągnęłam sweter przez głowę, owinęłam nim rękę i szarpnęłam za klamkę. Nie ustąpiła. Musiał zamknąć się od środka. Dym nie przestawał wydobywać się spod szpary.

– Pikuś! – wrzasnęłam. – Pikuś! Otwórz!

– Wyjdź stąd, dziecko! – krzyknął Adams, wbiegając po schodach.

Nie posłuchałam. Dalej waliłam w drzwi. Przez krzyki przebijały się głosy, że wszyscy muszą wyjść. Rzeczywiście, ludzie, zwłaszcza z dziećmi zaczęli opuszczać klatkę schodową. Ktoś złapał mnie za ramię. To Adams próbujący jednocześnie odciągnąć żonę, choć obie się opierałyśmy.

– Majeczko, proszę!!! – krzyczał mi prosto w ucho. – Musimy ratować nasze dzieci! Musisz mi pomóc!

Widocznie do świadomości Adamsowej dotarł wreszcie głos męża albo małych Adamsów pojękujących z tyłu. Im chyba także przypomniał się tamten pożar, w którym zginęła ich siostrzyczka. Kaszląc od gryzącego dymu, zaczęliśmy schodzić po schodach. Mężczyźni wciąż próbowali wyważyć drzwi, kopali w nie i walili na przemian, zderzając się nawzajem, ale te ani drgnęły. Na podwórzu stał już spory tłum wrzeszczących ludzi. Spojrzałam w okna Pikusiowej kuchni. Nie stał w nich ani on, ani biedny Mruczek, za to kwitły języki ognia.

– Trzeba zbić szybę! – krzyknęłam, patrząc z rozpaczą na zamknięte okna

mieszkania, a sąsiedzi od razu sięgnęli po kamienie i zaczęli rzucać w tamtym kierunku.

– Nie róbcie tego, bo ktoś może trafić w chłopaka! – zawołała Nosicielka. Starsza dziewczynka spała spokojnie na jej ramieniu.

– Trzeba tam wpuścić powietrze! – rozległ się czyjś głos. – Żeby się nie udusili!

– Nie wolno! – wrzeszczał Adams. – Ogień zassie powietrze i będzie jeszcze gorzej! Ludzie, nie! Przestańcie!

Gdzie ja miałam rozum? Chciałam pomóc Pikusiowi, a tymczasem mogłam go zabić. Na szczęście nikt nie trafił w szybę. Wycie wozu straży pożarnej było niczym dźwięk zwiastujący wybawienie. Wjechał prawie pod sam blok, bo Nosiciel przytomnie otworzył bramę boiska z jednej i drugiej strony, umożliwiając im przejazd.

– Czy ktoś ma klucz do tego lokalu?! Kto tam mieszka?! – krzyczeli strażacy.

Dwóch z nich wbiegło do domu z siekierą. Patrzyłam na nich oszołomiona – chcą atakować ogień siekierą?! Dopiero po chwili zrozumiałam, że muszą jakoś sforsować drzwi. Słyszałam pytania, czy pani Janina jest w środku, ale nie potrafiłam nic wykrztusić. Języki ognia tańczyły coraz bardziej wściekle. Na szczęście kto inny zajął się wyjaśnieniem wszystkiego strażakom. Czas to przyspieszał, to zwalniał. Przyjechała karetka i ratownicy wysiedli spokojnie z samochodu i obserwowali otoczenie.

– Ratu go! – krzyknęła Adamsowa. – On umrze! Umrze!

Powinni nią się zająć, bo była pijana, na dodatek w hysterii. Wszyscy to widzieli. Jej dzieci snuły się smętnie po boisku. Nie mogłam zrozumieć, czemu strażacy nie wychodzą. I czemu drabina, którą rozkładają, jest taka krótka? Czemu są tacy wolni?

– Marzenko. – Dziadek złapał mnie za ramię.

– Tak? Wszystko będzie dobrze, dziadku.

Może powinniśmy coś wynieść z domu? Jakies dokumenty czy cenne rzeczy. Nie wiedziałam, co się zabiera w takich wypadkach. Wybiegliśmy, jak staliśmy. Czy rodzice nie będą mieli do nas pretensji? Nie powinni, w końcu opuściliśmy mieszkanie nie ze względu na pożar, tylko na krzyk Adamsowej.

– Marzenko, gdzie jest...? – urwał w połowie i usiadł na ziemi, trzymając się za serce.

– Panie doktorze! – krzyknęłam w stronę karetki i zaczęłam szarpać dziadka. – Mój dziadek ma zawał!

Nie wiem, czy słyszeli, wszyscy wrzeszczeli jeden przez drugiego, a może tylko mnie się tak zdawało.

– Nie... – Dziadek ścisnął dłońmi gardło. Pewnie nie był już w stanie niczego

powiedzieć. – Pani Maria...

Mimoza, Jezu! Aż mnie zatkało z przerażenia.

– Pani Mario! – zaczęłam biec w stronę klatki schodowej. Ktoś próbował mnie zatrzymać, nie wiem kto, ale szarpałam się i kopałam wściekle.

– Zabierzcie tę panienkę! – Jeden ze strażaków złapał mnie w pół tuż przed otwartymi na oścież drzwiami. Dym zalegał już w całym korytarzu. Czarne kłęby żyły swoim własnym życiem, wylażąc ze środka na światło dzienne. – Dziecko, nie przeszkadzaj!

Tak, tak, nie powinnam przeszkadzać. Poza tym tam jest mrok.

– Pani Maria! Mieszka pod piątką... – głos mi się łamał. – Pani Maria...

Jak mogliśmy o niej zapomnieć?! Wredne, nieczułe typy! Dlaczego nie pozwalają mi wejść? Nagle zrobiło mi się jasno przed oczami. Niemal widziałam, jak rozsuwam palcami dym i wchodzę do środka, pukam do drzwi Mimozy, a potem wyprowadzam ją tym samym tunelem światła na zewnątrz. Poczulałam ból na twarzy. To Adams klepał mnie po policzku.

– Lekarza! – krzyknął.

Po co lekarza, skoro już jestem przytomna, chciałam powiedzieć, ale przypomniałam sobie, że to nie o mnie powinni się martwić.

– Pani Maria – wyszeptałam.

– Już wiedzą – usłyszałam głos dziadka. – Wiedzą o niej, dziecko...

A potem świat znów się zatrzymał. Odwróciłam głowę tam, skąd dobiegały głosy, zupełnie z innej strony i zobaczyłam coś, co pozbawiło mnie ostatecznie przytomności. W alejce, między drzewami stały Mimoza oraz pani Janina. Najwyraźniej wracały z wieczornego spaceru albo z zakupów i patrzyły ze zdumieniem na scenę rozgrywającą się pod blokiem. Potem zaczęły krzyczeć i biec w kierunku domu, ale ja już tego nie słyszałam. Przebywałam w odmiennej świadomości, gdzie panowała wieczna jasność, spokój, nikt nie mordował moich koleżanek ani ich nie porywał.

Kiedy odzyskałam przytomność, pożar ugaszono. W całym zamieszaniu i nawracających utratach świadomości nie zauważyłam, że strażacy dostali się do mieszkania przez okno. Podobno buchnęło na dwa metry, kiedy wyrwali okno. Drzwi nie zdołali wyłamać. Pani Janina panicznie bała się włamania, jakby miała w domu nie wiadomo co, dlatego w zeszłym roku zrobiła pancerne drzwi, których nie dało się wyważyć ani wybić w nich dziury siekierą. Próbowali nawet wiertłem, ale coś w rodzaju waty znajdującej się w drzwiach owijało się o wiertło i psuło je. Wreszcie otworzyli kluczem od mamy Pikusia. Ogień już prawie ugaszono. Najprawdopodobniej zmęczony produkowaniem ciast Pikuś postanowił odpocząć, kiedy piekła się ostatnia partia. Zasnął jednak tak mocno, że ciasto przypaliło się, zaczęło dymić, a potem ogień wydostał się z piekarnika i ogarnął drewniane szafki kuchenne. Tylko kuchnia płonęła. Pikuś leżał w pokoju, nie spalił się. Płomienie



nawet go nie liźnęły. Zaczadział. Jego krew wypełniła się dwutlenkiem węgla zamiast tlenem. Nie mogła odetchnąć, więc i on nie mógł. Nie walczył, ale i nie cierpiał. Grubanna kiedyś nam to tłumaczyła. Zasnął i koniec. Po kilku minutach sen zwykły stał się snem wiecznym. W obliczu tragedii zadaje się zwykle mnóstwo pytań i choć jest wiele bardzo dobrych odpowiedzi, żadna z nich nie przynosi ulgi. A przecież gdyby pani Janina nie kazała Pikusiowi stworzyć we własnej kuchni fabryki ciast... Gdyby biedak nie był tak poczciwy, pracowity i chętny do pomocy i gdyby nie piekł tego wszystkiego całymi dniami do późnej nocy... Gdyby nie wyszła z domu, tylko pomogła mu trochę przy tych cholernych ciastach, ale nie, ona poszła, wyobraźcie sobie, po mąkę. Gdyby Mimoza wytłumaczyła jej, że wykorzystuje nieszczęśnika, i nie poszła z nią, by pomóc w noszeniu mąki...

Mimoza też poniosła karę. Kiedy dowiedziała się, co się stało, padła podobnie jak ja, ale mi wystarczyła łapa Adamsa na moich policzkach, bym otworzyła oczy. Jej nie. Grubanna też nam to tłumaczyła. Miażdżycza, zapchane naczynia. Coś jej pękło w głowie i Mimoza padła jak rażona gromem. Ani dłoń Adamsa, ani natarczywe prośby dziadka, ani nawet kroplówka podłączona przez lekarzy nie pomogły. Zabrano ją do szpitala. Mimo wszystko miała szansę z tego wyjść. Śmieszne, bo leżała w tym samym szpitalu co Kaśka, na tym samym piętrze. Taki zbieg okoliczności. Dziwaczny, jak dziwaczne było ostatnimi czasy nasze życie. Podobno znajdowała się nawet przez chwilę w stanie śmierci klinicznej, czyli serce przestało jej bić i weszła do tunelu, gdzie na końcu czekało na nią światło. A może nie, z Mimozą nigdy nie wiadomo. Takie delikatne kobietki albo wpadają pod samochód na przejściu dla pieszych, albo kłonicą ich nie dobijesz. Ona pewnie należała do tej drugiej kategorii, bo mimo udaru mózgu i wycieczki tunelem w stronę światła wszystko się cofnęło i miała wrócić do domu taka sama jak przedtem. Ponoć rzadko się to zdarza. Akurat jej nie pozwolili mi odwiedzić, chociaż chciałam zajrzeć pod pretekstem odwiedzin u Kaśki. Może chodziło o to, że Kaśkę już wypisano? Natychmiast wraz z całą rodziną „wyjechała” do sanatorium. Dziwna terapia... Najwidoczniej Kołodziejscy mogli sobie pozwolić na to, by porzucić praktyki lekarskie, zabrać córkę ze szkoły tuż przed końcem roku szkolnego i wyjechać nie wiadomo dokąd. Nikt nie wiedział – ani Grubanna, ani nikt z ich sąsiadów. Nie wiem czemu, ale uważałam, że Mimoza może wiedzieć o takich sprawach. Na pewno Kaśka zdążyła z nią o tym porozmawiać. Niestety, ja ciągle tkwiłam w niezbyt błogiej nieświadomości.

*Zaczęłam mieć sny. Dziwaczne sny, pełne symboli. Nie umiem ich poskładać w całość. Zapisuję, by mi nie umknęły, może kiedyś wrócę do nich i wtedy je zrozumieć? A może to nie żadne symbole, tylko śmieci krążące po moim umyśle? Pojawia się w nich moja siostra. Nie, nie przemawiała do mnie, nie tłumaczyła ani nie wołała do siebie. Nawet nie była tak bardzo do niej podobna, przynajmniej nie do tej dziewczyny, którą pamiętałam, zanim tyknęła leki. Stała w wąskim przejściu*

*albo szła przez nie, nie zwracając na mnie uwagi, kiedy ja tkwiłam gdzieś nad nią. Nie uczestniczyłam w tej wędrówce. Tu jestem!, chciałam krzyknąć, powiedz mi coś ważnego, bym zrozumiała, dlaczego taka jestem, dlaczego ty taka byłaś. Nic. Pustka.*

*Zabił tego chłopca. Tego poczciwego biedaka, co wszystko widział. Jak to zrobił? Przecież wyszedł i pojechał gdzieś, dobrze pamiętam. Nie widziałam, kiedy wrócił, zamknięta w swoim śnie, we własnym tunelu bez światła na końcu. Oddałabym życie za to, by już nikomu nie stała się krzywda. Jestem zmęczona udawaniem. Bardzo zmęczona.*

## **ROZDZIAŁ IX**

Nie lubię symboliki, nigdy do mnie nie przemawiała. Kiedyś pewna kobieta opowiadała mi każdy swój sen, mamrocząc przy tym bzdury o jego znaczeniu dla własnej przyszłości. Szukała odpowiednich dat, by wpłacić pieniądze na konto czy kupić kanapę do salonu. To było dla niej niezwykle ważne, ważniejsze niż ja i nasz związek. Zresztą bardzo krótki związek, ale nie z tego powodu. Odszedłem, kiedy odkryłem, że pod ubraniem nie kryje się drobna sylwetka dziecka, tylko dojrzała kobieta z twardymi jak stal mięśniami, biustem i obfitym owłosieniem między nogami. Zerwałem pod byle pretekstem, a ona zinterpretowała to po swojemu. Płakała, że spotkaliśmy się w dzień, kiedy krzyżowały się drogi Saturna i Neptuna, a Saturn i Uran znajdowały się w trygonie ognia, czy inne podobne bzdury, które wygadywała całymi dniami. Nie interesowało mnie to, analizowałem wtedy swoje ja, bo właśnie zrozumiałem, czego chcę, kogo mógłbym kochać. Jeszcze jako nastolatek w naturalny sposób kierowałem swoją uwagę ku koleżankom z klasy. Fascynowały mnie ich delikatne twarzyczki, ledwie zarysowane piersi. Potem, kiedy dorastały, już nie wydawały mi się takie piękne i interesujące. Nie mogłem związać się na dłużej z żadną. Winiłem za to wychowanie. Szukałem kogoś niepodobnego do mojej przybranej matki, a każda dorosła kobieta w jakiś sposób ją przypominała. Związałem się na stałe z dziewczyną podobną do dziecka. Niewielki wzrost, dziecinna twarz, dziewczęca sylwetka. Nigdy się nie malowała, długie włosy wiązała w koński ogon. Z dumą przyjmowałem, kiedy brano ją za moją siostrzenicę, a nawet córkę. Mogłem sobie wyobrażać, że jestem z dzieckiem. Cieszyło mnie to. Czar prysł, kiedy urodziła mi prawdziwe dziecko. Odszedłem od niej wtedy. I chociaż fizycznie jej nie opuściłem, już nigdy nie byliśmy ze sobą.

Symbole przypomniały mi się tylko ten jeden raz. Wszystko wtedy złożyło się idealnie niczym układanka. Elementy same wskakiwały na miejsce. Czy mogłem się oprzeć? Była taka do mnie podobna i wcale się nie bała. Miała ciało takie, jak lubilem, młode, dziecinne wręcz. I chętne. Czy to mnie w końcu odepchnęło? Wolę, gdy się boją. Podnieca mnie ten lęk w ich głosach, prośby o uwolnienie. Ona się nie bała. Błagała, bym upozorował porwanie, mówiła, że w przeciwnym wypadku opowie o mnie policji. Nigdy nie spotkałem tak inteligentnej i tak zaburzonej osoby. Zgodziłem się.

Czas może być twoim najgorszym wrogiem, jeśli oczekujesz, że będzie leczył rany. Ja ciągle błdziłam we mgle. Chciałam znaleźć sobie zajęcie po śmierci Pikusia, która dotknęła mnie bardziej, niż mogłam przypuszczać. Kochałam tego biedaka całym sercem. Za jego dobroć, chęć pomocy, wreszcie determinację, z jaką walczył o odrobinę normalności. Pani Janina się załamała. Obwiniła się o wszystko i nie słuchała, gdy inni mówili, że nic nie mogła zrobić.

Rodzice izolowali mnie od niej. Kiedy tylko odzyskałam świadomość i przekonałam się, że nie stał się żaden cud i Pikuś nie żyje, zaczęłam ją oskarżać. To ona doprowadziła do tragedii, to ona chciała, by piekł te cholerne ciasta. To jej wina.

– Tak nie można mówić, Marzenko – mówiła mama znękanym głosem. Znała Pikusia od zawsze i długo płakała po jego śmierci. – Przecież to niczyja wina.

– Mogę tak nie mówić, myśleć mi nie zabronisz.

– Nie mów tak do mamy – wzdychał ojciec. – Nie masz racji. To nie wina pani Janiny. Żadna matka nie chce, by zginęło jej dziecko.

– Mogła myśleć albo go pilnować! – Wybuchy złości mieszały się u mnie z atakami płaczu. – A ona chciała, by zarabiał.

– Był szczęśliwy, kiedy mógł robić ciasta – mruknął ojciec.

Ciekawe skąd o tym wiedział. Raczej nie rozmawiał z panią Janiną. Poza tym nie lubił ciast.

– A co to ma do rzeczy?! – wrzasnęłam. – To tak jak branie witamin i umieranie zdrowszym. Jak Justyna...

– Nie mieszaj jej do tego – powiedziała cicho mama. Potem słyszałam, jak mówi do dziadka: – To za dużo dla tych dzieci. Stanowczo za dużo. Najpierw porwanie, potem śmierć koleżanki, wreszcie Pankracy... I pani Maria w szpitalu.

Dziadek przejmował się tylko Mimozą. Było w tym coś więcej. Jakby nie tylko bał się, że straci towarzyszkę wspólnych herbatek, ale że przy tej okazji coś wyjdzie na jaw. Mogłam też po prostu wpadać w paranoję.

– Nie pozwolili mi odwiedzić pani Marii – poskarżył się.

– Czemu ojciec chciał odwiedzać w szpitalu obcą osobę? – zainteresował się ojciec.

Oczy mi się kleiły. Dali mi chyba coś uspokajającego. Minęły już trzy dni od śmierci Pikusia, a ja ciągle leżałam w domu, niezdolna do wyjścia do szkoły albo chociażby na spacer. Pewnie przez te leki. Mieszało mi się w głowie. Wydawało mi się czasami, że to Mimoza jest współniczką zbrodniarza, a Pikusia uśmierciła, bo za dużo wiedział. Oczywiście nie zrobiła tego tymi swoimi chudymi rękoma o pajęczych palcach tylko inaczej, namawiając dzieciaka do założenia fabryki wypieków i używania starego, gazowego piekarnika.

– Może dla ciebie to obca osoba – dziadek odparł chrapliwym głosem, ledwie go rozumiałam. Na szczęście przy swojej chorobie nie umiał mówić cicho, siłą rzeczy rozmowa dochodziła do mojego pokoju. – Dla mnie to przyjaciółka. Jedyna, jaką mam.

– Chciałem powiedzieć, że ojciec jest obcy w świetle prawa, pewnie dlatego nie chcą ojca tam wpuścić. A przyjaciółmi ojca jesteśmy my.

– Ty na pewno nie – burknął dziadek tak wyraźnie, jakby siedział przy moim

łóżku. – Nie jesteś nawet przyjacielem mojej córki. Ani wnuczki.

Potem zasnąłam. Nie wiedziałam, o czym dalej rozmawiali. Rano mama pozwoliła mi znów nie iść do szkoły. Nawet gdyby siłą zwlokła mnie z łóżka, nie uszłabym dwóch kroków. Na pogrzeb też nie zamierzałam iść. To byłoby ponad moje siły. Nie wiem, jak zdołam wytłumaczyć to rodzicom, a potem spojrzeć w oczy pani Janinie, ale już postanowiłam. Nie pójdę. Pójdą wszyscy sąsiedzi, Adamsowie, Nosiciele, ludzie z ośrodka, do którego Pikuś chodził na zajęcia terapeutyczne, może nawet Julia w końcu pofatyguje się na tego rodzaju uroczystość. Na pewno będą mogli liczyć na Świętszego Pawła. Na tę okoliczność pisze kolejną zwrotkę *Świętszego bytu*. Nagle zdałam sobie sprawę, że Świętszego nie było pod blokiem. Kiedy Pikuś umierał, Świętszego nie było. Właściwie nic w tym dziwnego. Całe zdarzenie trwało około trzydziestu minut, chociaż według mnie siedzieliśmy pod blokiem godzinami. Pewnie śpiewał akurat w kościele na czymś pogrzebie albo składał kwiaty na grobie, może nawet Justyny. Tym razem nie zadziałał jego niezawodny instynkt i nie wyczuł kostuchy wyciągającej łapy po duszę Pikusia.

– Na pewno nie możesz iść do szkoły? – spytała mama. Wyglądała jakoś inaczej. Coraz bledsza, chudsza, jakby chora.

Nie odpowiedziałam, spjrzałam na nią jedynie zbolałym, pełnym rezygnacji wzrokiem.

– Dobrze, zostań – westchnęła.

– Wrócę dziś później, po spotkaniu z pisarzem – rzucił ojciec, prześlizgnąwszy się po mnie wzrokiem.

– Ja też dziś też wrócę późno, mam... badania. – Mama pochyliła głowę.

Otrzeźwiałam na chwilę. A jednak! Mama jest na coś chora. Jeśli coś się jej stanie, zostanę z ojcem sama, a tego bym nie zniosła. Ojciec był tak strasznie daleki i obojętny. Trzasnęły drzwi. Wyszedł do pracy. Chyba znów się nie pożegnał. Zamierzałam iść do kuchni i zjeść śniadanie jak człowiek.

– Tata ma mnóstwo spotkań w tej nowej pracy – mama uśmiechnęła się blado. Nie przebrała się jeszcze. W szlafroku jadła kromkę chleba z serem, z wysiłkiem przeżuwała kęsy. Naprawdę bardzo źle wyglądała. – To dobrze, kochanie, bo zarabia teraz więcej i wiesz, lepiej się czuje, kiedy go doceniają.

Pokiwałam głową. Ojciec przypominał mi portret olejny. Człowiek mógł sobie wyobrazić portretowanego, nawet studiować każdy szczegół jego twarzy, pociągnięcie pędzla, światło, ale to ani odrobinę nie odsłaniało prawdziwego charakteru mężczyzny z portretu. Widziałam ojca codziennie, wymienialiśmy nawet uwagi, ale nigdy nie poznałam go lepiej. Czasem fantazjowałam, że jest taki dlatego, bo ma gdzieś inną rodzinę. Podobną żonę, córkę w moim wieku, może syna. Dzieli czas między nich a nas, zadowolony z tej mistyfikacji. Po latach, kiedy on już umrze, a ja będę stara, znajdę w jego dokumentach adres tej drugiej rodziny

i położyła notatkę z prośbą, aby skontaktować się z tymi ludźmi i nie mieć żalu.

– Mamo, czy ty jesteś chora? – spytałam.

– Skąd! – zaprzeczyła tak gwałtownie, jak tylko potrafi osoba, która nie umie kłamać.

– To jakie robisz badania?

Podeszłam do niej, wzięłam ją za rękę i spojrzałam w oczy. Ona objęła mnie mocno i przytuliła. Zalała mnie fala czułości. Naprawdę ją kochałam, z jej nieporadnością w okazywaniu uczuć, dyskretną opiekuńczością podszytą wyrzutami sumienia, że mało się mną zajmuje, poświęcaniem się dla innych i zapominaniem o sobie. Przez chwilę spojrzałam na nią innymi oczami. Byłaby piękna, gdyby ubierała się trochę inaczej, bardziej nowocześnie, nie nosiła uparcie brązowego koloru i nie czesała się w koczek. Gdyby ufarbowała siwe pasma, gdzieś przeblyszujące między czarnymi włosami.

– Mam nadciśnienie i podejrzejwają, że to coś z sercem. Zakładają mi dziś taki aparat...

– Holter – odezwał się dziadek z przedpokoju. – Idź koniecznie, córeczko. My sobie tutaj damy radę.

– Na pewno? – Spojrzała na mnie. – Dacie sobie radę? Bo mogę odwołać.

Boże, ja myślałam, że to rak, a to tylko coś z sercem. Jaka ulga! Musiałam przedstawiać sobą żalony widok. Jej opiekuńczość została wystawiona na próbę. Tak naprawdę chciała rzucić wszystko i zająć się mną, gotować rosół, utrzyć marchewkę, posiekać jarmuż, czyli zrobić wszystko, co uważała za dobre, bylebym tylko lepiej się poczuła. Widziałam to w jej oczach.

– Na pewno, mamo – powiedziałam stanowczo. – Idź i zadbaj o siebie. Damy sobie radę. Jutro wrócę do szkoły. Nie chcę tylko iść na pogrzeb.

– Nie musisz. – Poglaskała mnie po twarzy,

– Powinam, ale nie dam rady.

Po południu przyszła Renata. Nie spodziewałam się i ucieszyłam się bardzo na jej widok. Przyniosła zeszyty, skserowane notatki. Naprawdę wszystko, czego potrzebowałam, by uzupełnić zaległości. Miała też wieści.

– Kaśka jednak nie wróci do szkoły – rzuciła na wstępie. – Pojechała do sanatorium. – Uniosła obie ręce ku górze i nakreśliła palcami cudzysłów.

Nagle coś przyszło mi do głowy. Złapałam gwałtownie jej dłoń, aż odskoczyła.

– Co ty...

– Renata! Spróbujmy go zwabić! – krzyknęłam i kiedy zdałam sobie z tego sprawę, od razu ściszyłam głos. – Przecież morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

Nie okazała entuzjazmu, przeciwnie, popukała się w czoło.

– Chyba ci odbiło, Marzena. – Pokręciła głową. – Poza oczywistą głupotą

tęgo pomysłu muszę ci zwrócić uwagę na to, że to niebezpieczne.

– Może być – szeptałam, patrząc na zamknięte drzwi, jakby za nimi stał morderca i podsłuchiwał. – Ale nie będzie, bo zorganizujemy to tak: dotrzemy do niego przez... pewnych ludzi. On spróbuje ponownie porwać Julię albo Kaśkę i wtedy policja go złapie – nakręcałam się coraz bardziej, a Renata wciąż przyglądała mi się z politowaniem.

– A jak go zawiadomisz? – spytała. – Jak ściągniesz Julię? Kaśka ponoć jeszcze jest w mieście, ale w każdej chwili ją wywiozą. Nie mam pojęcia dokąd.

– Bardzo wątpię, by wyjechała przed końcem roku szkolnego – mruknęłam.

– Zanim to załatwią, minie trochę czasu. Poza tym nie pojechała. Jeszcze nie. Mam pewność.

– Niby skąd? – westchnęła.

Widziałam jednak, że połknęła haczyk.

– Widziałam, jak Grubanna wchodziła do bloku Kaśki. Przez okno. Pewnie przyszła na nauczanie indywidualne. Właśnie do niej.

– Widziałas, jak Grubanna wchodzi przez okno do Kaśki? – spytała z ironią.

– To musiało być przeżycie, które ci pomieszało w głowie.

– No przestań czepiać się składni! Może coś miała do podpisania... Wiesz, przyniosła jakieś świadectwa czy coś w tym stylu.

Genialny plan kielkował mi w głowie, co więcej wypuszczał listki, pączki, nowe pędy i oplatał mój rozentuzjasmowany umysł.

– Posłuchaj. – Znowu ścisnęłam jej dłoń, a ona wyszarpnęła ją ze zniecierpliwioną miną.

– Nie, to ty posłuchaj, wariatko. Zawsze cię podziwiałam, ale to, co teraz chcesz zrobić, jest chore. Chyba że żartujesz ze mnie... Może i jestem głupia, ale nie powinnaś...

– Gdyby miała coś podpisać – nie zwracałam na nią uwagi – to rodzice Kaśki pofatygowaliby się do szkoły. Przecież Grubanna nie przytoczyłaby się aż tutaj, by zrobić komuś dobrze. Ona chodzi do Julii i Kaśki uczyć biologii. Mówię ci, wystarczy tylko...

Renata zebrała swoje zeszyty, machnęła ręką i poszła sobie, rzucając mi spojrzenie pełne dezaprobaty. Ja za to usiadłam i zaczęłam obmyślać plan.

Nie muszę wam mówić, jak bardzo się bałam. Wiele ryzykowałam. Właściwie wszystko. Gdyby coś poszło nie tak, to ja poniosłabym całą odpowiedzialność – moralną, prawną, każdą. Starannie przygotowałam plan. Cały miesiąc nad nim myślałam. Kalkulowałam, analizowałam i obliczałam. Grubanna na moją prośbę miała zanieść do Kaśki i Julii listy ode mnie. Prosiłam w nich, by przyszły późnym wieczorem pod blok na ulicę Kopernika. Wyzaczyłam termin tydzień później, żeby zdążyły tak wszystko zorganizować, by mogły wyjść z domu. Do Julii napisałam wprost, że chciałam, aby wróciła jej pamięć. Prosiłam

o nielekceważenie mojej prośby, obiecywałam, że nie dozna traumy, przeciwnie, przypomnienie sobie tamtego wieczoru będzie dla niej rodzajem *katharsis*. List był nieco egzaltowany, mało literacki, ale chodziło mi o przesłanie. Do Kaśki napisałam mniej więcej to samo, tylko bardziej prawdziwie.

*Tamten wieczór nas zniszczył. Nie wiem jak Ty, ale ja nie umiem sobie z tym poradzić. Musimy przez to przejść jeszcze raz. Wszystkie. Justyny już nie ma, jednak – jestem o tym przekonana – nawet ona zgodziłaby się na to. To, co nas wtedy zabiło, teraz musi wrócić nam nasze życie. Bardzo Cię proszę, przyjdź. Wiem, że nigdzie nie wyjechałaś i rozumiem, jak trudno będzie Ci wyjść samej z domu. Zrób to dla siebie.*

Pozostawało jeszcze tylko zawiadomienie mordercy. Renacie już o tym powiedziałam. Podejrzywałam jej ojca, więc zasugerowałam, by wspomniała przy nim mimochodem o tym spotkaniu. Liczyłam, że to zrobi mimo jej kręcenia głową i pełnych strachu spojrzeń. Tylko zaklinałam, by nie wspomniała o policjantach. Po pierwsze, wcale nie zamierzałam zawiadomić policji, bo nie chciałam go spłoszyć, a po drugie, nigdy nie zgodziliby się na takie prowokacje urządzone przez nastolatki.

– Och, wymyśl coś – naciskałam. – Spytaj, czy można się ubezpieczyć przed ponownym porwaniem, bo Julia właśnie zamierza zrobić coś głupiego i bardzo niebezpiecznego... Nie mów o szczegółach, tylko o samym planie wyciągnięcia jej z domu.

– A jeśli ojciec powie jej rodzicom? Przecież on może być ojcem Julii...

– Musimy zaryzykować – upierałam się.

– Zamkną ją na klucz i zabarykadują drzwi.

– Musimy zaryzykować – powtórzyłam. – Jeśli wolisz, powiedz mamie.

Sama absolutnie nie przychodź.

Wreszcie wyraziła zgodę. Jako drugiego „podejrzanego” zawiadomiłam Liczbaka. Poszłam do niego i poprosiłam o przekazanie Julii, że muszę się z nią spotkać i przekazać coś ważnego, zanim wyjedzie. Tego typu banialuki. To też było szalone, głupie i mogło zniweczyć mój plan.

– A niby jak mógłbym to zrobić? – Liczbak świdrował mnie spojrzeniem.

– No... – zrobiłam niezbyt rozcigniętą minę. – Przecież pan profesor musi do niej przychodzić na nauczanie indywidualne.

– A jeśli ci powiem, że opuściła nasze miasto?

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

– Ależ, panie profesorze, pani profesor Rostkowska regularnie przychodzi do Julii na nauczanie indywidualne. Przecież pan też musi, bo tak jest przy... nauczaniu indywidualnym.

Liczbak miał surowe spojrzenie, ale na jego twarzy gościł chytry uśmieszek. Przeraziłam się nagle. Przecież to może być morderca, jak mogłam mu zaufać? Czy



ryzyko nie jest zbyt duże?

– Ekhm... no tak.

Przytaknęłam i uspokoiłam się. Co ma być, to będzie.

W powrotnej drodze wstąpiłam do kościoła. Uklęłam w nawie bocznej i udawałam, że wcale nie chcę spotkać się z Świętym Pawłem i przyszłam tu tylko po to, by się pomodlić. Tak jak podejrzewałam – znalazł mnie natychmiast.

– *Co znów wymyśliła?* – zanucił.

Może mi się wydawało, ale schudł, oczy miał rozbiegane. Wyglądał, jakby się czegoś bał.

– Przeszkadza mi pan w modlitwie – powiedziałam z wyrzutem.

– *Módlmy się* – zaintonował chrapliwym głosem. Gdzie podział się tamten aksamit? Ciekawe co się stało. – *Módlmy się za duszę...* – przerwał i czekał najwyraźniej, aż podam intencję.

– Nie poszłam na pogrzeb Pankracego, chciałabym zatem pomodlić się za jego duszę.

Świętzy uspokoił się. To, co mówiłam, brzmiało logicznie. Zaczął śpiewać słowa *Świętszego bytu*. Zauważyłam, że dopisał zwrotkę, która mówiła o skromności i dobroci Pikusia. Nieco złagodniałam. Starał się, to mnie ujęło.

– *...walczyłeś z wiatrem nienawiści...* – śpiewał. Nawet coraz lepiej mu wychodziło, choć jego dziwacznie chropawy głos wciąż nie był w najwyższej formie, ale kto wie, może Świętzy się przeziębził, nie zwracałam sobie tym głowy.

– Nie wiem, czy Pikuś z czymś walczył, jednak na pewno nie z wiatrem nienawiści. Wszyscy go lubili – powiedziałam, wstając z klęczek.

– *Nie wiesz nic...*

Miałam dość jego żalonych rymów częstochowskich i ciągłego podkreślania, że ta żalonna kreatura posiadała jakąś tajemną wiedzę zdolną zbawić ludzkość, a przynajmniej uratować moje życie.

– To pan nic nie wie, panie Pawle – burknęłam. W kościele zaczęli gromadzić się żalobnicy. Wjechała trumna na katafalku. – Nie było pana, kiedy TO się stało. Dobrze pamiętam.

Spuścił głowę. Czy mi się wydawało, czy nie zdołał powstrzymać uśmiechu?

– Zawsze pan tak bezbłędnie wyczuwa śmierć, a wtedy pana zabrakło. Co pan robił, panie Pawle?

Nie czekając na odpowiedź, wyszłam z kościoła. Świętzy pobiegł za mną. Otworzył usta pewnie po to, by znów wyrzucić z siebie te idiotyczne strofki i przekonać całe miasto, że jest zupełnie nieszkodliwym idiotą.

– Niech pan przestanie z tym śpiewaniem! Denerwuje mnie to i do niczego nie prowadzi. O nic pana nie oskarżam...

– *Módlmy się* – zapiszczał żałośnie.

– Zamierzam, zamierzam się pomodlić – pokiwałam głową – z koleżankami,

panie Pawle. Z tymi, które też nie pojawiły się na pogrzebie. Gdybyśmy chciały w poniedziałek odwiedzić cmentarz, to w razie czego wpuści nas pan? Wieczorem?

To właśnie tam wybierała się Justyna. Dlatego wzięła ze sobą latarkę. Czy chciała spotkać się ze Świętym? Czy to on był porywaczem i mordercą?

Rozległy się dzwony kościelne. Zaczynała się msza pogrzebowa. Święty rzucił mi pełne żalu spojrzenie, a następnie wrócił truchcikiem do kościoła. Odprowadziłam go wzrokiem, a potem udałam się do Mimozy. Jej nie zamierzałam okłamywać. Musiała być po mojej stronie. Znała mordercę i z jakichś względów nie chciała mi tego zdradzić.

– Pani Mario – zaczęłam, kiedy już oswoiłam się z korytarzem pomalowanym na ciemnoczerwony kolor. – Muszę coś... zrobić i potrzebuję pani rady.

– Od razu ci jej udzielę, dziecko – powiedziała. – Nie rób tego, co masz na myśli.

Darowałam sobie wszelkie wyrazy zdumienia. W końcu dlatego ją odwiedziłam. Bo ona WIEDZIAŁA. Wszystko wiedziała.

– Muszę – rzuciłam, patrząc na ścianę. – Czy ta czerwień to jakaś zapowiedź rozlewu krwi, czy coś bardziej symbolicznego?

– Nie – uśmiechnęła się lekko. – Namalowałam tyle różnych rzeczy, że tylko ciemna, mocna farba zdoła je przykryć. Nie chciałam czerni ani granatu. Ciemna zieleń wydawała mi się zbyt zimna, przygnębiająca, brąz – skrzywiła się – nie do przyjęcia.

Podawała mi herbatę w filiżance, której do tej pory u niej nie widziałam. Błękitnej w białe dmuchawce.

– Piękna filiżanka – zagadnęłam. – Od dawna nie pomagałam pani w zakupach. Nie mogłam pozbierać się po tych... śmierciach.

Poczułam jej rękę na moim przegubie. Spojrzała na mnie swoimi pięknymi oczami.

– Wiem, dziecko – odparła kojącem głosem. – Nie umiałam ci pomóc. Przepraszam.

– Nie byłam na pogrzebie Pikusia...

– Ja też nie – szepnęła.

Ona nie dotarła na cmentarz, bo wciąż leżała w szpitalu. Ja bałam się, że zrobię coś szalonego, zacznę krzyczeć, oskarżać panią Janinę o zabicie Pikusia albo Nosiciela o porwanie Julii. Dlatego nie poszłam. Poza tym zapłakałabym się na śmierć, a potem nie dała złożyć trumny do grobu.

– Czemu to właśnie pani miałyby mi pomóc? – spytałam. Liczyłam na to, że na chwilę straci czujność i powie coś, co skieruje podejrzenia na konkretną osobę.

– Bo jestem starsza, znam cię od dziecka i... sama doznałam w życiu straty. A poza tym... utrata Pankracego stała się i moim dramatem.

– Pani Mario – wychyliłam ostatni łyk herbaty – Julia wyjeżdża, podobnie jak Kasia. Pani Janina ma jechać jako opiekunka.

– Już pojechała – jej spokojny głos ośmielił mnie. – Muszą tam wszystko przygotować.

– A ON nie pojedzie za jedną albo za drugą? Jak pani sądzi?

Wstała i podeszła do okna. Zamknęła starannie otwarte wcześniej drzwi balkonowe. Uświadomiłam sobie w tej chwili, że musiała przeżywać piekło, mieszkając nadal w tym samym mieszkaniu i patrząc na balkon, z którego wypchnęła męża. Może to była jej własna kara, pokuta za grzechy? Mimo wszystko bardzo okrutna.

– Nie wiem, kto to jest – powiedziała, kiedy wróciła do stołu.

– Bardzo dobrze pani wie. Wiedziała pani wtedy, wie i teraz. Czemu nie chce go pani wydać? Czy on coś na panią ma?

Pokręciła uparcie głową.

– Nie rozumiem pani. Ktoś taki chodzi po ulicach, zginęła dziewczyna, a pani nic... Maluje te swoje obrazki i udaje głupią – mówiłam smutnym głosem i nawet, gdy ostro na mnie spojrzała, nie przestałam. – A niech się pani obrazi – kontynuowałam coraz mocniejszym tonem. – Namaluje pani ciernie, powój na krzyżu czy co tam pani wymyśli. Zajmie się pocieszaniem kolejnej matki albo ograniczy do wielce uczonych dyskusji z moim dziadkiem. Boże, jakie to żalosne. Czy wam się nie wydaje, że trzeba iść na policję i powiedzieć o wszystkim, co wiecie?

– A sama poszłaś? – spytała.

Tu mnie miała. Mimo wszystko nie dałam się zbić z tropu.

– Nie poszłam. Julia upiera się, że nie pamięta. Justynie nikt życia nie wróci. Kaśka jest jednym wielkim przerażeniem. Świętzy nie przestaje śpiewać, Pikuś odszedł, a pani maluje...

Zacisnęła wargi.

– Jak pewnie się pani domyśliła, namówiłam Julię, aby sobie przypomniała to i owo. Zamierzam zresztą przeprowadzić wizję lokalną i tym samym odświeżyć jej pamięć. A wtedy będzie musiała powiedzieć, kto to jest. Zrobię to, pani Mario. To będzie dobre. W miesięcznicę tamtego wydarzenia, w podobnych okolicznościach, w tym samym miejscu, skąd została porwana. Zrobię to, a potem niech się dzieje co chce.

Wysłałam licząc na to, że przynęta zadziałała.

Po wydarzeniach tamtego wieczoru rozumiałam Julię, która upierała się, że nic nie pamięta. Ja, niestety, pamiętałam każdy najdrobniejszy szczegół, chociaż dałabym wszystko, by zapomnieć.

– Czas pozwoli ci zapomnieć o tych tragicznych wydarzeniach – powiedział mi w szpitalu psycholog, bardzo młody, lekko przerażony mężczyzna, niemający

pojęcia, o czym mówi.

Są takie chwile w życiu, kiedy czujemy się strasznie źle i nie ma w nas nawet iskierki nadziei na zmianę tego stanu. Leżymy, patrząc w sufit i wierzymy głęboko, że to nas w końcu zabije. To właśnie zdarzyło się mnie po tamtym wieczorze, gdy wszystko poszło nie tak.

Czekałam wtedy na Kaśkę i Julię ponad godzinę, z każdą minutą trzęsąc się coraz bardziej z zimna i strachu. Tysiąc razy chciałam się wycofać, ale przypominałam sobie, ile determinacji wykazałam, by doprowadzić do tego spotkania. Kiedy zobaczyłam Kaśkę, prawie usiadłam ze szczęścia na wilgotnej ziemi.

– Myślałam, że nie przyjdiesz... – Rzuciłam się jej na szyję, a ona objęła mnie ramionami.

– Musiałam czekać, aż ojciec wyjdzie z domu na nocny dyżur.

– A mama? – zaniepokoiłam się. Rodzice Kaśki odegrali kluczową rolę w tej historii.

Zrozumiała, o co pytam.

– Mama jest w Krakowie i przygotowuje mieszkanie. Sprawdziłam to – powiedziała z naciskiem. – Naprawdę tam jest. Co do ojca, dzwoniłam do szpitala i pytałam, czy ma tego dnia dyżur. Nie mogłam powiedzieć, kim jestem, więc nie udzielili mi informacji. Chociaż o tym dyżurze mówił od dawna... Wpisał w datownik.

Milczałam. Jeśli to on jest sprawcą, zdemaskujemy go, byle tylko przyjechał. Zrobiło się ciemno i zapalili latarnie. Schowałyśmy się za gęstymi krzakami u wylotu ulicy. Zauważyłam je dawno temu i uznałam za dobry punkt obserwacyjny. Julia nie przychodziła.

– Co powiedziałaś swoim rodzicom? – Kaśka przerwała ciszę.

– Półprawdę – szepnęłam.

Ulicą przechodziła para młodych ludzi. Trzymali się za ręce i zatrzymywali co chwila, by się objąć i pocałować.

– Paweł i Julia nie chodzą ze sobą – usłyszałam szept Kaśki i od razu straciłam czujność.

– Jak to nie? – spytałam zaskoczona.

Paweł unikał mnie nie demonstracyjnie, ale konsekwentnie. Kiwał głową na „dzień dobry”, w rzadkich chwilach, kiedy pytałam o coś, odpowiadał grzecznie, jednak sam nie przejawiał żadnej inicjatywy. Nie inicjował rozmowy, nie odpowiadał na pytanie dłużej niż to było konieczne i bardzo pilnował, by nie zostać ze mną sam na sam. Odkąd Julia nie przychodziła do szkoły, nie łączyło nas właściwie nic. Pytałam go o nią, czy sobie radzi, czy nie chciałaby moich notatek, zażartowałam nawet: „Bo przecież ty bazgrzesz jak kura pazurem”, ale on nie roześmiał się, tylko powiedział grzecznie: „Nie ma takiej potrzeby”. Płakałam

potem cały wieczór. To zimne „Nie ma takiej potrzeby” sprawiło mi większy ból, niż gdyby powiedział: „Odczep się” albo „Nie dociera, że cię już nie chcę?”.

Dlaczego już nie chodzili ze sobą?

– O Boże! – Kaśka szarpnęła mnie za rękę.

Popatrzyłam na miejsce, które wskazywała. Po przeciwnej stronie, za drzewem, tuż przy wejściu do parku, ktoś się chował. Musiał tam stać od dawna, ale dopiero teraz wychylił się z kryjówki, a potem najwyraźniej zapomniał schować się z powrotem.

– Boję się – powiedziała.

Ja też się bałam i w tamtej chwili żałowałam każdą komórką swojego ciała, że wymyśliłam tak idiotyczny sposób łapania przestępcy. Przecież wtedy też musiał właśnie tam się ukryć, o ile oczywiście osobnik kryjący się za drzewem był porywaczem Julii, a nie mieszkańcem wyprowadzającym psa. Boże drogi, musiał to zrobić zaraz po naszym rozstaniu! Złapał Julię, zaciągnął ją do parku i poczekał chwilę. Znalaziono ją po drugiej stronie, przy Bolesława Prusa, gdzie musiał ją przetrzymywać. Miał niedaleko, w dodatku szedł zupełnie osłonięty ciemnością i drzewami. Ludzie nie chodzą o tej porze przez park, przynajmniej nikt normalny. Nawet gdybyśmy zmieniły zdanie i wróciły po Julię, on znajdował się już daleko. Nasza wina polegała jedynie na tym, że zostawiłyśmy ją samą.

– Co teraz? – Kaśka wyszeptała mi do ucha.

– Czekamy. Jeśli się wycofa, to go dogonimy.

– Oszalałaś? – jęknęła. – A jak nas zaatakuje?

Nie, tego na pewno by nie zrobił.

– Będzie chciał uciec – powiedziałam stanowczo. – A my go dogonimy.

Spojrzała z podziwem. Nie podzielałam jej odczuć. Cały plan miał mnóstwo słabych punktów. Właściwie to był bardzo słaby plan. Chociaż, przyznam się wam, że paradoksalnie właśnie w tamtej chwili zaczęłam wierzyć w jego realizację. Nie wiedziałam, czy Julia otrzymała moje zawiadomienie, czy zdecyduje się przyjść, czy zdoła pokonać swój strach i przejść samodzielnie te pięćset metrów od swojego domu do ulicy Kopernika, u wylotu parku.

A jeśli on dopadnie ją po drodze? Jak wtedy będę się czuła? Niech ona nie przychodzi, zaczęłam się modlić, niech nie przychodzi albo nie, niech tu się zaraz pojawi! Boże jedyny, co ja zrobiłam?! Niech rodzice zamkną ją na klucz, naskarżą na mnie do dyrektorki, niech mnie zawieszą w prawach ucznia za to, co jej napisałam. Tylko niech nie przychodzi. Albo niech przyjdzie natychmiast i niech się dokona, co zaplanowałam. Niech będzie co ma być. Żebym tylko nic nie spieszyła... Stałam sparaliżowana strachem.

– Jezu, ona idzie.

Spojrzałam na lewo. Z dala trudno było dostrzec, czy ciemna sylwetka o niepewnych ruchach należy do Julii.

– Nie wiem, czy to... – przerwałam, bo idącą dziewczynę oświetliło światło latarni i zobaczyłyśmy Julię.

On też ją zobaczył. Nasunął na twarz kominiarkę. Nie mogłam dostrzec, czy to człowiek młody czy stary, gruby czy szczupły. Wiedziałam jedynie zarys sylwetki.

– To on? – Kaśka trzęsła się jak osika.

– Oczywiście. Jest maj, a on ma na sobie kominiarkę i bluzę z kapturem. Boże... – Serce waliło mi jak młotem. Bałam się, że on to usłyszy.

– Co robimy? – spytała spanikowana.

Nie było odwrotu.

– To, po co przyszliśmy – odpowiedziałam i ostrożnie wyszłam zza krzaka. Obserwowałam, jak ze skupieniem wpatruje się w Julię. Patrzył na nią jak głodny wilk. Czułam to i zastanawiałam się, o czym myśli. Chciał znów ją porwać i tym razem dobrze pilnować, czy zabić tak jak Justynę?

– Poczekamy, aż do niej podejdzie – z trudem słyszałam własny głos. – Wtedy podbiegniemy.

– Zróbmy to teraz – wyszeptała. – Ja tego nie wytrzymam...

– Nie, bo niczego mu nie udowodnimy.

Wtedy zgasło światło. Uliczne latarnie pograżyły się w mroku, a ja zamiast skoncentrować się na tym, co miało nadejść, zaczęłam walczyć z mackami oblepiającymi moją twarz. Dlaczego teraz? Czy to jego sprawka? Niech mi ktoś pomoże...

Julia doszła do miejsca, w którym powinna przejść przez ulicę i skierować się w stronę tamtego bloku. Stała jednak niepewnie, jakby kogoś wypatrywała. Nawet gdybym chciała ją zawołać, a nie chciałam, głos uwiązł mi w gardle i nie dałabym rady krzyknąć.

– Marzena... – głos Kaśki docierał do mnie z opóźnieniem. – Co się stało, błagam cię...

– Muszę wziąć się w garść, tak, muszę wziąć się w garść – powiedziałam albo pomyślałam, nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością.

Sytuacja na drodze uległa zasadniczej zmianie. Spanikowana wpatrywałam się w ciemność gęstniejącą wokół nas, kiedy nagle coś do mnie dotarło. W tym miejscu droga kończyła się ślepo. Ktoś, kto o tym nie wiedział, miałby ogromne trudności z wycofaniem samochodu, zwłaszcza jeśli na poboczu stałyby zaparkowane samochody. Nikt tamtędy nie chodził. Do klatek wchodziło się z drugiej strony, od Kościelnej, do parku ścieżką przy Bolesława Prusa albo od tyłu, za szkołą numer dwanaście i przedszkolem, które już graniczyło z parkiem. Wtedy docierało się do jeziora z oświetlonym mostkiem i do wybrukowanych alejek. To jedno wejście do parku pozostawało ciemne. Nawet pijacy tam nie przesiadywali. Cóż za cudowne miejsce na porwanie. Tylko co mi z tej wiedzy

teraz? Powinnam była pójść z tym na policję, ale nie poszłam, tego jednego nie mogłam im powiedzieć – skąd Julia została porwana, gdzie porywacz zwał się Justynę...

Julia tymczasem przystanęła. Czas rozciągał się, a w mojej głowie zaczynało się przejaśniać. Zobaczyłam światła samochodowe, co mnie trochę uspokoiło. Ktoś zawołał ją po imieniu. To on. Odwróciła się. Chyba go poznała. Julia, wytrzymaj jeszcze chwilę, Kaśka rozluźnij nieco uchwyt, bo trzeba będzie amputować mi rękę. Światła przybliżyły się. Nadzieja... Podchodził do niej powoli. Zesztywniała ze strachu, nie ruszyła się nawet na milimetr. Poruszał się wolno, odwrócony do nas tyłem. Stałyśmy jakieś dziesięć metrów od nich, ale wciąż nic o nim nie wiedziałam. Młody czy stary, gruby czy wysportowany? Samochód skręcił w wąską ulicę między blokami. Znów było ciemno, ale ja zatrzymałam w sobie tę cząstkę światła, która jeszcze przed chwilą oświetlała mi cel.

– Nie, nie... – jęknęła Julia. Głos miała chrapliwy.

Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę musisz wytrzymać, zaklinałam w myślach. Kiedy tylko cię dotknie, ty go złapiesz i nie puścisz. Tak, jak ci napisałam, jak się umawiałyśmy. Nawet jeśli będzie chciał uciec, zrobisz wszystko, by go zatrzymać, żebym mogła dopaść drania i zobaczyć, kim jest. Dasz radę.

– Aaaa! – wrzasnęła nagle Kaśka.

Nie, nie! Za wcześnie! Tylko go spłoszysz, kretynko! Schował się między drzewami w parku. Idiotka z Kaśki. Jak mogła? Widziałam przed sobą jedynie park i znikającą sylwetkę. Muszę go dogonić, po prostu muszę. Co, jeśli przyczai się, a potem uderzy? Trudno, nie mogę tak żyć. Biegłam rytmicznie, nie oglądając się za siebie. Julia niech zostanie z Kaśką, zajmą się sobą. Nie słyszałam kroków, nawet nie zauważyłam, że w parku jest ciemno, ciekawe, ciekawe. Biegnij, Marzena, biegnij! Potknęłam się o korzeń i upadłam. Musiałam uderzyć się w głowę, bo mnie zamroczyło. Nie na długo, na kilka, może kilkanaście sekund, nawet nie na minutę. To jednak wystarczyło. Kiedy podniosłam się, nie zobaczyłam żadnego cienia biegnącego między drzewami. Nic nie zobaczyłam. Mimo wszystko jeszcze próbowałam. Na niebie świecił księżyc, mój sojusznik, który postanowił nieoczekiwanie pomóc. Dokąd bym pobiegła, gdybym chciała ukryć się przed szybką nastolatką? Ruszyłam w stronę mostka. Bez trudu dałoby się pod nim ukryć, bo rzeczka, właściwie strumyk był płytki. Rozejrzałam się. Złapałam spory kamień i wolnym krokiem zeszałam w stronę szczeliny. Zemdliło mnie. Pod mostem nikt się nie czaił, za to pływały rozłożone zwłoki psa. Zwymiotowałam wprost na nie i natychmiast stamtąd wyszłam. Miałam mokre buty i nogawki do połowy łydki. Mama będzie pytała, co się stało. Co ja jej powiem? A co powiem ojcu? Jeśli nie pod mostem, to gdzie się ukrył? Oczywiście mógł przyczaić się za krzakami, ale coś mi mówiło, że pobiegł w stronę stacji kolejki podmiejskiej. Tam swobodnie mógł wmieszać się w tłum. Pobiegłam.

Z dala dobiegł mnie charakterystyczny stukot. Nie zdążę. Jeśli on dobiegnie pierwszy, nie znajdę go. Ale może rozpoznam po bluzie z kapturem? Znów o coś się potknęłam i upadłam na miękką ziemię, tuż obok czyjejs kurtki. Noga mnie bolała, chyba się zraniłam. Gdybym nie szukała drania pod mostem, tylko od razu pobiegła na stację, złapałabym go. Trzęsłam się ze złości i rozczarowania. Niech szlag trafi Kaśkę! Przeszukałam kurtkę. Oczywiście ktoś mógł tu porzucić nowiutki, granatowy polar, pokryty ortalionem, bo miał w domu takich kilka, ale nikt by w to nie uwierzył. Zwłaszcza że w wewnętrznej kieszeni znalazłam bransoletkę z rzemyków, którą tamtego wieczoru Kaśka podarowała Julii. Tak! Wreszcie jakieś zwycięstwo. Moja cierpliwość została nagrodzona. Na kurtce widniał napis „Polfarmex” wyhaftowany niebieską nitką. Firma farmaceutyczna. Ja nie mogę! To na pewno kurtka ojca Kaśki! Zapomniałam o bolącej nodze. Wstałam błyskawicznie, zabrałam ją i biegiem puściłam się w stronę dziewczyn. Dla Kaśki to może być szok, ale wyjaśnimy tę sprawę. Co za drań, lekarz, ojciec dziewczyny. Co za drań...

Z dala zobaczyłam mnóstwo migających świateł. Między drzewami świeciły na czerwono i niebiesko. Serce mi stanęło. A jeśli on wrócił i zaatakował Julię podczas, kiedy ja go goniłam albo wydawało mi się, że go goniłam? Biegłam tak szybko, jak tylko mogłam.

Na wąskiej ulicy stał radiowóz oraz karetka pogotowia. Julia siedziała w kucki na trawie opatulona kocem termicznym. Ktoś przy niej siedział, kiwała się w przód i w tył jak na filmach o niedoszłych ofiarach przemocy. Złota folia wyglądała jak cukierek w papierku.

– Julia! – wrzasnęłam. – Julia!

Uniosła głowę. Twarz miała zalaną łzami.

– Boże, to moja wina, moja wina – rozszlochała się na dobre.

– To nie twoja wina – uspokajającym tonem powiedziała pani w dzinsach, czarnym swetrze i zakiecie. Co to za jedna? – Nie mogłaś wiedzieć, że twoja koleżanka...

Kogo właśnie wnoszono do karetki?

– Co się stało?! – musiałam głośno krzyknąć, bo Julia zasłoniła sobie uszy.

– Kim ty jesteś i skąd się wzięłaś? – spytała kobieta, podchodząc do mnie.

Pewnie wyrwano ją z domu, gdzie z talerzem pełnym kanapek z szynką i ogórkiem oglądała wieczorny serial. Z takim wyglądem mogłaby spokojnie zagrać w amerykańskim filmie.

Boże, Boże, co tu się stało? Stałam jak głupia z polarem w rękach.

Nie odpowiedziałam. Pobiegłam w stronę karetki. Tam musi być Kaśka, bo chyba nie morderca, to byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. W rękach trzymałam granatowy polar. Muszę spytać, czy go poznaje, tylko spytam, proszę mnie przepuścić.



– Kasia! – krzyczałam. – Kasia! Muszę ci coś pokazać!

– Ona ciebie nie słyszy! Idź stąd! – wrzasnął ratownik ubrany od stóp do głów na pomarańczowo.

Jak to nie słyszy? Co się stało? Musiała zemdleć pod wpływem szoku, bo co mogłoby się stać? Szarpałam się z sanitariuszem, lekarzem, a może to był kierowca karetki. Nie mam pojęcia. Powtarzali, bym odeszła, bo przeszkadzam. Nagle dostrzegłam twarz Kaśki. Zamknięte oczy, z boku głowy otarcie czy uderzenie, rozpoznałam jedynie krew.

– Co się stało?! – rozpłakałam się. – Co on jej zrobił?

– Dziewczyno, idź stąd wreszcie, bo nie możemy zawieźć twojej koleżanki do szpitala! – wrzeszczał sanitariusz, a potem przekazał w ręce równie rosyłych jak on policjantów.

– Co się stało? – jęczałam.

– Twoja koleżanka wybiegła na jezdnię i została potrącona przez samochód. A twoja druga koleżanka zamiast od razu wezwać pomoc, próbowała ją wyciągnąć spod kół. A kierowca... Starszy pan, dostał zawału czy coś w tym stylu. Zanim wezwały pogotowie, minęło sporo czasu.

Rozejrzałam się. Jak mogłam tego wcześniej nie dostrzec? Z boku, jakby zaparkowany stał niebieski opel z rozbitą szybą. Sflaczałe poduszki zwisały niczym wypłuta guma balonowa. Wokoło wałały się kawałki szkła.

– Ja muszę jechać do szpitala. Muszę coś jej pokazać...

– Gdzie chcesz jechać? – zdumiał się policjant. – Kierowca to twój znajomy?

– Nie, nie wiem... Mówię o koleżance.

– Marzena! – zawołała mnie Julia, a ja od razu wyrwałam się i podbiegłam do niej. – Marzena! – płakała. – To moja wina, Boże, moja wina! Jak zaczęłaś go gonić, wpadłam w panikę i chciałam... nie wiem, co chciałam. Biegłam ulicą... Ten samochód wyjechał tak nagle, a ona mnie popchnęła i sama tam wpadła...

Marzena...

– Julia. – Podetknęłam jej pod nos polar. – Znalazłam to, kiedy go goniłam.

Czy ty to pamiętasz? To jego?

Spojrzała na kurtkę, potem na mnie.

– Ja nie pamiętam...

– Daruj sobie! – krzyczałam, słyszało mnie chyba pół miasta, ale nie dbałam o to. – Daruj sobie te gadki o niepamięci! Przyjrzyj się i powiedz, czy to jego!

Polar oświetlało światło z reflektorów samochodowych. Julia patrzyła chwilę, potem dotknęła i zamknęła oczy. Pokręciła przecząco głową.

– Marzena – szepnęła, oglądając się na boki. Na szczęście psycholożka, czy kim tam była ta kobieta, odeszła na bok. – On mnie trzymał w pomieszczeniu, włożył mi na głowę czarny, płócienny worek z otworem na usta. Mocno mnie związał, zresztą bałabym się kombinować. Ja NAPRAWDĘ nic nie widziałam.

Wcisnął mi kanapki i wodę przez tę dziurę w worku... Wyprowadzał do łazienki. Nawet do głowy mi nie przyszło, że mogłabym zdjąć worek i go zobaczyć. NIC NIE WIDZIAŁAM. Uwierz mi, błagam cię i przestań mnie dręczyć.

Wyjęłam bransoletkę z kieszeni.

– Tego też nie pamiętasz?

Spuściła głowę. Zaniepokojona psycholożka zbliżała się do nas. Ta kobieta nie może usłyszeć, o czym mówimy. Na szczęście ktoś ją zawołał i przystanęła.

– Naprawdę chciałabyś, żebym pamiętała tamten wieczór? Żebym powiedziała o tym na policji? – spytała cicho Julia. – Naprawdę nic nie rozumiesz?

– Nie – zaprzeczyłam gwałtownie. – Nie rozumiem. Wytłumacz mi. – Nachyliłam się ku niej, jakbym jej pomagała czy pocieszała ją. Zaczynij mówić Julia, błagam cię.

– Wtedy pod blokiem, kiedy wracałam do domu, zobaczyłam Justynę. Stała między drzewami, jakby na mnie czekała. Pomyślałam, że chce przeprosić za to, co wydarzyło się na strychu... Otworzyłam usta, by ją zawołać, a wtedy... on mnie uderzył. Widziała to. I nic nie zrobiła.

– Wiem – potwierdziłam z ulgą. – Czy ona potem przychodziła tam, gdzie cię trzymał? Czy to ona cię uwolniła?

Pokręciła stanowczo głową.

– Nie. Ale masz rację, to nie on mnie uwolnił i sama też nie dałabym rady. Pojawiła się jakaś kobieta. Widziałam przez chwilę ręce, zresztą wyczuwałam jej delikatność. On... też mnie dotykał, ale w inny sposób. Ona... była dobra i przerażona. Uwolniła mnie.

Psycholożka znów zaczęła iść w naszym kierunku. Muszę się dowiedzieć, muszę zdążyć.

– Powiedz mi, cokolwiek pamiętasz, wszystko może mieć znaczenie... Czy to osoba w naszym wieku?

– Nie – odparła szybko. – Na pewno nie.

– Stara? – pytałam natarczywie. – Czy miała stare ręce?

Znów pokręciła głową.

– Nie, nie wiem... Nie pamiętam...

– Pierścionek, obrączka? Pomalowane paznokcie?

– Nie – wyszeptała i spuściła głowę. Usłyszałam jej płacz. Ktoś stanął przy nas.

– Zapraszam panienki na komendę – odezwał się oficer śledczy Jaśkowiak. A ten skąd się tu wziął? No tak, wezwała go ta małpa w golfiku. Wstałam zrezygnowana i podałam rękę Julii.

– Zaraz tam będziemy – powiedziałam. – Za dziesięć minut.

Roześmiał się krótko. Widocznie rozbawił go mój pomysł, że pójdziemy sobie piechotą na komendę oddaloną od tego miejsca o kilka minut drogi.

– Zapraszam do radiowozu. Według lekarza nie musisz być hospitalizowana.  
– Skinął głowę w stronę Julii.

– A ja? – spytałam. – Mam za sobą wyczerpującą pogoń i kilka ran...

– Ciebie to z chęcią zamknąłbym w celi z psychopatką – wycedził. – Rusz się, dobrze? Póki grzecznie proszę...

Spojrzałam na Julię, a potem z rezygnacją poszliśmy za nim. Po drodze skinął na kobietę w dzinsach. Tym razem nie zamierzałam omijać procedur.

– To co? Powiesz mi coś sama, czy mam ci zadawać pytania? – siedziałam w pokoju, w którym wcześniej przesłuchiwał Pikusia. Od tamtego czasu minęły lata świetlne.

– Mordercą i porywaczem jest ojciec Katarzyny – powiedziałam. – Goniałam go.

Zrobił minę pod tytułem „te nastolatki uzależnione od czytania kryminałów”.

– I twierdzisz tak na podstawie znalezionej w parku kurtki? – spytał.

– Dokładnie. Wyrzucił ją, bym go potem nie rozpoznała. Wcześniej myślałam, że schował się pod mostkiem, ale znalazłam tam tylko zwłoki psa. Straszne! Ale jego tam nie było. To znaczy tego człowieka, bo pies był.

– Panno Popielewicz – Jaškowiak widocznie stracił cierpliwość. – Pewnie ty wiesz, o czym mówisz, ale ja, zapewniam cię, nie mam zielonego pojęcia. Albo mi powiesz, o co ci chodzi, od początku do końca, albo... wypierdalaj stąd.

Ostatnie słowo wypowiedział takim tonem, że mnie zmroziło. Zaczęłam opowiadać. Oczywiście swoją wersję. Bez szczegółów dotyczących tamtego wieczoru. Tylko ostatnie zdarzenia. Jak wpadłam na pomysł, by zwabić mordercę na miejsce zbrodni. Jak ściągnęłam tam Kaškę i Julię, bo nie wiedziałam, która będzie lepszą przynętą.

– Złapałabym go, gdyby Kaška nie wpadła w panikę i nie zaczęła krzyczeć. Wcześniej zgasło światło, a ja się boję ciemności, dlatego jej nie uspokoiłam. Sama miałam problem...

Nie wierzył mi ani odrobinę. Widziałam to w jego oczach.

– Ten polar należy do lekarza, czy pan tego nie widzi? – upierałam się.

– A skąd ci przyszło do głowy, że ojciec twojej koleżanki jest właścicielem tej bluzy, i w dodatku mordercą i porywaczem?

Straciłam cierpliwość.

– Przecież panu tłumaczę! – zawołałam żałośnie. – Nie możecie go znaleźć, bo jest inteligentny, zna nas wszystkich i zacierá ślady. To musi być... lekarz. Mówiłam już: to on badał Julię po... tym. Potem jego żona prowadziła terapię. Kaška brała psychotropę, bo... widział pan, jaka jest. Justyna to była jej najlepsza przyjaciółka i pacjentka matki Kaški.

– To wciąż nie czyni z jej ojca mordercy. – Jaškowiak wstał. – Na litość boską, dziewczyno! Nie możesz rzucać takimi oskarżeniami!

– Powiedział, że jest na dyżurze, w szpitalu. Ale ja nie słyszałam jeszcze o dyżurach lekarskich, które zaczynałyby się wieczorem. Tak pracują pielęgniarki, ale nie lekarze...

– Doktor Kołodziejski dyżurował w prywatnym szpitalu położniczym. – Oficer wziął do ręki jakiś zeszyt i otworzył odpowiednią stronę. – Pacjentka miała wskazania do cesarskiego cięcia, umówił się z nią na ten właśnie termin. W chwili, kiedy goniłaś swojego domniemanego mordercę, on stał przy stole operacyjnym, co może poświadczyć anestezjolog oraz instrumentariuszka i jeszcze kilka innych osób zarabiających na życie pracą w tym szpitalu.

Otworzyłam usta ze zdumienia. A więc kto to zrobił?

– A ojca Justyny sprawdziliście?

Oficer śledczy podrapał się w głowę, patrząc na mnie z politowaniem.

– To szanowany prawnik. Miałby porwać twoją koleżankę, a potem zamordować własną córkę, by to się nie wydało? – spytał lekko, jakbyśmy dyskutowali o ulubionych gatunkach herbaty, a potem popukał się w czoło. – Nienormalna jesteś?

Nawet się nie obraziłam, ale moje podejrzania wobec Liczbaka, Świętszego Pawła i ojca Renaty postanowiłam już zachować dla siebie.

– Dlaczego nie potraficie znaleźć winnego!?! – wrzasnęłam. – Przecież ja się boję chodzić po ulicach!

– Doprawdy? – Pochylił się nade mną zupełnie jak w filmach, kiedy przesłuchujący policjant zamierza załatwić podejrzanego prawym sierpowym. – I z tego strachu, jak to wywnioskowałam z twojej mętnej przemowy, zastawiłaś pułapkę na mordercę, co skończyło się niemal tragicznie.

– Bo wy nic nie robicie! – wrzasnęłam doprowadzona do ostateczności.

– Bo wy nic nie mówicie. – Wbił we mnie to swoje pełne wściekłości spojrzenie. – Nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Ofiara niczego nie pamięta, koledzy szkolni ledwie ją znali, nikt nic nie widział. Jedyna osoba, którą wskazuje jeden świadek oraz poszkodowana, nie mówi i pewnie niewiele rozumie, chociaż potem ginie w niejasnych okolicznościach. Jak mam na tej podstawie cokolwiek znaleźć?

– Przecież wtedy dałam panu tyle wskazówek... – Pokręciłam z niedowierzaniem głową, a on walnął pięściami w stół, aż podskoczyłam.

– Co ty sobie wyobrażasz, gówniaro? – wysyczał. – Że będziesz ze mną pogrywać?

– Nie pogrywam. Czy to przesłuchanie nie powinno odbywać się w obecności psychologa? Najlepiej kobiety, bo pan mnie stresuje. Pewnie nie może pan poprosić rodziców Kasi, ale...

Znów walnął o stół. Zaraz uderzy mnie. Skuliłam się lekko.

– Nie przeginaj – ledwie nad sobą panował, biedak. – Mógłbym cię obciążyć

kosztami akcji ratunkowej. W końcu to ty wymyśliłaś to spotkanie. A tak przy okazji, dlaczego właśnie tam?

Zesztywniałam.

– To dobre miejsce. Nie mogliśmy się spotkać w domu żadnej z nas, dlatego na neutralnym gruncie...

Najpierw pokiwał głową ze zrozumieniem, ale zaraz zmienił się na twarzy i wrzasnął:

– Nie pogrywaj ze mną!

– Nie pogrywam! – krzyknęłam. – U nas w mieście nie ma gdzie się spotkać o tej porze! Tam jest najlepiej. Są ławki, blisko park, ale tam nie wchodziłyśmy, bo między drzewami, wie pan...

Złapał się za głowę.

– Myślałem, że staniecie się bardziej rozmowni, kiedy burmistrz wyznaczy nagrodę za informacje na temat porwania Julii Patyki lub śmierci Justyny Kołodziejkiej. To dziesięć tysięcy złotych. Kupa forsy.

Zacisnęłam usta. Było coś, panie Jaśkowiak, cenniejszego niż dziesięć tysięcy. Własne bezpieczeństwo.

– Nikt nic nie zeznał? – spytałam.

– Ależ skąd. – Rozłożył ręce. – Wręcz przeciwnie. Doniesienia wpływały niczym śmieci do oceanu. A my je wszystkie sprawdzaliśmy. Nawet te absurdalne, jak istota o świetlistej aurze, która leciała nad naszym miastem, trzymając w ramionach nieprzytomną dziewczynkę.

Widać mieszkali u nas jeszcze większe świry niż Nosiciele, Adamsowie, Mimoza i Świętzy Paweł.

– A może ktoś śpiewał? To znaczy udzielając informacji? Ktoś śpiewał?

Teraz mnie naprawdę strzeli w głowę, pomyślałam, patrząc na jego minę.

– Nie – wycedził. – Nikt nie śpiewał. Ale jedna informacja wydała się nam... cenna. Wtedy naturalnie nie zwróciliśmy na to uwagi, dopiero teraz połączyliśmy fakty. Kilka osób widziało Julię Patykę na cmentarzu, na Armii Krajowej, jak rzucała kamieniami w kolejkę WKD, zamawiała hamburgera w McDonalddie (to akurat się nie potwierdziło, bo jest tam monitoring). Ktoś zgłosił również, że widział ją wraz z dwiema dziewczynkami przy ulicy Kopernika... – zawiesił głos.

– I sprawdziliście to? – spytałam z duszą na ramieniu. – Może ktoś z okna coś widział?

– Na to liczyliśmy, ale nikt nic nie widział albo nie potrafił sobie przypomnieć. Wiesz – znów ten mylący, pseudożyczliwy ton – to tylko na filmach albo w książkach na pytanie policji: „Co pani robiła między 17.00 a 20.00 tego a tego dnia” pada odpowiedź: „O 17.12 wyszłam do sąsiadki, ponieważ skończyła mi się mąka, a zamierzałam właśnie upiec ciasto dla męża, który miał wrócić z pracy o 18.21”.

Miałam już dość.

– Nikt nic nie widział. Tego dnia nic szczególnego się nie wydarzyło. Ot, poniedziałek jak każdy inny.

– Może jednak poprosi pan tę panią psycholog? Zaczyna pan dręczyć świadka i... cały czas wydaje mi się, że mnie pan uderzy.

– Zaraz cię puszcze do domu. – Machnął ręką. – Mam cię dosyć. Jesteś wyjątkowo irytująca. Powiedz mi tylko, czy śmierć tego chłopca w jakikolwiek sposób wiąże się z tamtymi sprawami?

– Nie wiem – wyszeptałam. – Cały czas się nad tym zastanawiam. Jeśli tak, to ja nie mogę znaleźć powiązania...

Spojrzał życzliwiej. Mówiłam prawdę. Nie wiedziałam, czy Pikuś zginął przypadkiem, czy celowo.

– Okej. Jeszcze kogoś chcesz oskarżyć o śmierć koleżanki? Ojców, sąsiadów? Może sprzedawczynię ze spożywcza albo nauczyciela? Nie krępuj się...

Zignorowałam go. W końcu co on był winien, poruszał się we mgle niczym ja w ciemności i to przez cały czas.

– A co z Kaśką? – spytałam, poddając się.

– No brawo! – uśmiechnął się szeroko, ale zaraz spoważniał. – Nareszcie jakieś pytanie, które pozwala mi myśleć, że masz ludzkie odruchy. Doznała urazu kręgosłupa i prawdopodobnie rdzenia kręgowego. Stało się to w wyniku potrącenia i nieumiejętnego udzielenia jej pierwszej pomocy przez twoją koleżankę. Stan ogólny jest stabilny, jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Co to znaczy? Że wszystko będzie dobrze?

– To znaczy, że albo wyjdzie z tego, albo rdzeń został uszkodzony i będzie sparaliżowana. Teraz trwa operacja.

Patrzyłam z niedowierzaniem.

– Sparaliżowana?

Pokiwał głową.

– Najbliższe godziny zdecydują. Powiadomiłem jej ojca. Pewnie już przyjechał i jest przy córce. Doktor Kołodziejska przebywa w Krakowie. Przyjedzie porannym pociągiem.

– A ten kierowca, który to zrobił?

Jaškowiak znów się skrzywił.

– To nie była jego wina. Dziewczyna wybiegła mu przed maskę. W dodatku dostał zawału, ale jego życiu też nie zagraża niebezpieczeństwo.

– To co ja mam robić? – spytałam bezradnie.

– Iść do domu, modlić się za koleżankę i zacząć myśleć... Twoi rodzice już przyszli. Podpisz mi tutaj i idź sobie, dziewczyno.

Nie napisał słowa o moich oskarżeniach, złagodził całą historię o tym, jak

sprowadziłam dziewczyny w tamto miejsce. Ponoć chciałam się z nimi pożegnać, bo wyjeżdżały. Zauważyłam kogoś, kto wyglądał jak napastnik, zdenerwowałam się, pomyślałam, że to może być ten sam mężczyzna, co wtedy i zaczęłam go gonić. Moje koleżanki wpadły w panikę i chciały uciekać. Nie zauważyły samochodu. Julia tak zeznała. Podpisałam, a potem przyszli po mnie rodzice. Dochodziła już północ. Ze zmęczenia kleiły mi się oczy, kiedy szłam do domu, trzymając matkę pod rękę i starając się unikać oskarżycielskiego wzroku ojca.

*Tak bardzo się boję. Ale już wiem, co powinnam zrobić. Już wiem.*

## ROZDZIAŁ X

Moje życie jest jednym wielkim bełkotem. Przegrałem z kretesem. To kwestia czasu, kiedy mnie dopadną. Szkoda, że nie żyjemy w czasach starożytnych. Przynajmniej zapewniłbym ludziom widowisko. Publiczne tortury, pręgierz, łamanie kołem, wypalanie piętna gorącym żelazem, może podciąganie na sznurze. Tymczasem pokażą moje częściowo zakryte zdjęcie w tabloidach i zaczną znęcać się nad moją rodziną, jakby oni byli czemukolwiek winni. To jedno chciałbym podkreślić. Winę ponoszę wyłącznie ja, nie oni, nawet nie moi tak zwani rodzice. Tylko ja. Ona szykowała zasadzkę, doniesiono mi o tym. Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni, jakie to naiwne. Pójdę na to, podejmę jej grę, bo jestem jej to winien. Dam się zdemaskować, ale nie dam się zamknąć. Jest tyle możliwości zakończenia życia. Pod kołami samochodu, pod kołami pociągu. Ten drugi sposób nawiązuje do mojej ukochanej powieści Anna Karenina. Jak to było? Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób. Genialne pierwsze zdanie. Jakie prawdziwe. Z mojej rodziny już nic nie zostało. I tylko ja ponoszę za to odpowiedzialność.

W szkole poddano mnie ostracyzmowi, ale rozumiałam to. Prawie wszyscy moi koledzy odsunęli się ode mnie. Nawet ich rozumiałam. Nie mogłam tylko pojąć, jak nauczyciele do tego stopnia mogą zostać zmanipulowani przez policjantów, psychologów i lekarzy. A może oni też się obwiniali i dlatego potrzebowali winnego. Zostałam winną nie tylko wypadku Kaśki, w wyniku którego już nigdy nie będzie chodzić, ale również porwania Julii oraz zamordowania Justyny. Wiecie: „było coś na rzeczy”, „nie ma dymu bez ognia”, „już ona tam wiedziała” i moje ulubione, zasłyszane w toalecie: „No, ona zawsze taka była”. Tę kwestię akurat wypowiedziała Edyta Andruszkiewicz.

– Jak to „zawsze”? – Moja poczciwa Renatka jako jedyna starała się mnie bronić. – Przecież nie znałaś jej wcześniej.

– Chodziłam z nią kiedyś do przedszkola.

Żartowała chyba. Pamiętam dzieciaki z przedszkola, koszmarnie czasy z koszmarnymi przedszkolankami, ohydny jedzeniem i beznadziejnymi zabawami. Nie pamiętałam za to Edyty. Chociaż zaraz, zaraz... Pewna dziewczynka pojawiła się w najmłodszej grupie na miesiąc, może dwa, a potem przestała przychodzić. Chyba zachorowała i musiała wyjechać do sanatorium czy jakoś tak. Już do nas nie wróciła. To mogła być Edyta, chociaż nie umiałam sobie przypomnieć za nic jej twarzy.

– I co? – Niemal widziałam minę Renaty. – Wypruwała flaki misiom, wbijała igły w lalki?

Kochana przyjaciółka.



– Przecież wiesz, o co mi chodzi – mruknęła Edyta.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. To ja znam Marzenę wiele lat i to jest naprawdę... superfajna osoba.

Żałośnie to zabrzmiało, ale przyjąłem to jako coś naprawdę ważnego.

– Ona się zachowywała, jakby była naszą nauczycielką – odezwała się niechętnie Edyta. – No serio. Rządziła nami, chciała czytać zamiast pani Krysi.

Pani Krysia to debilka i sadystka, w dodatku nie umiała czytać ze zrozumieniem.

– No to faktycznie już wiem, czemu uważasz, że zabiła Justynę. – Ironia w głosie Renaty pokrzepiła mnie. – Idź, powiedz to na policji, a dostaniesz nagrodę burmistrza.

Potem słyszałam pełne pogardy prychnięcie i kroki Edyty na korytarzu. Poczekalam, aż Renata wyjdzie, dopiero wtedy opuściłam kabinę. Zgadliście, większość przerw spędzałam w szkolnym kiblu albo w sali, w której mieliśmy zajęcia. Nie chodziłam na obiady, nie starałam się zagadać do kogokolwiek. Patrzyłam czasem na Pawła, to wszystko.

Były też i dobre strony. Grubanna mnie nie pytała, Liczbak oceniał moje sprawdziany na co najmniej dobrze bez zbytecznych złośliwości, a Miss Saigon powiedziała, że mogłabym wystartować w konkursie języka angielskiego, ale jeśli nie chcę, to nie muszę. Nie chciałam, wołałam chodzić do niej na konwersacje, ale gdy o to spytałam, przestraszyła się tak, jakby podejrzewała, iż poderżnę jej gardło zaraz na pierwszej lekcji.

Wiecie, czemu zupełnie mnie to nie obchodziło? Zgadliście. Julia wyjechała, Kaśka też, choć jednak nie do Krakowa, a na jakiś turnus rehabilitacyjny. Podobno miała jeszcze szansę. I wreszcie najważniejszy powód. Moja matka umierała na raka. Przede mną najcięższe zadanie – opowiedzieć wam o tym. Spokojnie, nie będzie tak, jak myślicie. Nie będę opisywała, jak nas okłamała, opowiadając bzdety o chorym sercu, zaburzeniach rytmu i takich tam. Miała guza w piersi, przeszła operację, a potem chemioterapię. Odjęli jej pierś, a potem pakowali w żyłę lekarstwa, od których zrobiła się łysa i słaba, aż serce się krajało. Myślałam, że choroba mamy zbliży mnie z ojcem albo chociaż dziadkiem, ale każdy z nich wydawał się zadowolony z cierpienia w samotności. Chociaż nie jestem pewna, czy cierpieli. Obaj zamykali się w swoich pokojach, musiałam pukać, kiedy ich wołałam na kolację. No właśnie, tego nie mogłam ojcu darować – że doprowadził do sytuacji, gdy to ja chodziłam po zakupy, robiłam obiady, sprzątałam, a kiedy mama wracała do domu, karmiłam ją łyżeczką i pomagałam w najprostszych czynnościach. Po jej śmierci też mi nie pomoże, tego akurat byłam pewna. Pewnie pójdzie gdzieś w cholerę, zapominając o córce.

Kiedy umarła, stałam się inną osobą, bo jej śmierć mnie zaskoczyła. Naprawdę. Nie wierzycie? Opowiem wam. To wydarzyło się w trakcie drugiej

chemii, w najgorszym okresie, kiedy mama ledwo trzymała się na nogach. Między nią a ojcem wszystko pękało jak kawałek opłatka. Starali się, jedno bardziej od drugiego. Zachowywali się uprzejmie, grzecznie, wręcz ujmująco, aż miałam ochotę ich pozabijać. Może i bym to zrobiła, gdyby nie świadomość, że mama sama umrze. Ojciec w sumie był mi obojętny. Czasami zastanawiałam się, co zrobimy, kiedy mama odejdzie i pochowamy ją w akompaniamencie śpiewu Świętszego Pawła i współczucia sąsiadów. Pewnie będę musiała przejąć gotowanie obiadów i pranie. Chyba tylko do tego mnie potrzebował. Chociaż może jestem niesprawiedliwa. Próbował się do mnie zbliżyć kilka razy, co najmniej kilka razy, ale i tak cokolwiek by zrobił czy powiedział, nic by to nie dało. Żyliśmy w innym świecie. Żeby chociaż miał kochankę, to bym zrozumiała, ale on tylko chodził do pracy i wracał do domu. Nawet nie chciało mi się wymyślać, że kogoś ma. Raz jedyny próbował ze mną porozmawiać, kiedy już mama była bardzo chora. Biedak zagadnął o Julię, jakby bał się jakiegokolwiek innego tematu.

– Nie, tato – odpowiedziałam. – Ona nie wróci do szkoły, tylko wyjedzie gdzieś z rodziną. Ponoć przeze mnie.

– Czemu przez ciebie? – zdumiał się.

– Pamiętasz, jak mnie odebraliście z komisariatu? – spytałam z cierpką miną.

– Dlatego... Jak znajdzie się kozioł ofiarny, to wszystkim jest lepiej. W końcu nie mogą znaleźć ani porywacza, ani mordercy.

Zrobił zafrasowaną minę.

– A to nie jedna i ta sama osoba?

Wzruszyłam ramionami i burknęłam pod nosem:

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? – spytał. – Przecież próbowałaś prowadzić własne śledztwo...

Czemu się mnie czepiał?

– Czy ty... zrobiłaś to dla pieniędzy? – w jego tonie zabrzmiała dezaprobata.

Najlepszym sposobem na zarobienie łatwych pieniędzy jest próba zdobycia nagrody burmistrza za pomoc w śledztwie. Ten rodzaj zarobku przebija totolotka, krzyżówki w pismach ze lśniącymi okładkami oraz dorabianie jako kelnerka w cukierni w czasie wakacji.

– Nie – odpowiedziałam po namyśle. Co on chciał usłyszeć, skoro nic nie rozumiał? – Chciałam mieć jako taką pewność, że możemy chodzić normalnie po ulicy.

– Bałaś się? – spytał znów.

– Tak, bałam się – starałam się usunąć złość z mojego głosu, ale chyba mi się nie udało.

– Przyszedłem wtedy po was... po tamtej zabawie. Przecież mógłbym za każdym razem cię przyprowadzać i odprowadzać. Wystarczyło tylko powiedzieć.

– To było w nocy, w sylwestra – zniecierpliwiłam się. – Justyna żyła. Rozmawialiście nawet.

Uśmiechnął się. Nie przyszło mi do głowy, by go prosić o bronienie mnie przed potencjalnym niebezpieczeństwem. Nawet o tym nie pomyślałam.

– Biedna mała – westchnął. – Taka otwarta, radosna i pełna życia dziewczynka...

Trudno o mniej trafną charakterystykę Justyny. Mimo to pokiwałam głową.

– No więc właśnie, zawsze mogę cię odprowadzać. Pamiętaj. Twoje koleżanki też.

– Dziękuję – odparłam chłodno, nie czułam żadnej wdzięczności. – Teraz dzień jest długi, a ja... unikam chodzenia wieczorami.

– Gdybyś naprawdę unikała, nic by się nie stało tamtego wieczoru.

Zacisnęłam dłonie w pięści.

– I ty się dziwisz, że wszyscy uważają mnie za winną?! Przecież sam nie umiesz tego ukryć, chociaż nie masz pojęcia, co się stało, dlaczego i...

Nie zauważyłam, kiedy mama przyczłapała do pokoju. Stała i patrzyła na nas ze smutkiem.

– Przepraszam, mamuś – szepnęłam skruszona. Nie powinna być świadkiem, jak skaczemy sobie z ojcem do oczu.

– Krzyczycie tak, że człowiek nie może się przespać...

– Przepraszam, kochanie. – Ojciec rzucił mi pełne dezaprobaty spojrzenie. Nigdy nie nazywał jej „kochaniem”, zanim nie zaczęła umierać.

Mama popatrzyła na niego, a potem na mnie.

– Marzenko – powiedziała – naprawdę, skarbie, nie musisz gotować takich skomplikowanych potraw... Ja i tak nie jestem w stanie jeść.

Biedna mama. Rzeczywiście nie mogła jeść gulaszu ani potrawek z kurczaka, a ja uparcie je gotowałam. Dziadek z ojcem zjadali, ja też sobie nie żałowałam. Tyłek mi rósł w tempie ekspresowym. I co z tego? Paweł nie pamiętał nawet, że mieliśmy ze sobą coś wspólnego.

– Musisz jeść mięso, jeśli chcesz wyzdrowieć – upierałam się. – Proszę cię, mamuś...

Mama umierała gwałtownie. Zawsze mi się wydawało, że na raka choruje się raczej powoli. Słyszałam o innych: „w rok się zabrał”. Rok to w sumie długo. Wiosna, lato, jesień i zima... Mama odchodziła w tempie samolotu z szybkością ponaddzwiękową. Miesiąc temu była blada, a dziś już jedną nogą na tamtym świecie. Podeszła i pogłaskała mnie po twarzy. Potem spojrziała na ojca jakoś tak wymownie.

– Po chemii, dobrze? – powiedziała łagodnie. – Zjem, co będziesz chciała. Jeśli jeszcze... będę istnieć.

Rozległ się łoskot. To chyba dziadek coś upuścił w swoim pokoju.

Wtedy widziałam ją ostatni raz. Tysiąc razy patrzyłam na sceny filmowe i czytałam o tym w książkach, jak matka, córka czy kochanka twierdziły, że bliska im osoba wciąż żyje, bo NIE CZUŁY, gdy odeszła. Ja bym poczuła, twierdziłam przez cały tamten czas. Na przykład podczas choroby mamy, chociaż miły doktor wytłumaczył mi co i jak, wiedziałam, że ona wyzdrowieje, ocaleje, a ja razem z nią. Jedno się zgadzało – było jak w filmie. Wróciłam tego dnia ze szkoły, odgrzałam dziadkowi zupę, jakby nie mógł tego zrobić sam, i siadłam do lekcji. Ktoś zastukał do drzwi. Wstałam z krzesła z pewnym żalem, bo dobrze mi szło analizowanie postaci w *Weselu* Wyspiańskiego. Jasiek właśnie wymachiwał czapką z piórkiem, a Rachela, cała w czerni, robiła wrażenie na weselnikach. Tak naprawdę była wiejską głupią dziewczyną, pozbawioną jakiejkolwiek mądrości życiowej, a przenikliwości miała tyle, co kot napłakał. Wiedzieliście o tym? To Wyspiański zrobił z niej bohaterkę literacką. Pakuła nam mówiła.

Kiedy zobaczyłam na progu Jaśkowiaka, krew mi odpłynęła z twarzy. Sądziłam, że zjawił się w sprawie Julii lub Justyny, względnie Kaśki – pogratulować mi albo mnie aresztować.

– Postanowiłem przyjść... – zaczął, a ja na widok jego miny natychmiast przestałam wierzyć, że ma dobre wieści.

Wpuściłam go do środka. Cóż, na pewno uczyli ich w szkole policyjnej, jak przekazać komuś informację o śmierci rodziców. Jeśli ci zabili się jakieś dwie godziny wcześniej, policjanci powinni skupić się na szczegółach i zasypać córkę pytaniami, na przykład jak dobrze ojciec prowadził, bo na prostej drodze stracił panowanie nad kierownicą. Czy były jakieś przyczyny, na przykład zmęczenie, skoro zjechał na lewy pas wprost na tira. Tego ich uczyli. Ja jako córka, doceniłam to. Czy były jakieś sygnały? Nie, ale mógł być zdenerwowany, w końcu wiozł żonę na drugą chemię. Może mama źle się poczuła, czy to możliwe? Możliwe, bo źle znosiła chemioterapię. Tak, mogła zasłabnąć i przypadkowo złapać za kierownicę. Ach tak? Zaciskała na niej dłoń? To możliwe, pewnie możliwe. Kierowca tira jest w szoku? Aha... Pewnie w życiu jeszcze nie zdążył nikogo zabić, biedak. Taki młody... Proszę mu przekazać serdeczne wyrazy współczucia.

No cóż. Jak mówił ten gość z *Nad Niemnem*? Niech jeszcze i to. Niech jeszcze i to.

Pochowamy ich razem, a Świętszy Paweł zaśpiewa. Owszem, jestem niepełnoletnia, ale dziadkowi wyrobi się papiery opiekuńcze. Byleby przeżył rok, aż skończę osiemnaście lat. No, teraz nie ma co dywagować, co będzie, jeśli dziadek umrze wcześniej. No, bez przesady... Dam sobie radę z pogrzebem. Tak, mam przyjaciół. Nie, nie tracę przytomności...

Mali ludzie czerpią dużą przyjemność z obserwowania błędów ludzi wielkich. Jestem wam winna kilka słów o losach postaci, które odegrały kluczową rolę w tej historii. Od czasu mojego wyjazdu z miasta minęło piętnaście lat. Prawie

udało mi się zapomnieć, skąd pochodzę, usilnie się starałam. Wiecie, że „prawie” czyni wielką różnicę, prawda? No właśnie... Musiałam wrócić i spotkać ich wszystkich, tak wypadło.

Zacznę od tych mniej ważnych. Liczbak właściwie się nie zmienił. Nadal uczył w naszym liceum, chociaż ponoć już złagodniał. Mieszkał z Czarną Mańką po tym, jak żona go pogoniła. Dzieci nie zdążył się dorobić – małżeństwo trwało zbyt krótko. Może i był całkiem przystojny, ale emanowało z niego coś odpychającego, obleśnego – nie waham się użyć tego słowa. I ta jego atencja do Julii, obiecywanie, że zaliczy, jeśli będzie przychodziła do niego na korepetycje. Chciałabym go nazwać starym satyrem, ale wtedy nie był stary. Teraz wydaje mi się, że mógł być nieśmiały i dlatego właśnie chciał zapanować nad uczennicą, uzależnić ją od swojego „widzimisię” i doprowadzić do sytuacji, gdy gnębiona i zaszczuta Julia zdecyduje się pójść do niego do domu. Czarna Mańka mogła dostrzec jego skłonności i pilnować, by nie zniszczyły mu życia, choć nie widziała w tym jego winy – w końcu to Julia „latała” za jej synkiem. W przypiływie fantazji widziałam, jak Liczbak porywa Julię, więzi ją, a potem wypuszcza. Nikt nie zapytał, czy tego wieczoru nie planowała zaliczyć matematyki. Gdyby to on ją porwał, pewnie już by wyjechał, a skoro wciąż siedział w mieście i znęcał się nad kolejnymi pokoleniami licealistów, nie mógł zaliczać się do grona podejrzanych. A może to tylko przykrywka i Liczbak był mordercą?

Pakuła zmarła przed dwoma laty. Na serce, chociaż równie dobrze mogła wygasnąć jej świeca. Jak mówiła moja mama, każdy ma swoją świecę, która gaśnie w tym czy innym momencie. Pakule wygasła w wieku siedemdziesięciu lat. Po prostu pewnego dnia nie obudziła się. Moja mama powiedziałaaby... Hmm, czułam się tak, jakbym po powrocie do domu zastała ją tam, siedzącą w fotelu i czytającą książkę. Ciągle zastanawiałam się, co by powiedziała czy ugotowała, by mnie ugościć. Tak bardzo mi jej brakowało. No, ale zostawmy to. Wróćmy do Pakuły. Zatem – moja mama powiedziałaaby, że Pakuła musiała zasłużyć na taką dobrą śmierć. Moim zdaniem ona na nic dobrego nie zasłużyła, ale umarła, to umarła, nie ma co się nad tym pochylać.

Miss Saigon poznała Amerykanina, wyszła za niego za mąż i pojechała do Nowego Jorku, gdzie ponoć wiodła życie niczym królowa. Z tego, co słyszałam, źle się jej nie powodziło. On prowadził zakład samochodowy, a małżeństwo z Polką poszerzyło mu klientelę o Polaków, którzy chcieli tanio i dobrze naprawić samochód. Sama Miss uczyła polskie dzieci angielskiego. Tamtejsze szkoły nie uznają taryfy ulgowej dla małych emigrantów, chociaż ci potrzebują czasu, aby nauczyć się nowego języka. Miss pomagała im się przystosować.

Aniela Pruszczyk, już na emeryturze, snuła się po mieście, angażując się w kulturalne przedsięwzięcia, ale tylko te uświęcone przez kościół. Wystawiała wszelkie jasełka, drogi krzyżowe, misteria i podobno była w tym bardzo dobra.

Renata poszła nawet raz z ciekawości i zaskoczyło ją to, jak sensowną i dobrą rzecz zrobiła nasza nauczycielka. Powiedziała mi nawet: „A my – patrz, miałyśmy ją za nic...”.

Grubanna zmieniła się najbardziej. Spotkałam ją na ulicy i nie poznałam jej. Gdyby mnie nie zawołała, minęłabym ją bez słowa. Schudła pięćdziesiąt kilogramów, a potem przeszła jeszcze operację plastyczną i usunęła skórę wiszącą na brzuchu. Wyglądała może nie jak Miss Polonia, ale naprawdę dobrze. Cholernie dobrze. Zachowywała się też zupełnie inaczej, z dużą pewnością siebie, jakby tłuszcz zamieniła w wiarę w siebie.

– To była moja ostatnia szansa – powiedziała, gdy ją skomplementowałam. – Miałam cukrzycę i nadciśnienie. Dzieci się ze mnie śmiały. Teraz umrę zdrowsza – zaczęła się śmiać, a ja pomyślałam, że umrze także szczęśliwsza. Pokazała mi zdjęcie męża i jego córki z pierwszego małżeństwa. – Los się odmienia, Marzenko – dodała łagodnie.

– Dla niektórych tak, pani profesor – odparłam grzecznie.

– Zastanawiam się, na ile tamta historia zaważyła na twoim życiu – rzuciła jeszcze na odchodnym. – Wiesz, o was myślę najczęściej. O waszej klasie. Szczególnie o dziewczynkach. Chłopców właściwie nie pamiętam...

Zaważyła zasadniczo. Gdyby nie ona, nie zdecydowałabym się studiować psychologii i pewnie teraz nie występowałabym w telewizji, komentując zachowania celebrytów i polityków. Muszę się przyznać, nie ma najmniejszego sensu ukrywać tego przed wami – wybrałam te studia, bo chciałam dowiedzieć się, co z nami wszystkimi było nie tak. No cóż, nie znalazłam odpowiedzi, choć bardzo długo jej szukałam. Przynajmniej uporałam się jakoś z moim obsesyjnym lękiem przed ciemnością. Trochę mi to zajęło. Po śmierci rodziców przez długi czas w ogóle nie wyłączałam światła w domu. Czasem jeszcze zdarza mi się lekki atak paniki, gdy nagle robi się ciemno, ale wiem, jak sobie z nim poradzić. Poza tym zaczęłam wydawać książki. Głównie poradniki z cyklu „jak żyć”, „jak zrozumieć siebie i innych”. Nie miałam żadnych ku temu kwalifikacji, ale najwyraźniej nikt ich ode mnie nie wymagał. Sama praca w telewizji stanowiła wystarczający certyfikat mojej wiarygodności. Tej najważniejszej książki nie wydałam. Nie mogłam tego zrobić, ponieważ długo nie znałam jej zakończenia. Wiedziałam jak, wiedziałam dlaczego, nie wiedziałam kto. Julii to jednak nie przeszkadzało. Swoje wyznania opublikowała pod własnym nazwiskiem i tytułem *Być w piekle*, a wydawca dodał na okładce tłustym drukiem: „Jedyna prawdziwa wersja wydarzeń, którymi żyła cała Polska”. W tym samym wydawnictwie pracował kiedyś mój ojciec, ale to raczej przypadek. Kupiłam ją i przeczytałam z mieszanymi uczuciami. Nie było ani słowa na temat naszego spotkania. W pamięci Julii, jak twierdziła od pierwszej do ostatniej strony, pozostały tylko emocje, strach przed śmiercią, pragnienie, by zobaczyć rodziców, ból związanych

rąk i nóg. To, co mogłaby pamiętać, ukrył worek na jej głowie oraz opaska na oczy. Nie widziała napastnika, jego dłoni ani choćby zarysu sylwetki. Ponoć ani razu nie wydał z siebie głosu, nie westchnął nawet. Ja sama zaczynałam w to wierzyć. Fakty zastąpiła ich interpretacja, głównie widziana oczami oficera policji, który prowadził sprawę jej zaginięcia a potem śmierci Justyny. Bardzo dobrze czytało mi się tę książkę. Chciałabym być złośliwa i powiedzieć, że samymi emocjami nie da się opisać tej historii, a raczej wersji Julii. Najwyraźniej się da i to tak, by przyciągała czytelnika. Sporo miejsca poświęciła nam, kolegom i koleżankom z klasy. Najwięcej nie mnie ani nawet Pawłowi, tylko Justynie. Przynajmniej połączyła te sprawy ze sobą – własnego porwania oraz jej morderstwa. I dobrze.

Odwiedziłam grób Justyny na cmentarzu. Leżała niedaleko moich rodziców i, jak się później okazało, córce Adamsów. Za życia mieszkali blisko siebie, po śmierci też zostali sąsiadami. Muszę spisać testament i zawrzeć klauzulę, by nie pochowano mnie w moim rodzinnym mieście. Wszystko jedno gdzie, byle dalej od dawnego życia. Tak, nie wykluczam, może będę miała jeszcze męża i co najmniej dwójkę dzieci, więc poleżę sobie kiedyś w rodzinnym grobie. Wiem, nie jest za późno, dla trzydziestodwuletniej kobiety w dzisiejszych czasach to nic takiego. Wszystko jeszcze być może. Nie chce mi się już z tym polemizować.

Na grobie Justyny zobaczyłam świeże kwiaty. W pierwszej chwili pomyślałam, że przynieśli jej rodzice, ale podobne wiosenne bukiety leżały także na innych grobach, w tym na grobie moich rodziców. To musiała być raczej robota Świętszego Pawła. Rozejrzałam się za nim, słusznie przypuszczając, że czai się gdzieś w pobliżu i obserwuje mnie z okna cmentarnej kaplicy albo zza jakiegoś nagrobka.

– Panie Pawle – zawołałam cicho.

Wyszedł natychmiast, jakby tylko czekał, aż zawitam na cmentarz i zechcę z nim porozmawiać.

– Co tam u pani słyhać, pani Marzenko? – spytał, patrząc na mnie oczami o łagodnym spojrzeniu.

Jeśli Świętszy miał bliźniaka, to właśnie przede mną stał. Po pierwsze, nie śpiewał, co już samo w sobie było szokujące. Po drugie, zwrócił się do mnie per „pani”, a po trzecie zagał rozmowę jak całkiem normalny człowiek.

– Dziękuję, panie Pawle, wszystko w porządku – uśmiechnęłam się do niego.

– Przyszłam na grób rodziców i... koleżanki.

– Bardzo pani współczuję z powodu straty – powiedział poważnie. – Ogromnie żałuję, że nie mogłem uczestniczyć w nabożeństwach pogrzebowych, ale przebywałem wtedy w sanatorium.

Świętszy przebywał wtedy w zakładzie zamkniętym. Wszyscy o tym wiedzieli. Zabrali go praktycznie z miejsca wypadku. Stał na moście, w tym samym miejscu, gdzie mój ojciec wjechał w mur. Świętszy krzyczał wniebogłosy

o klątwie, karze i tradycyjnie o tym, że nie upilnował świętszego bytu. Dowiedziałam się o tym dopiero, kiedy szukałam go na pogrzebie. Brakowało mi go. Wiem, to nie jest normalne.

– Rozumiem, panie Pawle, oczywiście. – Pochyliłam się nad grobem Justyny. – Jak się pan teraz czuje?

Nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Zabrali mi całą radość ze śpiewania. W tym sanatorium.

Nie wyrugowali z niego miłości do pogrzebów i pragnienia śmierci, nie pozwolili mu jedynie śpiewać. Pewnie o tym nie wiedzieli, ale to tak, jakby zamiatać śmieci pod kanapę i przykrywać ją kolorową kapą.

– Może pan ją odzyska? Z czasem?

– Za dużo pigułek – wyznał ponuro. – Nie mogę już śpiewać. Teraz tylko składam kwiaty i patrzę, kto przychodzi, jak często... Latami tak siedzę i patrzę... I nie śpiewam.

Żałosne, nie ma co.

– Zawsze mogę posprzątać pani groby – znów się uśmiechnął. – Ludzie to tak mają. Nakładą kwiatów i zniczy na Wszystkich Świętych, a potem myślą, że te zgniłe wiechcie same się wynoszą do śmietników.

– Byłoby miło – odpowiedziałam, chociaż ja akurat nie należałam do tego rodzaju ludzi odwiedzających cmentarz. – Staram się sprzątać, ale gdyby pan coś tu zauważył... Może pan do mnie zadzwoni? Bo chciałabym się rozliczyć.

Aż się wzdrygnął, jakbym powiedziała coś niewłaściwego.

– Ja z sympatii do pani mamy. Do mamy. Lubiłem mamę pani Marzeny.

– Oczywiście – powiedziałam uspokajającym tonem. A mojego ojca nie lubił? Chyba znał ich tak samo, czyli praktycznie wcale.

– Mama pani była dla mnie bardzo dobra. – Biedak zaciskał dłonie i rozwierał je na przemian. Czemu tak się niepokoił?

Od razu weszłam w rolę psychologa. Kto, jeśli nie ja, mógł go uspokoić?

– Oczywiście, panie Pawle, rozumiem i dziękuję. Nie chciałam pana urazić.

– Mama była taka odważna, taka dzielna...

Hmm... Miał zmarszczone czoło i grymas na twarzy, jakby coś go nagle zabolalo. Musiał być pod wielkim napięciem. Cóż za psycholodzy go leczyli? Czy nie wiedzieli, że śpiewanie to rodzaj leczenia dla kogoś takiego jak Świętzy Paweł?

– To prawda – przytaknęłam. – Była bardzo dzielna.

Nagle uciekł przede mną, jakbym przyłapała go na czymś zakazanym. Biegł między nagrobkami, kierując się prosto do kaplicy. Może nie umiał powstrzymać łez. Postanowiłam zostać jeszcze chwilę i posiedzieć przy grobie Justyny.

Wiedziałam, że jej tam nie ma, na pewno nie tej prawdziwej, cielesnej powłoki.

A zresztą co za różnica. Jako psycholog powinnam inaczej patrzeć na te sprawy.



Tymczasem ja uznawałam istnienie energii, która po śmierci krąży nad nami, oceniając nasze ziemskie byty. Świętsze byty, mogłabym powtórzyć za Świętym Pawłem. Patrzył teraz na mnie znad kaplicowego okna i szlochał. Jestem dalekowidzem, więc doskonale widziałam stąd jego trzęsące się ramiona. Czy płakał z żalu za tobą, Justyno?

Jej rodzice wyjechali z naszego miasta. Ojciec otworzył kancelarię w Warszawie, mama przestała pracować. Siostra także przeprowadziła się do stolicy, kilka razy widziałam ją na zakupach w centrum handlowym nieopodal mojego mieszkania. Nie poznała mnie, a ja nie zrobiłam nic, by się przypomnieć. O czym miałabym z nią rozmawiać?

Na popołudnie zaplanowałam wyprawę do domu opieki, gdzie przebywał mój dziadek. Nie myślcie o mnie źle. Chciałam go zabrać do siebie. Gdyby był tylko po udarze, wynajęłabym pielęgniarkę i zajmowałaby się nim. Nie chodziło jednak o udar, tylko o chorobę Alzheimera, która uczyniła z mojego dziadka kogoś, kim nie mogłam się opiekować. Zawsze myślałam, że ta choroba polega jedynie na zapominaniu. Myliłam się. Dziadek nie spał w nocy, nikogo nie poznawał. Mnie brał za swoją żonę i zaczynał krzyczeć, kiedy tylko się pojawiałam. Musiał jej bardzo nienawidzić. Przestałam go odwiedzać na prośbę lekarza. Pojawiłam się po dłuższej przerwie miesiąc temu i już mnie nie poznał. Pewnie i o babci zapomniał. Patrzył na mnie łagodnym wzrokiem. Nic nie mówił. Wcześniej miał kłopoty z mówieniem, nie takie jak wcześniej, inne. Wyrzucał z siebie słowa niczym pociski, bez ładu, składu, bez najmniejszego sensu. Odwiedzała go Mimoza, jeszcze chudsza i bledsza niż dawniej. W jakimś sensie ich przyjaźń przetrwała i to było krzepiące. Przywoziła ją do dziadka córka. Tak, to nie pomyłka, jej córka. Mimoza urodziła ją jako bardzo młoda dziewczyna i oddała do adopcji. Rodzice ponoć ją do tego zmusili, czego nie mogła im darować aż do śmierci. Nie pojawiła się nawet na ich pogrzebie. Potem już nigdy nie doszła do siebie, nie miała dzieci. To też wina jej męża, który zamiast wynagrodzić takie cierpienie, zgotował jej piekło. Mimoza była mi bliższa niż ktokolwiek w moim mieście. W pewnym sensie po śmierci mamy stała się dla mnie rodziną. Wtedy jeszcze z nią rozmawiałam, dopiero później przestała się odzywać, przynajmniej do mnie. Milczałam z nią. Okazało się to łatwe. Pamiętam, jak Paweł kiedyś zarzucił mi, że boję się ciszy. Miał rację. Dla mnie tak właśnie wyrażało się bliskość – w rozmowie, w nieustannym opowiadaniu sobie o wrażeniach, dzieleniu się przemyśleniami, czytaniu sobie wierszy. Musiałam go tym zmęczyć. Teraz to rozumiem i jest mi wstyd. Paweł, moja miłość, moje życie... Wyjechał z miasta. Nie, nie podążył za Julią, jak tego się po nim spodziewałam. Uciekł na wybrzeże, studiował oceanografię w Gdańsku, a potem wypłynął w morze. Z tego, co mi wiadomo, nie założył rodziny i od wielu lat nie mieszka w Polsce. Wcale nie jest mi lżej. Myślicie, że nie zniosłabym, gdyby ożenił się z Julią i mieli dzieci? Cierpiałabym,

ale w końcu bym się z tym pogodziła. Godziłam się ze wszystkim – z jego wybrakowanym uczuciem, odrzuceniem, tęsknotą za nim, wreszcie z jego wyjazdem. Bo ja go cały czas kochałam i chyba nadal Kocham, chociaż to miłość do cienia, uludy i wyobrażenia. Nie umiem jednak z niej zrezygnować. Wiązałam się z mężczyznami przez te lata, za kogo mnie macie? Z jednym nawet na dłużej. Byliśmy ze sobą kilka lat, całkiem szczęśliwi, planowaliśmy ślub. Coś nie zagrało. On się starał bardziej niż ja. Ja dawałam z siebie tyle, ile mogłam dać, czyli niewiele. Nie powiedziałam mu nawet o lęku przed ciemnością. Zapalałam małe światełko w przedpokoju, zanim kładliśmy się spać, a on nigdy nie pytał dlaczego. To uświadomiło mi, jak mało o mnie wie, jak bardzo nie chce się dowiedzieć i jak mnie samej jest to obojętne. Zrobił scenę, kiedy odchodził. Ja płakałam, przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić, ale rozstanie przyjął z ulgą. Nie jestem w stanie z nikim się związać. Poszłam nawet na terapię, ale po roku się poddałam. Żadna metoda nie mogła usunąć z mojej pamięci emocjonalnej Pawła, jakby został w nią wdrukowany. Grubanna nam to kiedyś tłumaczyła. Mała kaczuśka zaraz po narodzinach bierze za „mamę” pierwszą napotkaną na swojej drodze istotę. Może to być inna przedstawicielka tego gatunku, pies, ale także lalka albo drewniana kaczuśka. To właśnie przydarzyło się mnie. Zupełnie jak kaczuśka podążałam za Pawłem przez całe życie. Tak się do tej myśli przyzwyczaiłam, że mogłam być z kimś innym, pozornie nie tęsknić za Pawłem, ale jednak być mu oddaną. Jak myślicie, Julia tęskniła? Co mu powiedziała, skoro jednak odszedł i wypłynął w morze niczym romantyczny kochanek?

Niewiele o niej wiedziałam, chociaż starałam się dowiedzieć – po prostu niewiele było do powiedzenia. Jej książka przeszła w sumie bez echa. Wyszła za męża, urodziła trójkę dzieci i mieszkała we Wrocławiu. Tam przeniosła się z rodzicami po wypadku z rodzicami i poznała męża. Skończyła polonistykę i uczyła w szkole. Najbardziej chciałam się dowiedzieć, czy się nie bała. Czy ten lęk, którego ani psycholog, ani ja, ani nawet Paweł nie umieliśmy z niej zdjąć, choć odrobinę zelżał. Myślałam o niej prawie codziennie. Chciałam ją odwiedzić, choćby napisać do niej, tylko co miałabym powiedzieć? Nie mogłam wyjaśnić tego, co się stało, opowiedzieć o swoich podejrzeniach, oswoić jej lęku. Nie mogłam po prostu napisać: „Hej, Julia, co tam słyszeć?”. Nasza relacja była niezwykle intymna, nawet po odejściu Pawła do niej. Jakbyśmy mimo wszystko stworzyli trójkąt uczuciowy. Ja jej nawet pragnęłam, chyba się domyśliliście. Nie w taki sposób jak Pawła, ale jednak. Musiała wyczuć rodzące się we mnie uczucie do niej, ona wiele czuła. O jedno mam do niej żal. Że odcięła się od Kaśki po tym, jak ta uratowała jej życie. Czy Kasia tego żałowała? Bardzo chciałam się dowiedzieć. Przeprowadziłam całe śledztwo, poszukując jej. Po wypadku leżała wiele miesięcy w Konstancinie. Nie pozwalano mi jej odwiedzić, chociaż ona na pewno chciałaby mnie zobaczyć. Jej rodzina winiła mnie za to, co się stało. To

zrozumiałe, łatwiej jest, kiedy ma się kozła ofiarnego. Znam to nie tylko ze studiów psychologicznych. Kaśka mnie nie obwiniła. Jestem tego pewna. Rozmawiałam z nią wtedy w szpitalu. Bez Justyny u boku była zupełnie inna. Gdybyśmy miały więcej czasu, mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Tamtego wieczoru prawie się udało. Jeszcze chwila, a złapałybyśmy go, ja bym go załapała. Cholerne światło, cholerna spanikowana Kaśka, cholerne zwątpienie, które mnie wtedy ogarnęło. Potem zostało mi już tylko to męczące poczucie, że rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki.

Julia zamieszczała na Facebooku zdjęcia uszytych własnoręcznie firanek, upieczonych na urodziny dzieci tortów, odnowionych mebelków... Rzygać się od tego chciało. Nawet nie zaprosiłam jej do znajomych. Patrzyłam na posty i myślałam: to nie moja Julia piecze pasztety, to nie moja Julia jest gruba i zaniedbana, to nie ona z wywalonym językiem dowodzi, jaka jest szczęśliwa z tymi dziećmi, firankami i babeczkami, bo miejsce kobiety jest w domu. Moja Julia była delikatna i pełna wycucia, doskonały materiał na psychoterapeutkę. Tak, mogłyśmy razem skończyć psychologię, tylko ona nie musiała szukać u obcych ludzi odpowiedzi na pytanie, jaka jest w istocie. Ona to wiedziała. Co więcej, wiedziała, jakie jesteśmy my wszystkie. Te sałatki, obrusy i wielki tyłek zawierały wiadomość dla mnie. „Odejdź ode mnie” – przekazywała Julia. „Nie chcę cię widzieć. Mam teraz inne życie. Odejdź. Weź sobie Pawła i odejdź ode mnie”. Kiedy skończyła trzydzieści lat, zamieściła na swoim profilu wielce wymowny tekst: „Możecie mi zarzucić, że nie chciałam żyć tak, jak wy tego chcieliście. Nikt jednak mi nie zarzuci, że nie żyłam tak, jak sama chciałam”. Żadne z jej żalonych znajomych nie rozumiało tych słów. Te serduszka, „buziaczki” i głosy, jaka jest świetna i fantastyczna, wywoływały u mnie mdłości. Ja doskonale zdawałam sobie sprawę z tego przekazu – pamiętała każdy szczegół z tamtego wieczoru i uwięzienia. Tylko dlaczego nigdy nie powiedziała słowa?

Mimoza też wiedziała o wszystkim. Nie wiem tylko od kogo, od Julii czy może od Pikusia. Prędeż od niej, bo on przecież nie mówił i nie pisał. Rozmawiałam z nią miesiąc temu, kiedy odwiedzałam dziadka. Cały czas próbowała udawać to swoje niemówienie. Ona też używała słów niczym oręża do samoobrony, tylko inaczej niż Julia.

– Obwiniam się o wypadek Kasi – powiedziałam, a ona uciekła wzrokiem. – Wiem, łatwiej o tym nie rozmawiać i udawać, że się nie umie mówić. Wiedziała pani o wszystkim, prawda? – dodałam, kiedy wciąż milczała. – To pani przekazała mu wtedy, by przyszedł.

Pokiwała głową. Dziadek był spokojny, jak zwykle, kiedy przy nim siedziała. Uśmiechał się błogo i gładził piżamę sękatą dłonią.

– Skąd pani wiedziała, kim on jest? Czy Julia wspominała o tamtym spotkaniu, o tym wszystkim, co potem się stało?

Tym razem pokręciła przecząco głową.

– Niech pani mi powie – nie wytrzymałam. – To złamało całe moje życie, wie pani? Nigdy się nie podźwignęłam.

– Odniosłaś sukces – odezwała się wreszcie.

– Po pani nie spodziewałam się takiej oceny – roześmiałam się gorzko. – Pani nie należy do osób, dla których prowadzenie programu w telewizji jest sukcesem.

– Nie o takim sukcesie mówię – sprostowała. – Żyjesz. Udało ci się wyjść z tego wszystkiego cało.

– Myli się pani. – Znów byłam małą dziewczynką i chciałam postawić na swoim, przechrzyć nauczycieli i zaskarbić sobie sympatię popularnych koleżanek.

Wzięła do ręki książkę. Zerknęłam na okładkę. Marek Aureliusz. Jakżeby. Takie jak Mimoza nie czytały powieści dla kobiet.

– Udało mi się ocalić cię przed... nim.

– Ja nie chciałam być ocalona! – Dziadek drgnął pod wpływem mojego krzyku. Do pokoju zajrzała pielęgniarka. Przeprosiłam i skierowałam spojrzenie na Mimozę. – Śmialiśmy się z pani, wie pani o tym? – atakowałam, coraz bardziej wyprowadzona z równowagi. – Z rodzicami. Z tego powtarzania i malowania po ścianach. Wie pani, jak na panią mówiłam?

– Mimoza – odpowiedziała spokojnie. – Mówiłaś o mnie „Mimoza”. Zawsze byłaś bardzo wrażliwa i empatyczna.

Cała para ze mnie uszła. Marzena, przestań, jesteś żalosna. Zaczęłam płakać. Dziadek spojrział na nią spod zmarszczonego czoła.

– Nic, nic, Bronku. – Pogłaskała go po ręce. – Wszystko w porządku.

– Gdyby pani mnie tak nie chroniła, Kaśka nie zostałaby sparaliżowana.

– Być może ty byłabyś na jej miejscu. Musiałam wybrać. Wybrałam ciebie.

Zostawiłam ją wtedy z dziadkiem i wyszłam bez słowa z domu opieki. To ja złamałam Kaśkę kręgosłup, choć Julia szarpała ją i wyciągała spod samochodu. Dlatego cienki jak sznurek rdzeń kręgowy został przecięty ostrym brzegiem kości. Tak mi powiedział tamten ratownik. Gdybym nie goniła tego drania, może to ja odciągałabym Kaśkę. Czy wtedy by chodziła? Lekarz podobno nawrzeszczał na Julię. Powinien nawrzeszczyć na tamtego kierowcę, który nie pomógł, nie wycofał samochodu, tylko powtarzał: „To nie moja wina. Gówniara sama wyskoczyła na jezdnię”. Zachowywał się jak niespełna rozumu. Miał przy sobie telefon komórkowy, ale nie chciał zadzwonić po karetkę. Julia prosiła go i krzyczała. Zrobił to dopiero wtedy, kiedy już wyciągnęła Kaśkę spod kół, ułożyła na trawie i z wielkim kamieniem w ręku zagroziła, że zaraz zniszczy jego samochód. Wyobrażam ją sobie, taką wojowniczą, gotową zabić za to, co się stało. Tamten wezwał tylko pogotowie i chciał odjechać. Nie sądzę, by uciekał, po prostu był

w szoku, a ludzie wtedy robią kompletnie nielogiczne rzeczy. Policję wezwał lekarz karetki, chyba raczej na widok wrzeszczącej w niebogłoty nastolatki z kamieniem w ręku, bo leżąca obok dziewczynka nie zrobiła już takiego wrażenia. Ponoć na początku nawet jej nie zauważyli.

Po latach konsultowałam się z innymi lekarzami. Nie potwierdzili wersji z „przerwaniem ciągłości rdzenia w wyniku nieumiejętnego udzielenia pierwszej pomocy”. Kaśka złamała kark tuż na dole szyi, a Julia, ciągnąc ją za ręce, co najwyżej mogła złamać jej odcinek piersiowy. Wcale mi nie ulżyło. Julia mogła gonić go ze mną, a nie sterczeć koło drzewa. Najłatwiej być „sparalizowaną strachem” i nic nie zrobić. Co by nie mówić, to ja zorganizowałam spotkanie, to wszystko moja wina, ja chciałam tam ściągnąć mordercę. Wszystkie „może” trzeba przefiltrować przez tamtą moją decyzję. Zauważyliście to? Moja opowieść pełna jest „może”, „czy” i „dlaczego”. To znaczy: „wiem, że nic nie wiem”.

To mnie oskarżyli jej rodzice. Tak było łatwiej. Pewnie, kto by za cokolwiek winił Julię, tyle biedaczka przeżyła. Kaśka została heroiną, która oddała zdrowie za to, aby koleżanka nie została ponownie porwana. Ja winowajczynią, czarnym charakterem, na widok którego dzieci krzyczą w kinie ze strachu. Jeszcze chciałam ją odwiedzać, bezczelna. Pani Janina rzuciła nieco światła na stan Kaśki. Pół roku po wypadku, kiedy dostawałam jedynie zdawkowe informacje o jej stanie zdrowia, głównie złe – wciąż nie chodziła, obrzęk rdzenia nie cofnął się, a do tego martwica i atrofia – pani Janina nagle zaczęła pakować manatki. Pewnego dnia zapukała do naszych drzwi.

– Przyszłam się pożegnać. – W ręku miała talerzyk z ciastem.

Zemdliło mnie na widok zgrabnej foremki wypełnionej plackiem drożdżowym i nogi się pode mną ugięły. Potrafiła sama robić ciasta, czemu Pikuś musiał zginąć...

– A dokąd pani się wybiera, pani Janeczko? – spytała mama, już łysa, słaba i chuda jak szczapa. – Podlewać pani kwiatki?

Wszystkie jej kwiatki straciły życie w pożarze razem z Pikusiem i Mruczkiem.

– Nie trzeba – powiedziała nerwowo. – Moja kuzynka ze strony matki, taka bardzo daleka kuzynka, lata żeśmy się nie widziały, ten czas leci tak szybko, ani się człowiek obejrzał, jak dzieci dorosły... No i... jadę do niej, bo... trzeba pomóc.

Słuchałam jednym uchem, aż dotarło do mnie, że pani Janina jedzie z rodziną Kaśki, by się nią opiekować.

– Dokąd pani wyjeżdża? – spytałam.

– Jeszcze nie wiem – mruknęła. – Ale raczej nie wrócę. Kwiatków nie trzeba podlewać, nie trzeba.

Rodzice Kaśki zakazali jej udzielania wszelkich informacji na temat miejsca przyszłego pobytu.

– Będzie pani dostawała listy. Dokąd mamy je przekierować? – dociekałam.  
– Poprosiłam Marię. – Janina zacisnęła mocno szczęki.  
– A długo pani nie będzie? – odezwała się słabym głosem mama. – Jeszcze zdążę panią zobaczyć?

Aż mi wtedy tchu zabrakło. Mama poddawała się, nie walczyła ani o zdrowie, ani nawet o życie. Dlaczego właśnie ona? To takie niesprawiedliwe.

Nie było trudno dowiedzieć się, dokąd wyjechała Janina. Kaśka przebywała z rodzicami w Krakowie. Jej rodzice otworzyli praktykę pod tymi samymi nazwiskami. Gdybym chciała, pojechałabym do niej. Bywałam często w Krakowie i zawsze wtedy myślałam o Kaśce bardziej intensywnie niż zwykle. Wiedziałam jednak, że nie wyjechaliby, gdyby nie chcieli uciec przed takimi jak ja. Dlatego ostatecznie nie spotkałam się z nią.

Nosiciele żyli po staremu, tylko nie nosili już dzieci na rękach, bo te dorosły, roztyły się i każde z nich ważyło po sto kilo. Spotkałam ich tylko raz, kiedy całą rodziną szli w niedzielę do kościoła. Ukłoniłam się, odpowiedzieli „dzień dobry” jakby nigdy nic. Chociaż nie wiem właściwie, czego się spodziewałam. Żeby się zatrzymali i rozmawiali ze mną? Byli na pogrzebie rodziców, okazali szacunek. Kiedy w dniu moich osiemnastych urodzin dziadek dostał kolejnego udaru, wezwali pogotowie i zawieźli mnie do niego. Wystarczy.

Adamsowa po śmierci Pikusia Don Kichota przebywała w pobliskim, znanym na całą Polskę szpitalu psychiatrycznym. I to okazało się bardzo dobrym posunięciem. Posłali ją na odwyk, ogarnęła się, nie wróciła do picia i Adams odżył. Adamsiątka dorosły, zaczęły chyba rozumieć, co z ich rodzicami było nie tak i cała rodzina weszła na nowe tory. Po ponadrocznym leczeniu Adamsowa wróciła całkowicie odmieniona, zaczęła uczyć francuskiego i śpiewać swoje piosenki w zespole w osiedlowym domu kultury. Adams znów uczył angielskiego, dzieci posłał do szkoły. Kiedy spotkałam ich wszystkich, zatrzymali się i rozmawialiśmy bardzo miło. Adams powiedział nawet, że chętnie pomoże, gdybym czegokolwiek potrzebowała z mieszkaniem czy dziadkiem. Bardzo mi pomógł z formalnościami pogrzebowymi. On i Mimoza. Pojawił się z chłopcami na pogrzebie rodziców, zorganizował stypę z innymi sąsiadami. Ja przecież zupełnie się do tego nie nadawałam. To był bardzo miły gest.

Rzadko kiedy spotykałam kogoś z naszej klasy. Na Przemka wpadłam kiedyś w Warszawie w kinie. Przedstawiłam mu mojego ówczesnego chłopaka, on mi swoje dziecko i brzydką żonę, a ta rzuciła mi spojrzenie spode łba, jakby opowiadał jej o mnie coś niepoehlebnego. A może po prostu była zazdrosna. On okazał się całkiem miły, ucieszył się i spytał, czy mam kontakt z kimś z klasy. Jakby nigdy nic.

Iwonka Bogut się roztyła i zamieniła w starzejącą się ciotkę, która spędza życie między kościołem a telewizorem.

– Koniecznie musimy się spotkać, kochana, ale to koniecznie! – wykrzykiwała na mój widok. Pół miasta nas słyszało. – Taka jestem szczęśliwa, że cię znam. Mojemu mężowi powiedziałam: zobacz, ta w telewizji, to moja koleżanka Marzena Popielewicz. Widzisz, jaka ładna i jak mądrze mówi?

Uśmiechałam się do niej serdecznie, tak, koniecznie, oczywiście, jak najbardziej powinniśmy pozostawać w kontakcie. Po prostu o tym marzyłam...

– No cóż, pewnie nie uda mi się zaprosić twojej córki do programu młodzieżowego, na to niestety nie mam wpływu, ale mogę załatwić bilety na widownię jednego z *reality show* mojej stacji – zapewniłam ją szczerze. W pewnych sferach jest to ogromnie pożądane, o czym zdążyłam się już przekonać. – Oczywiście, że przyjmę cię do znajomych na Facebooku, jasne. Naprawdę dwa razy mnie zapraszałaś? Musiało mi to umknąć, wiesz, tego profilu nie prowadzę sama...

Dała mi adres, muszę jej przysłać kilka zaproszeń dla dzieci, niech się cieszy, niech idzie z mężem i oklaskuje ludzi, którym udało się stanąć po tej atrakcyjniejszej stronie kamery, a o których zapomni, gdy tylko ich miejsce zajmą inni. Ze mną też tak będzie, póki co, idę słoneczną stroną ulicy, a Iwonka tą ocienioną.

Dominika Żelazko skończyła politechnikę i pracowała w jakiejś firmie na wysokim stanowisku. Nigdy się nie przyjaźniłyśmy, więc specjalnie się o nią nie dopytywałam. Karol z kolei poszedł na medycynę. Nikt się tego po nim nie spodziewał, bo nie był specjalnie ambitny. Nie mam pojęcia, jakim cudem zdał egzaminy, skończył studia i zrobił specjalizację z dermatologii. Wyobrażacie sobie? On z jego pryszczami i niezbyt interesującą powierzchownością. Mijam jego gabinet w drodze do telewizji. Podobno to świetny fachowiec i jak nikt nastrzykuje wargi oraz usuwa zmarszczki mimiczne. Wiem to od „koleżanek” z ekranu. Jeśli spytacie mnie, to oczywiście, uważam, że wszystko jest dla ludzi. Nie rozumiem jednak, jak komukolwiek może podobać się kobieta z ustami niczym glonojad i nieruchomą twarzą. Karol zaprasza do siebie te panie, które nie chciały zestarzeć się z godnością. I świetnie, życzę mu wszystkiego najlepszego.

Tomek pracuje w porannym paśmie jednej z najpopularniejszych stacji radiowych. Często go słucham podczas porannej kawy w drodze do pracy. Prezentuje rzadko już dziś spotykany inteligentny humor, okraszony bardzo sensownymi uwagami na temat współczesnej kondycji kultury w Polsce. Bardzo lubię go słuchać. Kiedyś wspomniał o mnie, ku mojemu zaskoczeniu. Komentowano zjawisko *reality show* i psychologów wypowiadających się na ten temat. Tomek zauważył, że ja jedyna nie reaguję entuzjastycznie i nie kieruję się wyłącznie kasą, bo wyznaję zasadę inną niż „mamy prawo wiedzieć, jak żyją i co robią”. Drugi prowadzący nie okazał mi już tyle życzliwości, przypomniał moją krytyczną wypowiedź na temat jednego *talent show*, które odniosło wielki sukces.

– To, że coś odniosło wielki sukces, nie znaczy, że jest dobre – ripostował Tomek. – Mamy teraz kulturę masowych przekazów, masowych gustów i schlebiana masom. Na szczęście są jeszcze tacy, co próbują w jakikolwiek sposób uporządkować to zjawisko.

– Uporządkować? – spytał tamten. Kretyn. W większości ci z telewizji i radia nic nie rozumieją.

– Uporządkować, ponieważ tego procesu nie da się zatrzymać. Marzena o tym świetnie wie. Zresztą znam ją osobiście, bo chodziliśmy do jednej klasy, ona, ja i moja żona.

Wiecie, że Tomek ożenił się z Edytą Andruszkiewicz? Też byłam zaskoczona, bo w szkole wcale nie mieli się ku sobie. Ponoć coś zaczęło się między nimi dziać dopiero po studiach. Czasami tak bywa. Spotykają się dwie osoby, lata mijają i nic, a potem wystarczy jeden impuls i proste równoległe wreszcie się przecinają, okazują się półprostymi, a potem już jedną linią. Chyba jakieś bzdury napisałam. Zawsze cechowała mnie skłonność do porównań, chyba po Grubannie. Czym skorupka za młodu nasiąknie, to na starość naleje na pochyłe drzewo. To jedno muszę oddać naszej wychowawczyni, że już na zawsze będę szukała odniesień roślinnych. Wracając do Edyty i Tomka – widziałam raz dwójkę ich dzieci na prezentacji ramówki stacji. Edyta występowała w serialu emitowanym w wieczornym paśmie w niedzielę, grała tam główną rolę. Zawsze w nią wierzyłam. Na żywo skromna i wycofana, przed kamerą zamieniała się w rasową aktorkę. Powinna spróbować za granicą. Oglądałam kilka odcinków tego serialu. Marny scenariusz, dialogi do dupy, a Edyta potrafiła zaistnieć na takim ugorze. Powiedziałam jej to nawet, o Hollywood znaczy się, ale uśmiechnęła się i odpowiedziała mi, że bardzo by chciała, jednak te marzenia są poza jej zasięgiem.

– Dlaczego? Jesteś znakomita, naprawdę...

– Moja mama choruje na Alzheimera, ojciec jest po zawale. Tomek ma własnych rodziców, nie może przejąć opieki nad moimi. I tak jest cudowny. Gram ponad sto spektakli w roku w różnych teatrach, nie tylko w Warszawie... Kto by to wytrzymał?

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam na pytanie, czemu nie próbuje wyjechać za granicę, ale uszanowałam jej słowa.

– A wiesz? – szepnęła, zanim poubierane w pożyczone od projektantów sukienki i buty za horrendalną cenę, weszłyśmy do studia, by zaprezentować publiczności wybielone uśmiechy. – Próbowałam napisać dramat... O tamtych wydarzeniach.

– Jak to próbowałaś? – spytałam. – Napisałaś? – Zrobiło mi się trochę gorąco.

– Nie, to znaczy nie skończyłam. Chyba nie umiem. Pakuła mnie nie nauczyła, jak pisać dramaty...



Nie sędę, by akurat w tym przypadku była to wina Pakuły. Raczej Edyta nie poradziła sobie z takim tematem.

– Chciałam napisać o tym z punktu widzenia Julii, potem Justyny, potem Renaty...

– Czemu Renaty? – zdziwiłam się.

– Bo ona wtedy tak bardzo się przejmowała, próbowała znaleźć tego, kto to zrobił. Przecież przyjaźniłam się z nią. Miała na tym punkcie obsesję. Chyba się bała, że to ktoś znajomy. Chciałam... chciałam to jakoś ująć, ale nie potrafiłam.

Przerwał nam prowadzący, zapraszając ekipę serialu. Edyta uśmiechnęła się szeroko, wzięła pod rękę aktorkę grającą jej seksistowską szefową i wmaszerowała na scenę. Na *after party* próbowałam się do niej dopchać, ale co rusz stawał nam na drodze jakiś fotograf albo dziennikarzyna, który pytał ją o rolę, okrutnie kalecząc przy tym język polski. Edyta uśmiechała się z rezygnacją i dziękowała za komplementy, za to, że jej postać jest „super i mega” a ona sama taka „normalnie meganiesamowita”. Nie czekałam już na nią po spotkaniu, tylko skinęłam ręką Tomkowi, gdy przyjechał po żonę.

– Musimy koniecznie się spotkać – rzucił na mój widok.

Tylko po co odgrzewać stare i niezbyt bliskie znajomości? Poszłam więc, zastanawiając się, czy jej pełne lęków kreacje teatralne, od Szekspira, przez Dürrenmatta po współczesnych dramaturgów, nie czerpały z tamtej niepewności i strachu przed czającym się w naszym mieście porywaczem i zabójcą. Chyba nie chciałam tego wiedzieć.

Ewa uczyła w szkole muzycznej. Wydawało mi się, że jest wystarczająco zdeterminowana, by zrobić karierę, jednak widocznie się myliłam. Chociaż według Renaty, zapatrzona we mnie i Edytę, bardzo tego chciała, ale jej zespół muzyki dawnej występował przez kilka lat w okolicznych domach kultury przy znikomej publiczności.

– Wiem, bo raz poszłam – powiedziała Renata, kiedy wreszcie po całym dniu chodzenia po cmentarzach i odwiedzinach u dziadka zasiadłam w miękkim fotelu w jej nowym mieszkaniu. – Na widowni siedziały cztery staruszki, chyba matki, albo nie, babki tych biedaczek, które tam występowały.

– A po co tam poszłaś? – spytałam. – Chciałaś się z nią spotkać? Wesprzeć?

– Nie – skrzywiła się. – Nigdy specjalnie jej nie lubiłam. Nic do niej nie miałam, ale, sama wiesz, trudno było ją lubić...

Jeśli chcecie znać moje zdanie, to Ewa sama do siebie nie pałała sympatią i jako artystka wybrała takie żalosne rozwiązanie, by siebie żałować. Zawsze przecież można udawać, że jest się świetną, ale wybrało się „trudną” drogę. Bycie niezrozumianym przez świat od lat osiemdziesiątych było *passé*, jednak Ewa na pewno o tym nie wiedziała.

– Spotkałam ją na ulicy i zapraszała mnie tak jakoś... nachalnie. To miał być

ważny, cudowny występ, podobno dzięki temu zmieniałabym moją perspektywę postrzegania pewnych rzeczy.

Sięgnęłam po ciastka ułożone starannie na talerzyku. Renata usypała ich całą górkę. Przypomniałam sobie, jak jej mama piekła ciasta i częstowała nas. Przypomniałam sobie też Pikusia. Już nigdy nie zjem ciasta ani nawet ciastka bez myśli o nim.

– I zmieniłaś?

Skrzywiła się.

– W żadnym razie. Biedaczka... – zamyśliła się. – Chciała, bym została po koncercie i poszła z nią na herbatę. Na herbatę, wyobraź ty sobie – Renata wybałuszyła oczy – a wtedy powiedziałyby mi jakąś niesamowitą rzecz, zupełnie niesamowitą, no niesamowitą...

– Która zmieniłaby twoją perspektywę postrzegania pewnych rzeczy – dokończyłam.

– Właśnie. Nie chciałam poznać tej rzeczy. Mimo wszystko bałam się, że ona może powiedzieć coś... prawdziwego. – Spojrzała na mnie ostrożnie, a ja odłożyłam filiżankę z kawą.

– Powiesz mi, co masz na myśli? – spytałam.

– Najwyraźniej chodzi o tamtą sprawę, chociaż sędzę, że ona niewiele wie...

Zapatrzyła się w dal, a ja cierpliwie czekałam, aż zacznie mówić, i rozglądałam się po jej uroczym mieszkaniu. Renata kupiła dwa mieszkania w sąsiednim bloku, połączyła je i wyremontowała, a następnie urządziła w absolutnie bajkowym stylu.

– Kiedyś poproszę cię o zaprojektowanie dla mnie domu.

Udało się jej. Została świetnym architektem. W kuchni, pięknie oprawione, wisały dwa dyplomy – wygrana w prestiżowym konkursie w Bostonie oraz nagroda dla młodego architekta z wizją.

– Poproś, dla ciebie to zrobię po przyzwoitej cenie – uśmiechnęła się. – Albo policzę sobie w naturze – dodała. – A jeśli chcesz mnie o coś spytać, zrób to nawet teraz. Potraktuję to jako wpłaconą zaliczkę.

Była szczupła i świetnie ubrana. Włosy miała ostrzyżone równiutko do ramion, elegancko uczesane, na paznokciach granatowy lakier, a dyskretny makijaż podkreślał jej regularne rysy. Biżuteria zdradzała świetny gust i zakupy za granicą. Patrzyłam na nią z przyjemnością. Nigdy nie zastanawiałam się, czy Renata jest ładna, bo zafiksowałam się na kruchej urodzie Julii.

– Czemu jesteś sama? – wypaliła i utkwiała we mnie pełen zainteresowania wzrok.

Mogłam powiedzieć, że to przez Pawła, bo nie umiem pokochać nikogo innego. Sprawa była jednak o wiele bardziej złożona, o czym doskonale wiecie.

– Z wielu względów. I tak, nie mylisz się, jednym z nich jest Paweł –

wyjaśniłam.

– Aż tak go kochałaś? – spytała z niedowierzaniem. – Miałyśmy wtedy szesnaście lat... To nie może być na całe życie.

– Mówiłam, że to tylko jedna z przyczyn. A ty czemu jesteś sama? – zmieniałam temat. – Piękne mieszkanie, piękna ty... Chyba tobie akurat nie chodzi o Pawła?

Pokręciła przecząco głową i uśmiechnęła się.

– Sama nie wiem. Miałam dwa związki. Jeden nawet trwał trzy lata.

– I co się stało? – dociekałam.

– Rozlazło się. Tak po prostu. Znalazł inną, a ja nawet nie cierpiałam. Urażona ambicja i tyle. Jedno tylko mnie przeraża i chciałabym cię spytać, czy ty też odczuwasz taką straszną obojętność wobec wszystkiego.

Świetnie to ujęła. Właśnie na tym polegał mój problem. Sukcesy, które odnosiłam, moja atrakcyjność, dobra opinia w pracy, dorobek naukowy – to wszystko było mi zupełnie obojętne. Ja nawet udawałam, że lubię sushi...

Parsknęłam śmiechem.

– Wiesz, uświadomiłam sobie, że ja nawet udaję, że lubię sushi.

Zaśmiała się krótko, a potem już wybuchnęła śmiechem takim serdecznym, prosto z trzewi. Ja też. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak naprawdę to robiłam. Pokładałyśmy się ze śmiechu dobrych kilka minut.

– Napiłabym się, jeśli mnie przenocujesz – wykrztusiłam wreszcie, ledwo łapiąc oddech.

Tego wieczoru spiłyśmy się jakimś bardzo dobrym koniakiem. W głowie mi się kręciło, ale pamiętałam, o czym rozmawiałyśmy.

– Ojcu odpaliło – powiedziała Renata, wycierając nos rękawem. – Pojechał za nią do Wrocławia.

Jej rodzice rozstali się po ponad dwudziestu latach małżeństwa, ale nie wiedziałam, że to z powodu Julii.

– Za Julią? – Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Za jej matką – sprostowała. – Pamiętasz, jaka z niej była ładna kobieta?

Pamiętałam. Julia była do niej bardzo podobna.

– No – siąkała nosem. – Gdzieś tu miałam papieroska...

Po trawce zrobiło nam się jeszcze gorzej, ale za to puściły wszelkie hamulce.

– Coś ich kiedyś, wiesz, łączyło. Myślał nawet, że Julia jest jego córką...

Serio? To by wszystko zmieniało. Czy to możliwe, by to ojciec Renaty zniszczył nam wszystkim życie?

– Jednak nie, bo Julia ma inną grupę krwi, wiesz... – bełkotała. – Nie może być jego córką. A moja mama też się spodziewała w tym czasie... mnie, no to się zdecydował zostać... z nami...

– Od kiedy o tym wiesz? – spytałam, z trudem odrywając głowę od oparcia

sofy. Trawa działała na mnie zwykle relaksująco, teraz było mi niedobrze. Za dużo wypiałam. Żebym tylko zapamiętała, co powiedziała. Jak wytrzeźwieję, zastanowię się nad tym w spokoju.

– Od niedawna. Matka mi powiedziała, kiedy pojechał... Bo przy rozwodzie nie... Miałaś normalnych rodziców, ale ci zazdrościłam.

Wzruszyłam ramionami.

– Niepotrzebnie, zwłaszcza ojca – mruknęłam. – Czyli do tego Wrocławia pojechał za matką Julii? Jesteś pewna?

Teraz ona wzruszyła ramionami.

– Nie widziałam go od tamtej pory. Kilka lat. On też nie kontaktuje się ze mną. Nie zależy mu. Nigdy nie zależało. Ponoć dlatego boję się związków – bo ojciec chciał mnie porzucić przed... urodzeniem. Nie porzucił tylko dlatego, że dziecko, które chciał wychowywać, nie było jego, a ja, popatrz, popatrz... byłam... Taki jakiś myk. – Położyła się na podłodze i zamknęła oczy.

– Dziwne. – Kręciło mi się coraz bardziej w głowie, ale wciąż udawało mi się jakoś składać litery w słowa. – Potem żyli wszyscy tak blisko przez tyle lat... A tamta kobieta? Ojciec Julii? Jak oni sobie dali z tym radę?

Zachrapała. Nie mogłam jej tak zostawić. Chciałam przenieść ją na łóżko, ale sama ledwie trzymałam się na nogach. Zaczęłam klepać ją po twarzy, delikatnie, jednak chyba przesadziłam, bo skrzywiła się, stęknęła i machnęła na odlew ręką, trafiając mnie w oko.

– Sorry, sorry – wybełkotała. – W tamtych czasach ludzie kochali takie układy... Wszystko, byle się nie rozwieść. Moja matka, pieprzona męczennica... Ojciec, ostatni fiut...

Potem wstała i trzymając się ściany, poszła do łazienki. Usłyszałam szum prysznic. W końcu wyszła w piżamie, z niedokładnie zmytym makijażem, ale nie powiedziałam jej tego.

– Nie mam siły ci pościelić – powiedziała. – Ale zapraszam do mnie do łóżka, jest... duże.

Udawałam, że śpię, kiedy jej palce dotknęły mojego sutka. Moje, chociaż nigdy dotąd tego nie robiłam, natychmiast znalazły drogę do jej warg sromowych. Obie wiedziałyśmy, co robić, by uczynić tę noc jednym z najbardziej fascynujących doświadczeń erotycznych, jakie przeżyłyśmy. Nie wiem, czy ja też byłam jej pierwszą kobietą, tak jak ona moją. Nie chciałam o to pytać, ale powiem wam tylko, że nie zauważyłam panującej w mieszkaniu kompletnej ciemności. Nie zauważyłam.

Rano zabrałam swoje rzeczy i uciekłam, bo gdybym tego nie zrobiła, zostałabym na zawsze z Renatą, jej zręcznymi palcami oraz zachłannym językiem. Co gorsza, zaczęłabym za nią tęsknić, podobnie jak za Pawłem czy Julią. Nie ma potrzeby analizować swoich potrzeb, nie uważacie? Jutro z powodzeniem

mogłybyśmy udawać, że nic takiego się nie stało, to tylko zwykłe przyjacielskie spanie w jednym łóżku.

Wróciłam do mieszkania rodziców z ciężkim sercem. Nie miałam ochoty na żadne porządki. Przez chwilę rozważałam po prostu opróżnienie wszystkich szaf i szuflad. Zrezygnowałam jednak. No cóż, latami odsuwałam od siebie konieczność przejrzenia rzeczy mamy. Na półki taty też nie umiałam patrzeć bez żalu i poczucia przegranej. Przez chwilę walczyłam z pokusą zatelefonowania do Renaty i poproszenia jej o pomoc. Gdyby nie wczorajszy nocny finał, na pewno bym to zrobiła, bo inaczej kto wie, czy zajęłybyśmy się starymi ciuchami, czy sobą. No cóż, wszystko to ze mnie wyszło po latach – tęskniłam za Julią, a przespałam się z Renatą. Plusy były takie, że jakoś mniej szarpało mi serce za Pawłem.

Najpierw uporałam się z rzeczami dziadka. Część już dawno wyniosłam na śmietnik. Tylko najlepsze koszule zawiozłam do domu opieki. Stare piżamy też wrzuciłam do kontenera z rzeczami dla biednych i kupiłam nowe, flanelowe wprawdzie i staroświeckie, ale dziadek prezentował się w nich przyzwoicie.

W niezbyt przepastnej szafie ojca wisiało kilka białych koszul i krawaty, dwa garnitury. W trzecim go pochowałam. Nie lubił ubierać się „korporacyjnie”, ale w nowym wydawnictwie obowiązywał pewien *dress code*. Zdjęłam z wieszaków marynarki i spodnie. Były za dobre, by je wyrzucić, a sprzedawaniem na Allegro nie chciałam sobie zawracać głowy. Zawsze mogłam je zanieść do ośrodka pomocy społecznej na naszym osiedlu, podobnie jak ubrania mamy i moje stare ciuchy.

Wyjęłam dwie wielkie torby z pawlacza. Już czułam się zmęczona. Najchętniej zamknęłabym drzwi na klucz i wpuściła firmę od przeprowadzek. Niechby oni segregowali. Sama wróciłabym do Renaty. Trudno mi się do tego przyznać przed sobą i przed wami, ale marzyłam o niej. Może dlatego przerzucałam ciuchy nieuważnie, segregując „z grubsza”. Dom opieki społecznej chyba trzeba uprzedzić, zanim przywiezie się cztery wielkie torby ubrań? Nie ma co uszczęśliwiać ludzi na siłę, jak sądzicie? Zawsze myślałam, że ojciec ma niewiele ubrań, a zappełniłam wielką brezentową torbę. Póki starczało mi energii postanowiłam zabrać się za swoje rzeczy. Mama tyle razy mówiła, bym zrobiła w nich porządek. Mama... Nigdy nie będę matką, to za trudne.

– To przecież pamiątki, nie uważasz? – Pokazywała mi spódnice w pasy albo sweter dziergany na drutach.

Miała rację. Wszystko, co uszyła, zostawię na pamiątkę, podobnie jak rzeczy robione na drutach. Jej praca, cała miłość do mnie została zamknięta w tych prostych ściegach, nie mogę tego nikomu oddać. Moja stara szafa okazała się zaskakująco przepastna. Wyciągałam stare bluzki, swetry, które straciły kolor i fason, wielokrotnie prane i suszone. Odkładałam je na dwie kupki. Pierwszą zamierzałam po prostu wyrzucić, drugą przekazać potrzebującym. Pozostałe

ubrania pakowałam do torby. Pochyliłam się i zerknęłam na półkę. Nie opróżniłam jej do końca. Coś tam tkwiło, głęboko wciśnięte za dyktę. Szafa była stara, wepchnięta we wnękę w ścianie, okropnie niewygodna, więc nie mogłam dostrzec, co to dokładnie jest. Nie ubranie, raczej apaszka albo zaklinowana między półkami koperta... Wreszcie zdołałam to schwycić i pociągnęłam mocno. Rozerwało się. A niech to! To jednak koperta. Pochyliłam się głębiej i niemal weszłam do szafy, zasłaniając sobie światło. W ciemności nie widziałam, za co szarpie, ale udało mi się wy dostać część koperty. Ze środka wystawał pasek. Cóż za pomysł! To pewnie mama, ona zazwyczaj pakowała ubrania do papierowych toreb, żeby „oddychały, a jednocześnie nie dobrały się do nich mole”. Usiadłam na stercie ubrań. Pewnie wyglądałam groteskowo, z rozdziawionymi ustami wpatrzona w kawałek tandetnego skaju. Nie mogłam się mylić. To TEN pasek. Ten sam, który dałam wtedy Julii. Nigdy nie odważyłam się spytać, czy wciąż go ma, nigdy też nie widziałam, by go nosiła. Uznałam, że zapomniała o moim, pożałuj Boże, zaimprovizowanym darze, a teraz znajdował się w mojej szafie, z listem. Pewnie gdybym go przeczytała, wszystko by się wyjaśniło.

Myślicie, że to zrobię? Nic bardziej mylnego. Nie chcę poznać odpowiedzi na pytanie, kto i dlaczego włożył go między moje rzeczy. Naprawdę nie chcę. Właściwie nie muszę tego czytać. Wystarczy dokończyć dzieła zniszczenia, podrzeć do końca strzępy listu i wyrzucić. Pasek też. Jest stary i brzydki. Co może być w liście? Głupie pytanie, nie uważacie? Doskonale wiem. To Julia wyjaśnia, czemu latami upierała się, że nie pamięta niczego, co wtedy się stało. Na dowód razem z listem przesłała mi pasek. Czy napisała też do Kaśki i odesłała jej bransoletkę z rzemyków? Zapewne... Czyli nie ma żalu ani za tamto, ani za wypadek na ulicy Kopernika. Tylko czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Zapewne nie. Dlaczego zatem po tylu latach? A może nie po tylu latach? Może przyniosła to wcześniej, pod moją nieobecność, tuż zanim wyjechała z miasta? Mama schowała dla mnie przesyłkę i zapomniała mi o tym powiedzieć. Zajęta chorobą, przygotowywaniem się do własnej śmierci, między jedną chemią a drugą – po prostu wyleciało jej to z głowy. Powtarzam wam po raz ostatni – to nie ma wielkiego znaczenia.

Nie czytaj, Marzena. Odkreśl tamto życie grubą kreską, to nic, że kiedyś podobna taktyka się nie sprawdziła. Żyj dalej, wróć do Renaty, zróbcie sobie jeszcze raz dobrze, jeszcze raz i jeszcze raz...

A wy co zrobilibyście na moim miejscu? Przeczytalibyście?

Po prostu zamknę drzwi i nigdy tu nie wrócę, schowam klucz gdzieś, gdzie nigdy go nie znajdę.

